

ALEKSANDRA MARININA

Czarna Lista

przełożyła ALEKSANDRA STRONKA

Tytuł oryginału: *Czernyj spisok*



Rozdział 1

Jestem szczęściarzem. Chyba dlatego, że tak naprawdę jest nas dwóch: ja i mój Anioł Stróż. Fajny z niego chłopaczek, na plecach ma skrzydła, a w rękach szklany bęben. Pełno w nim zwiniętych w ruloniki karteczek, opatrzonych napisami „szczęście” albo „pech”. Żaden z nas nie wie, których losów jest w bębnie więcej. Za każdym razem mój opiekuńczy duch po prostu odsuwa przykrywkę, pakuje tam swoje pulchne paluszki i wyciąga jedną karteczkę. Myślę sobie wtedy: a jeśli wszystkie szczęśliwe losy już się skończyły i czeka mnie teraz nieprzerwane pasmo nieszczęść? Strach co rusz ściska mi serce, bo „fartowne” karteczki trafiały się do tej pory częściej, na zdrowy rozum już dawno powinny się skończyć. Tak więc, codziennie spodziewam się lawiny niepowodzeń, choć Bóg mi świadkiem, do tej pory nie miałem powodów do narzekań. Nawet po tym, jak się rozwiódłem z Ritą i zacząłem romansować z dwiema, a nawet trzema paniami jednocześnie, ani razu nie zetknęły się w progu mego mieszkania, a muszę przyznać, że ich wizyty dzieliła czasem minimalna przerwa, pięć minut, nie więcej. Ten krótki moment jednak wystarczał. Jak to mówią, nieszczęście już nade mną wisiało, lecz w ostatniej chwili mijало mnie o krok.

Również ten wyjazd był udany od samego początku. Samolot wystartował o czasie, załapałem się na miejsce w tylnym rzędzie, gdzie wolno było palić, sąsiad przez całą drogę spał i nie zanudzał mnie głupimi towarzyskimi rozmowami. Lila nie kaprysiła, ale to akurat było normalne, szczęście nie miało tu nic do rzeczy, ponieważ Lila jest dzieckiem samodzielnym i bardzo spokojnym. Kiedy się urodziła, byliśmy z Ritką młodzi i pełni energii, chcieliśmy nie tylko robić karierę, ale i spotykać się z przyjaciółmi, szaleć na imprezach. Babci, z którą można by zostawić małą, nie mieliśmy pod ręką. To znaczy teoretycznie babcie były, rzecz jasna, lecz stosunkowo młode, obdarzone sporą witalnością jak na swoje lata, więc też wolały pracować i cieszyć się życiem, niż siedzieć w domu i niańczyć dziecko. Toteż w wieku trzech lat nasza córka umiała już czytać, a dwa lata później zostawialiśmy ją spokojnie w domu w towarzystwie Dorotek, piesków Toto, Błaszanych Drwali i Tchórzliwych Lwów. Trzeba było ją tylko położyć do łóżka, dać książki, postawić obok duży talerz owoców i dzbanek kompotu. Pewnie gdybyśmy przebywali w domu częściej, Lila stałaby się zwyczajnym, kapryśnym dzieckiem, ale jej charakter ukształtował się właśnie pod wpływem ciągłej nieobecności rodziców. Jak to było u Kornieja Czukowskiego? „Płacę nie dla ciebie,

lecz dla cioci Simy”¹. Przed kim miała stroić fochy, jeśli i tak nikt jej nie słuchał? Poza wieloma malutkimi plusami, wszystko to miało jednak jeden ogromny minus: Lila zamknęła się w sobie. Nie dlatego, że coś ukrywała, powód był prosty: nie była przyzwyczajona, by dzielić się z kimś swoimi myślami. Owoców tej skrytości, wyhodowanych moimi i Ritki niewprawnymi, lekkomyślnymi rękami, miałem wkrótce zakosztować w całej pełni.

Teraz Lila miała już osiem lat i wykorzystując kompletny brak nadzoru, przeczytała całego znajdującego się w domu Maupassanta, a ostatnio zaczęła uparcie dobierać się do Balzaka. Uzyskawszy dzięki temu nader szczegółowe wyobrażenie o wzajemnych relacjach płci, stworzyła sobie własny obraz rozvodu rodziców, zgodnie z którym fakt, że zamieszkaliśmy z Ritą osobno, nie oznaczał nic więcej prócz oddzielnego mieszkania. Stosunki między nami oczywiście się nie zmieniły, o żadnych przejawach wrogości nie było mowy. Jeśli ludziom odpowiada taki układ, co w tym nadzwyczajnego? Zwłaszcza że, jeśli wziąć pod uwagę charakter pracy mojej byłej żony, córka widywała nas z tą samą częstotliwością: po dwie godziny w tygodniu.

Życie zawodowe Rity związane było od zawsze z kinematografią. Nie, Ritka nie jest aktorką, skąd znowu, pracuje jako krytyk filmowy, w dodatku język ma tak ostry i złośliwy, że otacza ją więcej wrogów niż przyjaciół. O dziwo, wcale jej to nie martwi, przeciwnie, uszyła z tego elegancką kreację, w której dumnie parady. Kiedy ktoś okazuje jej sympatię czy przychyłność, mówi ze znużeniem:

– Kochanie, wielki z pana oryginał. Mnie zwykle nikt nie lubi. Tylu mam wrogów!

Zresztą poczucia humoru mojej połówce nigdy nie brakowało.

Dwa dni temu eks małżonka udała się do nadmorskiego kurortu, aby przygotować kolejny festiwal filmowy. Jej wspaniały plan zakładał, że przywiozę tam Lilę i zamieszkam z nią w kwaterze prywatnej, podczas gdy ona będzie nas systematycznie odwiedzała, kontrolowała i przynosiła owoce. Ten pomysł nie przypadł mi do gustu, równie dobrze mógłbym spędzić z córką urlop bez dokuczliwego nadzoru Rity, ale ta okazała się nieugięta.

– Dziecku będzie przyjemnie, jeśli spędzi wakacje nad morzem z obojgiem rodziców – przekonywała, i szczerze mówiąc, nie mogłem nie przyznać jej racji.

Wynająłem pokój u przemiłej pary emerytów i całe dni spędzałem z Lilą na plaży. Dziwne, ale dziewczynka przeczuwała nadejście Rity, gdy nie było jej jeszcze widać, a ja kłopotów ze wzrokiem nigdy nie miałem.

¹ Korniej Czukowski (1882-1969) – pisarz rosyjski, jest autorem książki *Od dwóch do pięciu*, poświęconej językowi dziecięcemu. Cytowane powiedzenie poprzedziła prośba skierowana do płaczącego dziecka: „Już dosyć, Niura, nie płacz” (przyp. tłum.).

– Zaraz przyjdzie mama – mówiła zamyślona, nie zwracając uwagi na mój sceptyczny uśmieszek.

I rzeczywiście, nie mijало pięć minut, a na plaży zjawiała się Rita w tej samej co zwykle „wstążkowej” spódnicy. To taka modna spódnica, w której więcej jest rozcięć niż materiału. Słowo „wstążkowa” wymyśliła Lila i nie po raz pierwszy uderzyło mnie, jak wspinała ma wyczucie języka. Nie, cokolwiek by mówić, dziecko mi się udało.

Ritka szła przez zapchaną nagimi ciałami plażę, jej zdumiewające nogi migały we „wstążkowych” rozcięciach, wskutek czego wydawała się jeszcze bardziej obnażona niż opalające się w kostiumach panie. Leżący na piasku faceci gapili się na te oszałamiające nogi, nie zwracając uwagi na twarz, na której swoje piętno odcisnęły wszystkie przeżyte przez nią lata, a było ich równo trzydzieści dwa. Rita nie wyglądała ani o dzień młodziej, ale można było odnieść wrażenie, że ma to w nosie, bo na jej fantastyczne nogi lecieli wszyscy mężczyźni, bez względu na wiek.

Zbliżała się do nas, obcałowywała Lilę od stóp do głów, niedbale cmokała mnie w policzki i zaczynała wypakowywać z ogromnej białej torby plastikowe woreczki z morelami, brzoskwiniami, śliwkami i winogronami.

– A kielbaska? – pytała nieśmiało Lila, która najadła się po uszy owoców podczas tamtych długich wieczorów, gdy ja i Ritka zostawialiśmy ją samą, więc teraz nie mogła na nie patrzeć, na słodyczne zresztą też.

W odpowiedzi Rita wszczywała długą, pouczającą tyradę na temat korzyści płynących z darów południa i niezbędnych witamin dla młodego, rosnącego organizmu. Lila udawała, że słucha, potulnie wzdychała i spoglądała na mnie ukradkiem, ja z kolei też udawałem, zgodnie potakując głową w takt natchnionych pasażerów słów mojej ekszony, a w tym samym czasie puszczałem do córki oko, co oznaczało, że daję słowo kupić jej wieczorem upragnioną wędzoną kielbasę.

Z jakiegoś powodu Rita nigdy nie brała ze sobą stroju kąpielowego, kiedy przychodziła do nas na plażę. Pewnie wolała pływać w basenie, gdzie serwowano gościom szampana i lekkie przystawki: organizatorzy festiwalu zadbali w tym roku o właściwą oprawę. Ritka opadała na nasz duży plażowy ręcznik, „wstążki” znikwały nie wiadomo gdzie, a wszystkim wielbicielom piękna ukazywały się jej nogi w całej długo-okrągłej krasie, uwieńczone starannym pedikiurem, i zaczynała pośpiesznie narzekać na intrygi konkursowiczów, duchotę w pokoju i w ogóle kompletny bałagan. Scenka pt. „Dzielę się z tatą swoimi problemami” była obliczona dokładnie na czternaście minut, po czym Margarita Mieziencewa, po byłym mężu Stasowa, powtarzała rytuał obcałowywania córki, machała nam

ręką i majestatycznie się oddalała. Odwiedzała nas dwa razy dziennie, rano i wieczorem, zanim opuściliśmy plażę.

Dzisiaj rano wszystko zaczęło się jak zwykle. Lila spojrzała w zamyśleniu na kołyszącą się na falach boję i oznajmiła:

– Zaraz przyjdzie mama.

Ale dalej wydarzenia przybrały nieoczekiwany obrót. Rita pojawiła się o wiele szybciej niż zwykle po tradycyjnej uwadze ośmioletniego dziecka, co nasuwało przypuszczenie, że prawie biegła. Wyglądała, mówiąc bez ogródek, nie najlepiej, i obserwując, jak przeciska się w naszą stronę wśród ciasno leżących plażowiczów, zacząłem powątpiewać, czy dobrze pamiętam, kiedy się urodziła. Wczoraj miała trzydzieści dwa lata, a dzisiaj dobiegała czterdziestki.

Obcałowowania nie było, owocowe rarytasy nie wiedzieć czemu nie wyłoniły się z białej torby. Rita opadła z rozmachem na ręcznik i podniosła na mnie zmęczony wzrok.

– Oj, Władik, co za koszmar... Ktoś zabił Olgę.

Tak się stropiłem, że nie dotarło do mnie, o jaką Olgę chodzi.

– Olgę?

– No tak. Olę Dorienko.

– Jak to zabił? – spytałem głupio.

– Nożem.

– Kto?

To pytanie chyba mogło śmiało konkurować z poprzednim. Nie było ani mądre, ani oryginalne.

– Skąd mam wiedzieć? Całą noc spędziłam w komisariacie.

– Dlaczego? Co ty masz z tym wspólnego?

– Oj, Władik, wszyscy przecież wiedzieli, że miałeś z nią romans, więc pomyśleli, że to ja ją... Z zazdrości.

– Jaki znowu romans? Co ty pleciesz? – Rozzłościłem się nie na żarty, ale od razu ugryzłem się w język, bo obok siedziała Lila, a w jej obecności musiałem robić dobrą minę do złej gry i uważać na słowa.

– Przecież wiesz, że nic mnie z Olgą nigdy nie łączyło – ciągnąłem już spokojniej. – Sto razy to przerabialiśmy.

– No tak, oczywiście, dlatego powiedziałam glinom, że to najprawdopodobniej Garik.

– Co? Garik?

– Zabił ją.

– O Boże! Tego tylko brakowało!

– A co? Jest jej kochankiem, sam mi mówiłeś.

To była klasyczna sytuacja, kiedy człowiek wpada w sidła własnego kłamstwa. Nigdy nie miałem żadnego romansu ani nawet drobnego flirtu z Olą Dorienko. Ale znany reżyser filmowy Igor Litwak też nigdy nie pretendował do miana jej kochanka. To było kłamstwo, które wymyśliliśmy z Olą specjalnie dla Rity, kiedy jej bezpodstawna zazdrość zaczęła przekraczać wszelkie granice przyzwoitości.

Olga i Rita były starymi przyjaciółkami, więc nic dziwnego, że mieliśmy wspólne grono znajomych i ciągle się odwiedzaliśmy. Olga podobała mi się o wiele bardziej niż pozostałe koleżanki Rity, była miłą i niegłupią kobietą, naprawdę utalentowaną aktorką, ale życie osobiste układało się jej fatalnie. Są takie kobiety, które mężczyźni zawsze rzucają. Gdzie tkwi przyczyna, co mają takiego w sobie, nikt nie potrafi wyjaśnić. Są mądre, ładne (a Ola Dorienko była ładna), sprawdzają się jako panie domu, ale facetom czegoś w nich brakuje. Może przysłowiowego magnetyzmu? Nie wiem, co tam sobie Rita ubzdurała, ale pewnego pięknego dnia zaczęła się wściekać i robić wyraźne aluzje do moich zbyt osobistych relacji z Olą. Zniósłbym to, ale kłopot polegał na tym, że Olgi też zaczęła się czepiać. Język mojej małżonki, jak już mówiłem, był dostatecznie ostry, żeby przyjaciółka, najpierw zdziwiona, z czasem poczuła się dotknięta do żywego. Im dalej, tym było gorzej. Ritka z twarzą obrażonej Madonny jęła opowiadać wszystkim, kto tylko miał ochotę słuchać, że jej mąż podrywa wschodzącą gwiazdę ekranu Dorienko. Zazdrość przerodziła się w obsesję, Ritka utraciła spokój ducha, doszło nawet do tego, że próbowała mnie śledzić. Raz zrobiła to wyjątkowo niefortunnie. Rozpracowywaliśmy wtedy grupę, która zajmowała się nielegalną produkcją narkotyków, i pojawienie się Ritki zniweczyło przemyślnie zaplanowaną operację. Ogromne wysiłki poszły na marne, a ja wpadłem w pracy w niezłe tarapaty i zrozumiałem, że jej choroba wymaga zastosowania radykalnych środków. Naradziłem się wtedy z Olą i postanowiliśmy wcisnąć Ricie historyjkę o potajemnym romansie z Igozem Litwakiem. Był to akurat taki przypadek, kiedy najbardziej niewiarygodne kłamstwo łatwo może uchodzić za prawdę.

Sęk w tym, że Igor Litwak był w kręgach kinematograficznych swego rodzaju fenomenem. Oddany rodzinie, uwielbiał czwórkę dzieciaków i grubą, nieładną żonę, a przez dwadzieścia lat pracy w filmie nigdy nie padł na niego nawet cień podejrzenia o jakikolwiek flirt. To właśnie posłużyło nam za wyjaśnienie faktu, że o romansie Olgi i Garika nikt nie wiedział: wszystko utrzymywane było w ścisłej tajemnicy, jako że żona Litwaka pochodziła z Tbilisi, w domu wpojono jej surowe zasady i najmniejsze pogłoski o niewierności męża

mogły doprowadzić do tego, że natychmiast zabrałyby dzieci i wyjechała do Gruzji, gdzie mieszkała jej liczna rodzina. Rozłąka z dziećmi oznaczałaby dla niego tragedię, toteż swojego pierwszego romansu (nie licząc oczywiście romansu z żoną) Igor strzegł przed cudzym wzrokiem jak źrenicy oka.

– Dlaczego Ola nic mi o tym nie opowiadała? – Rita nie kryła zdziwienia.

– Bo w ogóle nikomu o tym nie mówi. Nikomu, rozumiesz? Żywej duszy. Garik ją o to prosił – kłamałem jak najęty.

– Ale tobie powiedziała – upierała się żona.

– Mnie też nie mówiła. Dowiedziałem się przypadkiem. W jej domu zostało popełnione przestępstwo, dzielnicowy szukał wśród lokatorów świadków, a Igor był w tym czasie u Olgi. W ten sposób wszystko wyszło na jaw.

Rita ze zrozumieniem przyjęła naszą wzruszającą historię, od razu się uspokoiła, i trzeba oddać jej sprawiedliwość, że nikomu się nie wygadała. A teraz nasz niewinny żart mógł się obrócić przeciwko niczego niepodważającemu Igorowi Litwakowi i narazić go na grube nieprzyjemności.

– Garik przyjechał na festiwal? – zapytałem od niechcena.

– Oczywiście. Jest przewodniczącym jury. A Olga została nominowana w kategorii najlepsza rola kobieca. Byłam pewna, że dostanie nagrodę.

– Jest wspaniałą aktorką – przytaknąłem, zastanawiając się gorączkowo, jak mam postąpić.

– A co ma piernik do wiatraka? – rzuciła lekceważąco Rita. – Garik kieruje pracami jury, już on by o nią zadbał, spokojna głowa.

No tak, żadna siła nie zmieni już Margarity. Nawet mówiąc o zamordowanej przyjaciółce, nie może powstrzymać się od złośliwości. Czasem, gdy patrzę na Ritę i widzę jej niezwykle nogi, zastanawiam się, czy nie popełniłem błędu, rozwodząc się z nią. W takich chwilach jak ta wiem jednak, że się nie pomyliłem. Ritka z jej wieczną złością, podenerwowaniem działała na mnie toksycznie, była jak marynowany pieprz dla chorego cierpiącego na wrzód żołądka.

W ciągu kolejnych piętnastu minut dowiedziałem się, że Ola była wczoraj obecna na konferencji prasowej zorganizowanej po pokazie filmu, w którym grała główną rolę. Potem w restauracji hotelowej odbyła się tradycyjna zbiorowa pijatyka, podczas której upilnowanie kogokolwiek graniczy z cudem, wszyscy włączają się gdzie popadnie, odwiedzają swoje i nieswoje pokoje, wracają, kąpią się w podświetlonym basenie, piją szampana i uprawiają pośpieszną, wcale nie pozbawioną namiętności miłość pod otaczającymi hotel wspaniałymi

tropikalnymi krzewami. Olga mieszkała z aktorką Lusią Dowżuk. Kiedy Lusia koło trzeciej w nocy wróciła do pokoju, ujrzała Olgę leżącą na podłodze w kałuży krwi.

Natychmiast zjawili się pracownicy ochrony, wezwali milicję, i wtedy ktoś chlapanął (po pijaku język się rozwiązuje), że Margarita Mieziencewa już dawno była zazdrosna o swego byłego męża z powodu Olgi Dorienko, i tenże mąż przyjechał na festiwal, chociaż wcześniej niczego takiego nie praktykował. Najwyraźniej dla pięknych oczu Olgi. Dopóki byli z Ritą małżeństwem, nie towarzyszył żonie na żadnym festiwalu, a po rozwodzie, patrzcie go, nie widzi przeszkód. No i jak Rita miała to wytrzymać!

Miejscowi stróże porządku doszli do całkiem rozsądnego wniosku, że Ritoczka zносиła to z trudem. Tak wielkim, że w pewnej chwili nie wytrzymała i zabiła wredną zdzirę. Milicjanci poprosili zatem Ritę, aby im „towarzyszyła” i zaczęli skrupulatnie sprawdzać, czy miała okazję zabić przyjaciółkę. Niestety, niczego nie udało się wyjaśnić, bo wszyscy byli w takim stanie, że kompletnie nic nie pamiętali. Gdzie była Mieziencewa pomiędzy dwudziestą trzecią a trzecią w nocy? Wychodziła z sali? Gdzie i z kim ją widziano? Czy wjeżdżała na piętnaste piętro, gdzie znajduje się pokój Dorienko? Wyglądała na przybitą albo odwrotnie, podekscytowaną? Może była rozgniewana? Poirytowana? Dużo piła? I tak dalej... Pytania pozostały bez odpowiedzi, ale Ritę zwolniono, prosząc oczywiście o nieopuszczanie miasta. Na pożegnanie wyciągnęła asa z rękawa – powiedziała o Litwaku.

Stało się dla mnie jasne, że muszę jakoś pomóc biednemu Igorowi. Czuję się wobec niego nielecho winny i w żadnym razie nie chciałem, aby ucierpiał przez historię, u której podłoga leżała idiotyczna zazdrość mojej byłej żony.

Komisariat miejski, najwidoczniej niedawno wyremontowany, wyglądał tak świeżo jak niemowlę po kąpieli. Zostawiłem Lilę na ławce w towarzystwie książki o Muminkach i dałem trochę drobnych na wypadek, gdyby przyszła jej ochota na lody albo wodę. Byłem jednak pewien, że jak tylko zniknę w drzwiach, od razu ruszy do kiosku z książkami, który dostrzegłem w pobliżu, i kupi kolejny romans dla pań autorstwa Barbary Cartland. Zachodziłem w głowę, co udaje jej się zrozumieć z tych powieści, podejrzewałem, że niewiele, ale pochłaniała je jednym tchem.

Budynek był pogrążony w półmroku i ciszy. Milicjant przy wejściu spojrzął przelotnie na moją legitymację i skinął przyzwalająco głową. Na pierwszy rzut oka recepcja wyglądała całkiem zwyczajnie, ale po bliższym przyjrzeniu się zauważyłem, że pomieszczenie zastawiono sprzętem elektronicznym wartym tysiące dolarów, i ogarnęła mnie zazdrość, że

miasto stać na zainwestowanie tyłu pieniędzy w system ochrony. Gruby i spocony oficer dyżurny długo udawał, że mnie nie widzi, ja w tym czasie też udawałem, że cierpliwie czekam. Zawsze ciekawi mnie, jak traktowani są interesanci, kiedy jeszcze nie wiadomo, kim są i po co przyszli. Jeśli teatr zaczyna się od szatni, to komisariat – od recepcji. Stanowi ona wizytówkę urzędu, i nie chodzi tu o porządek czy komputeryzację, lecz o stosunek do obywateli. Klimat panujący w komisariacie wyczuwalny jest przede wszystkim w recepcji.

Milicjant nie wytrzymał pierwszy:

– Słucham pana. O co chodzi?

Podąłem mu swoją legitymację.

– Szukam oficera dochodzeniowego, który zajmuje się zabójstwem aktorki Dorienco.

Pomoże mi pan?

Mężczyzna w milczeniu zwrócił mi dokument i zaczął gdzieś wydzwaniać.

– Pokój numer dwanaście – powiedział w końcu, odkładając słuchawkę. – Schodami na piętro i w prawo.

To, co zobaczyłem w pokoju oznaczonym numerem dwanaście, wprawiło mnie w zdumienie. Niemożliwe, żeby urzędował tu wywiadowca, którego poszukiwałem. To był typowy gabinet szefa, wspaniały, porządnie umeblowany. Mężczyzna, który zasiadał przy biurku, również z wyglądu przypominał zwierzchnika. Dobrze po pięćdziesiątce, surowe oczy, korpulentna sylwetka.

– Podpułkownik Stasow, wydział kryminalny GUWD² Moskwy – przedstawiłem się, próbując ukryć zdziwienie.

– Nikt nie uprzedził mnie o pańskiej wizycie – oświadczył osobnik za biurkiem, spoglądając gdzieś w bok.

Pomyślałem przerażony, że nie wiem, kim on jest, jak się nazywa, i że w ogóle zaszło jakieś nieporozumienie. Na mundurze zobaczyłem naszywki pułkownikowskie, które równie dobrze mogły należeć do komendanta, jak i do jego zastępcy. Co prawda, wchodziło się do pokoju z korytarza, a nie przez sekretariat, co mogło sugerować, że trafiłem jednak nie do szefa, lecz któregoś z jego zastępców.

– Oficer dyżurny skierował mnie do pokoju numer dwanaście.

– Słusznie. Ale Moskwa nie uprzedzała o pańskiej wizycie. Czego pan sobie życzy?

Domyśliłem się, że milicjant w recepcji wziął mnie za detektywa, który przyjechał z Moskwy w związku z zabójstwem Olgi. Pewnie dlatego skierował mnie do przełożonego,

² GUWD (Gorodskoje uprawlienije wnutriennich dieł) – Miejski Wydział Spraw Wewnętrznych (przyp. tłum.).

żebym się u niego zameldował. A przełożony naturalnie nic a nic o żadnym detektywie nie wie.

– Panie pułkowniku, chciałbym spotkać się z funkcjonariuszami, którzy prowadzą dochodzenie w sprawie zabójstwa Olgi Dorienko.

– Po co? Kto panu dał pełnomocnictwo?

Pytanie mi się nie spodobało. Gdzie się podziało słynne milicyjne braterstwo? Gdzie opiewane w książkach i filmach nierozwalna więź, przyjacielska pomoc i natychmiastowe wsparcie? Pułkownik zachowywał się tak, jakby zabójstwo aktorki miał w głębokim poważaniu, natomiast o wiele bardziej nurtowało go pytanie, co zrobić, żeby w doborowe szeregi miejscowej milicji nie wślizgnął się moskiewski szpieg, wywierający zgubny, demoralizujący wpływ.

– Nie mam pełnomocnictwa. Ale mogę się przydać w śledztwie. Dobrze znałem ofiarę.

– Kto pana przysłał?

– Nikt mnie nie przysłał, jestem tu na urlopie, dowiedziałem się o zabójstwie, więc przyszedłem.

– Skąd się pan dowiedział?

Wyglądało to raczej na przesłuchanie; pułkownik najwyraźniej uważał, że jakimś oszukańczym sposobem próbuję wkręcić się w śledztwo, załatwiając swoje ciemne interesy.

– Powiedziała mi o tym moja żona, pracuje przy organizacji festiwalu.

Nie wspomniałem, że się z nią rozwiódłem, bo wtedy musiałbym długo opowiadać o Lili i o pedagogicznych zapędach Rity.

– Nazwisko żony?

– Mieziencewa. Margarita Mieziencewa.

– A pan nazywa się Stasow? To bardzo interesujące.

Nagle zdałem sobie sprawę, że stoję przed nim wyprężony na baczność. Widocznie jego niechęć działała na mnie hipnotyzująco.

– Jeśli ma pan informację, która rzuci światło na zabójstwo Dorienko, może pan mi ją przekazać – rzekł zimno pułkownik, zajmujący w komisariacie zagadkowe stanowisko. – Nie jestem zwolennikiem angażowania do dochodzenia osób postronnych, to często przeszkadza i stwarza dodatkowe trudności.

– Ale ja jestem wywiadowcą, a nie osobą postronną – usiłowałem zaprzeczyć.

– Jeśli dobrze pana zrozumiałem, może pan być potencjalnym świadkiem, i w tym znaczeniu jest pan niewątpliwie osobą z zewnątrz. Wykorzystamy pana w charakterze świadka. Jestem gotów wysłuchać wszystkiego, co pan ma do powiedzenia w sprawie

Dorienko. Ale nie pozwolę włączyć pana do śledztwa. Nie jest pan teraz na służbie, i jako wywiadowca pan dla mnie nie istnieje.

– A jeśli ktoś z Moskwy zadzwoni do pana w tej sprawie, włączy mnie pan w skład grupy dochodzeniowej?

W rzeczywistości wcale nie chciałem wtrącać się do ich śledztwa. Może jestem zatwardziałym egoistą, ale nigdy nie czuję potrzeby, żeby się łądować w nieswoje sprawy i narzucać się z pomocą. Każdy musi ciągnąć swój wózek. Moja wizyta nie została podyktowana pragnieniem udzielenia wsparcia w zdemaskowaniu zabójcy, lecz jedynie chęcią odbycia męskiej rozmowy z wywiadowcami i wyjaśnienia im, że Garik Litwak nie ma nic wspólnego z zabójstwem, ponieważ jego związek z ofiarą jest czystym wytworem wyobraźni. I tyle. Moje szlachetne zamiary nie sięgały ani o krok dalej. Natomiast zaintrygowało mnie, dlaczego zajmujący okazały gabinet pułkownik zapalał do mnie taką niechęcią i dlaczego nie chce mnie dopuścić do dochodzenia w sprawie zabójstwa. Może zraniłem jego ambicję? Albo nie lubi, jak ktoś mu rozkazuje? Czyżby samo słowo „Moskwa” doprowadzało go do wściekłości?

– Włączę pana do śledztwa tylko w jednym wypadku: jeśli otrzymam pisemne polecenie Głównego Wydziału Kryminalnego MSW Rosji – odparł ostro. – Podporządkowuję się tylko ich rozkazom. Wydział Spraw Wewnętrznych stolicy nie ma prawa wkraczać w moje kompetencje, jesteśmy równi rangą, więc mogą się najwyżej zwrócić z prośbą.

– A jeśli to zrobią? – Nie przestawałem go naciskać.

– To będzie zależało od sytuacji. Zwykle nie przychylam się do takich próśb. Pańscy koledzy tylko płaczą się pod nogami i dezorganizują nam pracę. Jeśli ministerstwo podejmie decyzję utworzenia grupy operacyjno-dochodzeniowej razem z GUWD Moskwy, wtedy co innego. Będzie decyzja – będziemy rozmawiać. A teraz, nie zatrzymuję pana dłużej, Stasow.

Tak. Wyrzucono mnie z gabinetu szefa, w dodatku niezbyt uprzejmie. Ale tak łatwo się nie obrażam. To znaczy owszem, czuję żal, ale zdążyłem się przyzwyczaić i umiem przejść nad tym do porządku dziennego. Toteż nie wpadłem w czarną rozpacz i opanowałem gniew. Poszedłem na drugie piętro, gdzie wszystko wyglądało jakoś zwyczajnie: na korytarzu nie było chodnika, ścian nie wyłożono boazerią jak piętro niżej, lecz pomalowano farbą olejną, a drzwi nie obito dermą. Nasłuchując głosów dobiegających zza drzwi, wybrałem pokój, w którym, sądząc po zgiełku, było dużo ludzi.

– Przepraszam – powiedziałem nieśmiało, robiąc niewinną minę. – Dostałem wezwanie w związku z zabójstwem aktorki Dorienko, ale zapomniałem, do którego pokoju miałem się zgłosić.

– Pokój numer trzydzieści – padła natychmiastowa odpowiedź, po której niepostrzeżenie się wycofałem.

Przed pokojem numer trzydzieści siedziało kilkanaście osób, widocznie wezwanych po to, by złożyły zeznania w sprawie nocnego zabójstwa. Czekanie w kolejce mogło potrwać do wieczora. Wyjaśnianie całemu ogonkowi, że jestem „swój” i mam sprawę służbową, wcale mi się nie uśmiechało. Mogłem oczywiście wparować do środka jak gdyby nigdy nic, nikomu się nie tłumacząc, ale istniało realne zagrożenie, że natknę się na takiego samego obrońcę suwerenności jak ten, z którym dopiero co rozmawiałem w pokoju numer dwanaście. Wedrzeć się do pokoju w środku przesłuchania i zażądać przerwania go – to dobry sposób, aby wylecieć z milicji na zbity łeb. Mógłbym to przeboleć, ale miałem dług wobec Igora Litwaka, więc za wszelką cenę musiałem wykonać swoje zadanie.

– Kto następny? – spytałem aroganckim, pewnym siebie tonem.

– Ja – odezwała się młoda dziewczyna w brązowym bezrękawniku, odsłaniającym duże piegi na mlecznobiałym biuście.

– Dam pani kartkę, proszę ją przekazać.

Wyjąłem z torby plażowej długopis, notes, i na wyrwanym karteluszk nabazgrałem: „Stasow, MUR³. Pilne”.

– Komu mam to oddać? – zapytała piegowata dziewczyna, biorąc ode mnie świstek.

– To bez znaczenia. Temu, kto będzie w pokoju.

Minęło może dziesięć minut i z pokoju wyszedł mężczyzna, na którego widok cały zdrtwiałem. To był Igor Litwak. Twarz miał zmienioną nie do poznania. Chyba się spóźniłem. Ale z drugiej strony, przyszedłem w samą porę, bo jeśli zaraz mnie wezwą do tego arcyważnego pokoju numer trzydzieści, zdążę wszystko wytłumaczyć, i wtedy detektywi nie będą zadawać kolejnym świadkom pytań, na podstawie których wysnują w pełni uzasadnione przypuszczenie, że zamordowana aktorka miała romans z przewodniczącym jury konkursu.

Dziewczyna weszła do pokoju i niemal natychmiast była z powrotem.

– Niech pan idzie – wycodziła przez zęby.

Doskonale ją rozumiałem. Pewnie siedziała tutaj od samego rana, a teraz zrobiło się już południe. A tu jakiś chłystek włazi bez kolejki...

W pokoju było gorąco i duszno od dymu z papierosów, jakby cała kompania wojska urządziła tu sobie palarnię, ale za biurkiem zobaczyłem tylko sympatycznego młodzieńca. Wyglądał na zmęczonego, wzrok miał przygaszony, jednak jego włosy nie wiedzieć czemu

³ MUR (Moskowskij ugołownyj rozysk) – Moskiewski Wydział Kryminalny (przyp. tłum.).

były idealnie ułożone, jakby niedawno się czesał. Może istotnie po przeczytaniu mojej kartki błyskawicznie doprowadził się do porządku. Jeśli tak było, miałem szczęście: chłopak zachował coś na kształt respektu przed MUR-em.

– Dzień dobry – zagailem uprzejmie. – Nazywam się Stasow.

– Wiem. – Milicjant kiwnął głową. – Ma pan jakiś problem?

– Wybitnie męski. Proszę mi mówić Władisław Nikołajewicz.

– Siergiej Lisicyń – przedstawił się, ściskając moją rękę.

Wyczułem na jego dłoni twarde odciski, które zdradzały dbającego o formę sportowca.

– A więc, Siergieju, przyszedłem w sprawie zabójstwa Olgi Dorienko. Właśnie wyszedł od ciebie Igor Arkadjewicz Litwak. Mówiono ci, że był kochankiem Olgi?

– Nie rozumiem, Władisławie Nikołajewiczu, jaką ma pan do mnie sprawę.

– Mówiłem ci przecież, męską.

– Oficjalną? Oddelegowano pana do nas?

Następny mądrała się znalazł. Autonomia Krymu robi wrażenie, więc wkrótce pewnie tutaj też zechcą wprowadzić własną walutę i ustanowić granice. Republika Kurort. Obłąd.

– Nie, moja sprawa ma charakter nieoficjalny. – Byłem cierpliwy jak pielęgniarz przy łóżku ciężko chorego. – Jestem tu na urlopie, a na festiwalu filmowym pracuje moja żona, która dziś rano poinformowała mnie o zabójstwie Dorienko. Więc przyszedłem do ciebie, Sierioża, jak facet do faceta, żeby wyjaśnić, że Igor Arkadjewicz nigdy nie był kochankiem Olgi, dlatego wszystkie twoje podejrzenia wobec niego są bezpodstawne.

– Skoro Litwak nie był jej kochankiem, to czemu przyszło panu do głowy, że go podejrzewamy? Skąd ten pomysł?

– Żona na to wpadła. Przecież to ona powiedziała wam o Litwaku, prawda? Jako pierwsza i jedyna.

Siergiej w milczeniu otworzył teczkę i zaczął wertować dokumenty. Domyśliłem się, że szuka zeznań świadka Stasowej. Zanim je znajdzie, zdążę się zestarzeć, a Lila wyjdzie za mąż i urodzi mi gromadę wnuków. Ale nie chciałem go ponaglać. Mimo że chłopak był całkiem młody, jakiś szacunek mu się należał.

– Pańska żona nazywa się Stasowa? – zapytał w końcu, nie odrywając oczu od papierów.

– Mieziencewa. Margarita Mieziencewa.

– Więc to taka historia!

Niech to licho porwie, co się tej Ritce nie podobało w moim nazwisku! Zmieniła je na panińskie zaraz po rozwodzie. A teraz tłumacz tu, człowieku, każdemu, co i jak.

Lisicyń znalazł potrzebny dokument, przejrzał go i uśmiechnął się lekko pod nosem.

– To zabawne. Pierwsi świadkowie zgodnie stwierdzili, że pańska żona od dawna była o pana zazdrosna z powodu zamordowanej. A ona, jakby znajdując dla siebie usprawiedliwienie, podsuwa nam Litwaka. Litwak z kolei kategorycznie wszystkiemu zaprzecza. I jak pan to wyjaśni, Władisławie Nikołajewiczu?

Opowiedziałem mu o moim i Olgi oszustwie, podkreślając dziewiczo czystą reputację Igora. Siergiej słuchał z zainteresowaniem, wesoło pochrząkując i kiwając głową. Ale pod koniec mojej pełnej skruchy opowieści raptem spoważniał.

– Dlaczego mam panu wierzyć? Może jest pan przyjacielem Litwaka i okłamuje mnie, żeby go osłonić.

– Może – rzuciłem ze złością. – Niech pan spróbuje przepytających uczestników festiwalu, a jeśli choć jedna osoba słowem wspomni o romansie Olgi i Iwana, może pan mi napluć w twarz. Bo tego romansu nie było, to wytwór fantazji. Usłyszysz pan nazwiska wielu kochanków i wielbicieli Olgi, ale nikt nie wymieni Litwaka, gwarantuję.

Ogarnięty gniewem, nawet nie zauważyłem, kiedy zacząłem się do niego zwracać na „pan”. Nagle twarz Siergieja rozjaśnił szczery i promienny uśmiech, choć oczy dalej miał chmurne i jakieś smutne.

– Dobrze, że pan przyszedł, Władisławie Nikołajewiczu, bo mam już kompletny mętlik w głowie. To pierwszy rok mojej pracy, doświadczenia tyle co kot napłakał, a tu coś takiego... Gwiazda, kandydatka do pierwszej nagrody.

Zamilkł i spojrzał gdzieś za okno. Podążyłem za jego wzrokiem, ale nie zobaczyłem nic ciekawego prócz różowej fasady dużego budynku, przypominającego komitet partii.

– Władisławie Nikołajewiczu, ciężko mi to mówić... Jednym słowem, nasi zwierzchnicy nie tolerują doraźnych współpracowników. Chciałbym się pana poradzić, tym bardziej że dobrze znał pan Dorienko i jej środowisko, ale głowę mi za to urwą. Mamy już jednego doradcę.

– Tego z pokoju numer dwanaście? – odgadłem.

– Zgadza się – odrzekł z uśmiechem Siergiej.

– Więc jakie widzisz wyjście? Udać, że mnie tutaj nie było i że się nie znamy?

– Nie. Włączę pana do sprawy jako świadka i na tej podstawie będziemy mogli się kontaktować bez przeszkód. Tylko będzie pan musiał od czasu do czasu pokazać się w komisariacie. Ma pan cenną informację...

– Nie, Sierioża, ten manewr nie przejdzie. Twój zwierzchnik mnie widział i bardzo nieuprzejmie wyprosił za drzwi. Jeśli podasz mnie na świadka, już jutro znajdę się w pokoju

numer dwanaście i przesłucha mnie urzędujący tam funkcjonariusz, a nie ty. I w ogóle, skąd ci przyszło do głowy, że zamierzam ci pomagać, co? Chyba zapomniałeś, że jestem na urlopie.

W jednej chwili twarz mu się zapadła i stężała. Byłem szorstki, fakt, ale po dziwnej rozmowie z jego szefem nie widziałem powodu, żeby bawić się w dobrego wujka.

– Jeśli przyszedł pan tutaj opowiedzieć o Litwaku, to znaczy, że chciał pan nam pomóc, żebyśmy nie marnowali sił i czasu na tę hipotezę.

– Chciałem pomóc, nie wam, tylko Igorowi. Ma zazdrosną żonę, której ani razu nie zdradził. Jeśli wybuchnie skandal, nigdy się z tego nie podniesie, rozumiesz? To złamie mu życie, jego żonie zresztą też, nie mówiąc już o dzieciach.

– Czyli nie mogę na pana liczyć?

Patrzył na mnie takim wzrokiem, jakim patrzają chore psy wyrzucone na ulicę przez bezlitosnych właścicieli. Nagle pomyślałem, że nie spał całą noc i że w swojej skromnej praktyce nie miał jeszcze do czynienia z taką sprawą jak zabójstwo gwiazdy filmowej Olgi Dorienco, że okropnie się boi zawalić robotę i w związku z tym gwizdże na ambicję. Rzeczywiście potrzebował pomocy. Spędził pół nocy w towarzystwie nieźle wstawionych filmowców i przeraziła go masa plotek, domysłów, brudu i jawnej złości, która się na niego wylała. Kino to osobny świat i żeby pojąć relacje łączące ludzi filmu, trzeba spędzić z nimi przynajmniej rok. Coś mi zaświtało.

– Ile osób pracuje nad tą sprawą?

– Ci, którzy są do dyspozycji. Ale że jesteśmy zawalieni robotą i na nic nie starcza czasu, każdy będzie pomagał w miarę możliwości.

– A czy w ogóle ktoś został przydzielony do sprawy? Czy może puszczacie wszystko na żywioł?

– Obawiam się, że tak. Ale są trzy osoby.

– Kto jeszcze oprócz ciebie?

– Pasza Jakowczik i Walentin Iwanowicz Kuźmin. Przesłuchują teraz gości hotelowych.

– Pasza jest chyba młody, a Kuźmin ma pewnie więcej doświadczenia – mruknąłem.

– Walentin Iwanowicz jest moim prowadzącym – oznajmił Siergiej z westchnieniem. – Ma ponad dwudziestopięcioletni staż.

– Co tak ciężko wzdychasz? Prowadzący nie ułatwia ci życia?

Popatrzył na mnie wzrokiem skrzywdzonego psa, a ja nabrałem ochoty, żeby pogłaskać go po głowie i podrapać za uchem.

– Odkąd zaczął pić, do niczego już nie ma głowy.

– No tak. Czyli niewielki z niego pożytek. A Pasza? Jakim jest człowiekiem?

– To dobry chłopak, ale kończy mu się kontrakt. Kiedy zaczynał naukę w szkole milicyjnej, podpisał kontrakt na pięć lat. Od tego czasu minęły cztery lata z hakiem. Nawet upatrzył już sobie posadę, będzie szefem ochrony w jakimś banku. Jemu też nie zależy na zaszczytach.

– A tobie zależy?

– Nie nadaję się do pracy dla pieniędzy. Zostanę tutaj, póki mnie nie wyrzucą.

No cóż, chłopcze, szczęście ci nie dopisało, pomyślałem ze współczuciem. Z dwóch prowadzących jeden to podstarzały pijak, a drugi czeka na koniec stażu. Za niewyjaśnione zabójstwo z milicji ich nie wywała, a podziękowań na odchodne nie potrzebują. Krótko mówiąc, sam będziesz musiał wypruć sobie żyły, żeby znaleźć zabójcę.

– A jak tam śledczy? – spytałem z ciekawości.

– W porządku. – W głosie Lisicyna dało się słyszeć jakieś wahanie. – Nie znam go dobrze.

Spojrzałem na zegarek. Lila już ponad godzinę siedzi na ławce, czekając na zajmującego się swoimi sprawami tatusia. Mogłem oczywiście dać sobie rękę uciąć, że nigdzie sama nie pójdzie z jakimś obcym wujaszkiem, dobrze ją przeszkoliłem w tym zakresie. Mimo to gryzły mnie ojcowskie wyrzuty sumienia!

– Zrobimy tak, Siergieju – powiedziałem, wstając. – Ulica Pierwszego Maja, dom numer osiem. Przed dziesiątą rano i po szóstej wieczorem. Jeśli będziesz potrzebował rady, zapraszam.

Tak jak się spodziewałem, Lila siedziała bez ruchu, pogrążona w lekturze. Już z daleka było widać, że to wcale nie *Muminki*. Nie była to też Barbara Cartland, którą rozpoznawałem na odległość po kieszonkowym formacie i czerwono-żółto-zielonej okładce. Książka, którą Lila trzymała w rękach, była zwykłej wielkości, w dodatku bardzo gruba. Podszedłszy bliżej, odczytałem tytuł *Ukradzione sny* i przyjrzałem się rysunkowi, który przedstawiał zgrabną blondynkę z papierosem w ręku. Kolejne miłosne czytadło.

– Co czytasz? – spytałem, siadając obok i wyjmując jej książkę z rąk. – Znowu jakiś romans? Skąd wzięłaś pieniądze?

– Zostało mi trochę, wczoraj nie wszystko wydałam. – Lila wyraźnie unikała mego wzroku.

To by znaczyło, że ani wczoraj, ani przedwczoraj, ani trzy dni temu nie kupiła sobie lodów za pieniądze, o które uparcie prosiła dwa razy dziennie. Co za spryciara! Zaciskając w

małej piąstce pięciotysięczny banknot, szła do kiosku, a po piętnastu minutach wracała i mówiła, że było smaczne. Gdzie chowała pieniądze? Pewnie do książek, z którymi nie rozstawała się ani na minutę, nawet kiedy chodziła „po lody”. Posiedzę na ławce, poczytam sobie i zjem lody – zapewniała. – Bo zanim je doniosę, zdążą się rozplynać. Miała w tym interes, a ja, detektyw od siedmiu boleści, nawet nie podejrzewałem, że moja własna ośmioletnia córka oszukuje mnie z taką łatwością i wdziękiem.

Obejrzałem grubą książkę w błękitnej oprawie i zauważyłem napisaną z tyłu długopisem cenę – piętnaście tysięcy. Ostatecznie trzy porcje lodów, które można było kupić za piętnaście tysięcy rubli, dostarczały dziecku przyjemności równo na pół godziny, a delectować się pięćsetstronicową powieścią o miłości będzie co najmniej trzy dni. Opłacało się. Trzeba tylko sprawdzić, czy nie ma tam jakichś scen porno.

Otworzyłem książkę na stronie z reklamującą ją notką i okropnie się zdziwiłem.

– Lila, przecież to kryminał! Nie romans!

– Wiem, tato – odparła ze skruchą. – Byłam ciekawa.

– Masz jeszcze czas na kryminały – oświadczyłem autorytatywnie. – Nic z nich nie zrozumiesz.

– Nieprawda, przeczytałam już dwadzieścia stron i wszystko rozumiem. Możesz sprawdzić. Chcesz, to ci opowiem?

– Innym razem – odburknąłem. – Mam dosyć kryminalnych historii w pracy. Chodźmy na obiad.

Rozdział 2

Kiedy Rita nie pojawiła się przed szóstą na plaży, zrozumiałem, że coś ją zatrzymało i nie ma sensu dłużej czekać.

– Zbieraj się, kotku – powiedziałem do Lili, wciągając dzinsy i pakując do dużej torby nasze manatki.

– A mama? – zapytała, podnosząc głowę znad *Ukradzionych snów*. Jej duże ciemnoszare oczy spoglądały z urazą i zdziwieniem.

– Liliuś, słyszałaś przecież, co mama opowiadała rano. W hotelu zdarzyło się zabójstwo i teraz pracuje tam milicja. Może poproszono mamę, żeby nigdzie nie wychodziła.

– A co, jest podejrzana?

Masz ci los. Pierwszy raz w życiu dziecko wzięło do rąk kryminał, i oto są rezultaty.

– Ależ skąd, słoneczko, mama dobrze znała tę panią, która zginęła i pewnie poproszono ją, żeby o niej opowiedziała.

Lila kiwnęła głową bez słowa i zaczęła się ubierać. Chyba moje wyjaśnienie trafiło jej do przekonania.

Po drodze do domu wstąpiliśmy do sklepu, żeby kupić coś na kolację. Nasi gospodarze pozwalali nam korzystać z kuchni, co oznaczało, że mogliśmy brać dwa talerze, dwa widelce, nóż, garnek albo patelnię, włączać kuchenkę i odkręcać kran. Nie mieliśmy za to gdzie przechowywać kupionych produktów, bo lodówka, jak to często bywa w domach, w których wynajmuje się pokoje, stała u gospodarzy. Nie było co marzyć, żeby tam wejść. Dlatego żywność, która łatwo się psuła, kupowaliśmy w mikroskopijnych ilościach, to znaczy dokładnie tyle, ile można było zjeść na raz.

– Co weźmiemy? – zapytałem demokratycznie Lilę. – Parówki drobiowe, wędzone czy holenderskie?

– Wędzone – odparła bez zastanowienia, wbijając łakomy wzrok w ladę z wędlinami.

– A co do tego? Ugotujemy ziemniaki czy makaron? Może kupimy kaszę, będzie raz-dwa.

– Wszystko jedno, tato, sam zdecyduj.

Jeśli chodzi o mnie, najlepsze byłyby frytki z chrupiącą złotą skórką i kapusta kwaszona. Do wyboru miałem jednak gotowane ziemniaki, makaron i kaszę, a na Lilę w tej palącej kwestii nie mogłem liczyć. Kiedy moja córka widziała wędzoną kiełbasę, świat przestawał dla niej istnieć. W takim momencie gotowa była przystać na każdą egzekucję, nie

wykluczając połknięcia sondy żołądkowej, mogła też obiecać, że nie będzie czytała na leżąco i podczas jedzenia. Nie wiem, dlaczego Rita ograniczała jej to, co dziewczynka lubiała najbardziej na świecie (nie licząc naturalnie książek); moim zdaniem, trochę kielbasy małej nie zaszkodzi. Ale Rita to Rita, nikomu nie raczy się tłumaczyć ze swoich czynów i ocen. Dla dziecka to niezdrowe – i koniec. Tak więc jeśli się w czymś nie zgadzam z matką Lili, robię to po swojemu, ale dyskretnie. Szkoda tylko, że do tych potajemnych działań włącza się sama Lila.

Kupiliśmy pięć wędzonych parówek, śmietaną, pokrojoną w cienkie plasterki kielbasę priebrańską i powlekliśmy się w stronę malutkiego bazaru, na którym wybrałem osiem średnich ziemniaków, trzy pomidory, cztery ogórki i jedną cebulę. Sprzedawcy krzywili się i burczeli pod nosem, ważenie takich śmiesznych ilości warzyw stanowiło dla nich tylko kłopot, ale ja, zachowując kamienną twarz, udawałem, że ich grymasy nic mnie nie obchodzą. Niech sobie marudzą, i tak będę kupował tyle, ile potrzeba na kolację, w przeciwnym razie wszystko spleśnieje w tym potwornym upale, na dodatek bez lodówki. Poza tym niedojezione produkty musielibyśmy trzymać w naszym pokoju, a rano krążyłoby już nad nimi stadko ohydnych małych muszek. O nie, tylko nie to.

Dzisiaj nie miałem szczęścia, obok właścicielki, Wiery Iljiczny, w kuchni kręciły się dwie damulki z Petersburga, które też wynajmowały tu pokój. Moje pojawienie się nie wywołało entuzjazmu, kuchnia była raczej ciasna. No cóż, postanowiłem, że nic się nie stanie, jeśli zjemy kolację trochę później, szybko się wycofałem i poszedłem na górę do swojej klitki.

– Jesteś bardzo głodna? – zapytałem troskliwie Lile, która już się położyła i zapomniała o całym bożym świecie, zatopiona po uszy w swojej powieści.

– Jeszcze nie – odpowiedziała odruchowo, nie odwracając głowy.

Dom państwa Wiszniakowów był bardzo mały, ale piętrowy. Na dole znajdowały się dwa pokoje właścicieli, na piętrze – kolejne dwa, które latem wynajmowano za ciężkie pieniądze. Pokoje gospodarzy były o wiele większe, bo zajmowały cały parter, podczas gdy na piętrze pomieszczenia mieszkalne otaczało coś w rodzaju galerii, werandy czy balkonu. Domyśliłem się, że dom został zbudowany w czasach, gdy wczasowicze mogli mieszkać tylko w kwaterach prywatnych, hotele były dla nich niedostępne, a wypoczywać mogli tylko tutaj, nad Morzem Czarnym – nikt wtedy nie słyszał o kurortach w Turcji, Grecji, Hiszpanii czy we Włoszech. Każdy metr kwadratowy z łóżkiem cieszył się niesłychanym powodzeniem. Dzielenie piętra na trzy albo cztery pokoje okazało się niepraktyczne, bo pokoiki wychodziły maciupeńkie, a w każdym trzeba było ustawić przynajmniej dwa łóżka,

szafkę nocną i dwa krzesła. Żeby ograniczyć wydatki na meble, przygotowano dwa pokoje, oba tak samo skąpo umeblowane, a dla chętnych rozkładano łóżka na balkonie. Choć inne sprzęty się tam nie mieściły, bladzi i przemęczeni mieszkańcy miast byli szczęśliwi, że mają miejsce do spania, przecież i tak cały dzień spędzali nad morzem.

Czekając, aż kuchnia się zwolni, wyniosłem krzesło na porośniętą dzikim winem galerię, usiadłem, kładąc nogi na poręczy, zapaliłem z przyjemnością papierosa i pograżyłem się w smutnych rozmyślaniach na temat morderstwa Oli Dorienco. Wkrótce rozważania stały się wielce nieprzyjemne, bo do mojej duszy zaczęło zakradać się podejrzenie, czy przypadkiem nie jest w to zamieszana Margarita Mieziencewa. Właściwie nie powinna już być zazdrosna: po pierwsze, historia z Litwakiem całkiem ją uspokoiła, po drugie, wzięliśmy jednak rozwód. Ale Rita przy wszystkich swoich wadach nigdy nie była naiwna. Mogła się skądś dowiedzieć, że romans z Garikiem to wierutne kłamstwo, a skoro kłamstwo, to znaczy, że chcieliśmy z Olgą ukryć przed nią prawdę. I ta prawda mogła się Ricie nie za bardzo spodobać. Zwłaszcza, że rzeczywiście co roku jeździła na wszystkie festiwale w nadmorskich uzdrowiskach i za każdym razem prosiła mnie, abym przyjechał do niej z Lilą, a ja zawsze odmawiałem. W tym roku spełniłem jej prośbę tylko dlatego, że przepracowałem w milicji wymagane dwadzieścia lat i zamierzałem przejść na emeryturę, w związku z czym zaproponowano mi, żebym wykorzystał cały urlop, nie tylko tegoroczny, ale również zaległy z poprzednich lat. Od razu po powrocie do Moskwy miałem się stawić na komisji lekarskiej, by potem otrzymać stosowne dokumenty, dzięki którym miałem stać się wolny jak ptak. Albo pierwszy lepszy włóczęga. Moje argumenty mogły jednak nie przekonać Rity. Odkrywszy kłamstwo, doszła pewnie do wniosku, że nadal flirtuję z Olą, że przyjechałem tutaj wyłącznie dla niej, i dawno temu wygasła zazdrość obudziła się na nowo. W tych okolicznościach mogła równie dobrze pomyśleć, że rozwiodłem się z nią też z powodu Oli. Popęłnić morderstwo, zwalić podejrzenia na niczego nie podejrzewającego, niewinnego Igora Litwaka, szukać przy tym pocieszenia i wsparcia u byłego męża, który ściga przestępców, a jej nie da skrzywdzić... To perfidne, podłe, ale zupełnie w stylu Margarity Mieziencewej.

– Władik, czemu pan wyszedł? – dobiegł mnie głos jednej z lokatorek.

Spojrzałem w dół i zobaczyłem sympatyczną czarnulkę Irę, która od pierwszego dnia robiła do mnie słodkie oczy i próbowała zaprzyjaźnić się z Lilą.

– Nie chcę się plątać pod nogami – odparłem. – Poczekam, aż skończycie, nie śpieszy mi się.

– Ale dziecko jest przecież głodne – obruszyła się Ira. – Proszę zejść, my z Tatianą już wszystko zrobiliśmy i ustępujemy panu pola.

Wziąłem z pokoju dwie reklamówki z zakupami i zszedłem do przybudówki, gdzie mieściła się kuchnia.

– Władik, prosimy do nas – zaproponowała gościnnie Ira, ustawiając na dużym zadaszonym stole talerze z apetycznie pachnącymi potrawami.

Zawsze fascynowała mnie w kobietach ich umiejętność przygotowywania wymyślnych dań w warunkach polowych, bez lodówki. Wyglądało na to, że Irocza była panną wielce gospodarną, skoro tak się starała nie dla ukochanego męża, lecz dla siebie.

Jej przyjaciółka Tatiana była zupełnym przeciwieństwem czarnowłosej, smagłej Iry. Korpulentna blondynka, której ciało wylewało się ze stroju kąpielowego jak ciasto z dzieży, nie tylko nie próbowała rzucać w moją stronę zalotnych spojrzeń, ale chyba w ogóle mnie nie zauważała. Ale za to bardzo się zaprzyjaźniła z Lilą. Najdziwniejsze było to, że Lilę coś do niej ciągnęło i wieczorami długo o czymś rozmawiały. W dodatku odnosiłem wrażenie, że Tania traktuje dziewczynkę jak biedną sierotkę, bo ani razu nie zrobiła czegoś, co potwierdziłoby, że wie, iż Lila ma ojca, co więcej, że ten ojciec śpi za ścianą w sąsiednim pokoju, mówi codziennie rano dzień dobry, gotuje w kuchni wodę na kawę, i w ogóle to właśnie on, metr dziewięćdziesiąt wzrostu, włosy ciemnobłond, oczy zielone. Irocza strzelała do mnie oczkami tak znacząco, że nie chciało mi się wierzyć, iż nie plotkowała o mnie z przyjaciółką. Tym niemniej...

Od zaproszenia na wspólny posiłek grzecznie się wymówiłem, obrałem swoje osiem ziemniaków, postawiłem garnek na kuchence, wrzuciwszy do niego porządny kawałek masła, żeby się szybciej gotowało, i zabrałem się do przyrządzenia sałatki z pomidorów, cebuli, ogórków i śmietany. W głębi duszy miałem nadzieję, że zanim moja kolacja będzie gotowa, stół się zwolni. Był ogromny, mieściło się przy nim swobodnie z dziesięć osób. Takie zadane stoły przed domami są na południu bardzo popularne, wieczorami zbierają się przy nich duże rodziny gospodarzy, czasem w spotkaniach biorą udział urlopowicze. Miejsca wystarcza dla wszystkich, i nie chodzi o to, że bałem się ciasnoty przy stole. Nie chciałem po prostu nic zmieniać w moich oficjalnych relacjach z kobietami, poza tym nie byłem w nastroju do prowadzenia banalnej rozmowy.

Moje nadzieje okazały się płonne. Kolacja była gotowa, a Ira z Tanią siedziały wciąż przy stole, i leniwie dłubiąc widelcami w talerzach, prowadziły niespieszną rozmowę. Nie było wyjścia, wypadało przyłączyć się do towarzystwa.

Tatiana nadal mnie nie dostrzegała, ale kiedy przyszła Lila, od razu wybuchła ożywiona dyskusja, więc pomyślałem, że skoro nie udało się zjeść kolacji w spokoju i samotności, to chociaż się dowiem, co mogą mieć ze sobą wspólnego te dwie żeńskie istoty.

– Zaczęłam dzisiaj nową książkę – oznajmiła Lila, zręcznie operując nożem i widelcem i zmiatając z talerza parówki. – Nazywa się *Ukradzione sny*.

Nastrój przy stole gwałtownie się zmienił. Panie zrobiły miny, jakby miały pełno wody w ustach i bały się poruszyć, żeby nie uronić ani kropli.

– I jak? Podoba ci się? – spytała Ira jakimś dziwnym głosem, odkładając widelec.

– Super! – zawołała z pełnymi ustami moja zachwycona córka. – Zupełnie jak w życiu.

– Co masz na myśli? – Głos Iry zabrzmiał jeszcze dziwniej.

Pytania Iroczi obudziły moją czujność, bo jakoś nie mogłem pojąć, co takiego szczególnego zobaczyły petersburżanki w tym, że Lila czyta kryminał.

– Główna bohaterka przyjechała na urlop do sanatorium, a tam akurat zdarzyło się morderstwo, i wtedy ona, bo pracowała w milicji, zaproponowała miejscowym glinom pomoc, a oni ją odrzucili, i wtedy ona się obrażała.

– Kto się obraził, milicja czy pomoc? – zapytałem z przekąsem i pomyślałem, że w wolnym czasie trzeba będzie podszkolić Lilę w opowiadaniu, żeby nie zapominała używać imion własnych i rzeczowników, i nie mówiła ciągle „ona”, „on”, „ten”.

– Bohaterka się obrażała – rzeczowo wyjaśniła Lila, nie zauważając mojej złośliwości.

– A potem zainteresowała się nią mafia, a dalej jeszcze nie przeczytałam.

Kobiety zaczęły się śmiać jak wariatki. Tatiana jakoś jeszcze nad sobą panowała, ale Ira zsunęła się z ławki na ziemię, wcisnęła twarz w kolana i trzęsła się cała, wydając z siebie jakieś stłumione szlochy. W milczeniu przeczekałem wybuch niezrozumiałej wesołości.

W końcu panie się uspokoiły. Tatiana otarła oczy chusteczką, a Ira znowu usiadła na ławce.

– Przepraszamy, Władik – powiedziała, z trudem łapiąc oddech. – Pewnie pan myśli, że jesteśmy stuknięte. Chodzi o to, że książkę *Ukradzione sny* napisała Tania.

– Co takiego?!

Zaskoczony, machnąłem ręką, i kawałek wspaniałej wędzonej parówki zeskoczył z widelca i upadł na ziemię. Tłusty kot gospodarzy od razu zanurkował pod stół. Aż do tej pory kocur siedział cierpliwie koło nas i patrzył z wyrzutem na zastawiony stół, nie mogąc się doczekać, kiedy wreszcie w którymś z gości obudzi się sumienie.

– To prawda, Władik. Tanieczka pisze książki, które nawiasem mówiąc, są chętnie wydawane. Jest bardzo znana w Petersburgu. Tatiana Tomilina.

Milczałem oszołomiony. Ta gruba krowa o świńskich oczkach jest znaną pisarką, autorką kryminałów? Ile ma lat? Dwadzieścia pięć? Trzydzieści? Na pewno nie więcej.

Tu Lila po raz kolejny wykazała się błyskotliwością. Dzieci nigdy niczemu się nie dziwią, bo ich doświadczenie życiowe jest jeszcze tak niewielkie, że po prostu nie wiedzą, co jest normalne, a co nie, co się zdarza często, a co rzadko. Mając trzydzieści osiem lat na karku, byłem pewien, że po pierwsze, pisarka, która pisze kryminały, nie może wyglądać tak jak Tatiana, a po drugie, że pisarze, którzy publikują takie grube książki, nie wynajmują ciasnych klitek bez łazienki i gorącej wody. Ale Lila nie mogła, rzecz jasna, tak sądzić, bezkrytycznie we wszystko wierzyła. Toteż jej kolejna uwaga nie zawierała ani krztyny zdziwienia, była konkretna i zwyczajna.

– Ciociu Taniu, tylko proszę mi nie opowiadać, jaki będzie koniec, bo co za sens czytać wtedy dalej.

I roczkę opanował nowy atak śmiechu. Tatiana tym razem tylko lekko się uśmiechnęła i popatrzyła na mnie ze skruchą. Nagle cały zdrętwiałem. O czym myślało moje dziecko, kiedy powiedziało, że w powieści „wszystko jest jak w życiu”? Bohaterka przyjechała na urlop, w sanatorium zdarzyło się morderstwo, ona zaproponowała swoją pomoc milicjantom, oni jej odmówili. Ja też przyjechałem na urlop, w gronie moich znajomych popełniono morderstwo, ja także chodziłem na komisariat, wprawdzie nie proponowałem pomocy, ale zawsze. Mnie też wyrzucono, choć nie z każdego pokoju... Boże, ale jak Lila mogła uchwycić podobieństwo? A może miała co innego na myśli? Będę musiał przeczytać te *Ukradzione sny*.

– Lila, a ty wiedziałaś, że ciocia Tania pisze książki? – zapytałem podejrzliwie.

– Oczywiście – przytaknęła, pałaszując kolejną parówkę. – Od pierwszego dnia. Ciocia Tania pisze teraz nowe opowiadanie, jest tam chłopiec w moim wieku, i ona ciągle mnie pyta, co się przerabia w szkole, w jakie gry.

– Dlaczego nic mi o tym nie mówiłaś? – rzuciłem cierpko.

– Bo nie pytałeś.

Masz babo placek. Należało ci się, Stasow, to efekt beztroskiego podejścia do obowiązków ojcowskich. Zapamiętaj wreszcie, że twoje dziecko z własnej inicjatywy nic ci nie powie, musisz je o wszystko drobiazgowo wypytywać.

– Ma pan wspaniałą córkę. – Tatiana pierwszy raz zwróciła się do mnie, i ze zdziwieniem stwierdziłem, że ma przyjemny głos – niski, dźwięczny, bez najmniejszych oznak chrypki, jak to się zdarza u palaczy. – Mała bardzo mi pomaga. Widzi pan, sama nie mam dzieci, więc nie znam się specjalnie na szkolnych sprawach. A Lila opowiada wiele interesujących rzeczy.

– Byłoby lepiej, gdyby mnie też opowiadała – mruknąłem pod nosem, zdając sobie sprawę, że jestem szorstki i nieuprzejmy. Nie miałem jednak ochoty udawać zachwyty.

– Smacznego! – dobiegł nas czyjś głos przy furcie.

Odwrociłem głowę i zobaczyłem zmierzającego w naszą stronę Siergieja Lisicyna. Irocza obrzuciła gościa wszystkowiedzącym spojrzeniem i uśmiechnęła się czarująco. Widocznie sportowa sylwetka i świetnie ostrzyżone włosy nie uszły jej bystremu oku, mimo że na dworze zrobiło się już ciemno, a gospodarze nie włączyli jeszcze światła na werandzie.

– Proszę siadać – zaprosiła Siergieja. – Zje pan z nami?

Ciekawe, czyją kolacją zamierzała częstować mojego gościa. Swoim arcydziełem kulinarnym czy moimi nędznymi parówkami z ziemniakami?

Siergiej podziękował uprzejmie i powiedział, że chętnie tylko napije się herbaty. Muszę przyznać, że się trochę pogubiłem. Czyżby chłopak nie miał nic lepszego do roboty, niż siedzieć tutaj i bawić towarzystwo? A może chce omówić z paniami morderstwo Oli Dorienco? Dziwny facet.

Postanowiłem przejąć inicjatywę.

– Najadłaś się? – surowo zapytałem Lilę.

– Tak, dziękuję, tato – odparła grzecznie.

– No to marsz na górę, możesz skończyć swoje *Ukradzione sny*.

– A ciocia Tania? Obiecałam jej opowiedzieć o grze w lochy.

– Chodźmy, Liliuś. – Tatiana przyszła mi z pomocą. – Nasza rozmowa nikogo nie zainteresuje, a i my nie potrzebujemy publiczności, prawda?

Ciężko podniosła się z ławki i wyciągnęła do Lili pulchną rękę, którą dziewczynka natychmiast chwyciła, a ja poczułem w tym momencie bolesne ukłucie ojcowskiej zazdrości. Sprawa była częściowo załatwiona, pozostało tylko pozbyć się Iroczi, która najwyraźniej nie zamierzała nas opuszczać. Dokąd miała iść, skoro przy stole siedzieli dwaj faceci, z którymi można było poplirtować, jeden młodszy, drugi starszy, krótko mówiąc, do wyboru, do koloru.

– Skąd pan pochodzi? – Ira chyba wzięła Siergieja za wczasowicza.

– Jestem tutejszy. A pani skąd przyjechała?

– Z Petersburga. Pije pan mocną herbatę?

– Średnią.

– Cukier?

– Dziękuję, poradzę sobie.

Lisicyn wolno mieszał łyżeczką herbatę w szklance, a ja próbowałem szybko wymyślić, jak zgrabnie uwolnić się od czarnowłosej kokietki.

– Ira! – rozległ się nagle głos z głębi sadu. – Chodź tutaj na chwilę.

Ira posłała Siergiejowi zniewalający uśmiech i poderwała się z miejsca.

– Zaraz wrócę – obiecała i ruszyła do sadu, kołysząc obiecująco biodrami w obcisłych, krótkich džinsowych szortach.

– Przyszedłeś pogadać czy napić się herbaty? – spytałem z rozdrażnieniem.

– Pogadać – odparł Siergiej, upijając duży łyk. – One nie wiedzą, kim pan jest?

– Pierwszy raz siedzę z nimi przy stole. Ruszajmy stąd, zanim Ira wróci.

– Jest bardzo ładna – stwierdził w zamyśleniu Siergiej, wstając.

Wyszliśmy pośpiesznie na długą, ciemną ulicę i zaczęliśmy się przechadzać tam i z powrotem.

Siergiej poinformował mnie, że wśród uczestników festiwalu znajduje się co najmniej czterech dawnych kochanków Olgi i jeden, by tak rzec, aktualny. Hipoteza zabójstwa z zazdrości wysuwała się zatem na pierwszy plan. Na drugim miejscu znalazło się podejrzenie, że morderstwa dokonano z chęci zysku.

– Widzi pan, Władisławie Nikołajewiczu, wokół nagród rozpętała się prawdziwa burza. Dotychczas pierwsze miejsce było tylko pierwszym miejscem i nie dawało żadnych profitów prócz sławy i szacunku. A teraz wręczą się laureatom grube koperty z twardą walutą. Sponsorzy festiwalu to bardzo bogaci ludzie, więc nagrody też są wysokie. Najlepsza rola kobieca została na przykład wyceniona na pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Nominację otrzymała sześć aktorek, Dorienko była kandydatką numer jeden. Jej śmierć powoduje, że nagroda przechodzi na inną aktorkę. Rozumie pan? Sęk w tym, że jeżeli w konkursie uczestniczy film, to w przypadku nieobecności reżysera nagrodę może otrzymać scenarzysta, producent, operator, dowolny aktor, ktokolwiek. Musi to być tylko członek ekipy filmowej, która pracowała nad obrazem. A na tym festiwalu w konkursie nie biorą udziału filmy, lecz konkretne osoby, które nagradzane są za reżyserię, najlepszą rolę pierwszo – i drugoplanową, za pracę operatorską albo muzykę. Aktorka, która według jury powinna dostać nagrodę, nie żyje. Otrzyma ją więc kolejna osoba z listy.

– A kto jest następny po Dorienko?

– Ludmiła Dowżuk. Była jej współlokatorką.

– Ta, która ją znalazła?

– No właśnie, Władisławie Nikołajewiczu. Nikt nie zwróciłby uwagi, gdyby zobaczył Dowżuk na piętnastym piętrze, bo tam mieszkała. Nikt by się nie zdziwił, widząc, jak wchodzi do swego pokoju. A pan ją zna?

– Z widzenia. Prawie nic o niej nie wiem.

– Szkoda. – Siergiejowi zrzęda mina. – Dzisiaj się dowiedziałem, że koło tej Dowżuk kręcą się ciągle jakieś ciemne typy. Pomyślałem, że może pan mi coś ciekawego podpowie.

Podpowiedzieć, niestety, niczego nie mogłem, ale słuchy o niewybrednych znajomościach Lusi docierały do mnie głównie dzięki Ricie, która uwielbiała obgadywać innych. Sygnały dochodziły też drogą służbową. Na przykład rok temu zatrzymaliśmy pewnego szantażystę akurat w chwili, gdy wychodził z Lusią z restauracji. A kilka miesięcy temu właściciel rozbitej przez nas spelunki oświadczył urażony, że jego trawka zawsze była najczystsza i że przyzwoici ludzie zaopatrują się tylko u niego. Wśród tych „przyzwoitych” ludzi znajdowała się również Lusja Dowżuk. Jeśli okazałoby się, że jest narkomanką, to pieniądze, a szczególnie taka suma jak pięćdziesiąt tysięcy dolarów, byłyby dla niej jak znalazł. Narkomani potrafią zabić dla znacznie mniejszej kasy.

– A gdzie jest nóż, którym zabito Olgę? – zapytałem.

– Oddany do ekspertyzy. Ale ktoś wytarł rękojeść i nie ma na niej żadnych odcisków.

– Mam jeszcze jedno pytanie. Jak można wejść do hotelu?

– To bardzo proste. Przy drzwiach stoi portier, są też chłopcy z ochrony, ale właściwie nie wiadomo po co. Praktycznie każdy uczestnik festiwalu gości teraz u siebie jakichś znajomych albo krewnych. Przyprawdzają ich oczywiście na wieczorne balangi. Nie brakuje też prostytutek. W hotelu jest jedno główne wejście, z ulicy, i kilka bocznych, które prowadzą do ogrodu. Klienci restauracji stale się tam kręcą. Jak ochroniarz miałby pamiętać, kto wychodził, a kto wchodził? Idzie sobie parka, obejmuje się, w rękach kieliszki, jakby wyszli tylko na chwilę, żeby się poprzytulać, a teraz wracają.

– Wygląda na to, że morderca wcale nie musiał mieszkać w hotelu – zauważyłem ponuro. – Kiepska sprawa. We dwóch jej nie pociągniemy. Potrzebujemy wsparcia.

Siergiej zatrzymał się i z uporem pochylił głowę.

– Nie mam zwyczaju poddawać się przed czasem.

– Sportowiec? – rzuciłem z uśmiechem.

– Co z tego? Uprawianie sportu umacnia wiarę w cuda. Książka słabego pisarza nigdy nie zajmie pierwszego miejsca w konkursie literackim, jeżeli uczestniczą w nim dobrzy autorzy, a jury jest uczciwe i nieprzekupne. Słaby sportowiec może natomiast doświadczyć cudu, będzie na zawodach pierwszy, bo jeden rywal złamie nogę, drugi zostanie zdyskwalifikowany za doping, a trzeciego w najważniejszym momencie rozboli brzuch. Inna sprawa, że ów szczęściarz nie ustanowi rekordu, ale pierwsze miejsce będzie miał zaklepane. Proszę sobie przypomnieć, jak Karpow został mistrzem świata.

– I takie zwycięstwo by cię zadowoliło? – Nie mogłem ukryć rozczarowania.

– Oczywiście, że nie. – Na twarzy Siergieja pojawił się uśmiech. – Ale jest jeszcze coś. Słyszał pan, ile się mówi o nieznanym i niewykorzystanym potencjale organizmu ludzkiego?

O tym, że w chwili śmiertelnego zagrożenia wyzwala się w ludziach taka siła fizyczna, której nie sposób sobie wyobrazić? Człowiek jest wtedy w stanie podnieść ogromny ciężar, pobiec z niewiarygodną prędkością, oddać bardzo długi skok. Za każdym razem, wychodząc na boisko, sportowiec ma nadzieję, że stanie się cud i ten tajemniczy mechanizm zadziała, wyzwalając drzemiące w nim możliwości. A pan wierzy w cuda?

– Nie, Sieroża, nie wierzę. Jestem starym, zmęczonym cynikiem, który polega tylko na własnym doświadczeniu. Właśnie ono podpowiada mi, że zabójstwo Dorienco można wyjaśnić, ale potrzeba do tego z dziesięciu solidnych dochodzeniowców tu na miejscu i tyle samo w Moskwie. Twoim zdaniem to realne?

– Wykluczone – odpowiedział Lisicyn z westchnieniem. – To znaczy, że się pan wycofuje?

– Słuchaj, chłopcze – rozgniewałem się nie na żarty. – Nie mieszaj mnie do tego. Jak się dogadaliśmy? Jeśli potrzebujesz rady, przychodzisz do mnie i pytasz, a ja mówię ci to, co wiem. Nie obiecywałem, że będziemy razem pracować nad tą sprawą. Nie życzę sobie zatargów z twoimi szefami, swoich mam dosyć.

– Czego, szefów?

– Zatargów też. Powiedz mi lepiej jeszcze raz, co robiła Olga wczoraj wieczorem.

– O dwudziestej pierwszej zaczęła się konferencja prasowa zorganizowana w związku z filmem *Markietanka*, Dorienco spóźniła się dwadzieścia minut, potem całą konferencję spędziła na scenie razem z ekipą, odpowiadała na pytania dziennikarzy. Po konferencji, o dwudziestej drugiej trzydziści, wszyscy poszli do restauracji. Dorienco siedziała przy stoliku z Wiktorem Babajanem. Bez przerwy przyłączały się do nich różne osoby, ale Babajan nie zmieniał miejsca. Olga dużo piła, kilka razy wychodziła na świeże powietrze, raz z Wiktorem, a raz sama. Po kolejnym takim wyjściu nie wróciła do stolika, ale Babajan nie zauważył jej nieobecności, bo do tego czasu sam zdążył się wstawić i parę razy wypuszczał się do ogrodu z jakąś laseczką. Na razie jej nie znaleźliśmy, jako że sam Babajan niezbyt dobrze ją pamięta. I to właściwie wszystko.

– A co mówi Babajan? O czym rozmawiali z Olgą przy stoliku?

– Nie przypomina sobie nic szczególnego. Mówili o tym, kto z członków jury bierze łapówki, kto z kim śpi i czy mają szansę na nagrodę. Zwykła pogawędka.

Coś mnie w tym opowiadaniu zainteresowało. Olga spóźniła się na konferencję dwadzieścia minut. Tylko osoba, która zupełnie jej nie znała, mogła nie zwrócić na to uwagi. Tak, Ola przejawiała niekiedy skrajną lekkomyślność, nie potrafiła zatrzymać przy sobie kochanków, ale jeśli chodzi o sprawy zawodowe, była systematyczna i obowiązkowa. Nigdy

nigdzie się nie spóźniała i nawet, tak mi się wydaje, nigdy się nagle nie rozchorowała. Reżyserzy lubili z nią pracować, bo Oli Dorienko można było ślepo zaufać, nie dostawała ataków hysterii na planie zdjęciowym, nie zapomniała tekstu i na nic się nie skarżyła. Dlaczego więc wczoraj się spóźniła? I w dodatku całe dwadzieścia minut?

– Porozmawiaj z Ludmiłą Dowżuk. Dowiedz się, co Dorienko robiła wczoraj minuta po minucie, dokąd wychodziła, z kim rozmawiała. Nie mogła spóźnić się tak po prostu, ni z tego, ni z owego. Jeśli się okaże, że z tej mąki chleba nie będzie, upieczesz przy tym ogniu inną pieczeń: nawiądziesz znajomość z Lusią. Wówczas nie przestraszy się, gdy zaczniesz dopytywać się o jej kontakty z typami spod ciemnej gwiazdy. Tylko nie zapomnij, że Lusia uwielbia takich przystojnych brunetów jak ty i ma nieprzyjemny zwyczaj łapania swoich adoratorów za słowo i stawiania ich pod ścianą. Nie dawaj jej czasem do zrozumienia, że ci się podoba, nawet przez czystą uprzejmość, bo nim się spostrzeżesz, wylądujesz z Dowżuk w łóżku i nie będziesz potem wiedział, jak się wykręcić. Nasza Ludmiła potrafi się przyczepić jak rzep do psiego ogona.

– Dziękuję, Władisławie Nikołajewiczu. Proszę powiedzieć, czy przewodniczący jury mógł mieć motyw, żeby pozbyć się najważniejszej aktorki, kandydatki do pierwszej nagrody za najlepszą rolę żeńską?

– A ty w kółko jedno i to samo. Jak długo mam ci jeszcze tłumaczyć? Przewodniczący jury Igor Arkadjewicz Litwak nie ma z Olgą nic wspólnego. Między nimi nic nie było. Zrozumiesz to w końcu? A może mi nie wierzysz?

– Wierzę, Władisławie Nikołajewiczu, ale miałem na myśli co innego. On mnie nie interesuje jako kochanek Olgi, ale jako przewodniczący jury. Może tu jest pies pogrzebany.

– Nie bardzo rozumiem, o co ci chodzi, Sierioża. Coś kręcisz. Dowiedziałeś się czegoś?

– Dotarła do mnie plotka, że Litwakowi proponowano ogromną łapówkę za to, żeby Olga nie dostała tej nagrody.

– Ciekawa historia – powiedziałem przeciągle, zatrzymując się odruchowo. – Ale kto, jeśli nie Olga? Za kogo by płacono takie duże pieniądze?

– No właśnie... Nie wiadomo. Wpadłem na pewien pomysł. Załóżmy, że Litwak zgodził się przyjąć forszę. Ale nic nie mógł zrobić z pozostałymi członkami jury. To znaczy, może udało mu się kogoś przekonać, ale najwyraźniej układ sił przechylił się na korzyść Dorienko. A pieniążki go kuszą! Więc zabija Olgę albo wynajmuje kogoś, żeby to zrobił. Mogło tak być?

Jego rozważania spodobały mi się, były zgrabne i przejrzyste, nieschematyczne. Od razu było widać, że chłopak w dzieciństwie dużo czytał. Ale pomyśleć tak o Igorze... W głowie się nie mieściło. Z jakiegoś powodu uważałem, że o tym, czy facet jest przyzwoity i ma zasady, świadczy jego stosunek do kobiet. Nie mogłem uwierzyć, że Igor, do którego przez dwadzieścia lat nie przykleiła się żadna „romansowa” historia, mógł przyjąć łapówkę, i z tego powodu posunął się aż do morderstwa. Zresztą nasuwało się też inne wytłumaczenie, którego nie mogłem lekceważyć, jeśli chciałem być sprawiedliwy i obiektywny. Skoro Igor nie został, jak to się mówi, złapany za rękę, mogło to dowodzić, że jest niezwykle ostrożny i przewidujący, umie należycie strzec swoich tajemnic. A jeśli tak właśnie było, to historia wymyślona przez Lisicyna jest bardzo prawdopodobna. Tylko jak w takim razie, przy całej rozwadze i ostrożności Litwaka, informacja wydostała się na zewnątrz i dotarła do Siergieja? Coś tu nie gra. Chociaż przeciek mógł oczywiście pochodzić nie od Igora, lecz od osoby wręczającej łapówkę. Dlatego na pytanie Siergieja odpowiedziałem pytaniem:

– Kto ci o tym powiedział?

– Władisławie Nikołajewiczu...

– Wiem, wiem, nie jestem dzieckiem. Chciałbym wiedzieć, na kogo powoływał się twój informator. Na samego Litwaka czy na kogoś innego?

– Nie, o Litwaku nie było mowy. Usłyszałem mniej więcej coś takiego: Próbowano wpłynąć na przewodniczącego jury, żeby nie przyznawał nagrody Dorienko.

– Dobra, pomyślę, co z tym można zrobić. A ty odwiedź Lusię i dobrze ją przeegzaminuj w kwestii wczorajszego dnia. Wypytaj kogo się da, musimy wiedzieć, dlaczego Olga spóźniła się na konferencję prasową. I koniecznie porozmawiaj jeszcze raz z Babajanem. Wieczorem przy luźnej rozmowie ludzie często wspominają miniony dzień.

Rozstaliśmy się koło domu numer osiem. Przy dużym zadaszonym stole siedziała Wiera Iljiczna z mężem Grigorijem Filippowiczem, towarzyszyła im figlarka Irocza. Przed nimi leżał ogromny, pokrojony w plastry arbuz. Wszyscy troje byli tak pochłonięci jedzeniem czerwonego, soczystego miększu, że nie zwracali uwagi na krążące ponad ich głowami muchy. Ani Tatiany, ani Lili nie było widać. Ciekawe, o czym mogły tak długo gawędzić?

– A gdzie pański przyjaciel? – spytała Irocza, kiedy ich mijałem.

– Poszedł do domu. Prosił, żeby podziękować za herbatę.

– Jest bardzo sympatyczny.

– Przekażę mu – obiecałem z uśmiechem. Irocza była w swoim żywiole.

– Proszę nie zapomnieć. Niech nas jeszcze odwiedzi.

Lilę i Tanię znalazłem na balkonie koło naszego pokoju. Wyniosły drugie krzesło i usiadły przy otwartym oknie, żeby światło padało na laptop, który Tatiana trzymała na kolanach. Palce blondynki o obfitych kształtach poruszały się po klawiaturze tak prędko, że aż w oczach migąło. Miękki stukot klawiszy zlewał się w jeden nieprzerwany dźwięk.

– Widzę, że rewolucja techniczna nie ominęła też pisarzy – zażartowałem.

Odniosłem wrażenie, że Tatiana się zmieszała.

– To bardzo wygodne – powiedziała, jakby się usprawiedliwiając. – Jestem taka roztrzepana, że niczego nie mogę znaleźć, zapominam, gdzie co wsadziłam. A tak wszystko mam w jednym miejscu, i łatwo jest szukać.

– A ty, zamiast czytać romanse, nauczyłaś się od cioci Tani, jak się obsługuje komputer – powiedziałem pouczającym tonem, zwracając się do córki.

Lila milczała, patrząc na mnie z wyrzutem swoimi ogromnymi ciemnoszarymi oczami.

– Ona się uczy – odparła za nią Tatiana. – Pomagamy sobie wzajemnie. Lila opowiada mi o szkole, a ja udzielam jej lekcji posługiwania się edytorem tekstu. Córka nie chwaliła się panu?

To był kolejny prztyczek w nos, który od niej dostałem. Rzeczywiście, co wieczór pytałem Lilę, co robiła, a ona krótko odpowiadała: „Rozmawiałam z ciocią Tanią”. Nie wdawałem się w szczegóły, a należało. Od dzisiaj muszę zacząć nadrabiać zaległości.

– Dlaczego nie je pani z Irą arbuza?

– Nie wykonałam jeszcze swojej normy.

– Samodyscyplina?

– Owszem. Inaczej się nie da, w przeciwnym razie nic bym nie napisała. Lubię sobie pospać, powylegiwać się w łóżku.

– A jaka jest pani norma?

– Dziesięć stron dziennie. Trzysta pięćdziesiąt wierszy. Póki nie skończę, nie idę spać.

– Widzisz, Lila – zwróciłem się surowo do córki. – Ciocia Tania musi napisać trzysta pięćdziesiąt wierszy, a ty jej przeszkadzasz i odrywasz ją od pracy. Przez ciebie nie może położyć się spać. Nawet nie poszła na arbuza. A właściwie czemu ty go nie jesz? Przecież lubisz arbuzy.

– Wolę posiedzieć z ciocią Tanią – odezwała się cicho Lila, a jej przepastne oczy napęłniły się łzami.

– Tak nie można, Władisławie – zganiła mnie Tatiana. – Lila wcale mi nie przeszkadza. Siedzi sobie cichutko i patrzy, jak piszę.

– Nie rozprasza to pani?

– Ani trochę. Przyzwyczaiałam się do pracy w czyjejs obecności, osobny gabinet na razie mi nie przysługuje.

– Tanieczko, kim pani jest z zawodu?

Jej imię wyrwało mi się z ust, zanim zdążyłem zdać sobie sprawę, że po raz pierwszy mówię do niej po imieniu, choć to nasza pierwsza rozmowa. I od razu Tanieczka. Zagalopowałeś się, Stasow. Jaka to dla ciebie Tanieczka? Przecież przez kilka dni cię nie zauważała. Ale jej dźwięczny głos urzekał mnie, sprawił, że o wszystkim zapomniałem, obchodziły mnie tylko nasze słowa.

– Jestem prawnikiem.

– A konkretnie?

– Sędzią śledczym.

Sporunowałem Lilę wzrokiem. Ciekawe, czy powiedziała Tatianie, kim jest jej tatuś. Może to tłumaczyło niechęć Tatiany do zawarcia bliższej znajomości z ojcem dziewczynki, której poświęcała tak dużo czasu?

Nagle rzuciło mi się w oczy ich zadziwiające podobieństwo zewnętrzne. Wzrost Lila odziedziczyła po mnie, w wieku ośmiu lat miała już sto pięćdziesiąt dwa centymetry. Kilogramów też jej nie brakowało, bo odkąd zaczęła spędzać wszystkie wieczory na tapczanie z książką, owocami i słodyczami regularnie przybierała na wadze. Wprawdzie włosy Lili były takie jak moje, ciemnoblonde, a Tatiany raczej platynowe, ale ich oczy miały ten sam kolor. Przyszło mi do głowy, że nie dalej jak dwie godziny temu nazwałem Tatianę w myślach „grubą krową o świńskich oczkach”, ale przecież wówczas się śmiała. Konia z rzędem temu, kto pokaże mi osobę, która zanosząc się śmiechem, ma mimo to duże i wyraziste oczy. Niewątpliwie oczy Tatiany były normalnej wielkości, oczywiście nie takie jak Lili, ale przecież nie świńskie. Poza tym widywałem ją tylko rano, kiedy przechadzała się po dworze w kostiumie kąpielowym, a teraz, wieczorem, miała na sobie długą luźną spódnicę i trykotową bluzeczkę z głębokimi wycięciem, i wyglądała w tym stroju wcale, wcale. W każdym razie „krową” już bym jej nie nazwał. A tak w ogóle, przyzwyczaiałem się porównywać wszystkie kobiety do Rity, która miała figurę bez zarzutu, jak modelka na wybiegu. Ale przecież w końcu nawet to nie powstrzymało mnie przed rozwodem. W wieku trzydziestu pięciu lat zrozumiałem, co prawda, z pewnym opóźnieniem, że z modelką idzie się tylko do łóżka, a żyje się z człowiekiem. I jeśli do tego czasu nie znudziło mi się chodzenie do łóżka ze wspaniałym ciałem Rity, to mieszkać w jednym mieszkaniu z jej, oględnie mówiąc, trudnym charakterem dłużej nie mogłem.

A teraz, patrząc na Lilę i Tanię, rozparte wygodnie na krzesłach pod gałęziami dzikiego wina, takie do siebie podobne, nagle uświadomiłem sobie z bólem, że przez wszystkie te lata mojemu dziecku brakowało spokojnego, bliskiego kontaktu z dorosłymi, wspólnych wieczorów, spędzanych na długich, niespiesznych rozmowach, kiedy można podzielić się swoimi problemami, zapytać o radę. Tak nam było na rękę, że nasza córka jest spokojna i samodzielna, nie potrzebuje ciągłej obecności ani troskliwej opieki rodziców, że całkiem zapomnieliśmy zapytać ją, czy to jej się podoba.

Poczułem się zbędny, mimo że Tatiana przerwała pracę i patrzyła na mnie wyczekująco, gotowa do dalszej rozmowy.

– O czym jest pani nowa książka? – spytałem, przewyciężając chęć, aby pójść się położyć, i usiłując jednocześnie być uprzejmym, żeby nie sprawić Lili przykrości.

– O tym mieście. Wie pan, nie lubię pisać o rzeczach, których nie znam, i o miejscach, gdzie nigdy nie byłam. W sumie podróżuję rzadko, niechętnie ruszam się z domu, ale jeśli już gdzieś przyjadę, muszę „popęłnić zbrodnię” w tym miejscu. Skoro jestem tutaj na urlopie, nie mogę tego nie wykorzystać.

– I co pani wyobraźnia zamierza tu stworzyć? Porachunki mafijne podczas wojny o nadmorski teren pod budowę luksusowego pensjonatu?

– Niezła myśl. – Tatiana się ożywiła. – Jakoś nie przyszło mi to do głowy. Nie, mam o wiele prostszy pomysł. Wie pan zapewne, że teraz odbywa się tu festiwal filmowy, właśnie na nim chcę oprzeć fabułę powieści.

– Lila – odezwałem się rozkazująco. – Czas na ciebie. Pora do łóżka.

– Tato – jęknęła żałośnie Lila. – Proszę, tato...

Wstąpiło we mnie jakieś лихо. Sam nie wiedziałem, co się ze mną dzieje, nie poznawałem siebie.

– Dobrze, możesz czytać. Tylko w łóżku.

– Ale tato...

– Kotku, jesteś duża, więc powiem wprost: muszę porozmawiać z ciocią Tanią. Sam na sam.

– Tatusiu... – Lila o mało się nie rozplakała.

Byłem nieugięty, choć w głębi duszy wiedziałem, że to nie pora i nie miejsce na dyscyplinowanie dziecka, nie było też powodu usprawiedliwiającego moje zachowanie. Działalem jednak jak w transie.

– Sam – na – sam – wyskandowałem, nachylając się i biorąc córkę na rękę. Lila wtuliła twarz w moją szyję, a ja poczułem, że ma mokre policzki.

– Tanieczko, zaczeka pani pięć minut? – zapytałem, wychylając się z gęstwiny loków Lili.

Zaniosłem Lilę do pokoju, posadziłem sobie na kolanach i mocno objąłem.

– Nie gniewaj się, kotku – poprosiłem szeptem. – Muszę bardzo poważnie porozmawiać z ciocią Tanią, to sprawa służbowa, rozumiesz? Chodzi o powieść, nad którą pracuje. Chcę opowiedzieć jej coś ze swojej praktyki, a nuż się przyda. Poza tym wujek Sierioża, który mnie odwiedził, prosił, żebym przekazał jej pewien sekret. A sekret to sekret, nie robi się wyjątków, nawet dla ciebie – mojej córeczki, prawda?

Lila kiwnęła potakująco głową i załkała.

– To wszystko. Zrób siusiu, umyj zęby i do łóżka. Możesz czytać, póki nie wrócę.

Dziesięć minut później szedłem długą, ciemną ulicą w stronę zatłoczonego, oświetlonego centrum. Nic nie przypominało już tego uzdrowiska, do którego przywozili mnie rodzice, gdy miałem pięć lat. Bywałem tutaj wiele razy, dobrze znałem ulice i zaułki, ale mimo to czułem się tak, jakbym tu był po raz pierwszy. W ciągu ostatnich pięciu lat miasto zmieniło się nie do poznania.

Obok mnie kroczyła Tatiana, która uważnie słuchała mego opowiadania o morderstwie Olgi Dorienko. Nie opuszczało mnie dziwne wrażenie. Przez dwadzieścia lat służby w milicji wiele razy stykałem się z kobietami pełniącymi funkcję śledczej, z niektórymi szedłem do łóżka, z innymi współpracowałem. Jeśli jednak któraś z nich zostawała moją kochanką, ani słowem nie wspominałem przy niej o pracy. Jeśli natomiast omawialiśmy jakąś kwestię służbową, natychmiast stawała się dla mnie istotą pozbawioną płci. Teraz za to rozmawiałem ze śledczą na tematy czysto służbowe, doceniając jej umiejętności i znajomość prawa, doświadczając równocześnie niezwykle ostrego odczucia, że to Kobieta. W dodatku przez duże K.

Rozdział 3

Zaprosiłem Tatianę do restauracji, ale moja nowa znajoma ze śmiechem przypomniła mi o niedawnej obfitej kolacji, postanowiliśmy więc wpaść na drinka do jakiegoś baru. Bardzo szybko znaleźliśmy odpowiedni lokal, i choć muzyka była tam ogłuszająca, musieliśmy się z tym pogodzić, bo o ciszy w takich miejscach można tylko pomarzyć.

Wszedłszy do środka, od razu zacząłem się rozglądać w poszukiwaniu znajomych filmowców, żeby nie usiąść przypadkiem w ich pobliżu. Tuż przy wejściu zauważyłem dwóch operatorów, którzy pracowali w studiu filmowym „Gwiazda” u Igora Litwaka, a w głębi pomieszczenia, przy oknie, dziennikarza, z którym moja eks małżonka miała przelotny romans zaraz po naszym rozwodzie. Dziennikarzowi towarzyszył osobnik niewiadomej płci z burzą loków na głowie, starannie ogolony, którego wygląd nasuwał myśli o lekkim zabarwieniu gejowskim. Pomyślałem, że to musi być ten sławny Rusłan: aktor, którego nazwiska nie umieszczano w czołówkach, podobnie jak nazwisk śpiewaczek Wiktorii albo Eleonory. Ritka mówiła, że Rusłan jest zdeklarowanym homoseksualistą, który nie ukrywa swoich seksualnych preferencji i wcale się ich nie wstydzi.

Tatiana podążyła wzrokiem za moim spojrzeniem i też zobaczyła to wyondulowane чудо o kapryśnie wygiętych ustach.

– Zna go pan? – zapytała cicho, przeciskając się za mną w stronę kontuaru, gdzie akurat zwolniły się dwa miejsca obok włączonego telewizora.

– Nie jestem pewien. Wydaje mi się, że to Rusłan.

– Rusłan? Ten, który grał w *Niebezpiecznych namiętnościach*?

– Zgadza się. Ale mogę się mylić. Może jest do niego po prostu podobny.

Gdy tylko dotarliśmy do naszych szczęśliwie wypatrzonych miejsc, podbiegł do nas niewysoki barman z czarnymi wąsami, ubrany w marynarkę śliwkowego koloru, śnieżnobiałą koszulę i muszkę. Zamówiłem dla Tatiany koniak, a dla siebie gin z tonikiem.

– Szkoda że napisałam już prawie połowę swojego „bestsellera” – powiedziała z westchnieniem Tatiana, upijając mały łyk alkoholu. – Za późno, żeby się teraz wycofać, muszę go skończyć zgodnie z pierwotnym zamysłem. Pańska historia z morderstwem Dorienko wydaje mi się o wiele bardziej pociągająca. Wyobraża pan sobie, jakie to pole do popisu! Walka konkursowiczów, intrygi, zazdrość, zemsta, profity – cóż za szerokie spektrum, od drobnego świństwa i nieprzytomnych pijackich ekscesów do łapówki i morderstwa na zlecenie. Rewelacja!

– A o czym jest pani powieść? – zainteresowałem się uprzejmie, choć tak naprawdę tyle mnie to obchodziło, co zeszłoroczny śnieg. Potrzebowałem umysłu Tatiany – umysłu prawnika profesjonalisty, śledczego z dobrą znajomością psychiki kobiecej (męską miałem w małym palcu), ale przede wszystkim – z pełną polotu pisarską wyobraźnią. Z moją fantazją było raczej krucho, pewnie Z tego powodu ominął mnie los wielkiego, sławnego na cały kraj detektywa. Byłem za to, jak zapewniali mnie wszyscy szefowie, wspaniałym organizatorem. Gdy miałem do wykonania zadanie, stawałem na głowie, żeby znaleźć rozwiązanie i wcielić je w życie. Właśnie dlatego zatrzymałem się na stanowisku naczelnika średniego szczebla: zadania strategiczne obmyślali naczelnicy wyżsi rangą, a ja je tylko wykonywałem.

– Piszę o konkursie piękności. Może pan pamięta, podawano, że w czasie konkursu Miss Wybrzeża w tutejszym Teatrze Letnim wybuchł pożar. Zginęło wtedy kilka uczestniczek.

– Coś sobie przypominam – odpowiedziałem z wahaniem. – To chyba było ze dwa miesiące temu?

– Dokładnie mówiąc: trzy. W kwietniu. Szczegółów nie znam, ale pewna gazeta rozpisywała się o pożarze i w artykule na ten temat znalazłam interesujący drobiazg. Jacyś świadkowie, których ze względu na dobro śledztwa się nie wymienia, twierdzą, że rzekomo w czasie konkursu widzieli w pobliżu teatru grupę wyrostków ubranych w jednakowe trykotowe koszulki z tym samym napisem. Na tej podstawie wysunięto hipotezę, że była to „grupa wsparcia” jednej z dziewcząt, która urządziła pożar w zemście za to, że ich reprezentantka nie otrzymała nagrody. Tak wpadłam na pomysł fabuły. Teraz za późno, żeby coś zmieniać. Trudno – machnęła ręką – o zabójstwie aktorki napiszę innym razem. Czemu pan tak na mnie patrzy?

– Próbuję zgadnąć, czy to naturalny kolor pani włosów. Tatiana roześmiała się, wskutek czego jej szare oczy znowu zrobiły się małe, ale ukazały się za to ładne białe zęby.

– Przypomina mi pan mojego pierwszego męża. Nigdy nie zgłębiał sekretów kryminalistyki i nie mógł pojąć, że w różnym oświetleniu ten sam kolor jest odmiennie postrzegany. Choćbym zaklinała się na wszystkie świętości, że od farby do włosów trzymam się z daleka, nie docierało do niego, że w dziennym i wieczornym oświetleniu, podczas słonecznej i pochmurnej pogody, zimową i letnią porą kolor włosów nieco się zmienia. Więc ciągle mnie pytał, czy nie ufarbowałam włosów, bo ich odcień jest jakiś inny.

Pierwszy mąż. No proszę. Ciekawe, ilu ich miała? Siedemnastu? Wcale nie wyglądała na kobietę, za którą faceci się uganiają. Ale od razu przypomniałem sobie hipnotyzujące działanie jej niskiego, dźwięcznego głosu. I dojmujące odczucie niepokojącej kobiecości,

która z niej emanowała... Cholera wie, może Tatiana naprawdę ma powodzenie. W końcu figura Margarity Mieziencowej nie dla wszystkich musi stanowić wzór doskonałości.

– A ilu pani miała mężów?

– Dwóch. Może za jakieś dwa lata pojawi się trzeci.

– Z góry planuje pani kolejne małżeństwo? – powiedziałem zdziwiony. – A jeśli przez te dwa lata znudzi się pani obecny wielbiciel?

– Przecież powiedziałam: może. A zresztą jeszcze go nie spotkałam.

– Ale już pani wie, co się zdarzy za dwa lata? Jest pani wróżką?

– Bynajmniej. Jestem bardzo praktyczna. Wiem, że moje zauroczenie partnerem nie trwa dłużej niż sześć, najwyżej osiem miesięcy. Jeśli w tym czasie nie wytworzą się między nami ciepłe, przyjacielskie relacje, następuje nieuchronny koniec.

– A jeśli się wytworzą?

– Wtedy wychodzę za mąż. W każdym razie dwa razy wycięłam taki numer.

Znowu się roześmiała i pociągnęła łyk koniaku. Jej pulchna, obnażona ręka znalazła się tuż przed moimi oczami i okazało się, że skóra Tatiany jest bardzo gładka. Miałem ochotę jej dotknąć, sprawdzić, jaka jest w dotyku – aksamitna czy atlasowa.

– Kiedy pani ma czas na to wszystko – śledztwo, książki, śluby? A tak przy okazji, dużo książek pani napisała?

– Osiem. Teraz piszę dziewiątą. A jeśli chodzi o pozostałe sprawy, mam Iroczkę, to ona pilnuje, żebym ze wszystkim zdążyła.

– Irocza? Przyjaciółka pracuje dla pani zupełnie bezinteresownie? – przygadałem złośliwie, jako że po sześciu latach z Ritą nie chciało mi się wierzyć w przyjaźń między kobietami.

– Irocza jest siostrą mojego pierwszego męża. Kiedy postanowił założyć biznes w Kanadzie, nie stanęłam mu na drodze. Zawarliśmy dżentelmeńską umowę: po rozwodzie nie zdecydowaliśmy się na podział naszego dużego mieszkania, eksmąż zostawił je mnie, a ponieważ potrzebował jakiegoś kapitału wyjściowego, do tego, co miał, dołożył pieniądze za mieszkanie, które zajmowała Ira. Ona z kolei wprowadziła się do mnie na prawach sekretarki i gospodyni. Ja mam zapewnioną wygodę i wszyscy są zadowoleni. Ira troszczy się o mnie jak o małe dziecko. Wszystkie swoje honoraria za książki odkładam, żeby zebrać fundusze na mieszkanie dla Iry, w razie gdyby postanowiła się wyprowadzić. Dlatego tak dużo piszę.

– To znaczy, że Ira wykonuje obowiązki gosposi, a pani ma zamiar kupić jej za to mieszkanie?

– Mniej więcej. Dzięki Irocce mogę spokojnie zarabiać pieniądze. Bez niej pisałabym jedną książkę na rok, tylko podczas urlopu.

– Nieźle się pani urządziła. A jeśli przyjdzie jej ochota, żeby wyjść za męża?

– To żaden problem. Mieszkanie jest ogromne, zmieścimy się wszyscy, ja ze swoim mężem, ona ze swoim. Ale prowadzenie domu i tak pozostanie na jej głowie.

– Rzeczywiście jest pani praktyczna – powiedziałem z uznaniem, choć w głębi duszy nie mogłem przestać się dziwić. Zwykle w takim tandemie, jaki tworzyła Tatiana i jej ładniutka przyjaciółka, to atrakcyjniejsza dziewczyna gra pierwsze skrzypce, a druga, mniej urodziwa, ale mądrzejsza, jest jakby dodatkiem. Tutaj wszystko działało na odwrotnej zasadzie.

Z telewizora dobiegły nas znajome dźwięki czołówki programu informacyjnego. Zamówiłem sobie kolejnego drinka i odwróciłem się, żeby posłuchać wiadomości. Negocjacje w Czeczenii... Posiedzenie rządu... Duma w pierwszym czytaniu przyjęła ustawę...

– Na festiwalu filmowym „Złoty Orzeł”, który otwarto dwa dni temu, doszło do tragedii – rozległ się głos spikera. – Dzisiejszej nocy w swoim pokoju hotelowym została zabita popularna aktorka Olga Dorienko, znana z filmów *Kochanka bohatera*, *Przeszłość we mgle*, *Markietanka*. Śledztwo w toku.

W tym momencie na ekranie pojawiła się fotografia Olgi w żałobnej ramce.

– Więc tak wyglądała – rzekła cicho Tatiana. – A ja nie widziałam żadnego filmu z jej udziałem. Od trzech lat nie byłam w kinie.

– A telewizja? – zdziwiłem się. – Te wszystkie filmy, z wyjątkiem *Markietanki*, leciały w telewizji.

– Nad tym czuwa Irocza, ja nie mam czasu. Oglądając film, decyduje, czy mnie zawołać. Muszę wybierać pomiędzy filmami a pracą.

– Wygląda na to, że bez swojej Iroczy zginęłaby pani marnie.

– Owszem – przyznała Tatiana.

W telewizji znowu mówiono o konflikcie w Bośni, podwyżce cen energii... Nagle spiker podniósł słuchawkę stojącego przed nim telefonu.

– Właśnie otrzymaliśmy nowe wiadomości z festiwalu – oświadczył jakimś dziwnym głosem. – Zdarzyła się jeszcze jedna tragedia. Nasz korespondent donosi, że dzisiaj około godziny dwudziestej drugiej nieznanymi sprawcami zabili aktorkę Ludmiłę Dowżuk. Ze względu na nadzwyczajne okoliczności organizatorzy festiwalu w najbliższym czasie podejmą decyzję o ewentualnym przerwaniu i przesunięciu festiwalu na inny termin.

Odruchowo ścisnąłem rękę Tatiany. Luśka! Kątem oka zobaczyłem, że obaj operatorzy, dziennikarz i facet przypominający Rusłana zerwali się z miejsc i rzucili do Wyjścia.

– Pójdzie pani ze mną? – zapytałem Tatianę, nie uznając nawet za stosowne, żeby wyjaśnić dokąd. Sama powinna wiedzieć.

– Oczywiście.

Podniosła swój kieliszek i opróżniła go jednym haustem.

– Chodźmy – powiedziała, zręcznie zsuwając się z wysokiego stołka. – Ma pan jakiś plan?

– Jaki plan?

– Działania. Wie pan, co należy zrobić?

– Zorientuję się na miejscu – rzuciłem przez ramię, przeciskając się do wyjścia.

Po zaduchu w barze powietrze na ulicy wydawało się przeraźliwie zimne. Ująłem Tatianę pod ramię i szybko poprowadziłem w stronę hotelu.

– Tak nie można, Władisławie – mówiła, trochę zdyszana szybkim marszem. – Nie lubię improwizacji. Zawsze trzeba mieć jakiś scenariusz. Co będziemy tam robić? Udawać, że nie umiemy zliczyć do trzech? Czy może odgrywać profesjonalistów? Co pan będzie robił? A ja?

– Nie wiem, Tanieczka. Zobaczymy. Pierwsza opcja zakłada, że od razu znajdę Lisicyna, a druga, że będziemy sobie radzić bez niego.

– A jeśli spotka pan swoją żonę? Powie pan, że kim jestem? Sąsiadką? Śledczą z Petersburga? Przypadkową znajomą?

– Oświadczę, że jesteśmy razem, że jest pani moją kochanką. Nie poczuje się pani urażona?

– Co to panu da? Chce ją pan dotknąć?

– Rita nie jest obraźliwa. Tanieczka, niech pani nie zaprzęta sobie głowy głupstwami. Co będzie, to będzie.

Tatiana umilkła i przez resztę drogi nie odezwała się ani słowem. Byłem pewien, że nie akceptuje mojego postępowania.

Okazało się, że Tatiana miała jednak rację. Jediną rzeczą, której nie przewidziałem, było pojawienie się nieopodal miejsca przestępstwa pułkownika, z którym tak miło mi się

rozmawiało nie dalej jak parę godzin temu. Szczytem naiwności byłoby sądzić, że mnie nie pozna albo nie zauważy. A zatem wejście do hotelu w moim przypadku nie wchodziło w grę.

Ukryłem się w cieniu rozłożystego drzewa i z daleka obserwowałem, jak Tatiana tłumaczy jakiemuś milicjantowi, że szuka Siergieja Lisicyna. Do hotelu oczywiście jej nie wpuszczono, pracowała tam ekipa dochodzeniowa, ale po długich pertraktacjach milicjant zgodził się przekazać Lisicynowi, że jakaś kobieta z Pierwszego Maja osiem chce się z nim zobaczyć.

Musieliśmy uzbroić się w cierpliwość. W końcu w oświetlonych drzwiach pojawiła się znajoma sylwetka Siergieja. Mężczyzna zatrzymał się przed wejściem i powiódł wzrokiem dokoła w poszukiwaniu osoby, która go wywołała. Tatiana pomachała mu ręką, aby zwrócić na siebie uwagę. Chyba od razu ją poznał, bo kiwnął głową i ruszył w jej stronę. Nie słyszałem, o czym rozmawiali, widziałem tylko, jak Tatiana raz po raz potakiwała i rytmicznie przytupywała nogą. W pewnej chwili odniosłem wrażenie, że Siergiej chce się obejrzeć za siebie, aby odnaleźć mnie wśród gapiów, ale Tatiana, uprzedzając jego zamiar, szturchnęła go w ramię, przywołując do porządku. Słusznie, nie ma co się rozglądać na boki podczas ważnej rozmowy. Każdy postronny obserwator od razu się domyśli, że mowa jest o człowieku znajdującym się gdzieś w pobliżu. Nie chciałem, żeby takim obserwatorem okazał się pułkownik, który zapałał do mnie głęboką niechęcią.

Koło hotelu stały cztery radiowozy z kogutami na dachu, zebrał się też tłum mieszkańców i ciekawskich przechodniów. Podejrzewam, że jeszcze pół godziny temu ludzi było tutaj o wiele mniej, ale po komunikacie w wiadomościach wiele osób przybiegło, aby poczuć zapach nieszczęścia. A roztaczało ono woń pobliskiego morza, jakichś kwiatów tropikalnych i nienawiści. Tak, właśnie nienawiść można było wyczytać z twarzy milicjantów, którzy obstawili budynek hotelu. W ciągu zaledwie jednej doby na ich barki zwały się dwa zabójstwa, a wszystko przez ten idiotyczny festiwal.

Zacząłem się zastanawiać, czy chciałem się teraz znaleźć tam, w środku, w oświetlonym holu, wydając rozkazy, przesłuchując świadków, podejmując pierwsze, najpilniejsze kroki w celu wyjaśnienia zabójstwa. Z goryczą musiałem przyznać przed samym sobą, że nie. Nie chcę. Jestem zmęczony. Mam dosyć. Odchodzę z milicji. Dłużej nie dam rady.

W końcu Siergiej Lisicyn pośpieszył z powrotem do hotelu, a Tatiana wróciła do mnie.

– Chodźmy, Władisławie – powiedziała, biorąc mnie pod ramię. – Nie będziemy tu sterczeć. Po drodze wszystko opowiem.

Wracaliśmy noga za nogą, bo do ulicy Pierwszego Maja było nie więcej niż dwadzieścia minut pieszo, a na rozmowę w domu nie miałem ochoty.

Tatiana dowiedziała się od Lisicy, że po nocnym zabójstwie Olgi Dorienko Ludmiłę Dowżuk przeniesiono do pokoju, który do tej pory zajmowała w pojedynkę wielce kapryśna osoba: dyrektor generalna studia filmowego „Westa” Ała Kazalska. Ała miała do swojej wyłącznej dyspozycji dwupokojowy apartament, opłacany oczywiście przez sponsorów festiwalu. Właśnie ten fakt pozwolił komitetowi organizacyjnemu dokwaterować do niej Lusię i nie przekroczyć dzięki temu liczby zarezerwowanych dla uczestników festiwalu pokojów. Gdyby Kazalska sama płaciła za swoje pałace, przepędziłaby petentów gdzie pieprz rośnie. Ale ponieważ w hotelu nie było ani jednego wolnego pokoju, jej kaprysy zostały zduszone w zarodku, i Ała zgrzytając zębami, wykrzywiając ze złością usta, zaczęła zbierać z tapczanu stertę drogich ciuchów, które przywiozła ze sobą w hurtowych ilościach.

Przeprowadzka nastąpiła dzisiaj rano. W dzień publiczność obejrzała planowe pokazy filmów, a wieczorem miała się odbyć kolejna konferencja prasowa z twórcami, których produkcje oceniało tego dnia jury. Kazalska przychodziła na każdą konferencję, ale obecność Lusi nie była tego wieczoru wymagana, więc pod pretekstem bólu głowy i zmęczenia po strasznej, bezsennej nocy, została w pokoju. Konferencja zakończyła się jak zwykle o dwudziestej drugiej trzydzieści. Ała poszła do pokoju, żeby się przebrać przed wyjściem do restauracji. Obrazek, który zastała, przypominał ten, który ukazał się oczom biednej Lusi niecałą dobę temu. Lusia leżała na podłodze w kałuży krwi z raną postrzałową w okolicy serca. Różnica polegała tylko na tym, że o ile pokój Dorienko i Dowżuk wyglądał normalnie, o tyle u Kazalskiej wszystko było przewrócone do góry nogami. Najwidoczniej zabójca szukał biżuterii, którą Ała zawsze się obwieszała i przechowywała w kasetce. Kosztowne drobiazgi dobierała z taką samą starannością co sukienki.

Wiele słyszałem o Alle Kazalskiej, i złego, i dobrego. Była na przykład jednym z najbardziej hojnych ofiarodawców, regularnie wspomagała finansowo szpitale dziecięce. Miała niewątpliwe wyczucie smaku, jeśli chodzi o sztukę filmową, potrafiła dojrzeć w aktorze talent, a gdy intuicja podpowiadała jej, że z jakiegoś chłopaka wyrośnie gwiazda, nie szczydziła funduszy na film, w którym mógłby zaprezentować swoje niezwykle umiejętności. Z drugiej strony jednak, swoim patronatem obejmowała tylko młodych mężczyzn. Nawet najbardziej utalentowana dziewczyna nie mogła liczyć na pomoc i opiekę Kazalskiej. Ała była nimfomanką, której w dodatku nie interesowali mężczyźni powyżej trzydziestki. Sama z kolei dawno już przekroczyła czterdziestkę.

Jedno było jasne: jeżeli to ją ktoś chciał zabić, zabójcy nie należało szukać wśród uczestników festiwalu mieszkających w hotelu, jako że o przeprowadzce Lusi wiedzieli absolutnie wszyscy, podobnie jak o tym, że Ała nie opuszczała żadnej konferencji prasowej. Co więcej, znaleźli się też tacy, którzy celowo podążyli na piętro, gdzie mieszkała Kazalska, żeby zobaczyć, jakim skandalem skończą się przenosiny. O scenach urządzanych przez Kazalską krążyły legendy. Jeśli natomiast ofiarą miała paść Lusia Dowżuk, zabójca najprawdopodobniej mieszkał w hotelu, wiedział, że nie poszła na konferencję i została w swoim nowym pokoju.

Dowiedziałem się jeszcze od Tatiany, że według Siergieja jego szef, ten, z którym nie ułożyły mi się z jakiegoś powodu relacje, przestrzegł go surowo przed „namolnym moskwianinem”, czyli przede mną. Ogólny sens jego wypowiedzi sprowadzał się do tego, że moskiewska mafia filmowa urządziła sobie u nich w mieście porachunki, a żona „tego moskwianina” jest bezpośrednio w to wszystko zamieszana, więc on będzie się starał narzucić śledztwu swoją hipotezę, i w żadnym wypadku nie można mu (to znaczy mnie) na to pozwolić i wysłuchiwać jego tendencyjnych zeznań.

– Wie pan, Władisławie, ten Sierioża jest w porządku. Jakoś nie przypomina mi detektywów, których znałam.

– Dlaczego?

– Nie ma wygórowanych ambicji. Może jest po prostu zbyt młody. Pracuje dopiero osiem miesięcy, i przez cały ten czas nie wykrył ani jednego poważnego przestępstwa. Z drobnicą oczywiście sobie radzi, ale wszystkie poważne sprawy wiszą nierozwiązane. Okropnie się tym przejmuję. Bestialskie zabójstwo dwóch prostytutek: niewyjaśnione. Wybuch w klubie nocnym z kasynem: niewyjaśniony. A on tak bardzo pragnie odnieść choć niewielki sukces.

– Boże, Tania, skąd pani to wszystko wie? – Nie kryłem zaskoczenia. – Przecież rozmawialiście niecałe dziesięć minut.

– Wszystko zależy od tego, jak się rozmawia – rzuciła z uśmiechem. – Są tacy, którym nawet dwóch godzin nie starczy, żeby zebrać takie informacje. Niech pan nie zapomina, że jestem śledczą, wszystkie rozmowy odbywam według napiętego harmonogramu. Jedna osoba wezwana jest na dziesiątą, a następna na jedenastą. I niech pani będzie łaskawa nie przekraczać wyznaczonego czasu, Tatiano Grigorjewno. Nie umiała pani zdobyć potrzebnej informacji, to znaczy, że nie jest pani warta złamanego grosza. Podejrzany, który czeka na korytarzu, wie, że jest pani offermą.

– Niech pani przestanie, Tanieczko. Jak świat światem wiadomo, że dobrze jest potrzymać delikwenta pod drzwiami, żeby mu strach w oczy zajrzał. A jeśli będzie ich pani przyjmowała z zegarkiem w ręku, to jeszcze pomyślą, że nie ma pani nic innego do roboty, tylko siedzieć i czekać na nich.

– Nie wiem, nie wiem. – Tatiana pokręciła głową. – Widzę to nieco inaczej.

– Jak?

– Jeśli człowiek umie właściwie zarządzać swoim czasem, to oznacza, że jest dokładny, surowy, obowiązkowy, poukładany, nie da się go zagadać, zdekoncentrować, ani nawinąć mu makaronu na uszy. W każdym razie ja zdobyłam właśnie taką opinię i bardzo ją sobie cenię.

– Pomaga to pani w pracy? – W moim głosie zabrzmiała nuta sceptycyzmu, i Tatiana się skrzywiła.

– Niech pan sobie wyobrazi, że tak. Nie mam prawa zapominać o swoim wyglądzie, więc jeśli nie zbuduję sobie odpowiedniego wizerunku, nikt nie będzie traktował mnie poważnie. Pan ma szczęście, wysoki, barczysty, a ja jestem gruba...

– Tanieczka – przerwałem jej z wyrzutem, choć czułem się okropnie niezręcznie, jak zawsze w sytuacji, gdy ktoś nie tylko czyta ci w myślach, ale i wypowiada je na głos.

– Co – Tanieczka? Przecież nie zaczniesz mnie pan przekonywać, że jestem zgrabna i filigranowa. Powinnam zrzucić co najmniej dwadzieścia kilogramów. Więc jeśli kobieta o mojej powierzchowności będzie uosobieniem nierzetelności i rozmamlania, wszyscy będą ją nazywać głupią gęsią. W moim przypadku nie tylko stanowisko zobowiązuje.

Ku swojemu przerażeniu poczułem, że palą mnie policzki, i pomyślałem z ulgą, że na szczęście jest całkiem ciemno. Zostawiliśmy już za sobą oświetlone centrum i zbliżyliśmy się do naszej cichej ulicy Pierwszego Maja pełnej małych domków otoczonych wspaniałymi sadami. Po drodze nikt nas nie mijał, nic dziwnego, była już pierwsza w nocy. Za plecami słyszałem tylko kroki spóźnionych przechodniów, idących w tym samym kierunku.

Nie miałem ochoty rozwijać wątku o warunkach zewnętrznych mojej towarzyszkii, więc znowu skierowałem rozmowę na temat zabójstw.

– Siergiej nie mówił, czy udało mu się dowiedzieć, jak Olga spędziła wczorajszy dzień? – spytałem.

– Bardzo niewiele wysondował. Nie zdążył porozmawiać z Dowżuk: kiedy przyszedł do hotelu, konferencja prasowa już trwała, powiedziano mu, że Ludmiła odpoczywa i prosiła, by jej nie przeszkadzać. Trafił za to na jednego z organizatorów, który czekał w holu na spóźniającą się Olgę. Mężczyzna zeznał, że kiedy Dorienko nie pojawiła się na początku

konferencji dotyczącej *Markietanki*, wysłano go, by jej wypatrywał. Olga przybiegła zziębnięta jakieś piętnaście minut po rozpoczęciu. „Zwariowałaś! – ryknął na nią organizator. – Gdzie cię nosi! Szybko na salę!” Dorienko miała ze sobą plastikową torbę, taką raczej krzykliwą, z fioletowym rysunkiem i żółtymi rączkami, można je dostać w każdym sklepie przy kasie. Olga rzuciła się w stronę sali, potem spojrzała na arcydzieło grafiki w swojej dłoni i pobiegła do windy. „Dokąd!”, znowu krzyknął organizator. Odparła, że zanieś tylko szybko reklamówkę do pokoju i zaraz wróci. „Przecież nie zjawię się tam w takim kostiumie z tą torbą. Daj mi dwie minuty, Gienoczka!” W sumie miała rację: ubrana w elegancki, drogi kostium, wyglądałaby z taką reklamówką szokująco i niedorzecznie. A nazajutrz w „Wiadomościach Festiwalowych” ukazałaby się fotografia gwiazdy kinowej Olgi Dorienko, wpadającej na salę z tą okropną torbą. I odpowiedni komentarz, coś w stylu, że aktorka pojawiła się na ważnej konferencji prasowej prosto z bazaru, z reklamówką wyładowaną pomidorami i włoszczyzną. Jej wizerunek ległby w gruzach. Krótko mówiąc, Olga wskoczyła do windy i rzeczywiście błyskawicznie wróciła już bez torby.

– A w torbie naprawdę miała pomidory i włoszczyznę?

– Nie, to było coś małego, podobnego do książki. Gienoczka naturalnie do środka nie zaglądał, ocenił na oko. Pamięta, że Olga miała przewieszoną przez ramię malutką torebkę na łańcuszku, w której oprócz portmonetki i puderniczki nic więcej się nie mieściło, toteż wcale nie był zdziwiony, że większe przedmioty dziewczyna nosi w reklamówce.

– Bardzo dziwne. Gdzie była? Skąd wzięła tę książkę? W dodatku jeszcze się spóźniła, co do niej zupełnie nie pasuje.

– Może poszła na plażę, bo chciała posiedzieć nad morzem, pooddychać świeżym powietrzem, poczytać. Zabrała ze sobą książkę, zaczytała się i nie zauważyła, jak czas zleciał – zasugerowała Tatiana, ale niezbyt przekonującym głosem. Widocznie takie wyjaśnienie jej też wydało się śmieszne.

– Tanieczka, pomyliła pani Olę z moją córką – powiedziałem ze śmiechem.

Kroki za naszymi plecami dały się słyszeć całkiem blisko i nagle przeszła mnie myśl, że idziemy bardzo wolno. Mieliśmy ku temu swoje powody, ale dlaczego ci spóźnieni przechodnie nas nie wyprzedzili? Przysłuchując się naszej rozmowie, zorientowali się, że omawiamy sensacyjne zabójstwa? Tego by jeszcze brakowało!

Mocniej ścisnąłem Tatianę za łokieć i pociągnąłem w stronę płotu, nad którym wznosiły się gałęzie jakiegoś drzewa owocowego, zwisając prosto na ulicę.

– Proszę mnie objąć – szepnąłem jej na ucho. – Udawajmy, że się całujemy. Poczekamy, aż nas miną.

Tatiana posłusznie stanęła obok i zarzuciła mi na szyję swoje pulchne ręce. Kroki umilkły w odległości jakichś trzech metrów, w ciemności rozpoznałem trzy sylwetki, chyba wyrostków albo niewysokich młodych mężczyzn. Najwyraźniej nie mieli zamiaru nas wyprzedzać. Zrobiło mi się nieswojo.

Objąłem Tanię i zacząłem ostrożnie całować, ze zdziwieniem stwierdzając, że to bardzo przyjemne. Skórę miała aksamitną, a usta słodkie, jakby właśnie zjadła cukierka. Ciemne sylwetki stały nieporuszone. Cholera wie, na co tu czekają? Wysłuchali, co mamy mądrego do powiedzenia, a teraz liczą, że będziemy uprawiali seks?

– Panowie, idźcie dalej, dziewczyna się krępuje – powiedziałem, odrywając się od sprężystych ust Tani.

W odpowiedzi ktoś parsknął śmiechem, potem wszyscy głośno zarechotali i demonstracyjnie oddalili się wolnym krokiem. Staliśmy jeszcze jakiś czas objęci, póki kroki nie umilkły na końcu ulicy.

– Nie gniewa się pani? – spytałem, znowu chwytając Tanię pod ramię i prowadząc w stronę domu numer osiem.

– To było przyjemne – odparła. W ciemności nie widziałem wyrazu jej twarzy, ale z tonu jej głosu wywnioskowałem, że się uśmiecha.

Gdy weszliśmy na podwórze, od razu spojrzałem w nasze okna. No tak, Lila jeszcze nie śpi, wykorzystwała moje lekkomyślne przyzwolenie na ślęczenie nad książką, póki nie wrócę. Ale skąd mogłem wiedzieć, że nie będzie mnie tak długo.

– Przerwałem pani dzisiaj proces twórczy – powiedziałem szeptem pełnym skruchy: staliśmy bowiem tuż pod oknami sypialni właścicieli.

– To nic, miałam dużo wrażeń, które wykorzystam. Dobranoc, Władisławie.

– Tania, połamię sobie pani język, wymawiając za każdym razem moje pełne imię. Niech pani nie będzie taka oficjalna.

– A jak inni pana zwykle nazywają?

– To zależy kto. Władik, Stasik, Sława, czasem nawet Dima. Proszę wybrać, co się pani podoba.

– W takim razie Dima. Dobranoc, Dima.

– Do jutra.

Wspiałem się po schodach, a Tania obeszła dom dokoła. Z tyłu takie same schody prowadziły do pokoju kobiet.

Oczywiście Lila leżała na brzuchu i czytała *Ukradzione sny*.

– Wstydu nie masz! – powiedziałem surowo, wyjmując jej książkę z rąk. – Wiesz, która godzina?

– Sam mi pozwoliłeś... Ojej, tato, masz szminkę na twarzy. Całowałeś się z ciocią Tanią?

A niech to diabli! Dziwiłem się, że jej usta smakują jak słodki cukierek. Okazuje się, że to była szminka. Jakiś nowy gatunek, nigdy jeszcze takiej nie scałowywałem. W milczeniu podszedłem do wiszącego na ścianie małego lusterka. Ale widok. Nie dla dziecka. Chyba mój Anioł Stróż, wyjmując ze swego szklanego bębna karteczkę na dzisiaj, wyciągnął tę, na której widniały słowa „głupia sytuacja”. Takie losy też miał, nie było ich dużo, ale trafiały się w najbardziej niestosownych chwilach.

Rano wstałem wcześniej niż zwykle, obudziłem Lilę i pociągnąłem na plażę bez śniadania.

– Pójdziemy na pierożki – obiecałem, zdejmując szybko ze sznurka jej kostium, moje kąpielówki i duży ręcznik plażowy.

Lila przyglądała się w milczeniu, jak zbieram rzeczy w pośpiechu, i o nic nie pytała. Aż poczułem się niezręcznie. Lepiej by było, gdyby zasypała mnie pytaniami, wymyśliłbym wtedy jakąś historię. A ona obserwowała mnie swoimi ciemnoszarymi oczami i nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że wszystko rozumie. Tak, bałem się spotkania z Tatianą. To, co wczoraj na ciemnej ulicy wydawało się zupełnie naturalne, rano, w świetle dnia wyglądało inaczej. Nie miałem zielonego pojęcia, jak po wczorajszych wydarzeniach powinienem rozmawiać z Tanią. Udawać, że nic się nie stało? Czy może odwrotnie, porozumiewawczymi uśmiechami, półsłówkami dawać jej do zrozumienia, że łączy nas teraz mały, może i śmieszny, ale sekret?

Jeszcze jedno nie dawało mi spokoju. Żeby uratować reputację Garika Litwaka, wparowałem wczoraj na komisariat, w wyniku czego znalazłem się w roli osoby wspierającej prowadzenie dochodzenia. Mało tego, swoim pojawieniem się koło hotelu od razu po drugim zabójstwie, chcąc nie chcąc, zmusiłem Siergieja Lisicyna, żeby pomyślał, że na serio włączam się do śledztwa. Dzisiaj rano nie mógłbym już dokładnie wytłumaczyć, co mnie podkuśiło, aby tam pójść, w dodatku z Tatianą. To był poryw, nieprzemyślany i głupi, grożący zepsuciem mojego pierwszego od wielu lat, wolnego od kłopotów służbowych urlopu. Czy mam prawo dawać się wciągać w śledztwo, choćby nie wiadomo jak ważne, kiedy mojej opiece powierzono ośmioletnie dziecko? Zgoda, może i nie jestem najlepszym ojcem, ale nawet moja niefrasobliwość rodzicielska ma swoje granice! Nie mogłem się

zdecydować, co zrobić, wejść do gry czy nie. Jednocześnie zdawałem sobie sprawę, że jeśli zdecyduję się aktywnie wspierać Sieriożę Lisicyna, bez Tatiany się nie obejść, bo głupio i prymitywnie odsłoniłem się przed miejscowym zastępcą dochodzeniówki, i gdy coś się nie uda, facet wykończy mnie bez skrupułów. W tej sytuacji nie mogę więc ignorować Tani, a już na pewno nie wolno mi udawać, że wczorajszego dnia w ogóle nie było.

Jednym słowem, miałem w głowie kompletny mętlik, i dlatego postanowiłem zmyć się z domu, zanim dziewczyny wstaną. Wieczorem podejmę jakąś decyzję, ale do wieczora daleko, teraz nie byłem jeszcze gotów.

Kiedy stanęliśmy z Lilą przed knajpką, w której serwowano gorące pierożki, ku mojemu zdumieniu okazało się, że drzwi są zamknięte. Dopiero z pewnym opóźnieniem dotarła do mnie przykra myśl, że przechodziłem tędy codziennie rano koło dziesiątej, a teraz jest zaledwie kwadrans po siódmej. No tak, wywieszka na drzwiach informowała, że pierożkarnia jest czynna od dziewiątej do dwudziestej drugiej.

– Pierożki odwołane – oznajmiłem z nienaturalną swadą, paląc się ze wstydu przed zerwanym z łóżka skoro świt głodnym dzieckiem. – Są jakieś propozycje? Lody? Jak chcesz, pójdziemy na bazar i kupimy brzoskwinie.

– Tato, jeszcze wcześniej, lodów nie sprzedają – powiedziała moja mądra córka, patrząc na mnie wzrokiem pełnym litości, jak na umysłowego inwalidę. – Sklepy też są jeszcze zamknięte. Chodźmy lepiej do parku, posiedzimy na ławce do ósmej, a potem kupimy chleb i coś do kanapek. I butelkę wody.

Takie rozwiązanie wydało mi się rozsądne. Lila, rzecz jasna, kierowała się własnymi pobudkami: „posiedzieć na ławce” oznaczało „poczytać książkę”, a „coś do kanapek” to nic innego jak kolejna porcja wędzonej kiełbaski. Tak czy inaczej, nic lepszego w kwestii śniadania o tak wczesnej porze nie można było wymyślić.

Dowleliśmy się do parku i wybraliśmy ławkę w zielonej cienistej alei. Lila od razu wetknęła nos w grubą książkę w niebieskiej okładce, a ja pograżyłem się w swoich egoistycznych kalkulacjach, paląc niespiesznie papierosa i przyglądając się jakimś egzotycznym kwiatkom na klombach. Przy tych zajęciach zastał nas Sierioża Lisicyn, który pojawił się nie wiadomo skąd.

– Dzień dobry, Władisławie Nikołajewiczu – powiedział, przysiadając się do nas.

– Co za spotkanie – odparłem pochmurnie. Mój Anioł Stróż zafundował mi dzisiaj dwa pechowe losy. Mocny początek. Najpierw wpadka ze śniadaniem, a teraz jeszcze to...

– Szukałem pana i znalazłem.

Uśmiechnął się rozbrajająco, ale spojrzenie miał smutne i jeszcze bardziej bezbronnie niż wczoraj. Pomyślałem, że nie spał dwie noce z rzędu, badając okoliczności zabójstw w hotelu, i nagle poczułem serdeczne współczucie dla tego młodziutkiego chłopca, którego rzucono na głęboką wodę, przydzielając mu do pomocy dwóch współpracowników, z których było tyle pożytku, co kot napłakał. Co wczoraj powiedziała Tania? Chłopak pracuje osiem miesięcy i przez ten czas żadnych poważnych wyników, sama drobnica. Uczyć też nie ma go kto, prowadzący to popijający emeryt, za wskaźniki nikomu głowy nie urwą, teraz wszystko jest przecież na odwrót, chwalenie się liczbą niewykrytych ciężkich przestępstw stało się modne. Słyszysz się wciąż: warunki operacyjne, w których działamy, są nie do wytrzymania, codziennie dziesięć zabójstw i pięć wybuchów, brakuje ludzi, wszyscy sensowni wywiadowcy zatrudnili się w cywilu, poszli do handlu albo do ochrony, dochodzenia leżą. I biedny Sierioża Lisycyn rzuca się jak ryba w sieci, nic mu nie wychodzi, wypłakać się w rękaw też nie ma komu, znikąd pomocy. W dodatku jego szef to niezły oryginał... A instynkt wywiadowcy chłopak chyba ma, skoro znalazł mnie w tym parku.

– Jakież dobre wieści? – spytałem, spoglądając z ukosa na Lilę. Była całkowicie pochłonięta studiowaniem dzieła Tani, ale podejrzewałem, że strzyże uszkami w naszą stronę. Siergiej uchwycił moje spojrzenie i ledwo dostrzegalnie skinął głową.

– Lila, musimy z wujkiem Sierioża porozmawiać. Siedź tutaj, nigdzie nie odchodź, a my się przejdziemy.

– Dobrze, tato – wymamrotała, nie odrywając oczu od otwartej książki.

Podnieśliśmy się z ławki i zaczęliśmy spacerować tam i z powrotem cieniastą, chłodną o poranku aleją. Dowiedziałem się od Siergieja, że kiedy ekipa dochodzeniowa skończyła pracę w pokoju Kazalskiej, poproszono ją, aby sprawdziła, czy nic nie zginęło. Okazało się, że zniknęła kasetka z biżuterią. Najzabawniejsze było to, że kilka bardzo drogich drobiazgów leżało na widoku, na toaletce, ale przestępca (albo przestępcy?) nie zwrócił na nie uwagi, tylko połaszczył się na zamkniętą na kluczyk kasetkę. Była w tym pewna logika: jeśli cacka warte wiele tysięcy dolarów poniewierają się na stole, niewykluczone, że są niezłymi podróbkami, no a to, co znajduje się pod kluczem, na pewno jest cenne, nie rzuca się tego byle gdzie, lecz chowa do szafy i trzyma między damską bielizną. Tak więc dwie wyjściowe hipotezy płynnie przerodziły się w trzy: zabójstwo, którego celem była Kazalska; zabójstwo, którego celem była Lusja Dowżuk; zabójstwo na tle rabunkowym. Z godziny na godzinę wszystko się komplikowało.

– Kto przeglądał rzeczy Dorienco po zabójstwie? – spytałem. Nie dawały mi spokoju pytania, gdzie się udała Olga przed konferencją prasową i skąd wzięła szkaradną reklamówkę, fioletową z żółtymi rączkami.

– Jakowczik i ja. Czemu?

– Nie pamiętasz, czy była wśród rzeczy plastikowa torba? Fioletowa, żółte rączki, w środku jakiś przedmiot, przypominający rozmiarem książkę. Książka, pudełko cukierków albo herbatników, nieduża paczuszka.

– Nie pamiętam. Chyba nie.

– Gdzie są teraz jej rzeczy?

– W pokoju Kazalskiej. Podczas przeprowadzki Dowżuk spakowała wszystkie rzeczy zamordowanej i przeniosła razem ze swoimi. Chce pan, żebym jeszcze raz je obejrzał?

– Chcę. A raczej ty sam powinieneś chcieć – natychmiast się poprawiłem. Nie mogłem mówić „chcę”: to by oznaczało, że zgodziłem się przyjąć funkcję asystenta, kogoś w rodzaju prowadzącego. A ja się jeszcze nie zgodziłem. I za nic się nie zgodzę. – Tylko ci radzę. Znałem Olgę kilka lat i jedno mogę powiedzieć z całą stanowczością: musiała mieć ważki powód, żeby się spóźnić na imprezę służbową. Coś arcyważnego. Zainteresuj się tym. Może ktoś ją szantażował i poszła dogadywać się z szantażystą. Może szantażowano ją nawet jakimiś pikantnymi zdjęciami i poszła je wykupić. Pieniądze miała w torebce, ale wróciła z paczką zdjęć, które były za duże, żeby je włożyć do torebki, więc musiała kupić reklamówkę w pierwszym lepszym sklepie. Może zaczęła romansować z kimś spoza hotelu, pobiegła na randkę, a ukochany wyskoczył z prezentem. Odmówić nie wypadało – mógłby się obrazić, wyrzucić po drodze szkoda, a schować do torebki się nie da. Krótko mówiąc, Sierioża, radzę ci, żebyś pogrzebał w przedwczorajszych wydarzeniach. Coś się tu nie zgadza.

– Czyli jest pan pewien, że oba zabójstwa nie mają żadnego związku?

– Niczego nie jestem pewien. W przypadku Kazalskiej są trzy wyjaśnienia, w przypadku Olgi – tylko jedno. Jeśli zabójstwa coś łączy, to zabójcy trzeba szukać wśród kobiet, które mogą dostać pięćdziesiąt tysięcy dolarów za najlepszą rolę żeńską. Ile ich mamy razem?

– Sześć – odparł Lisicyn z westchnieniem. – Wraz ze zniknięciem tych, których nazwiska figurowały na początku listy, szanse pozostałych rosną. Nagroda musi być przecież komuś wręczona.

– No to kto nam tam został?

– Jest jeszcze czwórka.

Wyjął z kieszeni notes i zajrzał do środka.

– Pierwsza to Regina Goletiani, Litwinka, wyszła za Gruzina, rodzina dobrze sytuowana, dla pięćdziesięciu tysięcy chyba nie brudziłyby sobie rąk.

– A sława? Sierioża, dla artysty sława warta jest każdych pieniędzy, pierwsza nagroda na festiwalu zapewnia kasowość przyszłych filmów z jego udziałem, a to też pieniądze, dochody, w dodatku nierzadko ogromne. Kto następny?

– Jekatierina Iwannikowa, lat dwadzieścia jeden, kończy szkołę filmową. Wie pan, taki aniołek o dużych, zielonych oczach, jasnych włosach i słodkim głósiku. Takich najbardziej się boję.

– Czemu?

– Bo w tym cholernym życiu nie można być aniołem. Skąd by się taki anielski charakter wziął, nie ma po temu warunków. Dlatego kobieta, która sprawia wrażenie aniołka, przeraża mnie. Nie dość że jest oszustką, to jeszcze, najprawdopodobniej, wywłoka z niej czystej wody.

Popatrzyłem na Siergieja z zainteresowaniem. No proszę, w tym wieku takie gorzkie, ale pożyteczne doświadczenie. Chciałbym zobaczyć tę ślicznotkę, która tak głęboko zraniła gołębie serce Lisicyna. O Kati Iwannikowej słyszałem od Rity wszystko, co najgorsze, ale nie można się było tym sugerować. Jeszcze się nie urodził taki człowiek, o którym moja ekszona wyrażałaby się pochlebnie. Historie opowiedane przez Ritkę pełne były faktów świadczących o totalnym zepsuciu moralnym młodzietkiej gwiazdki, która dla otrzymania roli gotowa była „obsłużyć” w dowolny sposób każdego chętnego, miejsce i czas nie grały roli. Nie wiem, jak dalece można było wierzyć tym opowieściom, zważywszy na specyficzny charakter Margarity Mieziencowej, na pewno nie w stu procentach, ale czy w siedemdziesięciu, czy w dwudziestu – trudno powiedzieć. Katia była poniekąd zupełnym przeciwieństwem Ałły Kazalskiej: jeśli Ałły nienawidziły przede wszystkim kobiety, bo po chamsku i bez podawania konkretnych przyczyn odrzucała ich podania o pracę, to Kati, o dziwo, nie cierpieła głównie faceci. Kobiety podchodziły do jej jawnego prostytuowania się zupełnie obojętnie, widziały w niej tanią dziwkę, niezdolną zniszczyć w miarę trwałe związki. Z mężczyznami było inaczej. Faceci zawsze nienawidzą takich panienek, bo dostępna, szybka, tania i ostra chwila rozkoszy stanowi dla nich narkotyk, wobec którego są bezsilni. Sama myśl, że można w każdej chwili zmusić tę jasnowłosą dziewczynę, aby uklęknęła i otworzyła usta, podnieca, drażni ambicję, oddziałuje na głęboko ukryte w podświadomości, instynktowne pragnienie każdego faceta, aby być panem i władcą kobiety. Uzależniając się od takiej panienki lekkich obyczajów, nienawidzimy jej za to, że nie potrafimy powiedzieć „nie”.

Gardzimy nią, a czasami czujemy do niej po prostu wstręt. Często mamy chęć ją zabić i nigdy więcej nie widzieć. Nie potrafimy się jednak powstrzymać. Tacy jesteśmy głupi.

Czy Katia Iwannikowa, lat dwadzieścia jeden, wykształcenie niepełne wyższe, na koncie koło dziesięciu dość znacznych ról, mogła zabić albo zlecić zabójstwo dwóch rywalek, żeby otrzymać pierwszą nagrodę? Uwzględniając spodlenie duszy – mogła z całą pewnością. Jeśli wziąć pod uwagę jej stereotypowy sposób działania – chyba nie, przyzwyczaiła się bowiem wszystkie swoje problemy rozwiązywać za pomocą ust i języka. Tak więc w tym wypadku zaczęłaby się raczej dobierać do członków jury.

Nagle doznałem olśnienia.

– Masz listę jurorów?

Siergiej przewrócił kartkę w notesie i odczytał siedem nazwisk. Otóż to, wśród siedmiu osób są trzy kobiety plus Bogu ducha winny Igor Litwak, nieczuły na słynne sztuczki miłosne Kati. Nawet jeśli by zdołała urobić pozostałych trzech mężczyzn, nie byłoby oni w stanie zagwarantować jej większości głosów. W tej sytuacji morderstwo stawało się wysoce prawdopodobne.

Na liście osób nominowanych do nagrody za najlepszą rolę żeńską znalazło się również nazwisko Saule Ibrajbiekowej, która mając dwadzieścia pięć lat, mogła pochwalić się około dwudziestoletnim stażem w filmie. Pamiętam, jak dwadzieścia lat temu, kiedy uczyłem się jeszcze w szkole milicyjnej w Karagandzie (do szkoły w Moskwie przyjmowano w tamtych latach tylko po wojsku, a naukę w Karagandzie można było rozpocząć od razu), w kinach święcił triumfy jej film *Mali dorosli*, gdzie pięcioletnia Saule, smagła laleczka o skośnych oczach i zdumiewająco ślicznej twarzyczce, brawurowo zagrała rolę pięcioletniej dziewczynki, której oczami przedstawiony został potworny i absurdalny świat dorosłych, pełen małostkowych i niepotrzebnych kłamstw, źle maskowanej obłudy i niepowstrzymanej złości. Od tego czasu Saule występowała w filmach na okrągło, w lepszych i gorszych, czasem w tandetnych. Natura obdarzyła dziewczynkę talentem aktorskim, a bezustanne zdjęcia pozwalały go szlifować, aż do osiągnięcia pełnego profesjonalizmu. Było dla mnie jasne, że ze wszystkich sześciu kandydatek do nagrody to Saule jest najbardziej uzdolniona i w konkursie na najlepszą aktorkę z pewnością zajęłaby pierwsze miejsce. Jednakże tu chodziło o rolę, w dodatku nie wszystko jedno jakie, lecz te z ostatniego roku. Niestety rola, którą śliczna moskwianka, z pochodzenia Kazaszka, zagrała w swoim ostatnim filmie, nie była zbyt udana.

Listę pretendentek do nagrody zamykała niejaka Marina Celajewa, o której prawie nie było wiadomo. Stawiała dopiero pierwsze kroki w zawodzie, zagrała niewiele, w swojej

dotychczasowej karierze miała dwie role epizodyczne i jedną główną, ale słabiutką, za którą nominowano ją do nagrody. Jak trafiła na listę – Bóg jeden wie, nawet gołym okiem widać było, że nie dorównywała ani prawdziwej profesjonalistce Saule Ibrajbiekowej, ani niewątpliwie utalentowanej i wyrazistej aktorce Oldze Dorienko, ani nawet czarującej łajdaczce Katuszy Iwannikowej. Zarówno one, jak i Regina Goletiani oraz zamordowana Lusja Dowżuk, pomijając wszystkie ich wady, były doświadczonymi aktorkami, choć oczywiście w różnym stopniu, dysponowały niezłym warsztatem i miały mniejszy lub większy talent, dzięki któremu osiągnęły w swoim fachu mistrzostwo. Marinie Celajewej brakowało wszystkiego: doświadczenia, talentu i profesjonalizmu. Kręciło się za to koło niej grube, włochate indywiduum, nie tyle potężne, ile z wypchanym portfelem. Któregoś dnia kochankowi przyszło do głowy, że zafunduje swojej dziewczynie pierwszą nagrodę. A może wcale nie dziewczynie, ale przede wszystkim sobie: kupi jej zwycięstwo, a potem będzie upajał się myślą, że jego przyjaciółka jest gwiazdą filmową. Dlaczego miałby być gorszy niż zachodni miliarderzy?

A zatem Marina Celajewa. I te pogłoski, że ktoś proponował Igorowi Litwakowi dużą łapówkę za to, żeby nie przyznawano pierwszej nagrody Oldze Dorienko. I zlikwidowanie dwóch głównych kandydatek do pierwszego miejsca. A zniknięcie kasetki z biżuterią Kazalskiej – to nic innego jak prymitywny kamuflaż, żeby odwrócić uwagę od Lusi Dowżuk. Na liście aktorek Marina była ostatnia. Ale na liście podejrzanych figurowała jako pierwsza.

Spojrzałem na zegarek i ogarnęły mnie wyrzuty sumienia. Już wpół do dziewiątej, a ja tu sobie spaceruję po parku, pozując na zmęczonego komisarza Maigreta, uczę życia młodego wywiadowcę i całkiem zapomniałem, że niedaleko, na ławce, cierpliwie czeka na mnie głodne dziecko, które wyciągnąłem bladym świtem z ciepłego łóżka.

– Sierioża, gdzie tu niedaleko można zjeść śniadanie?

– Chodźmy, pokażę panu.

Lisicyn pokazał nam śliczną, małą kafejkę nieopodal bazaru, czystą i przytulną. Stoły, nakryte obrusami w biało-niebieską kratkę i przyozdobione kwiatami w wazonikach, cieszyły oko. W powietrzu unosił się zapach świeżo upieczonego ciasta, wanilii i zmielonej przed chwilą kawy.

– Polecam strudel – powiedział Lisicyn, siadając z nami przy stoliku. – To coś niesamowitego, dzieło słynnego Edika, całe miasto przychodzi na jego strudle.

– Kto to jest Edik?

– Miejscowa sława. Przez wiele lat był kucharzem na statku wycieczkowym, gotuje tak, że palce lizać. Ale specjalizuje się w cukiernictwie. Proszę spróbować, nie będzie pan żałował.

Siergiej nie przesadził. Kawa była dobra, mocna i słodka, a gorący, dopiero co wyjęty z pieca strudel rozpływał się w ustach i miało się wrażenie, jakby aniołek w aksamitnych spodenkach zjeżdżał w dół przelykiem. Rzeczywiście było to arcydzieło kulinarne. Lila piła herbatę z mlekiem, a ja zauważyłem przy tym, że kelnerka przygotowywała ją według specjalnej receptury: najpierw do ładnej, dużej filiżanki w różyczki nałala gorącego mleka, które wyjęła przy nas z pieca, gdzie się podgrzewało w ceramicznym garnuszku, i dopiero potem zaczęła wlewać do mleka mocną herbatę, nie rozcieńczając jej wodą. Sądząc z wyrazu twarzy mojej córki, herbata smakowała nie gorzej niż fantastyczny strudel. Smaczne śniadanie sprawiło, że się odprężyłem i popełniłem głupstwo, którego potem wiele razy żałowałem.

– Sierioża, jest okazja zrobić dobry uczynek dla porządnego człowieka. Masz może jakieś materiały dotyczące pożaru w Teatrze Letnim?

Lisycyn spojrział na mnie zdziwiony i odstawił filiżankę z kawą na spodeczek.

– A na co one panu?

– Najpierw odpowiedz – masz czy nie?

– Oczywiście, że mam. Całą furę.

– Czy mógłbyś pokazać je osobie, która pisze o tym kryminał?

Siergiej spochmurniał.

– Ale sprawa nie jest jeszcze zamknięta, śledztwo trwa. Wie pan, co mi zrobią za ujawnienie tajemnicy? A zresztą, jak można pisać powieść o przestępstwie, które nie wiadomo, czy się wyjaśni?

– Nie zrozumiałeś mnie. Nie chodzi o powieść dokumentalną. Wasz pożar stał się tylko inspiracją dla autora. W książce wszystko od początku do końca zostało zmyślane, prawdziwy jest tylko sam pożar, który wybuchł podczas konkursu piękności. Wszystko inne to wytwór fantazji.

– W takim razie po co temu pisarzowi moje materiały?

Sierioża okazał się nieufnym nudziarzem, to w sumie dobrze. Może i brak mu wyobraźni, która w pracy detektywa jest niezbędna, ale za to nie da się go łatwo przekabacić.

– Materiały są potrzebne, aby myśl twórcza odebrała nowy impuls. Nie bądź taki uparty, coś za coś: przecież ja ci pomagam, więc ty też pomóż. Mogę cię zapewnić, że dokumenty nie wpadną w ręce przestępców, osoba jest pewna.

– A kto to taki?

– Już ci mówiłem – pisarz.

– Władisławie Nikołajewiczu, muszę wiedzieć, kto to jest.

– No dobrze. Tatiana Tomilina.

– Kto?!

Tym razem los okazał się dla mnie łaskawy: gdyby Lisicyn trzymał akurat filiżankę z gorącą kawą w ręce, aromatyczny, ciemnobrązowy płyn znalazłby się na moich kremowych dzinsach i śnieżnobiałej koszulce. Ale na szczęście filiżanka stała sobie spokojnie na stoliku, więc na skutek gwałtownego ruchu, który wykonało całe ciało Sierioży, kawa wylała się tylko na spodeczek.

– Coś się tak zdenerwował? Znasz ją?

– Oczywiście. Wszystkie kobiety w naszym mieście zaczytują się jej kryminałami. Moja mama i siostra też. A pan ją zna?

– Tak jak i ty. Rozmawiałeś z nią wczoraj przed hotelem.

– Naprawdę?!

Który to już raz pomyślałem, że funkcjonariusz dochodzeniówki Sierioża Lisicyn jest jeszcze bardzo młody. Zupełne dziecko. Tylko dzieci umieją tak szczerze się dziwić. Ale najbardziej poruszyło mnie to, że podczas całej rozmowy Lila siedziała z kamienną twarzą, jakby nie znała żadnej Tatiany Tomilinej, nie czytała pół godziny temu jej książki i wszystko to w ogóle jej nie dotyczyło. Czasami moja córka zdumiewała mnie swoją zdolnością tak głębokiego pograżania się w jakichś dziecięcych myślach, że wydawała się głuchoniema.

Po śniadaniu wyszliśmy na ulicę, na której zdążyło się już zrobić gorąco i duszno. Siergiej odprowadził nas na plażę, gdzie się pożegnaliśmy, wymieniając się obietnicami: on da obejrzeć Tatianie wszystkie materiały dotyczące pożaru, oczywiście z wyjątkiem tych, które są u śledczego, a ja odwiedzę go z Tatianą i Lilą i zrobię frajdę jego mamie i siostrze, poznając je ze słynną (kto by pomyślał?) pisarką.

Rozdział 4

Rita zjawiała się jak zwykle koło południa. Dzisiaj znowu miała trzydzieści dwa lata, widocznie pierwszy szok wywołany zabójstwem jej przyjaciółki Olgi już minął, a śmierć Lusi Dowżuk jakby zapowiadała: zaczął się okres koszmarów, teraz tak będzie zawsze, więc nie pozostaje nic innego, jak tylko się przyzwyczaić. W każdym razie wygląd Margarity dowodził, że w ten właśnie sposób postrzegała sytuację. Szła przez plażę, błyskając okrągłymi kolanami we „wstażkowych” rozcięciach, i nie sprawiała już wrażenia przybitej, tryskała wręcz energią.

– Wyobraź sobie – zwróciła się do mnie wzburzona, wypakowując z torby morele i winogrona, ale trąciłem ją w łokieć ostrzegawczo.

– Lila, nie chcesz pójść się wykapać? – spytałem w przeświadczeniu, że dziecku na nic się nie zda słuchanie strasznych historii.

– Nie, tato, poczytam sobie – odparła, nie odwracając wzroku od otwartej książki. Mogłem jednak dać sobie rękę uciąć, że zamiast czytać, będzie przysłuchiwała się naszej rozmowie.

– A co czytasz, córeczko?

Ni z tego, ni z owego Rita postanowiła zabawić się w wychowywanie dziecka i sprawdzić, czym w wolnym czasie zajmuje się jej ośmioletnia córka. Cały zdrętwiałem, gdy usłyszałem pytanie. Moja ekszona zaraz zobaczy okładkę powieści kryminalnej, i Lila nie omieszka powiedzieć jej o cioci Tani, która napisała tę książkę, z którą mieszkamy w tym samym domu i z którą spacerowałem wczoraj późnym wieczorem. I wróciłem cały w szmince. Straciłem zupełnie czujność. Gdy tylko Lila wygłosiła swoją tradycyjną formułkę „zaraz przyjdzie mama”, mogłem poradzić jej, żeby schowała książkę do torby i wyjęła *Muminki*. Chociaż nie, to też było niewłaściwe rozwiązanie – nie mogę uczyć dziecka, jak oszukiwać matkę.

W tym momencie Lila (po raz kolejny dzisiaj) znowu mnie zadziwiła. Udała, że nie słyszy, o co się ją pyta, i siedziała wciąż z podwiniętymi nogami, z nosem wetkniętym w książkę. Na szczęście zapał pedagogiczny Rity zgasł tak szybko i nagle, jak się pojawił, i od razu przystąpiła do omawiania wczorajszej tragedii.

– Słyszałeś już?

– Tak, mówili w telewizji – odrzekłem ostrożnie, w nadziei, że Rita będzie na tyle domyślna, żeby nie nazywać rzeczy po imieniu.

– Masz pojęcie, zginęła cała biżuteria Kazalskiej. Przecież ona oszaleje, nawet kiedy idzie do toalety, obwiesza się kilogramami złota.

A niech to! Myślałem już, że przez sześć lat wspólnego życia plus dwa lata znajomości przed ślubem zdążyłem Margaritę dobrze poznać, na własnej skórze doświadczając siły jej oszczerstw, ale moja była żona ciągle przechodziła samą siebie. Siergiej powiedział mi dzisiaj, że nie zniknęła cała biżuteria, lecz tylko ta, która znajdowała się w kasetce.

– Nie szkoda ci jej sąsiadki z pokoju? – spytałem z wyrzutem.

– Szkoda. – Rita przytaknęła skwapliwie, ale wyraz jej twarzy świadczył, że się nad tym raczej nie zastanawiała. Zżerała ją ciekawość. Oczami wyobraźni widziała, jak przyjedzie do Moskwy i będzie wszystkim opowiadała o dramatycznych wydarzeniach, których świadkiem udało jej się być. – Moim zdaniem, przewodniczący jury jest najważniejszy w sprawie. – Popatrzyła na mnie znacząco. – Ponieważ pierwszą nagrodę dostałaby na pewno Ola, komuś to się bardzo nie spodobało.

– Jak przypuszczasz, komu?

– Ja nie przypuszczam, ja wiem – odparła z przekonaniem. – Nad czym się tu zastanawiać? To jasne jak słońce.

– Więc, twoim zdaniem, komu?

– Tej milionerce, a komu innemu! – zachnęła się Rita. – Kto ma pieniądze, żeby to wszystko opłacić? Przecież sama obydwa razy kręciła się wszystkim przed oczami, więc to zupełnie oczywiste, że kogoś wynajęła.

Domyśliłem się, że Rita ma na myśli Reginę Goletiani. A właściwie dlaczego z miejsca ją wykluczyłem? I uznałem, że nie potrzebuje pięćdziesięciu tysięcy dolarów? Bo jej ojciec jest prezesem zarządu największego na Litwie banku, a mąż ma ogromne konta walutowe przynajmniej w czterech krajach za granicą? Ale przecież dobrze wiadomo, że wśród milionerów trafiają się dość często ludzie przezorni i oszczędni, którzy chętnie inwestują astronomiczne sumy w projekty obiecujące zyski, i jednocześnie ograniczają codzienne wydatki, nie dając na przykład żonie pieniędzy na nową sukienkę, bo i tak ma w co się ubrać. Może Reginie znudziło się ciągle żebrać u męża o pieniądze? Może facet ma węża w kieszeni i wydziela jej głodowe sumki? Trzeba delikatnie wypytać Ritę.

– A po co jej pieniądze? Rodzina należy do zamożnych – zarzuciłem przynętę i byłem ciekaw, czy coś się złapie na haczyk.

– Jak to po co? A chłopiec? Wiesz, ile idzie na niego pieniędzy? A mąż nie daje ani kopiejki.

– Jaki chłopiec? – spytałem zdziwiony.

– Przecież ci mówiłam, tylko ty nigdy mnie nie słuchasz – z rozdrażnieniem odparła Rita. – Regina ma trzyletniego synka. Wykapany Alain Delon, no chyba wiesz, o kim mówię.

Tak, wiedziałem. A raczej przypomniałem sobie nagle, że Rita rzeczywiście opowiadała mi, że Regina Goletiani urodziła dziecko znanego aktora filmowego Władimira Kowacza, z wyglądu bardzo podobnego do Alaina Delona. Jakoś się jednak nie zastanawiałem, jak na to zareagował mąż. Dopiero teraz dotarło do mnie, że nie wyrzucił jej z domu, bo łączyły go z teściem, ojcem Reginy, sprawy finansowe, i nie chciał zniszczyć wypracowanego i funkcjonującego od lat mechanizmu prowadzenia wspólnych interesów. Regina została z mężem milionerem, lecz postawił on warunek, że chłopiec nie będzie się wychowywał w ich rodzinie. Jak żona rozwiąże ten problem – jej sprawa. On, dumny i ambitny Gruzyn, nie zniósłby w swoim domu żywego świadectwa zdrady żony. Sądzę, że tak naprawdę dla Żory Goletianiego dziecko byłoby czymś w rodzaju zwierciadła, i przeglądając się w nim, za każdym razem widziałby rozłożyste rogi, które przyprawiła mu Regina.

– A gdzie się ten chłopiec podziewa? – spytałem, mając po cichu nadzieję, że Lila, pochłonięta kryminałem, nie uchwyci sedna naszej rozmowy.

– Wychowuje go jej siostra, jest samotna.

Sytuacja przybrała nowy obrót: należało niezwłocznie zdecydować, komu przyznać pierwszeństwo na liście podejrzanych: Marinie Celajewej czy Reginie Goletiani. Gdybym mógł liczyć na jakieś dodatkowe posiłki, nie byłoby problemu, sprawdziłoby się obie panie. Ale jeśli chodzi o siły miejscowej milicji, a z tym było krucho, w grę wchodził tylko Siergiej Lisicyn i jego dwaj towarzysze, których łączna wydajność nie przekraczała siedemdziesięciu pięciu procent jednego dobrego wywiadowcy. Skoro zabrałem się jednak do łowienia ryb, postanowiłem pójść na całość i zarzuciłem przynętę po raz drugi.

– A inne kandydatki nie potrzebują pieniędzy? Czemu akurat Regina?

– Och, Władik, co za pytanie! Oczywiście, że pieniądze potrzebne są wszystkim. Ale przede wszystkim Reginie. Tej laluni Celajewej sponsorzy wynajmują osobny apartament, dokładnie taki sam jak Kazalskiej. Rozumiesz, co to oznacza? Że jest przyjaciółką któregoś sponsora. Więc jeśli facet ma na zbyciu tyle pieniędzy, żeby zorganizować festiwal i wstawić swoją znajomą statystkę na listę kandydatek, to ona nic nie będzie kombinowała. Dzięki opiekunowi ma wszystko. Może po prostu poprosić go o pięćdziesiąt tysięcy, i kłopot z głowy. Mam rację?

– Może. A inne dziewczyny? Też mają bogatych opiekunów?

Starannie unikaliśmy w obecności Lili takich słów jak „kochanek”, „kochanka”, zamieniając je eufemizmami „opiekun” i „przyjaciółka”.

– Blondynka – z całą pewnością, za jej opiekunów robią wszyscy mieszkańcy Moskwy, którzy noszą spodnie. A Saule jest biedna, wiem to na pewno. Ma przecież rodziców w Kazachstanie, ojciec jest Kazachem, a matka Rosjanką. Kiedy zaczęły się prześladowania Rosjan, matkę wyrzucono z pracy. A wiesz, kim była?

– Nie mam pojęcia. Kim?

– Prorektorem największej uczelni technicznej w Kazachstanie. Twarda jak gład, pilnowała, żeby do instytutu przyjmowano tylko tych, którzy rzeczywiście mogli pochwalić się wiedzą i przebrnęli przez egzaminy. Oczywiście za dawnych czasów obowiązywał określony limit kadry narodowościowej, partia tego pilnowała, ale gdzieś tak od osiemdziesiątego szóstego roku, kiedy rozpoczęła się zabawa w równość i demokrację, matka Saule, nie mrugnawszy okiem, na oczach nieposiadającej się ze zdumienia publiczności, podała listy specjalne. Sama siedziała na wszystkich egzaminach wstępnych z fizyki i z matematyki. Wyobrażasz sobie, ilu jabłkowo-mandarynkowych potentatów wysłało swoje pocięchy do instytutu i dostało figę? Zapłacili przecież komu trzeba: sekretarzowi komisji kwalifikacyjnej, egzaminującym wykładowcom – słowem, wszystkim. Z wyjątkiem pani prorektor, która nie brała łapówek. Ciągnęło się to pięć, sześć lat, a potem ją zwolniono, co więcej, ktoś spalił Ibrajbiekowym mieszkanie w Ałma-Acie. Saule musiała jak najszybciej przewieźć rodziców do Moskwy, poszukać im jakiegoś lokum, kupić meble i ubrania. W ich mieszkaniu wszystko spaliło się doszczętnie. Dobrze, że chociaż sami uszli z życiem. Krótko mówiąc, poszły na nich wszystkie jej oszczędności.

– No widzisz, a mówisz, że pieniądze nie są jej potrzebne. Jeszcze jak potrzebne.

– Nie rozumiesz. – Rita znowu się rozszłościła. – Żeby to zrobić – zaakcentowała słowo „to” – trzeba kogoś wynająć. Regina może sobie pozwolić na zapłacenie dziesięciu tysięcy, żeby potem dostać pięćdziesiąt. Chwytasz? A Saule nie dysponuje taką sumą. Chodzi czasem w pocerowanych rajstopach, bo nie stać jej na nowe.

– Ale przecież niekoniecznie muszą kogoś wynajmować – zaproponowałem. – Każda kobieta ma co najmniej jednego przyjaciela, który zrobi to dla niej za darmo. Może byś się zastanowiła, czy Regina i Saule mają takich bezinteresownych znajomych. A może dwie pozostałe aktorki też mają kogoś takiego. Co, Rita?

– Na co ci to? – Jej podejrzliwy wzrok przewiercał mnie na wylot. – Nie jesteś teraz w pracy. Znowu chcesz się pakować w nie swoje sprawy?

Niekiedy Rita zupełnie zapominała, że jesteśmy już trzy lata po rozwodzie, i zachowywała się, jakbym był jej własnością. Okropnie mnie to bawiło.

– Ćwiczę szare komórki – odrzekłem. – A nuż uda mi się, siedząc na plaży i nie podnosząc tyłka, zrobić to, czego nie potrafiły miejscowe organa ścigania. To jak, Rita, podpowiesz mi jakieś nazwiska?

– Nie sądzę. – Pokręciła głową. – Saule raczej nikogo nie ma. W ogóle jest chyba z innej planety. Wydaje mi się, że to jeszcze dziewica. Musiałaby sama wszystko załatwić... Blondynka na pewno ma mnóstwo znajomych z ciemną przeszłością, mogliby się tego podjąć dla czystej rozrywki. Prawdopodobnie masz rację, wśród grona jej znajomych znajdą się tacy, którzy nie zażądają nawet pieniędzy.

Tym razem haczyk pozostał pusty. Ogólnie rzecz biorąc, rozważania Rity były słuszne, ale niestety nie zawierały żadnych konkretów. Jedyne, co udało mi się osiągnąć, to wykluczyć z listy Saule Ibrajbiekową. Pozostawała trójka.

Marina Celajewa, która nie miała najmniejszych szans na pierwsze miejsce, dopóki pozostawała przy życiu chociaż jedna pretendenta do nagrody, miała za to bogatego przyjaciela, który aż się trząśł, żeby móc się pochwalić kochanką, będącą gwiazdą filmową.

Jekatierina Iwannikowa, niepozobawiona talentu, przyzwyczajona, że wszystko w życiu zdobywa drogą seksu, głównie oralnego.

I Regina Goletiani, zmuszona do utrzymywania swojego nieślubnego syna, którego zazdrosny mąż pozbawił rodziny.

No cóż, trójka to nie tak źle, można wrzucić na luz. Trójka to nie pięćdziesiątka, a tym bardziej setka. Tylko patrzeć, jak się z tym uporamy.

Wieczorem wszyscy troje – Tatiana, Lila i ja – poszliśmy odwiedzić Siergieja Lisicyna. Po powrocie z plaży spotkanie z Tatianą, pomimo moich wcześniejszych obaw, było miłe i naturalne, Tania uśmiechnęła się do mnie i od razu zaczęła wypytywać, czy jest coś nowego w śledztwie dotyczącym zabójstw. Chętnie przyjęła zaproszenie młodego wywiadowcy, zwłaszcza gdy dowiedziała się, że wytargowałem jej za to prawo do obejrzenia materiałów dotyczących kwietniowego pożaru w Teatrze Letnim.

– Dima, jest pan cudowny – powiedziała. – Jestem pana dłużniczką.

Zanim przygotowaliśmy się do wyjścia, zrobiło się wyraźnie chłodniej, podniósł się lekki wiatr. Nasza gospodyni Wiera Iljiczna rzuciła się nagle do zamykania okien i zdejmowania suszącego się na dworze prania.

– Będzie huragan – oznajmiła zaniepokojona, spoglądając na niebo i pośpiesznie sprzątając z dużego stołu na dworze talerze i koszyk do chleba. – Nie wybierajcie się zbyt daleko.

– Idziemy do znajomego, Wiero Iljiczno, proszę się nie martwić – rzuciłem beztrąsko.

Huragan? Dobre sobie. Ochłodziło się trochę, ale na niebie nie ma ani jednej chmurki, słońce już zachodzi, za pół godziny zacznie się ściemniać, i stąd ten spadek temperatury.

Nie śpiesząc się, minęliśmy centrum i znowu znaleźliśmy się w dzielnicy domków jednorodzinnych, gdzie ulice były tak samo niebrukowane, ciche i zielone jak ta, na której mieszkaliśmy. Zgodnie z narysowanym przez Siergieja planem, przedstawiającym drogę od naszego domu do jego ulicy, zostało nam jakieś trzysta metrów.

Huragan nadciągnął tak nagle, że nawet nie zdążyłem zdać sobie z tego sprawy. Po prostu zerwał się wiatr, a idący przed nami starszy mężczyzna z gazetą pod pachą uniósł raptem obie ręce i złapał się płotu, koło którego akurat przechodził. Gazeta upadła na ziemię, wiatr od razu ją pochwycił, zaczął tarosić, a potem cisnął nam prosto pod nogi. Białe kartki z zeszytu, które wysypały się z gazety, zawirowały przestraszone w powietrzu. Widziałem, jak mężczyzna, trzymając się kurczowo płotu, rozglądał się zakłopotany w poszukiwaniu swojej własności.

– Lila, pomóż panu – powiedziałem, wskazując lecącą w naszą stronę gazetę i karteluski, które z niej wypadły.

Lila posłusznie podniosła gazetę, pozbierała białe arkusiki, i podbiegła do nieznajomego. Wiatr ustał tak samo szybko, jak się pojawił.

– Dziękuję ci, dziecko.

Głos mężczyzny był potężny i głęboki. Przez chwilę ogarnął mnie śmiech, że właściciel takiego silnego basu przestraszył się jednego porywu wiatru tak bardzo, że obiema rękami uczeplił się płotu. Ale już w następnej chwili śmiech zamarł mi na ustach. Nowe uderzenie wiatru było o wiele potężniejsze od poprzedniego. Chwyciłem mocno Lilę za rękę i rzuciłem rozkazująco:

– Dziewczyny, wyciągajcie nogi. Może to rzeczywiście huragan. Musimy jak najprędzej dobiec do tamtego domu – machnąłem ręką w stronę posesji w głębi ulicy.

Puściliśmy się szalonym pędem. Ku mojemu zdziwieniu Tatiana poruszała się ciężko, ale dosyć szybko, nie spodziewałem się po niej takiego tempa, Lila z kolei, która nigdy w życiu nie pokonała biegiem odległości większej niż trzy metry, wyraźnie zostawała w tyle i musiałem ciągnąć ją za rękę. Obłok kurzu zmierzał prosto ku nam.

– Zamknąć oczy, dziewczęta! – ledwie zdążyłem krzyknąć, a już miałem pełno piasku w nosie i ustach.

Przebiegliśmy parę metrów z zamkniętymi oczami. Chmura przesunęła się dalej, a ja zobaczyłem, że przed nami otworzyła się furtka i na ulicy pojawił się Sierioża Lisicyn z ogromną peleryną w rękach.

– Prędzej! – zawołał. – Zaraz lunie.

Miał rację. Pierwsze krople spadły, gdy od upragnionej furtki dzieliło nas niecałe dwadzieścia metrów. Siergiej biegł w naszą stronę, ale niebiosa rozwarły się, zanim zdążył narzucić pelerynę na Tatianę i Lilę. W jednej sekundzie przemokliśmy do suchej nitki. Śmiejąc się i parskając, wpadliśmy do ciepłego i bezpiecznego domu. Woda lała się z nas strumieniami.

Mama Sierioży, Antonina Prokofjewna, jeszcze całkiem młoda kobieta, od razu zarządziła, żebyśmy się wysuszyli i przebrali: Tatianę i Lilę wysłała do pokoju Łarisy, siostry Sierioży, a mnie – do łazienki. Wciągając czyjaś koszulkę i niebieskie džinsy, zastanawiałem się, jak będę wyglądał w tym stroju. Przy moim wzroście spodnie okażą się pewnie za krótkie. Moje przypuszczenia potwierdziły się, koszulka za to wcale nie była ciasna w ramionach, jak zakładałem. Widać nie należała do Sierioży, ale do jego ojca, którego jeszcze nie widziałem. Do głowy przyszła mi zabawna myśl: ciekawe, w co szczuplutka Łarisa przebierze tęgą, dużą Tatianę. A małą Lilę?

Kiedy dziesięć minut później zebraliśmy się przy odświeżonym nakrytym stole, jęknąłem z zachwytem. Tatiana była w czarnej, luźnej sukni, gęsto udrapowanej na wysokości biustu, swobodnie spływającej i całkowicie zakrywającej masywne biodra. Natomiast szczupłe, śliczne kostki pozostały odsłonięte, i miałem wrażenie, że pod tą ładną, lejącą się suknią cała Tania jest szczupła i śliczna, z talią osy i z obfitym biustem. Wiedziałem, rzecz jasna, że to nieprawda, ale złudzenie było tak silne, że na pewien czas poddałem się jego urokowi. Włosy koloru platyny, które Tania nosiła dotychczas upięte w surowy kok, opadały rozpuszczone. Wszystko to sprawiło, że zaczęła przypominać artystkę operową, która zjawiała się na scenie w sukni koncertowej. Zresztą okazało się, że byłem bliski prawdy. Suknia rzeczywiście przeznaczona była na koncerty. Należała do Antoniny Prokofjewnej, wiolonczelistki orkiestry symfonicznej miejscowej opery. Siostra Siergieja, Łarisa, również grała w tej orkiestrze, ale na skrzypcach. Łarisa ubrała Lilę w swoją długą koszulkę, nazywa się to chyba tunika, w sumie sięgała Lili za kolana, ale była ciepła i sucha.

Rozmowa przy stole od razu zaczęła krążyć wokół twórczości Tatiany. Antonina Prokofjewna i Łarisa zarzuciły ją pytaniami, a Tania odpowiadała cierpliwie, przytaczała

jakieś zabawne historie, żartowała, wplatała śmieszne słówka i nieoczekiwane, ale celne porównania. Usiedliśmy z Siergiejem obok siebie przy drugim końcu stołu i zaczęliśmy półgłosem omawiać nasze niewesołe kryminalne sprawy.

Muszę oddać sprawiedliwość Sierioży: w jakiś niepojęty sposób udało mu się dowiedzieć, dokąd wybrała się Olga Dorienco ostatniego dnia w swoim życiu. Okazało się, że jedna z jej koleżanek w Moskwie, dowiedziawszy się, iż Olga przyjeżdża tu na festiwal, poprosiła ją, aby przekazała dalekiemu krewnemu niewielką paczuszkę. Właśnie do niego udała się Olga tamtego dnia, kiedy spóźniła się na konferencję prasową. Co więcej, w czasie gdy ja powodowany podłym egoizmem wylegiwałem się leniwie na plaży, Siergiej dzwonił się do Moskwy, odszukał tę koleżankę i wypytał ją o adres i nazwisko krewnego, dla którego przeznaczona była paczka. Nie zdążył tylko złożyć mu wizyty, bo umówił się ze mną na ósmą, a nie chciał, żebym pomyślał, że jest nieuprzejmy.

Za oknem co rusz rozlegał się trzask – wiatr łamał gałęzie drzew w sadzie. Lało jak z cebra i nie wyobrażałem sobie naszego powrotu na ulicę Pierwszego Maja. Co chwila spoglądałem w okno, za którym panowała straszliwa ciemność. Zauważywszy mój niepokój, Lisiscyn pospiesznie zapewnił:

– Za jakąś godzinę wszystko się uspokoi. Proszę się nie martwić, Władisławie Nikolajewiczu. Burze na południu mają to do siebie, że są silne, ale krótkie. Zresztą tak samo jak romanse – dodał z uśmiechem.

Pomyślałem, że ta fałszywa gadzina, podobna do aniołka, która kiedyś boleśnie zraniła Siergieja, była najprawdopodobniej przyjezdna.

Siergiej miał rację. Burza ucichła, zanim zdążyliśmy dopić herbatę i zjeść pyszne ciasto. Antonina Prokofjewna od razu otworzyła na oścież okna, i do pokoju, w którym zdążyliśmy z Siergiejem nieźle nadymić, wpadło świeże, wilgotne powietrze, niosące zapach morza, mułu i jakichś kwiatów. Nie wiem, gdzie gospodyni suszyła naszą mokrą odzież, ale nim wyszliśmy, wszystkie rzeczy były całkiem suche, buty też.

Stojąc już w progu, pod wpływem niezrozumiałego impulsu zwróciłem się do Siergieja:

– Daj no mi adres tego człowieka, któremu Ola miała przekazać paczkę. Sam wstąpię do niego jutro, żebyś nie tracił czasu, a ty zajmij się znajomkami naszych ślicznych aktorek.

Chłopak spojrzał na mnie z wdzięcznością i wręczył kartkę z adresem.

Wracaliśmy do domu tą samą drogą: najpierw ciemnymi ulicami wiodącymi przez dzielnicę domków jednorodzinnych, potem przez hałaśliwe, jaśniejące światłami, zatłoczone centrum i znowu cichymi, niebrukowanymi uliczkami.

– Tanieczka, zdaje się, że naruszyłem pani harmonogram.

– W jakim sensie?

– Trzysta wierszy. Przecież dzisiaj nie napisze ich pani, bo poszliśmy z wizytą.

– Czyli że jutro będę musiała machnąć sześćset. Nie pójdę się kapać, póki nie skończę, i tyle.

– Tania, to okrutne! – rzuciłem ze śmiechem. – Jak może pani tak się nad sobą znęcać? Przyjechać nad morze i zamknąć się w czterech ścianach.

– Nic pan nie rozumie, Dima. Po pierwsze, dla mnie to przyjemność, a nie tortura. A po drugie, proszę nie zapominać, że to są pieniądze. Wydawnictwo płaci mi dwieście dolarów za arkusz, to znaczy za dwadzieścia cztery strony druku. Trzysta wierszy to jakieś osiemdziesiąt dolarów, albo jeśli przeliczyć na ruble, trzysta pięćdziesiąt tysięcy. Jeśli napiszę trzysta wierszy – wpadnie mi do kieszeni okrągła sumka. Rozumie pan? To dobra motywacja. I po trzecie, jest ze mną Irocza. Zgodziła się poświęcić mieszkanie, żebym nie musiała zamieniać swojego tylko dlatego, że obiecałam zarobić dla niej pieniądze na nowy ką. Gdy ogarnia mnie lenistwo i odpuszczam sobie pisanie, a Ira w tym czasie gotuje albo pierze, może pan sobie wyobrazić, jak się wtedy czuję.

– A tak przy okazji, Ira nie obraziła się, że zostawiła ją pani dzisiaj samą?

– Mam nadzieję, że nie. Po naszym wczorajszym spacerze była trochę smutna, że nikt jej tu nie adoruje, ale rano wypatrzyła sobie bardzo sympatycznego wczasowicza z sąsiedniego domu, więc wieczorem nie będzie się nudzić. W sumie Ira ma wspaniały charakter, prosty, bezkonfliktowy, prowadzenie domu to dla niej pestka. Jej wybranek będzie miał szczęście!

– Coś długo się ten szczęściarz nie pokazuje – stwierdziłem uszczypliwie, nieprzekonany. – Ile ona ma lat?

– Dwadzieścia sześć. Jest młodsza ode mnie. Pewnie pytając o Irę, chciał pan sprytnie zahaczyć o mój wiek.

– Tania!

– Proszę dać spokój, Dima, ja nie mam kompleksów. Jeśli to pana interesuje, trzeba było wcześniej zapytać i nie męczyć się niepotrzebnie.

– Przyjmijmy, że zapytałem.

– Mam trzydzieści cztery lata.

– Niemożliwe! Naprawdę?

– Naprawdę. Coś panu nie gra?

– Ma pani taką gładką skórę... Nie dałbym pani więcej niż dwadzieścia osiem.

– Dimoczka, jest pan bardzo miły. Skóra jest gładka, bo jestem gruba. W tym cały sekret.

– Tania! Dlaczego ciągle stawia mnie pani w niezręcznym położeniu?

– Ależ skąd. Tak, jestem gruba, no i co, mam się z tego powodu powiesić? Albo udawać, że jestem zgrabną laską, a ci, którzy widzą moją otyłość, są po prostu źle wychowanymi chamami, pozbawionymi poczucia piękna?

– Ciociu Taniu – przerwała nagle Lila, która do tej pory szła obok, nie odzywając się i trzymając mnie za rękę. – A dlaczego mówi pani na tatę Dima?

– Bo pełne imię Władisław zawiera sylabę „di”, i twój tata pozwolił, żebym nazywała go Dimą – wyjaśniła Tatiana.

– Aha – odparła Lila i znowu umilkła.

Dzięki temu, że się wtrąciła, można było zostawić drażliwy temat jej wyglądu. Zawsze się bałem takich dyskusji. Mówiąc kobiecie prawdę, facet może wydać się nieuprzejmy, a chwając ją i prawiąc jej komplementy, ryzykuje, że ona przyjmie to za dobrą monetę i odbierze dżentelmeńskie ochy i achy niemal jak wyznanie miłości.

– Tanieczka, właśnie wpadło mi coś do głowy. Skoro zamierza pani rzeźbić jutro swój bestseller, może mógłbym zostawić z panią Lilę? Muszę skoczyć w pewne miejsce i nie chcę jej ciągnąć ze sobą. Może się dowiem, dlaczego Olga Dorienko spóźniła się na konferencję prasową.

– Oczywiście, Dima, co za pytanie. Proszę się nie martwić, Ira pójdzie na plażę, a my z Lilą posiedzimy w sadzie. A właśnie, Lila, jak tylko wrócimy, przypomnij mi, żebym podładowała komputer, bo jak bateria padnie, będziemy musiały siedzieć w domu.

– Dobrze, ciociu Taniu.

Tak, moje dziecko nie należy do rozmownych. Czasem się zastanawiam, co się dzieje w tej kędzierzawej główce, gdy Lila się nie odzywa? Jakie rodzą się tam myśli? Jakie pytania, których nie ma komu zadać, bo rodzice są wiecznie poza domem? Co moja córka sądzi o przeczytanych książkach? Co rozumie z rozmów dorosłych?

Przy naszej furtce stała Irocza z jakimś siwobrodym typem w drogich okularach. Z jej miny można było wywnioskować, że wieczór nie poszedł na marne: Ira w końcu znalazła sobie odpowiedni obiekt do flirtu na wczasach. No i dobrze.

Rano dałem Lili śniadanie, przekazałem ją w ręce Tatiany i udałem się na spotkanie z Nikołajem Fiodorowiczem, noszącym nietypowe nazwisko Wiernigora. To dla niego Olga Dorienco przywiozła z Moskwy niedużą paczuszkę od jakichś dalekich krewnych.

Adres sugerował, że Nikołaj Fiodorowicz mieszkał niedaleko, i rzeczywiście, dotarcie na miejsce zajęło mi jakieś dwadzieścia minut. Był to nieduży, zadbane domek, pomalowany na biało i czerwono, wyglądał jak z bajki, od razu było wiadomo, że właściciel nie lubi siedzieć z założonymi rękami.

Wszedłem przez furtkę do ogrodu, wspiąłem się po schodach i nacisnąłem klamkę przy drzwiach. Zamknięte. Obszedłem dom dokoła, zaglądając w okna, ale właściciela nigdzie nie wypatrzyłem. Poszukiwania w sadzie też nie przyniosły rezultatu. Postanowiłem zaczekać. W końcu starszy człowiek nie mógł odejść zbyt daleko, zwłaszcza z samego rana. W najgorszym razie wybrał się na bazar i wróci w ciągu godziny.

Usiadłem przy zadaszonym stole, identycznym jak na naszym podwórzu, z przyjemnością zapaliłem papierosa i zacząłem się przyglądać rosnącym wokół drzewom. Tak minęło czterdzieści minut.

– Młody człowieku – dobiegł mnie z ulicy kobiecy głos – nie ma pan czasem na imię Jurij?

– Nie – odparłem.

Ciekawe, kim jest Jurij. Synem Nikołaja Fiodorowicza? Ale dlaczego w takim razie sąsiadka nie zna go osobiście? Może przyjechał pierwszy raz z innego miasta?

– Nie jest pan mężem Lenoczki? – Natarczywa sąsiadka nie zamierzała się poddać.

– Nie. Czekam po prostu na Nikołaja Fiodorowicza. Mam do niego sprawę.

Kobieta podeszła bliżej i przystanąła, chwytając się rękami płotu.

– Czyżby pan nie wiedział? – spytała jakimś dziwnie zmienionym głosem i od razu zrobiło mi się nieswojo. Chyba mój chłopaczek ze skrzydełkami na plecach włożył swoją rączkę do bębna i już ciągnie los, na którym widnieje słowo przyprawiające mnie o gęsią skórę.

– O czym?

– Nikołaj Fiodorowicz zmarł.

– Kiedy?!

– Wczoraj. Od razu wysłaliśmy telegram do Murmańska, do jego córki, Lenoczki, jej mąż jest marynarzem. Pomyślałam, że to może oni już przylecieli. A kim pan jest?

– Właściwie nikim. Przyszedłem o coś zapytać, ale widać niepisane mi było. A pani mieszka obok?

– Dwa domy dalej.

– Dobrze pani знаła Nikołaja Fiodorowicza?

– Czy ja wiem... – Kobieta wzruszyła ramionami. – Odwiedzaliśmy się, jak to sąsiedzi, żeby coś pożyczyć albo tak... Nikołaj Fiodorowicz nie skarżył się na samotność, nie szukał towarzystwa. Ciągle miał jakieś zajęcie. Dom też sam prowadził, od dawna był wdowcem.

– Co się z nim stało? – spytałem.

– A co się mogło stać? Umarł ze starości. Lekarz powiedział, że serce się zatrzymało. Był dobrze po siedemdziesiątce, więc nie ma się co dziwić.

– A kiedy pogrzeb?

– Czekamy na córkę z mężem. Ciało przewieziono do kostnicy, gdy tylko dzieci przyjadą, od razu go pochowają. Młody człowieku, bardzo pan się spieszy?

– Skąd, gdzie miałbym się spieszyć, jestem na wczasach.

– Więc proszę mi pomóc. Muszę na chwilę pobiec do przychodni, może posiedzi pan tutaj i popilnuje, a nuż Lenoczka z Jurą się zjawią. Co dziesięć minut wyglądam przez okno, żeby ich nie przegapić. Nie mają przecież kluczy, przyjadą zmęczeni, z bagażami, i będą się tulać, szukając jakiegoś kąta na noc. Napisałam oczywiście wczoraj kartkę, że klucze są w domu numer szesnaście i przyczepiłam ją na drzwiach, ale zdaje się, że już znikła.

Zwyczajem krótkowidzów przymrużyła oczy i zaczęła wpatrywać się w to miejsce, gdzie według niej powinna wisieć kartka. Ale ja już zdążyłem wszystko dokładnie obejrzeć, więc dobrze wiedziałem, że żadnej kartki tam nie było.

– No co za ludzie, niech pan powie, co za ludzie – podniosła lament – na co komu ta kartka? Ale nie, ktoś musiał zerwać, na złość, żeby innemu zrobić świństwo. To jak, posiedzi pan? W razie czego klucze są u mnie, dom numer szesnaście, syn panu wyda.

– Dobrze, posiedzę – uspokoiłem troskliwą sąsiadkę.

– Będę raz-dwa. Wpadnę tylko do zabiegowego – i zaraz wracam.

Kobieta pośpiesznie się oddaliła, a ja zostałem na straży, czując w głowie kompletny zamęt. Umarł człowiek, po którym wiele sobie obiecywałem, miał mi powiedzieć, co było w zaginionej bez śladu fioletowej reklamówce z żółtymi rączkami. W dodatku mógł wiedzieć, dlaczego Olga się spóźniła, wracając do hotelu. Może powiedziała mu, gdzie jeszcze zamierzała wstąpić po drodze. Niewykluczone, że odwiedziła kogoś, zanim przyniosła paczkę Nikołajowi Fiodorowiczowi, i całkiem prawdopodobne, że coś na ten temat wspomniała. A może coś ją zatrzymało tutaj, w tym domu. Tak czy inaczej, teraz już się tego nie dowiem. A taką miałem nadzieję...

Z zamyślenia wyrwał mnie łamiący się, niski głos, należący do siedemnasto, może osiemnastoletniego chłopaka.

– Dzień dobry. Pan przypadkiem nie z milicji?

Pytanie wprawilo mnie w zakłopotanie. Przypadkiem byłem z milicji, nie przypadkiem też. Ale czy warto się z tym afiszować?

– Na razie nie – wykpiłem się żartem. – Przyszedłem tu prosto z domu. A czemu?

– Szkoda. – Chłopak szczerze się zmartwił. – Myślałem, że jest pan milicjantem.

– A o co chodzi?

Robiło się ciekawie. Może odpowiedzi na moje pytania są na wyciągnięcie ręki?

– Gdyby był pan z milicji, mógłby mi pan otworzyć dom. Muszę się tam dostać.

– Jest pan krewnym?

Chłopak, zamiast odpowiedzieć, szybko podszedł do okna, obejrzał z miną znawcy ramę i wrócił do stołu.

– U dziadka Nikołaja została kasetka, którą mi pożyczyłem. Nie jest moja, muszę ją zwrócić. Dałem mu ją tylko na trzy dni. Tam – chłopak machnął głową w nieokreślonym kierunku – już się wkurzają, żądają albo zwrotu kasetki, albo pieniędzy.

– Co to za kasetka?

– *Zakładnik numer jeden*, amerykański dramat wojenny.

– Czyżby Nikołaj Fiodorowicz lubił kino akcji? Siadaj, szkoda nóg, mądrzejszy przez to nie będziesz.

Chłopak usiadł naprzeciwko i spojrzał z ukosa na leżącą przed nim paczkę papierosów.

– Mogę się poczęstować?

– Jasne. Jak ci na imię?

– Lonia.

– No to jak to było z tymi filmami, Lonia?

– Dziadek chętnie je oglądał, zawsze pytał, jakie mamy nowości. Pracuję w wypożyczalni kaset – wyjaśnił Lonia. – Ze względu na jego wiek dostarczałem mu kasetki do domu, żeby nie musiał specjalnie chodzić. Mieliliśmy taką umowę: jak tylko coś nowego się pokaże, lecę z tym do niego, on ogląda pierwsze pięć minut filmu i od razu decyduje, czy warto wypożyczyć. Wie pan, potrafił odróżnić dobry film od złego już na podstawie pierwszych kadrów. Mówił, że jeśli film ma klimat i nakręcił go prawdziwy mistrz, można to poznać po samych napisach, ważna jest też oprawa plastyczna i muzyczna. Jeśli postanawiał zatrzymać kasetkę, wtedy płacił za wypożyczenie.

– A jeśli nie, płacił za przysługę? – spytałem ze zrozumieniem. – Z choinki się urwałem, żeby uwierzyć, że młody chłopak biega do emeryta z kasetami pod pachą tak po prostu, za zwykle dziękuję.

– No... – Chłopak wyraźnie się zmieszał, ja też poczułem się niezręcznie. – A co w tym złego?

Powiedział to tak wyzywająco, że aż się przestraszyłem, że z dalszej rozmowy będą nici.

– Nic, wszystko w porządku – zapewniłem z pośpiechem. – A jeżeli nie zastawałeś go w domu? Co wtedy?

Chyba trafiłem w dziesiątkę. Widocznie Lonia chciał właśnie o tym porozmawiać, ale nie wiedział, jak zacząć.

– Na jednym oknie jest taka sprytna zasuwą, którą można otworzyć z zewnątrz, a potem zamknąć. Kto nie wie, w życiu się nie domyśli. Dziadek był specem od takich rzeczy, całe życie spędził w zwiadzie wojskowym.

– Co ty powiesz?

– No tak. Nie wiedział pan? Byliśmy dogadani: jeśli nie ma go w domu, otwieram okno, kładę kasetę na stole, stół stoi akurat pod oknem, zamykam okno na zasuwę i znikam. Przychodzę następnego dnia, i jeśli na przykład znowu go nie ma, znowu otwieram okno, zabieram to, co zostawił: pieniądze albo kasetę.

– Nieźle pomyślane – pochwaliłem go. – A nie bałeś się, że dziadek cię wykiwa?

– Niby jak? – spytał zachmurzony Lonia.

– A tak. Obejrzy sobie calutki film, a nazajutrz zwróci ci kasetę, mówiąc, że film jest kiepski, nie spodobał mu się i nie będzie go oglądał.

– Też pan wymyślił – Lonia roześmiał się z widoczną ulgą. – Nie wie pan, jak dziadek Nikołaj ogląda filmy. Najpierw dwa razy od początku do końca, a potem po kawałku. Zatrzymuje, cofa, puszcza w zwolnionym tempie. Każdą scenę walki bada jak pod mikroskopem. Szczególnie interesują go operacje wojskowe. Na jeden film potrzebuje co najmniej tygodnia.

Chłopak mówił o Nikołaju Fiodorowiczu w czasie teraźniejszym, widać jeszcze się nie oswoił z myślą o jego nagłej śmierci. Tak, Nikołaj Fiodorowicz Wiernigora był intrygującą osobą. Zwiadowca wojenny na emeryturze, nawet u schyłku życia nie stracił zainteresowania zawodem, któremu poświęcił się bez reszty. Pewnie był ciekawym rozmówcą, nic dziwnego, że Olga mogła się u niego zasiedzieć, pochłonięta jego opowieściami, zwłaszcza jeśli

poruszały czysto „filmowe” tematy: jak wypadły zdjęcia, co zrobiono dobrze, co źle, co się udało, co nie wypaliło i tak dalej.

– Pomyślałem, że – odezwał się Lonia – właściwie...

Nie musiał kończyć, nietrudno było się domyślić, co zamierzał. Chciał otworzyć okno i zabrać swoją kasetę. Szczerze mówiąc, nic złego w tym nie widziałem.

– Lonia, tak nie można – powiedziałem obłudnie. – Zaczekajmy na córkę Nikołaja Fiodorowicza, lada chwila powinna przyjechać, z nią wszystko załatwisz.

– Guzik z nią załatwię! – krzyknął zrozpaczony Lonia. – Nie w głowie jej będą takie dyrdymały! Przyjedzie przecież na pogrzeb ojca, a ja tu wyskoczę ze swoją kasetą... A tak będzie pan świadkiem, że oprócz kasety nic nie wziąłem. W razie czego potwierdzi pan, że nic nie ukradłem.

– Dobra – zgodziłem się nieoczekiwanie. – Otwieraj zasuwę. Ciężko grzeszę przez ciebie na starość!

– Dzięki!

Rozpromieniony Lonia zerwał się z miejsca. Otworzył okno tak szybko, że nie zdążyłem się przyjrzeć, jak to robi. Widocznie nieraz wykonywał tę operację i zdążył nabrać wprawy.

– No to teraz włącz, póki nikt nie patrzy.

– A pan?

– Ja za tobą, muszę przecież mieć cię na oku – wyjaśniłem z uśmiechem.

Lonia zręcznie wsunął się przez okno do pokoju, a ja podążyłem jego śladem. W domu Nikołaja Fiodorowicza Wiernigory panował idealny porządek, którego nie zdołała zakłócić nawet jego niespodziewana śmierć, a potem przyjazd pogotowia i milicji. Zauważyłem, że Lonia nie tracił czasu na rozglądanie się, od razu pewnym krokiem ruszył w stronę meblościanki na wysoki połysk. Wyglądało na to, że naprawdę był tutaj częstym gościem i cieszył się zaufaniem właściciela. Otworzył opuszczane drzwiczki jednej z szaf i zajrzał do środka.

– Jest. – Chłopak odwrócił się uradowany w moją stronę, trzymając w ręce kasetę wideo z jaskrawą naklejką.

Podszedłem bliżej, zdjęty ciekawością. Na dwóch półkach stały w równych rzędach kasety, te na górze miały naklejki z nazwami filmów, na dole – z numerami. Wybór filmów dowodził, że Nikołaj Fiodorowicz miał wyrafinowany i sprecyzowany gust. To nie były kasety z wypożyczalni, pewnie je kupił, aby mieć w każdej chwili pod ręką. Wśród tytułów zauważyłem *Zawodowców z Belmondo* i *Hosseinem*, *Listę Schindlera*, *Spalonych słońcem*,

Misję Ouillera ze wspaniałym Maxem von Sydow i George'em Segalem oraz kilka innych bardzo znanych obrazów. Były też oczywiście i rosyjskie produkcje: *Oficerowie*, *Gdzie jest Czarny Kot?*, nawet dwanaście odcinków serialu o Stirlitzu – filmy bliskie sercu nie tylko tych, którzy są teraz grubo po siedemdziesiątce. Ja sam na przykład z przyjemnością oglądam *Oficerów*, bez względu na to, którą powtórkę emituje telewizja. Za każdym razem coś ściska mnie w gardle, kiedy dowódca pułku, którego gra Gieorgij Jumatow, wraca z Moskwy, rezygnując z awansu do sztabu generalnego. Jedzie z żoną samochodem z opuszczonym dachem, a po drodze mijają ich czołgi udające się na manewry. Jeden z czołgistów otwiera wąż i pyta: „Panie generale, wraca pan na zawsze czy tylko po rzeczy?” To znaczy, że wszyscy w pułku wiedzieli, po co ich dowódca był w Moskwie. Generał aż zaniemówił, słysząc taką impertynencję. A jego żona zupełnie spokojnie, tak od serca odpowiada: „Na zawsze, Pasza. Na zawsze”. Znała więc z imienia każdego żołnierza w pułku. A ten czołgista, wyprężony jak struna, woła na całą kolumnę: „Na zawsze! Na zawsze!!!” Czyli że każdy żołnierz w pułku martwił się, czy ulubiony dowódca nie zostawi ich dla odkurzonego stołka w sztabie. Nie zostawił. Bo był Oficerem. Jego syn, który zginął na wojnie, służył w tym samym pułku. Mały epizod, trwający nie dłużej niż minutę, przekazuje tyle treści. Na tym polega właśnie mistrzostwo, które najwyraźniej rozumiał i cenił Nikołaj Fiodorowicz Wiernigora.

Ale moją uwagę przyciągnęło co innego. Spoglądałem na stojące na dolnej półce kasety, oznaczone numerami od jeden do dwanaście, i zauważyłem, że brakuje dziewiątki. Po ósemce następowała dziesiątka. Pozostałe kasety były na swoim miejscu, uporządkowane według kolejności.

– Co to za kasety? – spytałem Lonię.

– Filmy, które nakręcił dziadek Nikołaj, miał dobrą kamerę, córka mu sprezentowała.

– Co filmował?

– Różne wydarzenia, imprezy w mieście, festiwale, konkursy, spotkania kombatantów.

Często zapraszano go na wesela z kamerą. Dziadek mówił, że kino fascynowało go od młodości.

Tak. Bardzo ciekawe. Organizator festiwalu Giena mówił, że w fioletowej plastikowej torbie Olgi Dorienko znajdowało się coś, co rozmiarem przypominało książkę. A może to była kaseca? Oznaczona numerem dziewięć. Ale dlaczego oddał ją Oldze? Postanowił podarować krewnym z Moskwy film, będący zapisem jakiegoś rodzinnego święta albo jego własnego jubileuszu? W zamian za przekazaną paczuszkę. Całkiem możliwe. Tylko wciąż nie wiadomo, gdzie się podziała ta fioletowa torba z żółtymi rączkami. Wczoraj Siergiej Lisicyn jeszcze raz uważnie przejrzał wszystkie rzeczy Dorienko, ale torby nie znalazł. Gdzie się

mogła zawieruszyć? Muszę powiedzieć Sierioży, żeby poprosił śledczego o oficjalne pozwolenie na zabezpieczenie i przejrzenie tych kaset. Chociaż właściwie po co? Co te amatorskie filmy mają wspólnego z zaplanowaną akcją pozbycia się pretendentek do pierwszej nagrody na festiwalu filmowym „Złoty Orzeł”? Nic.

Wydostaliśmy się z domu przez okno, i Lonia zręcznie zamknął zasuwę. Znowu nie zdążyłem zauważyć, jak to zrobił. Nie pytałem, żeby chłopaka nie przestraszyć: powierzył tajemnicę nieznanemu facetowi, a ten ni stąd, ni zowąd okazuje się zwykłym rabusiem.

Zdążyliśmy w samą porę. Dosłownie jakieś pięć minut po naszym rozstaniu kobieta z domu numer szesnaście wróciła z przychodni. Z ulgą przekazałem jej posterunek i ruszyłem do siebie, na Pierwszego Maja.

Rozdział 5

W domu zastałem całkiem sielankowy obrazek: Tatiana pracowała na swoim laptopie przy stole przed domem, Lila siedziała obok, obserwując w milczeniu biegający po ekranie kursor i pojawiające się z niewiarygodną szybkością słowa i wiersze, a Irocza krzątała się w kuchni koło obiadu. Przez głowę przemknęły mi dwie myśli: jedna nieprzyjemna, druga zabawna. Uświadomiłem sobie, że przecież Rita, jako krytyk filmowy, też bardzo dużo pisała i w ogóle miała mnóstwo papierkowej roboty, przeglądała teksty scenariuszy i różne recenzje, ale nigdy nie widziałem, żeby Lila zerknęła jej przez ramię albo siedziała koło niej i patrzyła, jak pracuje. Na skutek swej nerwowości i złośliwości Rita wytwarzała w odległości trzech metrów od siebie taką aurę, że nawet pięciominutowe przebywanie w niej nie wpływało pozytywnie na psychikę, i dziecko wyczuwało to tak samo jak ja. Zabawna myśl dotyczyła tego, że raptem zapragnąłem, żeby to była moja rodzina. Uwielbiana, mądra, nie do końca rozumiana przeze mnie córka. Korpulentna Tatiana o alabastrowej skórze, słodkich ustach i poruszającym, zmysłowym głosie, która pisze książki i z którą można też porozmawiać o sprawach zawodowych. No i wesoła kokietka Irocza, niedościgniona mistrzyni kuchni, oszczędna i zapobiegliwa pani domu.

Otrząsnąłem się z tej kuszącej wizji.

– Czym tak zabójczo pachnie? – spytałem, zaglądając do stojącego na kuchence garnka, w którym coś się gotowało.

Irocza uśmiechnęła się i podsunęła mi łyżkę jakiegoś kolorowego wywaru.

– Proszę spróbować, Władik, może brakuje soli. Sama już tyle razy sprawdzałam, że nie czuję smaku.

Spróbowałem. Było pyszne, choć za nic w świecie nie potrafiłbym wymienić nawet jednego składnika tej potrawy.

– Irocza, jak to dobrze, że mieszkamy w tym samym domu, w przeciwnym razie żyłbym, nie wiedząc, że istnieją takie przysmaki.

Spojrzała na mnie jakoś tak bardzo poważnie i powiedziała, odwracając się i zaczynając coś siekać dużym kuchennym nożem:

– Gdybyśmy nie mieszkali w tym samym domu, nigdy by się pan nie dowiedział, że pańska Lila strasznie potrzebuje uwagi i kontaktu z dorosłymi. Proszę mi wybaczyć, Władik, to nie moja sprawa, ale moim zdaniem pańska żona jest dziwna. Sam pan przecież widzi, dziewczynce zdecydowanie brakuje matczynego ciepła.

Ach, ta Iroczka! Chyba jej nie doceniłem, okazała się o wiele bardziej przenikliwa, niż przypuszczałem. Nie miałem jednak najmniejszej ochoty dyskutować z nią na temat Rity, toteż ze wzmożoną uwagą zacząłem oglądać przygotowane na obiad specjały.

– Ira, a to z czego zrobiłaś? – zapytałem, wskazując na coś połyskującego śnieżną bielą, z kolorowymi dodatkami.

– To twarożek ubity ze śmietaną.

– A te kolorowe wstawki?

– Kawalki brzoskwiń, ananasów, truskawek i czarne porzeczki.

Z grzeczności pokręciłem się jeszcze trochę po kuchni i wyszedłem przed dom.

– Tanieczko, odrobiła pani wczorajsze zaległości?

– Trzasnęłam już trzysta pięćdziesiąt wierszy – odparła, nie przestając stukać w klawisze. – Po obiedzie popracuję jeszcze dwie godziny i będę mogła iść się wykapać. A jak tam pańska wyprawa? Udała się?

– Niestety. Nie będę pani przeszkadzał, opowiem później.

Tatiana zdjęła ręce z klawiatury i słodko się przeciągnęła.

– Dosyć, zarządzam przerwę. I tak trzeba podładować baterię, wystarcza tylko na trzy godziny. Lila, bądź tak miła i włącz ją do kontaktu w naszym pokoju.

Lila wzięła ładowarkę i skierowała się w stronę schodów prowadzących do pokoju Iry i Tatiany. Gdy tylko oddaliła się na bezpieczną odległość, Tania zapytała cicho:

– Co u pana? Coś nie tak?

– Sierioża odszukał mężczyznę, którego odwiedziła Dorienco w przededniu zabójstwa. Wczoraj umarł. Wygląda na to, że dał Oldze jakąś kasetę wideo, którą włożyła do torby z żółtymi rączkami. Ale torba zginęła, a razem z nią kasetka.

– Kim jest ten mężczyzna?

– Emerytowany wojskowy, służył w zwiadzie. Siedemdziesiąt trzy lata, wdowiec, robił amatorskie filmy.

– Sądzi pan, że kasetka ma jakiś związek z dwoma zabójstwami?

– Nie. Po prostu nie widzę nic, co może ją z nimi łączyć. Ale znaleźć kasetę jednak trzeba. Wie pani, jak mówią Niemcy? Porządek musi być. Jeśli Olga przyszła do hotelu z torbą, to rzeczona torba nie rozplynęła się w powietrzu, należy ją odszukać. Kiedyś właśnie tak się naciąłem, przeoczyłem pewien, mogłoby się zdawać, drobiazg. Zresztą sytuacja była bardzo podobna. Świadek, który widział wchodzącego do domu zabójcę, twierdził, że przestępca był w ciemnozielonej kurtce i futrzanej czapce, a inny świadek, który widział go, jak wychodził z windy na siódmym piętrze, upierał się, że był w ciemnozielonej kurtce, ale

bez nakrycia głowy. To wystarczyło adwokatowi, żeby przycisnąć sędziego: dopóki oskarżenie nie przedstawi dowodów, że nasz klient zdjął czapkę i wyrzucił ją na schodach albo zostawił w windzie, obrona będzie obstawać, iż obaj świadkowie widzieli innych mężczyzn. Oskarżony wszedł do domu w czapce i udał się do znajomych na drugim piętrze, a na siódmym piętrze, w pobliżu mieszkania poszkodowanego, widziano kogoś innego. Sędzia wykręcał się jak mógł, ale nie miał wyjścia. Wszelkie wątpliwości rozpatrywane są na korzyść oskarżonego. Sprawę skierowano do ponownego rozpatrzenia z zaleceniem, aby wyjaśnić kwestię czapki, innymi słowy: znaleźć to cholerstwo i udowodnić, że należy do oskarżonego. To jasne, że jej nie znaleziono. Śledczy pluł sobie potem w brodę, mnie też było niewesoło: zabójcę namierzyliśmy z ogromnym trudem, odszukaliśmy go, podczas zatrzymania wywiązała się strzelanina, dwóch moich chłopaków o mały włos nie zginęło, i wszystko na próżno. Jeśli więc pani i ja postanowiliśmy pomóc biednemu Sieriozy, musimy postępować rozsądnie, żeby potem nie miał do nas pretensji.

– Czy ten adwokat nazywał się Zacharów? – spytała nagle Tania.

– Zgadza się. Jak się pani domyśliła?

– Jest od nas, z Petersburga. Wrócił wtedy z Moskwy po procesie i opowiadał wszystkim o czapce. Ogólnie rzecz biorąc, zna się na swojej robocie, jest obrotny, zawsze uważnie słucham, kiedy zaczyna się chwalić i bajerować, bo jego opowieści zawierają mnóstwo pożytecznych szczegółów, które potem przydają się w pracy. No właśnie, wkrótce po tej historii z czapką zamykałam pewną dużą sprawę, pisałam akt oskarżenia i pod wpływem opowiadania Zacharowa odkryłam pewną nieścisłość, która zauważona przez doświadczonego adwokata, przekreśliłaby moje wielomiesięczne starania. To była drobna rzecz, dawniej nikt nie zwróciłby na nią uwagi. No i niech pan sobie wyobrazi, że gdy adwokat otrzymał akta sprawy, przeczytał oskarżenie i od razu w moim gabinecie wybuchnął śmiechem. „Co się stało?“, pytam. „Znalazł pan jakiś błąd gramatyczny?“, „Nie“, odpowiada. „Znam sprawę od momentu zatrzymania oskarżonego i dobrze pamiętam, że w tym miejscu była luka. Kiedy usłyszałem od Zacharowa, jak dzięki takiemu małemu szczegółlikowi zdobył uniewinnienie, od razu wykombinowałem, że tutaj też można się tak pobawić. A pani, Tatiano Grigorjewno, zlikwidowała lukę, pewnie też pod wpływem historii o czapce“. Jestem więc w pewnym sensie pańską uczennicą, Dima. Uczylałam się na pana błędach, choć nawet się nie znaliśmy. Zabawne, prawda?

Ira przyniosła z kuchni talerze i sztuczki i zabrała się do nakrywania do obiadu. Lila zeszła z góry i usiadła w milczeniu przy stole na skraju długiej ławy, przeglądając „Wiadomości Festiwalowe“, które codziennie przynosiła Rita. Ira i Tania toczyły gorący spór

o to, czy wypada zaprosić na obiad siwobrodego okularnika kwaterującego w sąsiednim domu. Przez szparę w gęstych krzewach agrestu zdążyłem zauważyć, że facet wrócił z plaży na sjęstę i rozwieszał na dworze mokre kąpielówki i ręczniki. Włączyłem się do dyskusji, bo nie wiedzieć czemu zapragnąłem, żeby wyszło tak, jak chciała Irocza. Czułem się w jakiś sposób wobec niej winny, a Tatiana wyraźnie nie była w nastroju do rozmowy z nieznajomym.

– Dziewczęta, z sąsiadami trzeba żyć w przyjaźni – oznajmiłem tonem doświadczonego przez życie starca. – Wszystko się może zdarzyć, w końcu to mężczyzna, będziecie miały kogo wołać na pomoc.

– Dima, myśli pan, że napadną na nas zamaskowani bandyci? – spytała ironicznie Tania.

– Nie, Władik ma rację – upierała się Irocza, rozstawiając na stole talerze z sałatą i deserem.

– Tato, kto to jest Wiktor Babajan? – odezwała się Lila, studiując „Wiadomości Festiwalowe”.

– To taki reżyser, dziecko, kręci filmy. Nie pomogłabyś cioci Irze?

Lila posłusznie pomaszerowała do kuchni i przyniosła chleb oraz talerz z zieleciną. Stanęło na tym, żeby okularnika jednak zaprosić. Irocza poszła po niego i kilka minut później facet zjawił się zmieszany jak sztubak. Usiadłem obok Tatiany, żeby przy pierwszej okazji wrócić po cichu do rozmowy na interesujący mnie temat. W czasie obiadu Ira paplała ze swoim wielbicielem, Lila znowu myślała o jakichś swoich sprawach, a my z Tatianą łamaliśmy sobie głowę, gdzie mogła się podziak kasetka w idiotycznej fioletowej torbie.

– Muszę pana zmartwić, Dima – stwierdziła półgłosem Tania, zlizując z łyżki gęstą, białą masę twarogową z owocami. – Albo Dorienco dała komuś kasetę, zanim ją zabito, albo ukradł ją zabójca. I wtedy wszystkie nasze domysły, dotyczące pozbycia się konkurentek, nie są słuszne. Może było tak: zabójca przychodzi do pokoju Dorienco, zabija ją i chce znaleźć kasetę, ale z jakiegoś powodu nie udaje mu się tego zrobić. Hipoteza numer jeden: w tym momencie wraca Dowżuk i morderca po prostu nie ma czasu na poszukiwania. Niewykluczone nawet, że kiedy Dowżuk pojawiła się w pokoju, zabójca jeszcze tam był, a ponieważ, jak pan wspominał, Ludmiła od razu zaczęła pisać i wyskoczyła na korytarz, przestępca mógł spokojnie opuścić pokój niezauważony, wykorzystując zamieszanie i panikę. Hipoteza numer dwa: morderca wziął przez pomyłkę niewłaściwą kasetę, ale zorientował się dopiero wtedy, gdy ją obejrzał. Musi wrócić. I wraca tam, gdzie znajdują się teraz rzeczy zamordowanej Dorienco, to znaczy do apartamentu Ałły Kazalskiej. Zabija śpiącą twardo

Dowzুক i przeszukuje cały pokój. A biżuterię zabiera dla zamydlenia oczu. Czyli że kasetę ma decydujące znaczenie. Chodzi tylko o to, czy znalazł ją zabójca, czy sama Dorienko ją gdzieś wsadziła. Ale to, co teraz powiedziałam, jest wytworem mojej wyobraźni, bo ani ja, ani pan nie wiemy, co było w torbie. Przyjęliśmy, że była w niej kasetę Wiernigory. Ale równie dobrze mogła to być paczka herbatników, którą Olga kupiła do kawy, żeby zjeść śniadanie w pokoju. Wówczas zarówno torba, jak i to, co się w niej znajduje, nie mają żadnego związku z zabójstwem. I znowu wracamy do rywalizacji uczestniczek konkursu. Trzeba się jednak dowiedzieć, co było w torbie. I gdzie się w końcu podziła. Przecież jeśli nie jest powodem całego zamieszania, musi gdzieś być. Proponuję panu eksperyment śledczy.

Skinąłem głową. Oczywiście, za wszelką cenę trzeba odszukać tę diabelską torbę, żeby zweryfikować hipotezy.

– Tato, a kto to jest Oleg Juszkiewicz? – spytała Lila, która korzystając z tego, że się zagadałem z Tanią i przestałem jej pilnować, znowu otworzyła „Wiadomości” i zaczęła czytać przy obiedzie.

– To artysta, kotku. Ile razy mam ci powtarzać, żebyś nie czytała przy jedzeniu.

Lila westchnęła i posłusznie odłożyła czasopismo. Niektórzy ludzie są urodzonymi artystami, muzykami, cudownymi dziećmi. Moja córka nie mogła żyć bez czytania. Składanie liter w słowa i wyrażenia było dla niej czymś tak naturalnym jak oddychanie.

– Dziewczęta, a gdzie są nasi gospodarze? – spytałem, zorientowawszy się, że po powrocie do domu nie widziałem ani Wiery Iljiczny, ani Grigorija Filippowicza. Musiałem zadzwonić, a telefon znajdował się w ich pokoju na parterze.

– Wiera poszła do siostry, a Grigorij Filippowicz jest na zebraniu partyjnym – odparła Iroczka, odrywając się od okularnika o siwej brodzie. Prawdę mówiąc, przedstawiła go nam, ale nawet nie usłyszałem, jak się nazywa, tak dalece byłem pochłonięty swoimi myślami.

– Gdzie?!

– Na zebraniu partyjnym. Nie wie pan, co to takiego?

Doskonale wiedziałem, co to jest zebranie partyjne, z pamięcią jeszcze nie mam kłopotów. Ale przecież... A zresztą, każdy ma swoje dziwactwa.

Tatiana zauważyła moje nieskrywane zdumienie.

– Przepraszam, Dima, pańscy rodzice jeszcze żyją?

– Tylko mama, ojciec zmarł już dawno. Czemu pani pyta?

– A mama czym się zajmuje? W jakim jest wieku?

– O, mama jest wyjątkową osobą. Ma sześćdziesiąt jeden lat, jest podobna do Mai Plisieckiej w roli księżnej Betsy Twerskiej, tak samo wysoka, szczupła, gładko uczesana. Jest redaktorem naczelnym w wydawnictwie i prowadzi wielce światowe życie.

– U mnie na odwrót. Mama umarła kilka lat temu, a ojciec żyje. Całe życie przepracował w tym samym zakładzie, dorobił się stanowiska zastępcy dyrektora. Teraz ma siedemdziesiąt jeden lat i też chodzi na zebrania partyjne. Może pan sobie to wyobrazić? Sama dopiero niedawno się o tym dowiedziałam. Zatelefonowałam do niego w jakiejś sprawie, a on mnie przeprosił, mówiąc: „Wybacz, kochanie, ale oddzwonię do ciebie później, teraz jestem zajęty, piszę referat na zebranie partyjne”. O mało nie padłam z wrażenia. Okazuje się, że przy komitecie blokowym, czy jak to się teraz nazywa, nadal działa komórka partyjna, emeryci są tam zarejestrowani i regularnie się zbierają, omawiają decyzje prezydenta i rządu, sytuację polityczną, kwestie ochrony domu, terenów zielonych dzielnicy i temu podobne rzeczy. Kiedyś, jak pan pamięta, emeryci figurowali w ewidencji organizacji partyjnej na terenie miejsca ich zamieszkania. Kiedy KPZR wydała ostatnie tchnienie, niektórzy pozabierali swoje legitymacje i zajęli się domem i uprawianiem działki, wielu natomiast wciąż się spotyka. Na starość trudno jest zmienić poglądy i przyzwyczajenia. Panu i mnie może się to wydawać śmieszne i bez sensu, ale oni tym żyją.

– A więc nasz gospodarz to jeden z nich? Ale jest przecież jeszcze stosunkowo młody. Ile może mieć lat? Chyba przekroczył niedawno sześćdziesiątkę.

– No i co z tego? To zależy nie tyle od wieku, ile od wychowania i od tego, jak człowiek przeżył życie, jakimi wartościami się kierował.

– Tak, wszystko to pięknie, ale muszę dostać się do telefonu, a parter jest zamknięty. Nie wie pani, czy gdzieś w pobliżu nie ma jakiejś budki telefonicznej?

– Może zadzwonić pan od nas – odezwał się nagle kawaler Iry. – Akurat w pokoju, który wynajmuję, jest telefon.

No proszę! Dałbym głowę, że oprócz pięknych oczu i czarnych loków Iry nic go nie interesuje. Chyba, że to ja zacząłem mówić zbyt głośno?

Wstaliśmy od stołu i poszliśmy do sąsiedniego domu. Czułem się trochę niezręcznie, bo nie wiedziałem, jak mam się do faceta zwracać. Gdy tylko przekroczyliśmy próg jego pokoju, inny duch w niego wstąpił. Niepewny uśmiech zniknął bez śladu, ruchy nabrały pewności. Widać należał do tej kategorii ludzi, których umownie nazywam „kotami”. Mówi się, że psy przyzwyczajają się do człowieka, a koty – do miejsca. Podobnie ludzie: jednym poczucie komfortu psychicznego daje przebywanie na „swoim terenie”, innym – towarzystwo dobrze znanych, bliskich osób. Ja na przykład jestem typowym przykładem psa i bardzo nie

lubię nawiązywać nowych znajomości, w ogóle nie lubię obcych. Okazało się, że brodacz spostrzegł, że nie dosłyszałem jego imienia, więc najpierw wyciągnął do mnie rękę.

– Poznajmy się jeszcze raz. Jura Siergiejewicz Mazajew, socjolog. Po prostu Jura.

– Władisław. Zdrobienie do wyboru. Ira mówi do mnie Władik, a Tania Dima.

– Zastanowię się – rzucił ze śmiechem Mazajew. – Tu jest telefon. Proszę się nie krępować.

Jura wyszedł dyskretnie z pokoju, a ja wybrałem służbowy numer Sierioży Lisicyna. W gabinecie nikt nie podnosił słuchawki. Zadzwoiłem więc do hotelu, gdzie recepcjonista po chwili odszukał Siergieja. W dwóch słowach opowiedziałem mu o wizycie u Wiernigory, po czym umówiliśmy się, że za jakieś dwie godziny Sierioża spróbuje pozbyć się z hotelu niepotrzebnych osób i znajdzie członka komitetu organizacyjnego Gienę, który czekał na Olgę Dorienko tamtego feralnego dnia, gdy spóźniła się na konferencję prasową. Poprosiłem też Sieriożę, aby znalazł Ritę i przekazał jej, że dzisiaj nie będzie nas z Lilą na plaży, żeby się nie martwiła.

Mazajew wrócił do pokoju, niosąc dwa kieliszki.

– Wypijmy za naszą znajomość, Sława, po kropelce. Mam dobry koniak.

Tak. Wygląda na to, że wybrał mi imię. No cóż, za znajomość.

Koniak był rzeczywiście dobry, wypilem go z przyjemnością. Fajny facet z tego socjologa. Na naszym terenie cierpi ze strachu i robi się nieśmiały, ale tutaj, w swoim pokoju, jest zupełnie inny. Myślę, że Irocza będzie z niego zadowolona. A może już jest?

Dwie godziny później w hotelowym holu czekał na mnie Siergiej Lisicyn z małym, czarniawym mężczyzną o dużej łysinie na ciemieniu i drżących nerwowo rękach. To właśnie był jeden z organizatorów festiwalu „Złoty Orzeł”, Giennadij Goldman.

Poprosiłem Giennadija, aby jak najdokładniej przypomniał sobie wszystkie okoliczności, które towarzyszyły powrotowi Olgi Dorienko do hotelu.

– Proszę pokazać, gdzie pan stał, gdy weszła Olga.

Niepewnie pokręcił głową, a potem podszedł do lady recepcji.

– Stałem w tym miejscu, czekając na Olgę. Wszyscy byli już w sali, tylko jej brakowało. Rudin, przewodniczący festiwalu, szalał z wściekłości.

– Spojrzał pan na zegarek, kiedy Olga się zjawiała?

– A jakże. Sprawdziałem godzinę co chwila. Kiedy Olga weszła do hotelu, była dwudziesta pierwsza czternaście. Od razu zawołałem: „Gdzie cię nosi? Spóźniłaś się piętnaście minut. Biegiem na salę!”

– A ona co na to?

– „Daj mi dwie minuty, Gienoczka, tylko rzucę torbę”. I pokazała mi tę torbę.

– Proszę opisać ją w najdrobniejszych szczegółach. Kolor, rozmiar, co w niej było.

– No... Zwyczajna, plastikowa, pół miasta z takimi chodzi. Kolorowa, fioletowy rysunek, żółte rączki. Takie paskudztwo, odstrasza ludzi. Zdziwiłem się nawet, jak Ola może paradować z takim dziadostwem, zawsze ubierała się bardzo elegancko, pilnowała, żeby wszystko było w tej samej tonacji, żeby kolory do siebie pasowały. Jeśli nawet nosiła coś w takich torbach, zawsze były to firmowe reklamówki z drogich sklepów. Krótko mówiąc, byłem zły, ale rozumiałem, że nie może pojawić się przed widownią w różowym kostiumie i z taką torbą. Skierowała się w stronę windy, a ja jeszcze zawołałem za nią: „Pośpiesz się. Rudin mnie zabije”.

– Podeszła do windy czy podbiegła? – uściśliłem.

– Była w pantoflach na szpilkach, nie da się w nich biec. Ale trzeba przyznać, że się śpieszyła, nie lubiła się spóźniać.

To akurat już wiedziałem.

– Kiedy zjechała z powrotem na dół, spojrzał pan na zegarek?

– Oczywiście. W ogóle nie spuszczałem z niego oczu. Chyba pan rozumie, po to jest komitet organizacyjny, żeby nie było żadnej wpadki. Każda nieprawidłowość, każde spóźnienie traktowane są jako nasze niedopatrzenie. Rudin płaci dobrze, ale obciąża nas finansowo za każde niedociągnięcie. Kiedy Ola zjawiała się na dole, była dwudziesta pierwsza osiemnaście. Chwyliłem ją za rękę i dosłownie zaciągnąłem do sali.

– Dobrze, Giennadiju. Teraz proszę pokazać nam, gdzie stała Olga w chwili, gdy popatrzył pan na zegarek i zobaczył, że jest już dwudziesta pierwsza czternaście.

Goldman posłusznie podszedł do szklanych drzwi obrotowych.

– O, tutaj. Spojrzałem na zegarek, jak tylko zobaczyłem ją w drzwiach.

– Kiedy zawołał pan do niej, że się spóźniła piętnaście minut, zatrzymała się czy nadal zmierzała w pana kierunku?

– Już mówiłem, że prawie biegła. Była zdyszana, włosy miała potargane.

– Drzwi windy od razu się otworzyły czy musiała czekać?

– Musiała czekać. Też się denerwowałem, więc kiedy nacisnęła przycisk przywołujący windę, spojrzałem na wyświetlacz i szacowałem, jak długo to jeszcze potrwa.

– Pamięta pan, na którym piętrze była winda?

– Wyświetlacz palił się gdzieś w połowie, ale gdzie dokładnie, nie pamiętam. Stałem jednak dość daleko od windy. No i nie starałem się zapamiętać, nie myślałem, że to się przyda.

– Oczywiście, oczywiście. No cóż, Giena, dziękuję panu.

Goldman oddalił się, nie kryjąc ulgi, a my z Siergiejem zanotowaliśmy godzinę i zabraliśmy się do odtwarzania tego, co Olga Dorienco robiła w ciągu czterech minut, między dwudziestą pierwszą czternaście a dwudziestą pierwszą osiemnaście. Podeszliśmy do szklanych drzwi Wejściowych, a następnie szybkim krokiem ruszyliśmy w stronę windy. Kiedy drzwi kabiny się otworzyły, wjechaliśmy na piętnaste piętro, gdzie znajdował się pokój Olgi Dorienco i Lusi Dowżuk. Pokój był na samym końcu niezwykle długiego korytarza. Podszedłszy do drzwi, pośpiesznie włożyłem klucz do zamka, ale nie chciał się obracać. Zacząłem kręcić nim w prawo i w lewo, ale zamek chyba się zaciął.

– Jest zepsuty – powiedział stojący za moimi plecami Lisicyn. – My też męczymy się za każdym razem.

W końcu klucz się przekreślił i drzwi stanęły otworem, wykonałem gest ręką, jakbym rzucał od progu torbę na łóżko, a następnie zamknąłem drzwi na klucz. O dziwo, tym razem zamek zadziałał bez zarzutu. Prawie biegiem rzuciliśmy się z powrotem do windy, zjechaliśmy na dół, do holu. Siedem minut.

– Nic z tego – stwierdziłem. – Spróbujmy jeszcze raz, może Olga otworzyła drzwi za pierwszym razem.

Powtórzyliśmy trasę, tym razem daliśmy sobie spokój z zamkiem, zatrzymaliśmy się po prostu przy drzwiach i odczekaliśmy sześć, siedem sekund – dokładnie tyle, ile potrzeba, aby poradzić sobie z kluczem, wrzucić torbę do pokoju i zatrzaskać drzwi. I znowu wszystko trwało ponad cztery minuty.

– Zaczekaj, Sierioża, wszystko robimy źle – powiedziałem nagle. – Przecież Olga nie brała klucza z recepcji. Pewnie liczyła na to, że Luscia jest w pokoju. Ale Luscia była na konferencji prasowej. Olga bardzo się śpieszyła i zdała sobie z tego sprawę dopiero w windzie. To znaczy, że mogła w ogóle nie pójść do swego pokoju.

– A gdzie?

– Cholera wie! – rzuciłem wzburzony. – Na przykład do kochanka. A ten kochanek mógł mieć pokój gdzieś niżej.

– A kto jest jej kochankiem?

– Któż to może wiedzieć! – zawołałem ze śmiechem. – Na takich festiwalach uprawianie seksu jest na porządku dziennym, wszyscy pieprzą się ze wszystkimi. Nie wiadomo, kto był partnerem Olgi tego dnia. Może tylko Lusia znała odpowiedź, ale jej już nie zapytamy.

– Nie wiem, Władisławie Nikołajewiczu. – Sierioża pokręcił głową zniechęcony. – Jakoś to nie pasuje.

– Co ci nie pasuje?

– Jeśli wtedy trwała konferencja prasowa, to skąd Dorienco mogła mieć pewność, że zastanie kogoś w pokoju? Jeśli dobrze rozumiem, w tym czasie uczestnicy festiwalu nie siedzą w pokojach, lecz rozmawiają z dziennikarzami albo balują w restauracji. Na kogo więc liczyła Dorienco?

– Słusznie, Sierioża. Na nikogo. Albo na tego, kto nie rusza się z miejsca i czyj pokój jest ciągle otwarty. Komitet organizacyjny albo biuro prasowe.

Komitet organizacyjny miał siedzibę na pierwszym piętrze, toteż zaczęliśmy od niego. Zajmował dwa duże pokoje, w których przez całą dobę ktoś dyżurował, odbierał telefony, przyjmował faksy. Bez przeszkód weszliśmy przez otwarte drzwi i zaczęliśmy tłumaczyć młodej dziewczynie ostrzyżonej po chłopięcemu, po co przyszliśmy. Skinęła głową potakująco i razem z nami zabrała się do szukania fioletowej torby z żółtymi rączkami. Torba się znalazła, chociaż poszukiwania zabrały dosyć sporo czasu. Z trudem opanowując podniecenie, zajrzeliśmy do środka i westchnęliśmy rozczarowani. W torbie były mokre kąpielówki i ręcznik.

– Czyja to torba? – spytał Sierioża dziewczynę.

– Chyba Saszy Grozowskiego, wiecznie zapomina wyjąć i wysuszyć kąpielówki, a potem narzeka na krótką pamięć.

– Dawno ma tę torbę?

Ciągle jeszcze miałem nadzieję, że może to była torba Dorienco, wrzucona w pośpiechu do pokoju komitetu organizacyjnego. Potem ktoś ją znalazł, przełożył gdzieś zawartość i zaczął w niej nosić akcesoria kąpielowe.

– Oj, tego nie pamiętam. Kto by na takie rzeczy zwracał uwagę?

– A gdzie teraz jest Grozowski?

Dziewczyna wzruszyła ramionami, całym swoim zachowaniem dając nam odczuć, że pilnowanie pracowników, a tym bardziej cudzych toreb, nie należy do jej obowiązków.

Poszukiwania Saszy Grozowskiego zajęły dwie godziny. Okazało się, że niepotrzebnie traciliśmy czas. Mężczyzna kupił torbę w kiosku koło hotelu tydzień temu.

Przygnębieni, w ponurym nastroju wjechaliśmy na piętnaste piętro, gdzie mieściło się biuro prasowe. Pokój znajdował się na samym początku korytarza, obok windy, drzwi były otwarte na oścież. Ostrożnie zajrzałem do pomieszczenia, gdzie panowały krzątanina i zgiełk. Fotografowie, korespondenci, redaktorzy, korektorzy gnieli się jak śledzie w beczce i przygotowywali kolejne wydanie ukazujących się codziennie, czterokolumnowych „Wiadomości Festiwalowych”. Nie odzywając się do nikogo, zwłaszcza że i tak nikt nie zwrócił na mnie uwagi, wszedłem jak gdyby nigdy nic do przedpokoju i otworzyłem szafę we wnęce.

Torba leżała na półce. Fioletowa z żółtymi rączkami. Byłem całkowicie pewien, że to była właśnie ta, a nie jakaś podobna, jak reklamówka znaleziona w siedzibie komitetu organizacyjnego. Zamknąłem delikatnie szafę i wyszedłem na palcach na korytarz.

– Ja się zmywam – szepnąłem do Siergieja Lisicyna – wezwij śledczego i konfiskuj torbę.

– A może sami zobaczymy, co jest w środku?

– Nie mamy prawa. Konsultowałem to z Tatianą. Jeśli w torbie jest jakiś dowód, jak potem udowodnisz, że go nie podrzuciłeś?

– Rzucimy tylko okiem – powiedział błagalnie Sierioża.

– Jasne, a potem śledczy wyśle ją do ekspertyzy, znajdą nasze odciski, i wszystko zacznie się od początku. Jeśli teraz ją rozpakujesz, to aby uniknąć nieprzyjemności, będziesz musiał poprosić pracowników biura, żeby odegrali rolę kogoś w rodzaju świadków, którzy potem potwierdzą, że rzeczywiście znalazłeś torbę właśnie tutaj i nic do niej nie podrzuciłeś. To znaczy, że będziesz musiał zostać i nie spuszczać jej z oczu, bo wśród obecnych mogą być osoby zamieszane w sprawę. A kto wezwie śledczego i ekipę? W tej sytuacji twój ukochany szef w ciągu dziesięciu minut dowie się, że się wtrącam w cudze sprawy, pomimo jego niedwuznacznych wypowiedzi. Dobra, Sierioża, lecę. Zawiadam mnie potem, co było w torbie. Będę czekał. Aha, znalazłeś moją Mieziencową?

– Znalazłem.

– Powiedziałaś, że nie przyjdziemy dziś z Lilą na plażę?

– Przekazałem wszystko, o co pan prosił.

– A ona?

– Jaśnie pani bardzo się rozgniewała. – Na twarzy Sierioży zaigrał uśmiech. – Powiedziała, że nie wpadnie pan na to, aby kupić dziecku owoce.

Oczywiście, znam tę śpiewkę na pamięć. Z jakiegoś powodu Margarita uważa, że obowiązki matki ograniczają się do faszerowania dziecka witaminami. Lepiej by było, gdyby więcej z Lilą rozmawiała, a nie wykręcała się kupowaniem jej łakoci.

Ruszyłem w stronę windy i naciskając przycisk, myślałem tylko o tym, żeby nie natknąć się na Ritę. Drzwi kabiny już się otwierały, gdy przybiegł Siergiej.

– Władisławie Nikołajewiczu, zapomniałem o materiałach!

– Jakich materiałach?

– Dla Tatiany Grigorjewny. Przecież wszystko przygotowałem i wziąłem nawet ze sobą, myślałem, że wieczorem zajrzę do pana i przekażę. Weźmie je pan teraz?

– Dziękuję, Sierioża, oczywiście.

Lisycyn wszedł do windy, razem zjechaliśmy na drugie piętro, gdzie urządzono mu tymczasowy gabinet, do którego mógł zapraszać na rozmowy kapryśnych filmowców. Naiwnością byłoby sądzić, że przyjdą do niego do komisariatu.

Materiałów o pożarze w Teatrze Letnim było zaskakująco dużo, cała opasła teczka. Wsunąłem ją pod pachę i uśmiechając się w duchu pomyślałem, że znalazłem się dokładnie w takiej samej sytuacji, jak zamordowana Ola Dorienko. Będę musiał szukać jakiejś reklamówki i nieźle się ubawię, jeśli okaże się, że jest fioletowo-żółta. Ale najwidoczniej w sklepie położonym najbliżej hotelu sprzedawano tylko takie.

W domu wszyscy byli w komplecie, z wyjątkiem Iroczi, która wybrała się z siwobrodym Mazajewem na spacer. Na dole Silvia Pfeifer w kolejnym odcinku telenoweli zmagła się z tropikalnymi namiętnościami, które tak zaabsorbowały naszych gospodarzy, że jak urzeczeni wpatrywali się w ekran. Tania i Lila przeniosły się na balkon, Tania znowu pracowała, a Lila siedziała w milczeniu na krześle obok i obserwowała powstający na jej oczach tekst. Ale ze mnie ojciec! Dziecko przyjechało nad morze i nie widzi go przez cały dzień. To nie do pomyślenia.

– Tanieczko, przyniosłem pani materiały o pożarze – powiedziałem, podając jej teczkę.

Od razu zdjęła z kolan swój laptop i sięgnęła po dokumenty z taką pośpieszną zachłannością, z jaką małe dzieci chwytają przyniesione przez dorosłych prezenty.

– Ojej, dziękuję, Dima, bardzo dziękuję. Kiedy muszę je zwrócić?

– Nie pytałem. Chyba nie tak szybko. Sierioża nie ma teraz głowy do pożaru. Może je pani studiować, dopóki nie poprosi o zwrot. Lila, może pójdziemy się wykapać?

Lila nie musiała nic mówić, z jej twarzy wyczytałem, że nie ma ochoty na kąpiel. Woli siedzieć koło Tatiany albo poczytać książkę, wyciągnąwszy się na łóżku. Ja jednak okazałem

się nieugięty, czyniąc sobie po cichu wyrzuty, że w ogóle nie dbam o jej zdrowie. W gruncie rzeczy nie była to odpowiednia pora na zażywanie kąpieli, słońce skłaniało się ku zachodowi, temperatura stopniowo spadała, i przy wychodzeniu z wody było już zimno. Toteż poszedłem na kompromis i postanowiłem, że posiedzimy tylko na plaży, oddychając leczniczym morskim powietrzem.

Plaża była prawie pusta. Usiedliśmy na leżakach, Lila z książką, ja – pogrążony w myślach o starym Wiernigorze. Siedemdziesiąt dwa lata to oczywiście taki wiek, kiedy nagła śmierć to nic niezwykłego. Jednakże kiedy ta śmierć przychodzi „w samą porę”, zwykle budzi to moje zaniepokojenie.

Wyciągnąłem się na drewnianym leżaku, podłożyłem ręce pod głowę i przymknąłem oczy. Powietrze było chłodne, przesycone zapachem jodu i mułu, poczułem zadziwiający spokój i zrobiło mi się lekko na duszy. Nagle zrozumiałem, że za nic, za żadne skarby świata nie wrócę do pracy w milicji. Przestałem lubić tę robotę, mam dosyć ludzkiej pogardy, z którą spotykam się na co dzień, chamskiego krzyku szefów, bólu żołądka, który dopada mnie, gdy kilka dni z rzędu zabiegany od rana do nocy jem wyłącznie suche kanapki. Mam dosyć bezsenności, braku wolnych weekendów, poniżenia, które odczuwam za każdym razem, gdy muszę zwracać się z prośbą do przełożonych. Odniosłem na służbie dwie rany, ciętą i postrzałową. Mam dosyć poczucia własnej bezsilności, gdy przestępstwa walą się na głowę jedno za drugim, i nie da się ich wykryć, bo świadkowie milczą. Robią tak, bo nie umieją przezwyciężyć strachu i wyzbyć się chciwości. Ktoś ich nastraszył albo im zapłacił, a milicjantowi pozostaje jedynie prosić, przekonywać i odwoływać się do dawno przez wszystkich zapomnianych haseł o obywatelskim obowiązku. Ale jeśli ten obowiązek lekceważą nawet władze, czy można spodziewać się czegoś więcej po zwykłych ludziach? Nie chcę zajmować się sprawą morderstwa Oli Dorienko, którą długo i dobrze znałem, i Lusi Dowżuk, której prawie wcale nie znałem. Utraciłem instynkt wywiadowcy. Mój zapal gdzieś zniknął. Wplątałem się w tę sprawę tylko dlatego, że chciałem naprawić własne kłamstwo i pomóc biednemu Garikowi Litwakowi. Jedyne, dla którego grzebię się jeszcze w tym gównie i próbuję coś z siebie wykrzesać, to szczerą sympatią dla młodego funkcjonariusza Sierioży Lisicyna, który ma wzrok ufnego psiaka, lecz który lada chwila też straci zapal, bo nic mu się nie udaje i przez osiem miesięcy nie wykrył żadnego przestępstwa ani niczym się nie wykazał. Jest jeszcze Tania... Nie lubię się oszukiwać, więc przyznaję z ręką na sercu: ona mi się podoba. Nawet więcej. A przy tym jest tak niepodobna do Rity – mojego ideału kobiecego piękna. Nie chciałbym stracić twarzy przed Tatianą.

Nie zauważyłem, jak szum fal ukołysał mnie do snu. Śniła mi się naga Tatiana, widziałem jej słodkie usta, rozpuszczone platynowe włosy, tęgie alabastrowe kształty. Obejmowała mnie właśnie tutaj, na opustoszałej, wieczornej plaży, głaskała po plecach, głowie, ramionach, a ja rozpływałem się w jej dużym ciele, czułem się mały i bezpieczny. Sen nie należał do erotycznych, nie odczuwałem podniecenia, było mi po prostu tak dobrze, że w śnie pomyślałem: to pewnie jest szczęście, mieć u swego boku kobietę, od której emanują dobro i spokój.

Obudził mnie cichy głos Lili:

– Zaraz przyjdzie mama.

Niech to licho, naprawdę? Ciekawe, jak Lila to wyczuwa. Jakieś bioprądy? Przecież Lisicyń powiedział Ricie, że nie będzie nas na plaży, no a poza tym jesteśmy tutaj zawsze do szóstej, a teraz już minęła siódma.

Ale bioprądy mojej córki działały niezawodnie. Dwie minuty później zobaczyłem Ritę z tą samą co zwykle białą torbą. Wiatr rozwiewał jej kolorową, „wstążkową” spódnicę, odsłaniając wysoko nogi, i znowu pomyślałem, jak naturze udało się stworzyć takie idealne piękno.

– No i gdzie się włóczyliście przez cały dzień? – spytała surowo, siadając obok, zrzucając sandaalki i wyciągając nogi.

– Byliśmy tu i tam, postanowiliśmy zrobić sobie przerwę i odpocząć od słońca – skłamałem. – A jak się domyśliłaś, że tu jesteśmy?

– Wstąpiłam do was na Pierwszego Maja. Jakaś świńska blondyna powiedziała, że poszliście na plażę. Co to za jedna? Właścicielka?

Aż mnie skreśliło w środku. Boże, dlaczego tyle w niej pogardy dla ludzi? I jak się czuje Lila, słysząc, że uwielbianą ciocię Tanię ukochana mamusia nazywa świńską blondyną?

– To wczasowiczka, nasza sąsiadka – odpowiedziałem powściągliwie, z trudem się powstrzymując, żeby nie zacząć krzyczeć na Ritę i czegoś jej nie nagadać. Jeśli jeszcze raz obrazi Tatianę, nie ręczę za siebie.

Ale Rita nigdy nie była drobiazgową, łatwo przeskakiwała z tematu na temat, nie poświęcając jednemu problemowi zbyt dużo czasu. Temat „świńskiej blondyny” został wyczerpany, przyszła kolej na następny.

– Wszyscy na festiwalu chyba poszaleli – oznajmiła, wsuwając Lili do ręki banana i obierając dla siebie drugiego. – Zastanawiają się, która kandydatka wpadła na pomysł pozbycia się rywalek. Pogłoski, plotki, prawdziwa zgroza. Nawet robią zakłady.

– No i kto ma najwyższe notowania?

– Celajewa. Wiele osób nie wie o problemach Reginy, ale o tym, że aktorka z Celajewej żadna, wiedzą wszyscy. Saule przydzielono całodobową ochronę.

– Tylko Saule? Dlaczego?

– No jak to, jest przecież następna na liście.

– No cóż, to rozsądne – odparłem z uśmiechem. – To znaczy, że organizatorzy postanowili jednak nie przerywać festiwalu?

– Nie, najpierw się pokłócili, głosy były podzielone, ale Rudin przyprowadził sponsorów, którzy raz-dwa wszystkich przekonali. Zainwestowano ogromne pieniądze, ale wydatki powinny się zwrócić, po pierwsze, dzięki umieszczeniu reklam na wszystkich imprezach i na stronach „Wiadomości”, a po drugie, na skutek podwyższenia cen biletów na filmy, w których występują nagrodzeni aktorzy. Tak więc nie można zamknąć festiwalu i nie wręczać nagród. Reklamodawcy zażądają nie tylko zwrotu pieniędzy, ale i zapłacenia kary umownej. Zwłaszcza, że najbardziej korzystne z finansowego punktu widzenia imprezy jeszcze się nie odbyły, niektóre gwiazdy przyjadą później. Na przykład Juskiewicz przylatuje dopiero jutro. Zgodnie z programem jutro będzie pokaz *Żonobójcy*, w którym gra główną rolę, a wieczorem konferencja prasowa. Wiesz, jak się podkręca zainteresowanie? Ulubieniec publiczności. Pół miasta zwali się, żeby na niego popatrzeć. W miejscu, gdzie się spotka z widzami, sprzedawane będą broszury, kalendarze z jego zdjęciami, koszulki i inne gadzety. Nasi organizatorzy specjalnie dogadują się w takich wypadkach z miejscowymi działaczami, żeby oficjalną godzinę przybycia podać z pewnym zapasem. Mówi się na przykład, że gwiazda przyleci o trzeciej, a tak naprawdę pojawia się o czwartej albo nawet o piątej. Ludzie się zbierają i czekają, już się nie rozchodzą. A im dłużej czekają, tym więcej kupują. I wszyscy czerpią z tego zyski. Toteż jeśli Rudin zamknie festiwal, nie wyjedzie stąd żywy.

– Wszystko jasne – kiwnąłem głową.

Rita paplała już o czymś innym, a mnie przyszło do głowy, że jeśli zabójstwa na festiwalu stanowią zagrożenie dla tych, którzy weń zainwestowali, to powinno im zależeć na tym, żeby przestępstwa zostały wykryte jak najszybciej, najlepiej, zanim festiwal dobiegnie końca. Podczas finału będzie można ujawnić skandaliczną prawdę, i znajdzie się wielu chętnych, którzy zechcą zapłacić krocie za bilety. Co więcej, istnieje niebezpieczeństwo, że jeśli wydarzy się kolejna tragedia, interes trzeba będzie zwinąć. A zatem należy jak najprędzej unieszkodliwić przestępcę (albo przestępczynię?). Dlaczego więc ci zainteresowani sponsorzy patrzą przez palce na to, że śledztwo prowadzą trzej wywiadowcy, których łączne siły wyceniłem na siedemdziesiąt pięć procent jednego dobrego oficera dochodzeniowego? A

może wynajęli prywatnych detektywów? Jakoś nie czuję jednak ich obecności, mimo że w takiej sytuacji łatwo daje się zauważyć obcą rękę.

– Słuchasz mnie?

Byłem tak zaprzątnięty swoimi myślami, że gdy Rita pociągnęła mnie za ucho, zorientowałem się, że nie wiem, o czym mówiła.

– Oczywiście.

– I co ty na to?

– Na co?

– Masz ci los, nigdy nie słuchasz, co do ciebie mówię. – Rita znowu się rozzłościła i podniosła głos. – Pytam, czy się zgadzasz. Pieniądze są w końcu niemałe.

– Jakie pieniądze? Wybacz, Ritka, rzeczywiście się zamyśliłem i nie słyszałem, co mówiłaś. Zaczynij od początku.

– Co ja z tobą mam – jęknęła efektownie. – Rudin prosił, żebym cię zapytała, czy nie zostałbyś u niego szefem ochrony. Wie, że odchodzisz z milicji. Jeśli wyrazisz zgodę, chce, żebyś zaczął od zaraz i pomógł rozwikłać sprawę zabójstw. Jest gotów podpisać z tobą kontrakt dziś wieczorem.

Tak. No proszę. Nie zdążyłem dobrze pomyśleć, a już słowo ciałem się stało. Co prawda nie przyszło mi do głowy, że jako wykonawcę sponsorzy upatryli sobie mnie.

– Rita, to niemożliwe.

– Dlaczego?

– Bo nie mam licencji prywatnego detektywa. W związku z tym nie posiadam ani oficjalnych dokumentów, ani broni. A zresztą nie mam na to najmniejszej ochoty. Nie podoba mi się ten twój Rudin.

Rita oblała się rumieńcem i zażenowana sytuacją, zrobiła się agresywna. Dobrze wiedziałem, że przewodniczący festiwalu Rudin jest jej kochankiem, a nawet gdybym tego nie wiedział, domyśliłbym się teraz. Inaczej nie zwierzałyby mu się, że jej były mąż odchodzi na emeryturę. A Boris Rudin naprawdę nie budził mojej sympatii. Nie chodzi wcale o to, że wiedziałem o jakichś jego grzeszkach, w dzisiejszych czasach tylko dzieci rodzą się bez grzechu. Nie podobał mi się, i tyle. Nie zamierzałem dla niego pracować. A nawet gdybym chciał, nie mógłbym. Naczelnik miejscowego wydziału kryminalnego nie pozwoli, żebym się wtrącał do śledztwa, jeśli nie będę miał odpowiednich dokumentów. Najważniejsze jednak było to, że chciałem, aby zabójstwa popełnione na festiwalu „Złoty Orzeł” wyjaśnił Sierioża Lisicyn, a nie prywatny detektyw Stasow. Nie będę się popisywał, zrobię wszystko, żeby pomóc Sierioży. Bo Sierioża, w odróżnieniu od Borisa Rudina, przypadł mi do serca.

– Jakie to ma znaczenie, czy ci się Rudin podoba, czy nie? – ze złością powiedziała Rita. – Mówimy o pracy i, zauważ łaskawie, o pieniądzach. Urlop ci się kończy, zwolnisz się, i co będziesz robił? Bąki zbijał? Proponuję ci pracę, dobrą pracę, i dobre zarobki, a ty strugas z wariata.

– Rita, mogę się jeszcze zastanawiać, czy przyjąć pracę u Rudina, ale o tym, żeby pomagać teraz w śledztwie, nawet nie ma mowy. Nie będę pracował z naruszeniem prawa. Lokalni stróże porządku trzymają się rygorystycznie przepisów, świadcząc usługi detektywistyczne bez licencji, mogę mieć duże nieprzyjemności. Rozumiesz?

– Rozumiem, że jesteś po prostu upartym i nieznośnym typem! – Rita prawie krzyczała.

Nagle pojąłem, że miałaby satysfakcję, gdyby jej obecny kochanek mógł zatrudnić byłego męża. Mówiłaby, że wyszła za męża za jaśniepana, a jej eks, którego rzuciła, jest teraz jego pacholkiem. No, Ritka, ale z ciebie żmija!

– Masz rację – powiedziałem pokojowo, ledwo tłumiąc śmiech. – Jestem uparty i nieznośny. Ale nie zamierzam gnść w więzieniu. Kłopoty też mi się nie uśmiechają. Mam do tego prawo? Mam. Jakies zastrzeżenia?

– Przemysł to jeszcze. – Rita spuściła odrobinę z tonu. – Jeśli się zdecydujesz, zadzwoń do Rudina. Tu masz jego telefon.

Podala mi lśniącą, prostokątną kartę wizytową, na której widniały słowa: Koncern filmowy RUNIKO: Boris Josifowicz Rudin. Prezes. Pod spodem były moskiewskie adresy i telefony, a na odwrocie nabazgrany długopisem telefon miejscowego hotelu. Wsunąłem kartonik do kieszeni. Dopiero teraz zauważyłem, że całkiem już się ściemniło, z trudem odczytałem słowa na wizytówce.

Odwrociłem się w stronę Lili i zobaczyłem, że czyta, trzymając książkę tuż przy oczach. A jednak jestem złym ojcem, i nie tłumaczy mnie to, że Rita jest złą matką. Zanim rozwiążę swoje problemy, moje dziecko nabawi się krótkowzroczności.

Rozstaliśmy się przy wyjściu z plaży. Rita musiała skrócić w lewo, w kierunku hotelu, a my z Lilą – w prawo.

– Co będziecie jedli na kolację? – spytała napastliwie Rita.

Przypomniało mi się, że nic nie kupiłem, a przecież sklepy są już zamknięte. Co prawda otwarte są jeszcze stragany, ale to, co tam sprzedają, nie nadaje się dla dzieci: solone orzeszki, keks, parówki konserwowe. Liczyć na kolejne zaproszenie od Iroczi nie wypadało, jedliśmy już dzisiaj przygotowany przez nią obiad.

– Zaraz idziemy do restauracji – powiedziałem swobodnie. – Na pstrąga z frytkami.
Prawda, Lila?

Lila spojrzała na mnie swoimi ogromnymi oczami, w których zastygło nieme pytanie, i odpowiedziała cicho:

– Tak, tato.

Rozdział 6

Lila już dawno zasnęła, a ja ciągle przewracałem się z boku na bok. Wiedziałem, że za ścianą Tatiana również nie śpi, i z jakiegoś powodu ta myśl nie pozwalała mi się uspokoić i zasnąć.

Kiedy wróciliśmy, Iroczi nie było w domu. Okazało się, że wróciła, by przygotować kolację, i znowu wybrała się gdzieś z Mazajewem. Tania ślęczała w swoim pokoju nad materiałami o pożarze.

– Chcę jak najszybciej je przeczytać i oddać – wyjaśniła. – To nie w porządku, gdy dokumenty służbowe znajdują się w cudzych rękach. Chłopak może mieć nieprzyjemności. Ja też będę spokojniejsza.

Nawet gdy zajmowała się pisaniem, do głosu dochodziła jej sędziowska natura.

– Była tu pańska żona. Znalazła was na plaży?

– Tak, dziękuję, Tanieczka.

– Jest bardzo ładna.

W jej głosie nie słyhać było zazdrości, zachwyty też nie. Po prostu stwierdziła fakt. Jak śledcza.

– To moja była żona.

– Tak? Nie wiedziałam.

– Lila pani nie powiedziała? Jesteśmy już trzy lata po rozwodzie.

– Dima, już dawno powinien pan przestać się dziwić. Pana córka słowa nie pisnie, jeśli się jej nie weźmie w krzyżowy ogień pytań. Wyrośnie z niej wspaniała studnia.

– Kto? – spytałem zdezorientowany.

– Studnia, do której można wrzucić swoje tajemnice i mieć pewność, że nikt nigdy niczego się nie dowie. Lila umie trzymać język za zębami.

– Co prawda, to prawda – przytaknąłem, podziwiając mimo woli jej jasne włosy i pulchne, ale bardzo zadbane dłonie.

Z każdą godziną podobała mi się coraz bardziej, aż sam zaczynałem się dziwić – dlaczego wcześniej tęgie kobiety nie robiły na mnie żadnego wrażenia? Ritka przesłoniła mi cały świat?

Pożegnałem się z Tatianą, życząc jej dobrej nocy, i udałem się do siebie, ale od tej pory minęło już półtorej godziny, a sen ciągle nie nadchodził. Zdaje się, że Irocza też jeszcze nie wróciła, w każdym razie nie słyszałem ani jej kroków, ani głosu, a słuch mam dobry.

Wstałem ostrożnie, żeby nie zbudzić Lili, wciągnąłem dzinsy i koszulę, wsunąłem nogi w klapki plażowe i wyszedłem na balkon. Obszedłem dom i od razu zobaczyłem światło padające z okna pokoju, który zajmowały Tania i Ira. Wyglądało na to, że Tania ciągle jeszcze studiuje dokumenty.

Na palcach podkradłem się do okna i zajrzałem do środka. Zgadza się, oba łóżka są puste, Irocza jeszcze się przechadza ze swoim socjologiem, a Tania szybko wystukuje tekst na komputerze, zaglądając do papierów Lisicyna. Po jakichś pięciu minutach ocknąłem się, zdając sobie sprawę, że stoję jak zahipnotyzowany i gapię się na Tatianę, nie mając siły, aby się stąd ruszyć. Cokolwiek by mówić, Tania działa na mnie magnetycznie.

Decyzja zrodziła się w mojej głowie, zanim zdążyłem w ogóle się zastanowić. Wparowałem do pokoju, szybko podszedłem do Tatiany i chwyciłem ją za rękę.

– Chodźmy – powiedziałem szeptem, zdziwiony swoim zachowaniem, nie rozumiejąc, co robię i dlaczego.

– Dokąd? – Tatiana też zaczęła szeptać.

– Do sadu.

– Po co?

– Po to. Chodźmy.

Wstała posłusznie i zeszła za mną po schodach. Zaprowadziłem ją w głąb ciemnego, pachnącego sadu, ani przez chwilę nie wątpiąc, że postępuję słusznie. Nie wiem, skąd się wzięła ta pewność. Po prostu wiedziałem, i już.

Objąłem Tatianę i zacząłem ją całować spokojnie, delikatnie, bez nacisku i pośpiechu. Odpowiadała takimi samymi spokojnymi i pewnymi pocałunkami, jakbyśmy byli starym małżeństwem, i mój nagły poryw wydawał jej się zupełnie naturalny, nie budząc zdziwienia ani zażenowania. Moje pieszczoty stopniowo stawały się coraz bardziej śmiałe, Tania reagowała na nie cichymi jękami i umiejętnymi ruchami ręki. Jej wspaniałe piersi, niczym nieskrępowane pod cienką trykotową koszulką, tak idealnie układały się w moich dłoniach, jakby sama natura przeznaczyła je właśnie do tego celu. Podniecenie narastało pomału, nie było w nim tego namiętnego szału, który zawsze ogarniał mnie z Ritą i innymi zgrabnymi, długonogimi ślicznotkami. Unosiłem się na falach, kołysząc się cicho, i było mi tak dobrze, jak całkiem niedawno we śnie.

Osunęliśmy się powoli na trawę, zdążyłem jeszcze pomyśleć, że spódnica Tatiany jest na szczęście z jakiegoś ciemnego materiału...

Potem staliśmy jeszcze długo objęci, nie odzywając się, Tania gładziła mnie po plecach i ramionach, a ja całowałem jej włosy i skronie i myślałem, że mój skrzydlaty,

pulchny aniołek wyciągnął ze swego szklanego bębna najszcześniejszy los, i pewnie teraz niepowodzenia posypią się jedno za drugim, ale mam to gdzieś. Za wszystko trzeba płacić, za podarowane w porę szczęście też.

Od strony furtki dały się słyszeć głosy, Ira wróciła. Opuściliśmy pośpiesznie sad i usiedliśmy na schodach prowadzących do ich pokoju, jakbyśmy spędzili tutaj cały wieczór.

– Cześć, nocne marki – powiedziała szeptem Irocza, podchodząc do nas.

– Cześć, miłośniczko spacerów – szeptem odpowiedziała Tania. – Gdzie byłaś?

– Będziecie się śmiać, ale poszliśmy na plażę dla nudystów, żeby się wykapać.

– A co, jest tu gdzieś taka plaża? – spytałem.

– Raczej była. Okazało się, że zamknięto ją miesiąc temu. Można się tam dostać tylko kolejką linową, ale w ubiegłym miesiącu zerwał się jeden wagonik i teraz trwa kapitalny remont. Tak więc nasz pomysł, żeby się wykapać nago, spełził na niczym.

Poczułem w duszy współczucie dla ładniutkiej, wesołej Iroczi. To oczywiste, że wybrała się ze swoim brodatym socjologiem na plażę dla nudystów w określonym celu, kąpiel bez kostiumu była tylko niezbędnym tłem, można powiedzieć, okolicznością towarzyszącą czynności, którą przed chwilą zajmowałem się z jej przyjaciółką w sadzie. Ciekawe, dlaczego Mazajew nie zaprosił Iry po prostu do swego pokoju? Może jego gospodarze to ludzie starej daty? Niewykluczone, że to nie pierwszy jego pobyt w tym domu i w poprzednich latach przyjeżdżał tu z żoną? Jako człowiek bezgranicznie szczęśliwy chciałem, żeby wszyscy wokół byli zadowoleni, toteż zaproponowałem wielkodusznie:

– A jakbyśmy tak z Tanieczką poszli na spacer? Tania cały dzień siedziała przy komputerze, więc potrzebuje trochę ruchu. Co ty na to, Tanieczko? Przejdziemy się gdzieś?

Tatiana uśmiechnęła się i popatrzyła znacząco w stronę sąsiedniej posesji. W pokoju Mazajewa akurat zapaliło się światło.

– No, jeśli nasz uczony sąsiad jeszcze się nie położył, to chyba tak.

– Tania! – W głosie Iry zabrzmiało przerażenie. – To nie wypada. Coś ty!

– Daj spokój. Chodźmy, Dima. Po drodze zajrzemy do sąsiada.

– Ale wymyśliliście, no nie wiem...

– Nic nie musisz wiedzieć. Zabierz tylko moje papiery ze stołu.

– Dziękuję wam – wymamrotała zmieszana Irocza.

Wyszliśmy na ulicę, zostawiłem Tatianę przy furtce prowadzącej do sąsiedniego domu, a sam ruszyłem w stronę otwartego okna. Jurij Siergiejewicz siedział na łóżku i w zamyśleniu studiował wzór tapety na ścianie, obracając w dłoni kieliszek koniaku.

– Panie socjolog! – zawołałem półgłosem. Mazajew drgnął i o mało nie rozlał koniaku.

– A, to pan, Sława. Tak nagle się pan pojawił, że się przestraszyłem.

– Będę się streszczał – powiedziałem, próbując opanować śmiech. – Idziemy z Tatiana na spacer, a Iroccka zostaje w domu. Ma pan do dyspozycji jakąś godzinę, mogę to panu zagwarantować. Tylko nie obudźcie Lili.

– Ale... Proszę zaczekać, Sława.

– Życzę powodzenia – rzuciłem na odchodne.

– Dokąd pójdziemy? – spytała Tatiana, kiedy wziąłem ją pod ramię i pewnie poprowadziłem w nieznanym kierunku.

– Nie wiem – odparłem beztrosko. – A gdzie chcesz?

– Do domu – odrzekła bardzo poważnie. – Po seksie ślaniam się z wyczerpania. Widać nie jestem tak wysportowana jak ty.

– To jakaś aluzja?

– Skąd, naprawdę jesteś w niezłej formie. A myślałeś, że co?

Parsknąłem śmiechem.

– Tatiano Grigorjewno, przy pani nuda człowiekowi nie grozi! Przepraszam, naprawdę nie przyszło mi do głowy, że nie masz siły. Ja na przykład czuję się, jakby mi skrzydła wyrosły. Ale tak mi było szkoda twojej Iroccki! Przecież musi mieć jakieś przyjemności, a nie tylko gotowanie i pranie.

W milczeniu podążaliśmy w stronę morza. Panująca między nami cisza wydawała się najpierw czymś naturalnym, ale potem, w miarę jak się przedłużała, zaczęła mi ciążyć. Może Tatiana jest niezadowolona? Żałuje? Zmęczyła się? Zrobiłem coś nie tak? Obraziła się?

Ogarnęło mnie zdenerwowanie, ale nie mogłem się przemóc, żeby ją zapytać. A ona szła przy mnie, i wiele bym teraz dał, żeby się dowiedzieć, o czym myśli.

Na nabrzeżu panował ruch, mimo że była już trzecia w nocy. Czynne były bary nocne, dyskoteki, restauracje i kasyna.

– Wstąpimy gdzieś? – zaproponowałem.

Pokręciła przecząco głową.

– Wszędzie hałas, a ja muszę pomyśleć.

– Mogę wiedzieć, o czym?

W końcu się odważyłem i spytałem. Wóz albo przewóz. Nawet jeśli Tania powie zaraz coś nieprzyjemnego, będzie to o niebo lepsze niż męczące domysły.

– O pożarze. Zastanawiam się, jak zmienić kompozycję fabuły, żeby uwzględnić to, czego się dowiedziałam z dokumentów Sierioży, a przy tym nie przerabiać tego, co już napisałam. Okropnie nie lubię wprowadzać zmian.

Wszystkiego mogłem się spodziewać, tylko nie tego. Bardziej nie można zranić ambicji faceta. Niechby powiedziała, że jest rozczarowana, że nie sprawiłem jej żadnej przyjemności, że jestem kiepski albo odwrotnie, wymagający jak sto diabłów. Dowolny zarzut można odebrać jako informację, wyciągnąć wnioski i próbować coś naprawić. Ale to... Cały czas myślę jak głupi tylko o tym, co się zdarzyło w sędzie, a ona ma w głowie swoją książkę.

– A ja myślę o tobie – odpowiedziałem ze złością. – Wybacz, taką już mam sentymentalną naturę.

Spojrzała na mnie uważnie i nagle łagodnie się uśmiechnęła, gładząc mnie po policzku.

– Nie gniewaj się, kochanie. To, co między nami zaszło, było cudowne, ale nie ma potrzeby tego roztrząsać. Jeśli znowu się zdarzy, będę szczęśliwa. A jeśli nie, to trudno, nie ma o czym mówić. Chyba zgodzisz się ze mną?

Nie znalazłem żadnych kontrargumentów, ale nie potrafiłem ukryć rozczarowania. Jednak już po chwili ogarnął mnie śmiech. Co ja wyprawiam, tak się rozkleić! Tania ma rację. Znamy się zbyt krótko, żeby fakt zbliżenia fizycznego poczytywać za oznakę dojrzewającego związku. Przecież ona nie może wiedzieć, jak silne wywiera na mnie wrażenie, jakie dziwne jest to, co się ze mną dzieje. W jej oczach mój poryw to epizod, fantazja rozwodnika na urlopie, nic więcej. Jeśli nie dostrzega z mojej strony żadnego uczucia, to wyłącznie moja wina, nie jej.

Minęliśmy kolejną otwartą restaurację i przechodziliśmy właśnie koło niedużego pawilonu, z ciasno ustawionymi kasetami wideo na wystawie. To była wypożyczalnia. Prześliznąłem się wzrokiem po naklejkach na pudełkach i już miałem iść dalej, gdy nagle moją uwagę przyciągnęło coś zupełnie niekasowego. Zobaczyłem wielokrotnie powtarzające się tytuły: *Wyzwolenie*, *Zwycięstwo*, *Bitwa o Berlin*, *Blokada*, *Bohaterski czyn zwiadowcy*, *Silni duchem*. W pierwszej chwili pomyślałem, że mam przywidzenia. Ale nie, kasety leżały równo poukładane jedna na drugiej, pięć *Wyzwoleń*, tyle samo *Zwycięstw* i *Blokad*, pozostałych tytułów było jeszcze więcej – po osiemdziesiąt egzemplarzy. Coś podobnego! Tutaj, w mieście uzdrowskim, do którego przyjeżdżają „nowi Rosjanie”? Przesunąłem się o krok wzdłuż witryny i ogarnęło mnie jeszcze większe zdziwienie. Moim zdumionym oczom ukazały się liczne kasety z filmami z lat czterdziestych i pięćdziesiątych: *Prosta historia*, *Niedokończona powieść*, *Wszyscy są tylko ludźmi...*

Pawilon był otwarty, wywieszka na drzwiach informowała, że jest czynny całą dobę. Zajrzałem do środka i zobaczyłem znajomą twarz młodego biznesmena z branży wideo, Loni, który dostarczał kasety Nikołajowi Fiodorowiczowi Wiernigorze.

– Wstąpmy na chwilę – powiedziałem, otwierając przed Tatianą drzwi.

Lonia od razu mnie poznał.

– Dzień dobry. Pan do mnie czy po film?

– Do ciebie. Powiedz, dlaczego macie tutaj tyle starych tytułów? Ktoś w ogóle o nie pyta?

– No pewnie! Specjalnie zrobiliśmy tyle kopii, żeby dla wszystkich starczyło. W naszym mieście od dawna mieszka sporo emerytowanych wojskowych, takich na przykład jak dziadek Nikołaj. Nawet pan sobie nie wyobraża, ilu ich jest. Bardzo lubią te filmy.

Uśmiechnął się jakimś mądrym, wcale nie dziecinnym uśmiechem.

– Ja ich rozumiem. Co teraz może oglądać w telewizji mężczyzna w podeszłym wieku? Kobiety mają dobrze, dla nich na kanale 2x2 przez cały dzień lecą seriale. A mężczyźni? Nie interesują ich te wyciskacze łez. No to zafundowali sobie odtwarzacze i oglądają filmy swojej młodości.

– A ty je znasz? – spytałem.

– No jasne. Przecież muszę wiedzieć, czym handluje. A zresztą, wie pan, starszankowie mają już kłopoty z pamięcią. Przychodzi do mnie pewien siwy pułkownik na emeryturze i mówi: synku, nie masz czasem takiego starego filmu, dobry był, tytułu nie pamiętam, Bystricka gra tam lekarza, a Bondarczuk inżyniera albo jakiegoś budowlańca, w każdym razie ma amputowane nogi. A ja mu na to: proszę, dziadku, oto twoja *Niedokończona powieść*.

– Mądrała – pochwaliłem go – masz głowę na karku.

Wróciliśmy z Tatianą na jasno oświetlone nabrzeże, pełne całujących się par i hałaśliwych grup. Zostawiliśmy za sobą kolejną nadmorską restaurację, z której dobiegały dźwięki orkiestry tanecznej, i zobaczyliśmy elegancką wystawę sklepu „Weronika”. Sądząc z eksponowanych modeli odzieży, butik raczej nie należał do tanich.

– Wejźmy do środka – poprosiła Tatiana. – Wygląda ciekawie.

W sklepie od razu napotkaliśmy podejrzliwy wzrok potężnego typu w łaciatym uniformie, zapewne ochroniarza.

– Dobry wieczór, w czym mogę pomóc? – Ekspedientka pośpieszyła w naszą stronę. – Co państwu pokazać?

Tania lekko się speszyła pod takim naporem.

– Potrzebuję czegoś odpowiedniego do pracy, ale z cienkiego materiału, na lato – odparła, oglądając kolorowe fatalaszki na obrotowym stojaku.

– Jaki rozmiar panią interesuje?

Tania wyraźnie się stropiła. Pewnie nie chciała wymieniać przy mnie swojego rozmiaru, jakbym sam nie miał oczu, i po usłyszeniu liczby „pięćdziesiąt cztery” miała mi się wydać grubsza, niż jest w rzeczywistości.

– Na mnie.

– Proszę tutaj.

Ekspedientka zrobiła zapraszający ruch ręką i zaprowadziła nas do stojaka, na którym wisiały sukienki i kostiumy z jedwabiu i szyfonu. Tania zaczęła pomału przesuwać wieszaki, oglądając dokładnie każdą rzecz, a ekspedientka stała jak słup, nie spuszczać oczu z jej rąk. Szybko się znudziłem, więc poszedłem do działu męskiego. Od razu za moimi plecami pojawił się masywny ochroniarz. Czulem na karku jego wzrok; to nie było zbyt przyjemne.

– Co się tu u was dzieje? – nie wytrzymałem. – Boicie się bandziorów? Co pan mi tak depcze po piętach?

– Nie wie pan? – odezwał się osiłek. – Tak jest teraz we wszystkich sklepach. W tych, które ocalały.

– Nie jestem stąd. Co znaczy „ocalały”?

– Naprawdę pan nie wie? Parę miesięcy temu spotkało nas nieszczęście. Wszystkie drogie ubrania ktoś pomalował farbą. Niech pan sobie wyobrazi, że jakiś łobuz sprayem zniszczył nam ponad połowę towaru. To samo zdarzyło się jeszcze w czterech innych sklepach. A po tygodniu ofiarą padły kolejne. Z towarem trzeba się było pożegnać, jakby go ktoś ukradł, straty te same. Część sklepów nie wytrzymała takiego finansowego ciosu, właściciele splajtowali i zamknęli interesy. Inni zwiększyli ochronę, ustawili wszędzie kamery, zatrudnili dodatkowe ekspedientki, żeby chodziły krok w krok za każdym klientem i sprawdzały po wyjściu z przymierzalni wszystkie rzeczy. No, sam pan rozumie, nie każdy sklep mógł sobie na to pozwolić, więc zaczęły padać. My na razie się trzymamy, ale też cienko przedziemy.

– A co na to milicja? Znaleźli tych chuliganów?

– Tak po prostu! – zachnął się ochroniarz. – Od razu się rzucili do szukania.

– Rozumiem. Mogę przymierzyć te spodnie?

– Proszę. Kabina jest na prawo.

Idąc w kierunku wskazanym przez ochroniarza, zauważyłem, że Tatiana podąża do przymierzalni z jakimś kostiumem w rękach. W ślad za nią posepnie wlokła się ekspedientka.

Weszliśmy do sąsiednich kabin. Słyszałem, jak w odległości metra ode mnie rozbiera się młoda kobieta, i pragnąłem jej z niewyobrażalną siłą. Boże, co mnie opętało? Może rzuciła na mnie urok?

Spodnie leżały jak ulał. Spojrzałem na metkę i od razu wszystko się wyjaśniło. Były markowe i kosztowały trzysta umownych jednostek, czytaj – dolarów. No pewnie, za taką cenę miałyby jeszcze źle leżeć!

– Tania! – zawołałem półgłosem. Ścianki między kabinami tylko trochę przewyższały przeciętnego człowieka, więc nie wątpiłem, że mnie usłyszy.

– Tak? – odpowiedziała natychmiast.

– Jak kostium?

– Oszałamiający.

– A cena?

– Jeszcze bardziej oszałamiająca.

– Ile?

– Pięćset osiemdziesiąt.

Aż gwizdnąłem.

– Możesz coś takiego nosić?

– Nie mam wyboru. Na moją figurę nie ma tanich sukienek. To znaczy czasem bywają, ale nie da się ich nosić.

– Mogę zobaczyć?

– Proszę.

Opuściłem kabinę i zwróciłem spodnie stojącemu obok ochroniarzowi, który od razu zaczął je skrupulatnie oglądać. Zaslona przy wejściu do sąsiedniej kabiny odsunęła się i zobaczyłem Tanię w kostiumie za pięćset osiemdziesiąt umownych jednostek. No cóż, jak to się mówi, warto było!

– Super! – wyrwało mi się szczerze.

– Podoba ci się?

No jasne, że mi się podobało. W tym kostiumie Tania wyglądała, jakby nosiła najwyżej pięćdziesiąty rozmiar. Pomyślałem, że gdybym miał przy sobie takie pieniądze, w ogóle bym się nie zastanawiał i kupiłbym jej ten kostium. Jakie to jednak dziwne! Nigdy nie miałem ochoty kupować ubrań dla Rity. Może dlatego, że najbardziej podobała mi się naga w łóżku...

– Zdecydujesz się? – spytałem Tanię, gdy znowu znaleźliśmy się na ulicy.

– Jeszcze nie wiem. Muszę to obgadać z Irą. A co ty o tym sądzisz?

– Powinnaś się zdecydować. Wyglądasz ślicznie.

– Dobrze – westchnęła. – Zastanowię się. Długo jeszcze musimy tak krążyć?

Spojrzałem na zegarek. Od momentu, w którym obiecałem Mazajewowi godzinę swobody, minęło pięćdziesiąt minut.

– Możemy powoli wracać. Naprawdę się zmęczyłaś?

– Naprawdę. Oczy mi się zamykają.

Zderzyliśmy się z Mazajewem przy furtce. Spojrzał na nas z miną winowajcy, pośpiesznie burknął coś w rodzaju „dobranoc” i zmieszany, czmychnął do siebie.

Zbudziły mnie głosy dobiegające z dworu. Słońce paliło na całego, łóżko Lili było puste, to znaczy, że zasnęłam i zrobiło się późno. Szybko się ubrałam, wyszedłem na balkon i spojrzałem w dół. Przy stole pod daszkiem siedziała Lila, zajęta czytaniem, a obok niej Tania i Siergiej Lisicyn o czymś rozmawiali. Pozazdrościłem Tatianie umiejętności wczesnego wstawania, nawet wtedy, gdy się położyła o trzeciej nad ranem. Ja tak nie potrafię, lubię sobie pospać, szczególnie podczas urlopu.

Na ławce koło Sierioży leżała duża czarna teczka.

– Władisławie Nikołajewiczu, miał pan rację, w fioletowej reklamówce Dorienko rzeczywiście była kasetka z numerem dziewięć. Obejrzałem ją wczoraj dwa razy, ale nic z tego nie rozumiem. Może pan spróbuje? Przyniosłem odtwarzacz.

– A co jest na kasecie? – spytałem, nalewając sobie kawy i smarując masłem chleb, który przyniosła uczynna Iroccka. Okazało się, że Lila jest już po śniadaniu. Chyba nie tylko Tania zginęłaby bez Irocckiej, ja też.

– Wszystko, jak mówił pański przyjaciel Lonia. Jakieś kombatanckie imprezy. Mało oczu sobie nie wypatrzyłem, ślepiąc się w ekran, ale do niczego nie doszedłem.

Nie ma tam nic, co by tłumaczyło, dlaczego Dorienko musiała dostać tę kasetę. I dlaczego trzeba jej było potem szukać.

– Dobrze, obejrzę ją – kiwnąłem głową, odgryzając ogromny kawałek miękkiego, ciepłego chleba. – A przy okazji, na co umarł Wiernigora? Co wykazała sekcja zwłok?

– Rozległy zawał.

– Nic więcej? Ani cienia podejrzenia?

– Nic. Sprawa jest absolutnie czysta.

– A jednak nie podoba mi się to wszystko – powiedziałem z uporem.

– Mnie też. – Sierioża westchnął ciężko. – Ale nic na to nie poradzimy, z medycyną nie ma co dyskutować.

– A co dla ciebie ważniejsze: intuicja czy nauka? – spytałem z zainteresowaniem, wpychając do ust resztki kanapki i popijając je gorącą kawą.

– Oczywiście, że nauka – odpowiedział, uśmiechając się. – Zbyt krótko pracuję, żebym miał stawiać swoją intuicję wyżej od nauki. Brak mi doświadczenia.

– A mnie nie. I dlatego, Sieriożeńka, trzeba wyjaśnić, w jakich okolicznościach Nikołaj Fiodorowicz Wiernigora dostał zawału. Dopiero wtedy moja zaprawiona w boju intuicja uciszy się i przyzna pierwszeństwo medycynie. Wiernigora miał przyzwoitą sąsiadkę, mieszka pod numerem szesnaście, zdaje się, że posprzątała i zabezpieczyła mieszkanie po tym, co się wydarzyło, bo ma klucze od jego mieszkania. Trzeba ją zapytać, czy czegoś nie zauważyła, robiąc porządki. Zajmiesz się tym?

– Zajmę. Tylko, że...

– Co?

– Utkwiłem w hotelu na amen. Saule Ibrajbiekowa jest na granicy wytrzymałości nerwowej, w każdej chwili spodziewa się zamachu na swoje życie. Szef kazał, żeby ktoś stale przebywał w hotelu. W nocy dyżur miał Pasza Jakowczik, ale teraz moja kolej.

Rzuciłem zmieszane spojrzenie na Lilę, która przez cały ten czas siedziała cichutko, zatopiona w książce. Dzisiaj to znowu była Barbara Cartland, widocznie lektura *Ukradzionych snów* dobiegła już końca. Do czego to podobne! Nazywa się, że przywiozłem dziecko nad morze. Ritka mnie zabije, jeśli dzisiaj też nie pójde z Lilą na plażę.

– Mogę porozmawiać z tą kobietą. – Tatiana nieoczekiwanie zaofiarowała swoją pomoc. – Jestem przecież pańską dłużniczką, Sierioża.

– Skądże znowu! – Chłopak z oburzeniem zamachał rękami. – Nawet nie chcę tego słuchać. O jakim długu może być mowa, skoro moja rodzina nie może do tej pory wyjść ze zdumienia, że sama Tatiana Grigorjewna Tomilina była ich gościem.

– Prawdę mówiąc, jeśli Tatiana Grigorjewna, to nie Tomilina. – Tatiana roześmiała się wesoło. – Śledcza Tatiana Grigorjewna nosi nazwisko Obrazcowa, a Tomilina to jej pseudonim. Tatiana Tomilina nie ma otczestwa.

Gdybym tego ranka był w nastroju do zabawy, na pewno parsknąłbym śmiechem na widok głupawej miny Sierioży. Chyba odjęło mu nawet mowę na pewien czas...

– To znaczy... Chce pani powiedzieć... – mamrotał. – Nazywa się pani Obrazcowa? Tatiana Obrazcowa?

– Zgadza się. A czemu pan się tak spłoszył?

W tym momencie poczułem się jakoś dziwnie. W zakamarkach pamięci tliło się jakieś mgliste wspomnienie.

Gdzieś już słyszałem to nazwisko – Tatiana Obrazcowa. Ale gdzie? Pamięć Lisicyna okazała się jednak szybsza i bardziej pomocna.

– To pani udało się uzyskać skazanie samego Ałojana? Czytałem pani artykuł w „Biuletynie Komitetu Śledczego”. W „Biuletynie Głównego Centrum Informacyjnego” też...

Moja pamięć ożyła. Niech to diabli, no oczywiście, wniosek oskarżający Ałojana. Wielu detektywów i śledczych połamało sobie na tym Ałojanie zęby, jego sprawa dwukrotnie trafiała do sądu i dwukrotnie wychodził z sali sądowej z podniesionym czołem i wyrokiem uniewinniającym pod pachą. Miał najlepszych adwokatów, tych, którzy bronili w swoim czasie nieszczęsnych członków GKCP⁴, a po październiku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego roku – obrońców Białego Domu. Ałojan dawał miliony dolarów łapówek, wykupując się od wszystkiego i wszystkich. Z początku chciano dla porządku go przycisnąć, potem ambicja zawodowa detektywów i śledczych nie pozwalała im się poddać, ale w końcu machnęli na niego ręką, twierdząc, że własne zdrowie jest najważniejsze. Wielki Aszot Muszegowicz uspokoił się i prowadził nadal swoje machinacje, ale okazało się, że jego działalność interesowała jeszcze kogoś. Tym „kimś” była śledcza GUWD Petersburga Tatiana Obrazcowa, która nie pytając o niczyją zgodę i nikogo nie informując, nawiązała kontakt z zagranicznymi firmami i zdobyła dane, które pozwoliły jej udowodnić winę Ałojana i trzeci raz go oskarżyć. Tym razem skutecznie.

– Przyjaźnię się ze swoimi byłymi mężami – oznajmiła wesoło Tania. – To bywa czasem wielce pożyteczne.

Domyśliłem się, że informację o Ałojanie przekazał jej pierwszy mąż, który wyjechał za granicę. I od razu rozjaśniło mi się w głowie. No jasne, telefonowała do niego z domu, międzynarodowe połączenia kosztowały ją kupę forsy, której nikt jej nie zwrócił, ale za to całe przedsięwzięcie umknęło uwadze kierownictwa, a wyciek informacji do Ałojana został w ten prosty sposób uniemożliwiony.

– Nie zrujnowała cię ta sprawa? – spytałem, mając na myśli gigantyczne rachunki za telefony.

⁴ GKCP (Gosudarstwiennyj komitet po czriezwyčajnomu położeniju) – Państwowy Komitet ds. Stanu Wyjątkowego – powstał w sierpniu 1991 r., na jego czele stanął wiceprezydent ZSRR Giennadij Janajew, a członkami byli przeciwnicy polityki Michaiła Gorbaczowa (przyp. tłum.).

– Zrzurowała – przyznała. – Ale to był kompletny odjazd. Miałam frajdę, że gruba, niezgrabna baba potrafiła oskarżyć samego Ałojana. Trzeba było widzieć jego gębę w moim gabinecie!

– Przestań, Tatiana! – wybuchnąłem. – Jeśli jeszcze raz usłyszę, że się tak brzydko o sobie wyrażasz, to...

– To co? – spytała z ciekawością. – Co mi zrobisz?

– Jeszcze nie wiem. Wymyślę ci jakąś karę – zażartowałem.

W jej oczach tańczyły małe diabluki, zreflektowałem się, że nasza sprzeczka zaszła zbyt daleko i nie nadawała się dla uszu Sierioży Lisicyna i mojej córki.

Siergiej wyjął ze swojej dużej, sportowej torby odtwarzacz i kasetę, zabrał przyniesioną przez Tatianę teczkę z materiałami o kwietniowym pożarze i pożegnał się z nami, zapewniając, że wpadnie wieczorem. Irocza jako zaufana gospodarzy (ciągle naradzała się z Wierą Iljiczną w sprawie szykowania różnych egzotycznych dań) poszła spytać o telewizor. Postanowiliśmy, że najpierw obejrzymy kasetę Wiernigory, a potem Irocza pójdzie na bazar, Tania – do sąsiadki Nikołaja Fiodorowicza, a ja z Lilą – na plażę.

Dyplomatyczna misja Iry zakończyła się sukcesem i już dziesięć minut później wszyscy troje siedzieliśmy w pokoju na parterze i oglądaliśmy film. Okazało się, że Sierioża miał rację, nic nie rzuciło się w oczy. Uroczystości kombatanckie z okazji pięćdziesiątej rocznicy zwycięstwa. Klub „Patriota” – dawny Pałac Młodzieży, gdzie obecnie emerytowani wojskowi zajmują się patriotycznym wychowaniem młodego pokolenia i za aprobatą miejscowej Komendy Wojskowej prowadzą zajęcia z przysposobienia wojskowego. Zawody sprawnościowe, dekoracja zwycięzców. Na trybunie – kombatancki. Cała reszta w tym samym duchu. Więc do czego potrzebna była Oldze Dorienco ta kasetka?

Wyłączyliśmy telewizor i z przykrością stwierdziliśmy, że obraliśmy zły kierunek. To była zwyczajna kasetka, nie mająca żadnego związku z zabójstwami dwóch prowadzących w konkursie aktorek.

Przed wyjściem na plażę obiecaliśmy Irocze, że wrócimy na obiad, a potem pójdziemy wszyscy razem do hotelu, żeby obejrzeć ceremonię powitania największej gwiazdy ekranu, Olega Juszkiewicza.

Tatiana dotarła z nami do nabrzeża, i poszła odwiedzić sąsiadkę Wiernigory.

Wyciągnąwszy się leniwie na gorącym piasku, wystawiłem plecy na działanie palących promieni słonecznych i drzemiąc, myślałem, że urlop to jednak dobra sprawa.

Nawet nie podejrzewałem, że moje wczasy już się skończyły. Co prawda miałem jeszcze przez dwie, trzy godziny pozostać w błogiej nieświadomości...

Rita pojawiła się na plaży, gdy zaczęliśmy się już zbierać do powrotu na obiad. Twarz miała wykrzywioną wściekłością.

– Wstydu nie masz! Przy dziecku! – wykrzyknęła ze złością, rzucając we mnie jakąś kopertą.

Zaciekawiony, otworzyłem ją i zdrętwiałem. W środku znajdowały się zdjęcia, które przedstawiały mnie i Tanie. W sadzie. Coś podobnego!

Ostrożnie rzuciłem okiem na Lilę. Wydawało się, że nie wykazuje najmniejszego zainteresowania tym, co się wokół niej dzieje, ale mimo to uznałem, że lepiej będzie, jak się rozmówię z jej matką gdzieś na stronie. Chwyciłem stanowczo Ritę za rękę i pociągnąłem w stronę kamiennego murku, który oddzielał plażę od nabrzeża.

– Skąd to masz? – spytałem surowo.

– To ja powinnam zadawać ci pytania. Na co ty sobie pozwalasz, Stasow? Pieprzysz się ze swoją grubą krową dosłownie na oczach dziecka? A ja się dziwiłam, że w końcu raczyłeś przyjechać nad morze, gdy cię o to poprosiłam. Okazuje się jednak, żeś przywiózł sobie kochankę! Ty łajdaku! Jak śmiałeś?!

– Cicho, Rita, uspokój się. Zapomniałeś, że jesteśmy po rozwodzie? Ja nie urządzam ci scen, że przyjechałaś tu z Rudinem. Cała Moskwa wie, że to twój gach. Co się tak wściekasz?

– Co ma do tego Boris? Przynajmniej nie przyprowadzam go do domu, żeby Lila widziała. A ty...

– Lila nic nie widziała. Możesz się nie martwić. Powiedz lepiej, skąd masz te zdjęcia?

– A co za różnica, skąd? Najważniejsze, że jesteś amoralnym, obleśnym typem, któremu nie powinnam była powierzać dziecka.

– Dlaczego? – Wzruszyłem ramionami. – Co w tym niemoralnego? Zresztą nasza córka już dawno wie, skąd się biorą dzieci, i czyta książki dla dorosłych. Doskonale się też orientuje, że jej rodzice są rozwiedzeni. Więc nie dramatyzuj, ale wyjaśnij mi, proszę, szczegółowo, skąd masz te zdjęcia.

– Nie zamierzam ci nic wyjaśniać!

Zaczęła mnie drażnić ta scena. Czasem nie potrafiłem przełamać tępego uporu Rity, ale tym razem musiałem to zrobić.

– Rita, weź się w garść. Muszę koniecznie wiedzieć, kto ci dał te zdjęcia i po co. To może mieć związek z zabójstwami.

– Niby jaki?

Popatrzyła na mnie nieufnie, ciągle jeszcze płonąć resztkami słusznego gniewu, ale jej fale mózgowe zaczęły się już przestraszać na odbiór. Tak, Rita Mieziencewa ma mnóstwo wad, ale jedno nie ulega wątpliwości – umie się szybko przestawić. Zresztą chyba już o tym wspominałem.

– Sama zobacz. Wczoraj zaproponowałam mi kontrakt z Rudinem i podjęcie natychmiastowego śledztwa w sprawie zabójstw Olgi i Lusi. Tak?

– Tak.

– A dzisiaj ktoś ci przynosi zdjęcia, które mają sprowokować między nami awanturę. W rezultacie opuszczam niezwłocznie miasto razem ze swoją kochanką. Tak?

– A kto cię tam wie? – rozsądnie zauważyła Rita. – Może nie. Może wcale nie wyjedziesz.

– Nawet jeśli nie wyjadę, nie zbliżę się do hotelu, bo nie będę chciał się z tobą spotkać. No jak, zgadza się?

– Zgadza – przyznała niechętnie.

– A teraz zobacz, co z tego wynika. Wszyscy twoi przyjaciele ze środowiska filmowego dobrze wiedzą, że jesteśmy rozwiedzeni, i takie zdjęcia nie mogą nas skłócić. Jesteśmy oboje wolni. Co to oznacza?

– No co? – posłusznie powtórzyła Rita.

– Że ta osoba, która nie chce, żebym pracował dla twojego kochanego Rudina, nie jest z naszego grona. To ktoś obcy, rozumiesz? Wie, że jestem ojcem Lili, a ty jesteś jej matką i jednocześnie przebywamy w tym mieście. Nawet do głowy mu nie przyjdzie, że nie jesteśmy małżeństwem. Muszę wiedzieć, kim on jest. On albo oni. Więc zacznijmy od początku: skąd masz te zdjęcia?

Rita potrząsnęła głową bez przekonania.

– Nie wiem. Ktoś mi podrzucił.

– Jak to podrzucił?

– Zwyczajnie. Wsunął pod drzwi do pokoju.

– Kiedy?

Rita zmieszała się i zaczerwieniła. Rozbawiło mnie to.

– Pod drzwi do twojego pokoju? Czy Rudina?

– Mojego.

– Ale spędziłaś noc z Borisem?

– Tak – odparła hardo i utkwiała we mnie swoje czekoladowe oczy.

– A kiedy rano wróciłaś do siebie, znalazłaś kopertę?

– Tak.

– O której to było?

– No... Gdzieś tak o jedenastej...

– Ritka, nie kłam – powiedziałem surowo.

– No... Chyba koło drugiej.

– Długo się wylegujecie po miłosnych igraszkach – rzuciłem ze złośliwym uśmiechem.

– Co mają do tego igraszki – Ritka znowu się rozszłościła. – Przecież wiesz, że imprezy kończą się nad ranem. Kładziemy się praktycznie o siódmej.

– No tak, oczywiście – pokiwałem głową. – Nie pytałaś, czy może ktoś zauważył osobę, która wsadziła kopertę pod drzwi?

– Nie pytałam. Jak zobaczyłam zdjęcia, to...

– Jasne, rozumiem.

Spojrzałem na zegarek. Za dziesięć czwarta. Na pewno Rita nikogo o nic nie pytała. Koło drugiej zobaczyła kopertę i półtorej godziny ledwie jej starczyło, żeby wziąć prysznic, przebrać się, zjeść śniadanie i przybiec tutaj po wyjaśnienia.

– Rita, czy mogłabyś się dowiedzieć od swojego Rudina, z kim oprócz ciebie omawiał pomysł, żeby mnie u siebie zatrudnić. I przypomnij sobie dobrze, z kim ty o tym rozmawiałaś.

– Nikomu nie mówiłam – odparła bez zastanowienia.

Nie uwierzyłem jej. Zbyt dobrze znałem Margaritę Mieziencową, żeby mieć do niej zaufanie.

– Tak czy inaczej, pomyśl, może coś ci się nagle przypomni.

– Dobrze. – Kiwnęła posłusznie głową.

– Kiedy spodziewacie się Juskiewicza?

– Samolot powinien wylądować o szóstej trzydzieści. Na pewno o wpół do ósmej będzie już w hotelu. A na co ci Juskiewicz?

– Chcę na niego popatrzeć – odrzekłem z uśmiechem. – Moje sąsiadki też nie mogą się doczekać, kiedy zobaczą go na żywo.

– Sąsiadki? A może tylko ta, z którą pieprzysz się po nocach w sadzie? Stasow, jeśli myślisz, że...

– Rita – przerwałem jej twardo – to, co robię nocą w sadzie, ciebie nie dotyczy. Gdzie w tym czasie będzie Saule?

– Skąd mam wiedzieć? Pewnie w hotelu, ze strachu nigdzie teraz nie wychodzi. Gdyby nie perspektywa otrzymania nagrody, już dawno by wróciła do Moskwy.

To znaczy, że Saule Ibrajbiekowa, potencjalna ofiara zabójcy likwidującego uczestniczki konkursu, będzie w hotelu, a wokół budynku zbierze się tłum, którego, jak podpowiada mi doświadczenie, nie da się kontrolować ani przy pomocy milicji, ani ochrony hotelowej. Wcale mi się to nie podobało. Myśl, żeby pójść tam wieczorem, była chyba słuszna.

Kiedy pojawiliśmy się z Lilą w domu na Pierwszego Maja, stół był już nakryty. Iroczka przeszła dzisiaj samą siebie w sztuce kulinarnej. Ja w każdym razie nie miałem pojęcia, jak nazwać to, co znajdowało się na talerzach.

Dowiedziałem się od Tatiany, że sąsiadka znalazła Nikołaja Fiodorowicza Wiernigorę martwego, kiedy wstąpiła, aby uprzedzić go o nadciągającej nawałnicy. Rdzenni mieszkańcy południa potrafią zawczasu przewidzieć burzę, więc sąsiadka zdziwiła się, że u Nikołaja Fiodorowicza wszystkie okna i drzwi stały otworem, chociaż już dawno należało je zamknąć, jeśli miały pozostać całe. Zajrzała do środka i zobaczyła emerytowanego pułkownika leżącego na kanapie w bardzo dziwnej pozycji. Na twarzy okulary, odrzucona na bok ręka zaciśnięta na gazecie. Widać musiał umrzeć nagle, w jednej chwili, podczas czytania.

– Co to za gazeta? – spytałem.

– Lokalna, prenumerował ją. Proszę, to ten numer.

Tania podała mi gazetę, i twarz Oli Dorienko w żałobnej ramce spojrzała na mnie z pierwszej strony. Fotografia była duża, na pół szpalty.

– Powiedz, Dima, tak bardzo byś się przejął, gdybyś dowiedział się o śmierci mało znanej ci osoby, tylko dlatego, że poprzedniego dnia o czymś z nią rozmawiałeś?

– Masz rację – przytaknąłem. – Jeśli Wiernigora dostał zawału, bo dowiedział się o zabójstwie Olgi, to przyczyna musiała być istotna. Wiedział na przykład, że Olga jest jego córką. Albo wnuczką.

– Niewykluczone. Co jeszcze?

– Mógł wiedzieć, że ktoś, kto nie jest mu obojętny, na przykład jego własny wnuk, zamierza ją zabić. Czytając gazetę, zrozumiał, że bliska mu osoba popełniła zbrodnię.

– Niewykluczone. Co jeszcze?

– Może chodzi jednak o kasetę. Zdał sobie sprawę, że to z jej powodu zabito Olgę, i winił siebie, że dziewczynę wystawił.

– To też niewykluczone. A zatem Sierioża Lisicyn musi zabrać się do poszukiwań związków rodzinnych pomiędzy Dorienko a Wiernigorą, my sobie z tym nie poradzimy. Nasze zadanie to kasetę. Trzeba ją obejrzeć po kawałku, żeby rozgryźć, co takiego zawiera. Albo przekonać się ostatecznie, że rzeczywiście nic na niej nie ma. Ira!

– Słucham. – Iroczka wyjrzała z kuchni. – Mogę podawać? Narada na szczycie skończona?

– Skończona. A gdzie twój socjolog? Zawołaj go, może zje z nami.

No tak, mój urlop stawał się coraz bardziej rodzinny.

Rozdział 7

Spoglądając na tłum, który się zebrał pod hotelem, zrozumiałem, że mówiąc wczoraj o reakcji mieszkańców na przyjazd gwiazdy filmowej, Rita ani trochę nie przesadzała. Mało tego, przy mojej raczej ubogiej wyobraźni nawet nie zdawałem sobie sprawy z rozmachu wydarzenia.

Ludzie cierpliwie czekali na Olega Juskiewicza, który był jednocześnie symbolem seksu naszych czasów i rosyjskim superbohaterem w stylu Stallone. A dokoła kwitł ożywiony handel Juskiewiczem w postaci toreb, kalendarzy, plakatów, folderów, koszulek, filiżanek, znaczków, puderniczek i papierośnic. Nigdy nie mogłem pojąć, po co ludzie kupują to wszystko, ale fakt faktem, że kupowali, i to jeszcze jak!

Z zainstalowanych wokół hotelu głośników płynęły przeboje, przerywane co chwila reklamami wycieczek, wyjazdów, usług biur turystycznych, restauracji i kasyn nocnych, a także innych uciech dla letników. Sprzedawano tutaj losy loterii „Sprint”, które wręcz rozchwytywano, bo jak uprzedzała Rita, według oficjalnych zapowiedzi Oleg miał przyjechać koło piątej, a w rzeczywistości samolot znajdował się w tym czasie jeszcze w powietrzu, i zmęczeni czekaniem fani, chcieli się jakoś rozerwać. Trudno sobie nawet wyobrazić skalę zysków, jakie przynosiło owo niewinne kłamstwo.

Zauważyłem wśród gapiów dużo osób z aparatami fotograficznymi. Widocznie dla fotoreporterów Oleg Juskiewicz też stanowił upragnioną zdobycz. No cóż, nic dziwnego, jeśli wziąć pod uwagę, że ostatnio grał w filmach głównie za granicą i w Rosji nie tak łatwo go było złapać. Chętni zlecieli się jak muchy do miodu.

Zjawiliśmy się tutaj w piątkę: Irocza ze swoim Mazajewem, Tania i ja z Lilą. Lila oczywiście nie miała tu czego szukać, nawet wcale się nie paliła, żeby pójść z nami, ale nie odważyłem się zostawić jej samej w domu. Nie to, żebym się bał, że coś jej się stanie. Podejrzywałem po prostu, że może się obrazić. Zresztą Lila należała do tych dzieci, którym najbardziej zależy na tym, żeby dorośli zostawili je w spokoju i pozwolili zająć się tym, co lubią. Mimo to wziąłem ją ze sobą. Jak się później okazało, postąpiłem słusznie.

W torbie przewieszanej przez ramię taszczyłem odtwarzacz, który zamierzałem oddać Sierioży Lisicynowi. Znaleźliśmy go z trudem, wyczerpany, uganiał się po hotelu i miałem wrażenie, że niezbyt rozumie, co do niego mówię.

– Gdzie jest Ibrajbiekowa? – spytałem.

– U siebie w pokoju. Teraz prawie wcale nie wychodzi.

– A gdzie jest jej pokój?
– Na szóstym piętrze.
– Z balkonem?
– Owszem.
– Powiedz jej, żeby nie wychodziła na balkon.
– Dobrze.
– Wejścia obstawione?
– Chyba tak.
– Co znaczy chyba? – zapytałem ponuro.
– To działka służby ochrony festiwalu – wyjaśnił Siergiej. – Ludzie Rudina tym się zajmują.
– A milicjanci są na wczasach?
– Otaczają kordonem ulicę, żeby ludzie nie zgnetli samochodu, kiedy przyjedzie Juszkiewicz.

– Jakieś to wszystko bez ładu i składu – zauważyłem, wyjmując z torby odtwarzacz i próbując umieścić go na zawalonym papierami stole w pokoju, który przydzielono Lisicynowi w hotelu.

W tej samej chwili drzwi szeroko się otworzyły i w progu stanął facet po pięćdziesiątce o czerwonej twarzy, roztaczający wokół siebie silną woń przetrawionego alkoholu.

– Co to za zbiegowisko u ciebie? – spytał niezadowolony, obrzucając spojrzeniem mnie i Tanie, jakby próbował przeczytać, co mamy napisane na plecach.

– To moi znajomi, Walentynie Iwanowiczu, wpadli się przywitać. – Siergiej nie stracił przytomności umysłu.

Domyśliłem się, że to właśnie jest jego prowadzący, Walentin Iwanowicz Kuźmin, i okropnie żał mi się chłopaka zrobiło. Wiele się przy takim prowadzącym nie nauczy. Nie ma szans. Kuźmin wszedł do pokoju, zachowując się nie jak oficer dochodzeniowy, ale najgorszy partyjno-komsomolski naczelnik minionego okresu.

Już w holu na dole, gdzie czekały na nas Lila i Irocza z Jurijem Siergiejewiczem, zdałem sobie sprawę, że Kuźmin pojawił się akurat w tym momencie, gdy zamierzałem wyjąć kasetę z torby. Z przyczyn zupełnie zrozumiałych nie zrobiłem tego, więc kasetka Wiernigory z numerem dziewięć pozostawała wciąż u mnie.

Ciągle mijali nas jacyś znajomi, jednych znałem dobrze, innych słabo, ale prawie wszyscy z ciekawością przyglądali się naszej grupie. Widocznie przez te półtorej godziny,

które upływały między otrzymaniem przez Ritę zdjęć a jej pojawieniem się na plaży, historia stała się własnością szerokiej publiczności. Moja była żoneczka cierpiała na taki brak pohamowania w trzepaniu językiem, że ciągle nie mogłem wyjść ze zdumienia, jak udało jej się przez tak długi czas nie zdradzić powierzonego sekretu dotyczącego relacji Olgi Dorienko i Igora Litwaka. Najwidoczniej sedno sprawy tkwiło w tym, że cudza tajemnica pozostawała cudzą tajemnicą, nie dawało się z niej nic wykroić dla siebie. Własne kłopoty stanowiły z kolei nieoceniony materiał, z którego można było uszyć świetną kreację na przyjęcia i imprezy. Patrzcie, mówiła moja małżonka, jaka jestem wyjątkowa, mój facet mnie zdradza, a ja się z tego śmieję. Przecież właśnie dlatego opowiadała na prawo i lewo wymyśloną przez siebie historię o mnie i Oldze.

Potrzebowałem przynajmniej kilku minut na osobności z Tatianą, żeby opowiedzieć jej o zrobionych wczoraj w nocy zdjęciach. Ale jak na złość ciągle ktoś się koło nas kręcił – albo Lila, albo Irocza z Mazajewem. Przecież w tym celu pociągnąłem ją ze sobą do Lisicyna, mając nadzieję, że uda nam się zamienić choć kilka słów, lecz najpierw wszyscy szukaliśmy razem Sierioży, potem poszliśmy w trójkę do niego do pokoju, a w drodze powrotnej nie zdążyłem nawet otworzyć ust, bo przydybała nas jakaś przyjaciółka Rity, której imienia nie pamiętałem, ale znałem z widzenia i przez głupotę posłałem jej uśmiech w korytarzu. Przyjaciółka wsiadła z nami do windy i pokrzyżowała mi plany.

Jeszcze raz obrzuciłem uważnym spojrzeniem hol i tłum za oknem. To na nic, żadna ochrona się z tym nie upora. Od początku wszystko było źle pomyślane, nie należało pozwolić, aby ludzie znaleźli się tak blisko hotelu. Ale w przeciwnym wypadku impreza nie przyniosłaby nikomu żadnej korzyści. Fani chcą widzieć swoje bożyszcze na żywo, z bliskiej odległości, a nie w przelocie, przez szybę pancerną w samochodzie. Toteż zmusić ludzi, żeby się zebrali i czekali tak długo, można było jedynie w tym miejscu, gdzie na sto procent Juskiewicz wysiądzie z samochodu i pójdzie dalej pieszo. Były tylko dwa takie miejsca: lotnisko i hotel. Tyle, że na lotnisko ani wczasowicze, ani tutejsi mieszkańcy nie powlekliby się w takim upale.

Fani fanami, ale niepokoiła mnie mocno Saule Ibrajbiekowa. W chwili największego zamieszania wokół Juskiewicza do hotelu może wejść każdy, wymknąć się też można niepostrzeżenie. A co dopiero mówić o oddaniu strzału przez snajpera. Choć Saule jest kobietą nieprzeciętną, w końcu to tylko kobieta, będzie potrzebowała niemałej siły woli, żeby nie wyjść na balkon, kiedy tłum zawyje z zachwyty na widok swojego idola. Naturalnie prosiłem Sieriożę, aby ją uprzedził, ale doświadczenie w kontaktach z kobietami wskazywało,

że przestrogi mężczyzn i dawane przez nich rady panie cenią tak samo jak, nie przymierzając, porady kosmetyczne z czasów pierwszej wojny światowej.

Udając, że włączymy się bez celu w oczekiwanie na nadzwyczajne wydarzenie, przeciągnąłem nasze wesołe towarzystwo naokoło hotelu, żeby jeszcze raz obejrzeć wszystkie wejścia i możliwe drogi ucieczki. Okazało się, że sposobów, aby przedostać się do środka, jest dużo, dróg odwrotu – jeszcze więcej. Chłopcy z ochrony raczej nie wzbudzali mego zaufania. Wiedziałem, że Boris Rudin zawsze dobierał sobie pracowników, kierując się ich przywiązaniem, a nie profesjonalizmem, i podejrzewałem, że służbę ochrony skompletował z ludzi niewątpliwie oddanych mu osobiście, ale niespecjalnie biegłych w sztuce ochroniarskiej.

Kontemplując tropikalny ogród, gęsto porośnięty jakimiś osobliwymi krzewami, złowiłem mimo woli spojrzenie Jurija Sergiejewicza, który przyglądał się bujnej, egzotycznej roślinności z miną bynajmniej nie miłośnika przyrody. Na jego twarzy zastygł uśmiech zdradzający te same myśli, które snuły mi się właśnie po głowie. Ciekawe, czy pan socjolog zna się na pracy ochroniarzy, czy może uśmiecha się z innego powodu?

– Jak się panu podoba ogród? – spytałem obojętnym tonem.

– W ogóle mi się nie podoba, Sława, w ogóle – odparł bez chwili namysłu, jakby doskonale wiedział, że pytam nie o cuda natury, lecz o czyhające w ogrodzie niebezpieczeństwo. – Jeśli dobrze zauważyłem, pan się czegoś obawia?

– Chyba ogląda pan telewizję, czyta gazety, no i Irocza pewnie panu opowiadała, co się tu wydarzyło. Ktoś zamordował dwie gwiazdy filmowe, mam wszelkie podstawy, aby przypuszczać, że zaraz zginie trzecia, Saule Ibrajbiekowa.

– Poważnie? Sama Ibrajbiekowa? Coś jej grozi?

– Myślę, że tak. Właśnie próbuję dociec, z której strony może nastąpić uderzenie, żeby w miarę możliwości nie dopuścić do kolejnej tragedii.

Przez chwilę zostaliśmy sam na sam, Tania i Ira zaciągnęły Lilę w głąb ogrodu, żeby pokazać jej okazy jakiejś egzotycznej flory. To wystarczyło, abym zupełnie zmienił zdanie o brodatym socjologu Jurze Mazajewie. Miał bystre i wprawne oko, pojął w lot, co mnie trapi.

– Wie pan, Sława, wydaje mi się, że sami powinniśmy kontrolować wyjścia, nie ma co liczyć na tych najemników. Ja z Iroczką zostanę tutaj, a pan z Tanią może stanąć przy głównym wejściu. Proszę pamiętać, że pojawienie się Juskiewicza to najtrudniejszy moment. Cała uwaga skoncentruje się na nim, świadomie lub nie, ochrona też będzie się na niego gapić. A pan i ja musimy patrzeć tylko na drzwi. I jeszcze jedno, Sława. Niech pan cały czas pamięta, że tłum łatwo ulega zbiorowym emocjom: grupowy zachwyty, wspólny gniew,

panika, agresja. Nawet gwałtowne pragnienie, żeby precyzyjnie się bliżej, zobaczyć swojego idola, dotknąć go. To wszystko jest tak zaraźliwe jak wirus grypy. Proszę starać się panować nad sobą.

– Przerabiał pan psychologię tłumu w ramach psychologii społecznej? – spytałem.

Popatrzył na mnie jakoś dziwnie.

– To też.

Z głębi ogrodu wyłoniły się nasze trzy nimfy, w rękach trzymały zerwane (oczywiście wbrew wszelkim przepisom) kwiaty o odurzającym zapachu. W tej samej chwili dosłownie podleciała do nas sympatyczna pannica o wyglądzie hipiski, z notesem w dłoni.

– Przepraszam, możecie mi państwo poświęcić pięć minut? Przeprowadzam ankietę socjologiczną na zamówienie pewnej firmy, tylko kilka pytań.

– Nie ma sprawy – zgodziłem się smętnie. – Kto ma odpowiadać?

– Wszyscy po kolei. No to pierwsze pytanie: spędzacie urlop za granicą czy tylko w Rosji?

– Głównie w Rosji – odparłem.

– Ja też – odezwała się Tania.

– I ja – dodała Ira.

– Zależy kiedy – powiedział Jurij.

– Drugie pytanie: jeśli spędzacie urlop za granicą, to w jakim kraju jest według was najlepszy klimat, kuchnia, warunki lokalowe, ceny.

Teraz dziewczyna patrzyła tylko na Mazajewa, zrozumiała, że z nami nic nie wskóra.

– Jeśli chodzi o ceny, to oczywiście Cypr – odpowiedział socjolog. – Pod względem klimatu Kemer w Turcji, a warunków Hiszpania. Kuchnia natomiast odpowiada mi tylko rosyjska.

– Wspaniale. – Dziewczyna się uśmiechnęła. – Jeszcze jedno pytanie: gdyby pan miał w tym roku spędzić urlop za granicą, jaką sumę mógłby pan na to przeznaczyć?

– Nie więcej niż dwa tysiące dolarów.

– Dziękuję, teraz pytania do państwa. – Obdarzyła nas olśniewającym uśmiechem, a ja się zdziwiłem, że wciąż jeszcze była nami zainteresowana.

– Nie jeździecie za granicę z powodów materialnych czy z innych przyczyn?

– Z innych – odparliśmy wszyscy chórem. Jeszcze tego brakowało, żebyśmy się mieli przyznać tej flirciarze, że nie mamy forsy.

– Jakie miejsce w Rosji najbardziej przypadło wam do gustu, jeśli wziąć pod uwagę cenę, klimat, zakwaterowanie i kuchnię?

Jedno po drugim wyliczyliśmy sumiennie miejsca, gdzie zdarzało nam się spędzać urlop. Co do klimatu wszyscy troje byliśmy zgodni i przyznaliśmy, że żaden rosyjski kurort nie zastąpi Krymu.

– Ja przecież jestem z Petersburga. – Tatiana zaczęła się usprawiedliwiać, kiedy ankieterka podziękowała nam i pobiegła dalej. – U nas powietrze jest przesycone wilgocią, na dworze szaruga i wiatry, więc wszyscy praktycznie cierpią na chroniczne zapalenie oskrzeli. A po powrocie z Krymu przynajmniej przez pół roku nie kaszlę. No cóż, nic nie trwa wiecznie.

Słyszac rosnący zgiełk, domyśliłem się, że lada moment pojawi się samochód z Juszkiewiczem. Jurij i Iroczka zostali w ogrodzie, ja natomiast, schwyciwszy jedną ręką Lilę, a drugą Tatiannę, zacząłem przedzierać się do głównego wejścia. Przy drzwiach stali dwaj ochroniarze i dziewczyna z komitetu organizacyjnego, ta sama, która pomagała nam szukać fioletowej torby z żółtymi rączkami. W odległości jakichś trzech metrów od nich sterczeli milicjanci, którzy mieli zabezpieczać przejście Juszkiewicza do hotelu. A dalej zaczynało się zwarte morze głów.

Podniosłem wzrok i spojrzałem na balkon na szóstym piętrze. Był na szczęście pusty, Saule pozostała w pokoju. Zza zakrętu wyłonił się długi, lśniący samochód, i wówczas oblała mnie fala radosnego, pełnego napięcia oczekiwania, która ogarnęła tłum. Nasz brodaty socjolog miał rację, trzeba panować nad sobą i nie dać się ponieść emocjom. Samochód zatrzymał się miękko i oczom zebranych ukazał się Oleg Juszkiewicz. Nie miałem pojęcia, jak bardzo jest w gruncie rzeczy przystojny, z przyzwyczajenia brałem poprawkę na jego wizerunek na ekranie, sądziłem, że to sprawa makijażu, oświetlenia, mistrzostwa operatora i kostiumologa. Nie jestem koneserem męskiej urody, ale muszę przyznać, że od Juszkiewicza nie można było oderwać wzroku. Nic dziwnego, że dziewczyny za nim szaleją.

Jego twarz rozjaśnił dyżurny uśmiech, a oczy od razu zaczęły szukać wejścia. Dziewczyna przy drzwiach pokiwała do niego ręką, jakby wołała, jestem tutaj, panie Juszkiewicz. Aktor zobaczył ją i w odpowiedzi też pomachał dłonią, co najpewniej znaczyło, widzę panią, zaraz będę się w pani stronę przedzierał. W następnej sekundzie straciłem go z oczu. Dopiero co był tutaj, stał dwa kroki ode mnie, a teraz znikł. Tłum z wyciem rzucił się na swojego idola, migały głowy, wyciągnięte ręce ze zdjęciami przygotowanymi na autografy...

Z trudem oderwałem wzrok od tego miejsca, gdzie niedawno widziałem Olega Juszkiewicza, i wlepiłem oczy w drzwi wejściowe. Nie, nikt nie próbował przemknąć koło ochrony z ulicy ani też w odwrotną stronę, chociaż ochroniarze jakby oślepli i nic nie widzieli, kierując spojrzenie w tę stronę, gdzie tłum kłębił się i wrzał jak woda, tam bowiem

znajdował się Oleg. Spojrzałem na górę – na balkonie nie było nikogo. Brawo, Saule, jednak pani wytrzymała.

Nagle przenikliwy krzyk przebiegł ponad tłumem i rozplynął się w wieczornym niebie. A po nim zapadła martwa cisza. Powiedzieć, że opanowało mnie niedobre przeczucie, to mało. W tym momencie doskonale wiedziałem, że stało się coś złego.

Ścisnąłem Tatianę za rękę i szepnąłem:

– Zabierz Lilę. Idźcie do ogrodu, do Iry i Mazajewa.

Nie zadając żadnych pytań, Tania kiwnęła głową, wzięła moją córkę za rękę i powiodła z dala od głównego wejścia.

Tłum się rozstał, przepuszczając milicjantów, i wtedy zobaczyłem Olega Juszkiewicza. Supergwiazdor, symbol seksu, leżał na ziemi twarzą zwróconą do góry, utkwivszy swoje słynne niebieskie oczy w ciemnym, aksamitnym, południowym niebie. Nieszczęście przyszło z zupełnie innej, niż się spodziewano, strony.

Pośpiesznie opuszczaliśmy plac przed hotelem. Bałem się, że zaraz zjawi się komendant komisariatu, a nie miałem ochoty na spotkanie z gościem, który zakazał porządnemu chłopakowi Sierioży Lisicynowi zadawać się ze wstrętnym typem Władysławem Stasowem. Mówiąc wprost, miałem go w nosie, nie mógł mi zabronić przebywać tam, gdzie mam ochotę, ale nie chciałem przysparzać Siergiejowi dodatkowych kłopotów. Poza tym nie paliło mi się do spotkania ani z Ritą, ani z jej kochankiem Borisem Rudinem. Rudin przyczepiłby się ze swoją propozycją pracy, no a o Ritce nie ma nawet co mówić, wzięwszy pod uwagę, że była ze mną Tatiana. Madame Mieziencewa zacznie pożerać ją oczami i wygadywać jakieś świństwa.

Minąwszy hałaśliwe, zatłoczone centrum miasta, zwolniliśmy kroku. Trzy nimfy, dwie duże i jedna mała, wysunęły się do przodu, a my z Mazajewem zostaliśmy z tyłu, omawiając półgłosem tragedię, która rozegrała się na naszych oczach. Oleg Juszkiewicz zginął od ciosu ostrym narzędziem w plecy. Sądząc po nagłej śmierci, uderzenie trafiło prosto w serce, zostało zadane po mistrzowsku, dokładnie i niepostrzeżenie. Z doświadczenia wiedziałem, że zabójstw dokonanych w tłumie nie sposób wyjaśnić. Pomóc może tylko cud w postaci dobrowolnego przyznania się zabójcy do winy, ale takie cuda, jak pokazuje praktyka, są tak powszechne, jak śnieg latem. No, może zdarzają się trochę częściej.

Byłem zdziwiony, że Mazajew, precyzyjnie się przemykając przez tłum i obrzuciwszy szybkim spojrzeniem leżącego na ziemi Juszkiewicza, od razu stanowczo orzekł, że ten nie żyje.

– Jak mógł pan stwierdzić zgon? – spytałem go. – Przecież nie jest pan lekarzem.

– Nie, ale służyłem w Afganistanie. To aż nadto, by nauczyć się odróżniać życie od śmierci.

Patrzyłem teraz na socjologa zupełnie innymi oczami. Jego siwa broda wprowadziła mnie w błąd, okazało się, że jest młodszy ode mnie o cztery lata.

– Wygląda na to, że walka o nagrodę toczy się nie tylko wśród aktorek, ale i aktorów – stwierdziłem w zamyśleniu. – Nie potrafię znaleźć innego wyjaśnienia tych zgonów. Jednocześnie mam świadomość, że takie rzeczy się nie zdarzają. Jakaś aktorka, pragnąc zdobyć wysoką nagrodę, postanowiła załatwić konkurentki, ale żeby na tym samym festiwalu dokładnie taki sam plan zaczął wprowadzać w życie aktor – to się nie mieści w głowie. Bywają oczywiście zbiegi okoliczności, ale nie takie.

– To znaczy, że te trzy przypadki trzeba podzielić na dwie grupy. Dwa morderstwa kobiet związane są z poszukiwaniami kasety, a zabójstwo Juskiewicza – z walką o nagrodę.

– Tak, to już brzmi lepiej – przyznałem. – Albo odwrotnie: zabójstwa aktorek łączą się z nagrodą, a powód, dla którego zabito Juskiewicza, nie ma żadnego związku z kinematografią i festiwalem. Zazdrość, miłość, zemsta, i tak dalej.

– Pozostaje wtedy kasetka – rozsądnie zauważył Jurij.

– Wiesz, wydaje mi się, że ona nie ma tu nic do rzeczy. Oglądaliśmy ją wszyscy, najpierw Sierioża Lisicyn, potem ja z dziewczynami, i nikt z nas niczego się nie dopatrył.

– Ale tam musi coś być. Jestem pewien.

– Dlaczego?

– Bo z tego, co mi opowiadałeś, jasno wynika, że staruszek zmarł po przeczytaniu notatki w gazecie o śmierci Olgi Dorienko, której przekazał kasetę w przededniu zabójstwa, dosłownie kilka godzin wcześniej. Po co to zrobił? I dlaczego tak się przejął jej śmiercią? Musiał mieć podstawy, aby przypuszczać, że Dorienko została zamordowana z powodu kasety, i czuł się winien. W przeciwnym razie nie dostałby ataku serca. A jeśli uważał, że ktoś mógł zabić Dorienko z powodu jego kasety, to znaczy, że na pewno coś na niej jest. Musi być.

– Ale już ją oglądaliśmy, Jura. Bardzo uważnie. Nic tam nie ma. Zebrania kombatantów w klubie „Patriota”. Działalność kół, zawody sportowe. Nic więcej.

– Szkoda, że oddałeś kasetę. Chętnie bym ją obejrzał. Cztery pary oczu to dużo, ale piąta też może się przydać.

W tym momencie olśniło mnie.

– Słuchaj, tak się złożyło, że nie zwróciłem kasety. Wciąż mam ją w torbie. Tylko skąd wytrzaśniemy odtwarzacz?

– Żaden problem – odrzekł bez namysłu Jura. – Od moich gospodarzy.

Gdy tylko stanęliśmy przed domem, wybiegła do nas właścicielka, Wiera Iljniczna. Była czymś zaniepokojona i wyglądała, jakby coś przeskrobała.

– Oj, dziewczęta, zamknęłyście drzwi, gdy wychodziłyście?

Tak. Znowu się zaczyna. A raczej ciągle trwa. Mój aniołek ze szklanym bębnem wyraźnie przesadził z pechowymi losami. Pewnie postanowił ustanowić rekord.

– Oczywiście, że tak – odparła Irocza. – A co się stało?

– Nie było nas z Grigorijem Filippowiczem w domu, a gdy wróciliśmy, patrzę, a drzwi stoją otworem. Pomyślałam, że już wróciłyście, ale jakoś was nie widać, nie słychać. Weszłam na górę, ale tam pusto. Strach mnie obleciał, że ktoś was okradł. Ja przecież nie wiem, co tam trzymałyście, lepiej sprawdźcie, czy wszystko jest na miejscu. Jeśli trzeba, wezwiemy milicję.

Irocza puściła się pędem po schodach, w ślad za nią pośpieszyła Tatiana. My z Mazajewem usiedliśmy na dworze przy stole, czekając na ich powrót. Dziewczyny zbiegły prawie od razu, wyglądały na załamane.

– Zginął komputer Tani – oznajmiła Ira, ledwo powstrzymując łzy.

Tatiana bez słowa usiadła koło nas i wyciągnęła papierosa z paczki, którą położyłem na stole. Do tej pory ani razu nie widziałem, żeby paliła. Usta jej zbladły, ręce się trzęsły. To zrozumiałe, półtora tysiąca dolarów i napisaną do połowy książkę diabli wzięli. Irocza gorzko płakała, oparta na ramieniu Jury Mazajewa, a Tania, która lepiej nad sobą panowała, paliła w milczeniu, ale sądząc po tym, jak się nerwowo zaciągała, domyśliłem się, że jest mocno wzburzona. Zwykle przychodzą mi do głowy jakieś słowa pocieszenia, które mówię poszkodowanym, ale w tej sytuacji nie wiedziałem, co powiedzieć. Tania jest śledczą i lepiej ode mnie zna te zwroty. Wie też, że takie słowa nie mają wielkiej wartości. O ile zabójstwa są u nas jeszcze jako tako wykrywane, o tyle kradzieże bardzo rzadko. Mniej więcej dwadzieścia procent, jedna piąta. A biorąc pod uwagę dzisiejszy nastrój mojego skrzydatego specja od losowania, dałbym sobie rękę uciąć, że kradzież komputera Tani trafi do pozostałych osiemdziesięciu procent.

Tatiana zgasiła papierosa i wzięła głęboki oddech. Widziałem, że z trudem opanowuje płacz.

– Dobrze, że rano zwróciłam Sierioży wszystkie materiały – powiedziała drżącym głosem. – Jakbym coś przeczuwała.

Wiera Iljiniczna, lamentując wniebogłosy, wybierała numer milicji, ale wciąż był zajęty.

– Niech pani da spokój, Wiero Iljiniczno, nie ma sensu nigdzie dzwonić – oznajmiła Tania trochę pewniejszym tonem. – Nie będą teraz mieli do nas głowy, na festiwalu popełniono nowe zabójstwo.

– Ale jak to, Tanieczka, przecież zginęła cenna rzecz. Takie pieniądze... – mamrotała nieskładnie gospodyni, chociaż na jej twarzy pojawił się wyraz prawdziwej ulgi.

No cóż, można ją było zrozumieć. Wezwie milicję późnym wieczorem, i bezsenność do świtu murowana. A poza tym cała ulica się dowie, że w domu numer osiem okradziono lokatorkę, czyli że właściciele są ludźmi niesolidnymi, zamki mają kiepskie. Po co jej taka opinia? W szczycie sezonu?

– Pal licha pieniądze, zarobię nowe. – Tania machnęła ręką. – Szkoda tylko powieści. Miałam już napisane ze dwieście stron. Ale tak widać miało być, prawda, Dima? Pamiętasz, rozmawialiśmy o tym, że moja następna książka będzie o zabójstwach na festiwalu filmowym, miałam się do niej zabrać, jak tylko skończę tę o pożarze w Teatrze Letnim. Wygląda na to, że powieści o pożarze nie napiszę. Za to mogę już zaraz siadać do pracy nad nowym kryminałem. I tworzyć na gorąco.

Uśmiechnęła się do mnie z wysiłkiem. Obejrzałem się ukradkiem, sprawdzając, czy Lili nie ma w pobliżu, objąłem ją i pocałowałem w skroń.

– A gdzie Lila? – spytała od razu Tania, jakby czytając w moich myślach.

– W pokoju na górze. Pewnie czyta.

Pomyślałem, że gdybym nie wziął Lili ze sobą do hotelu, złodziej natknąłby się na pozostawione w pustym domu dziecko. Na myśl o tym, co mogłoby się potem stać, zdrętwiałem. W najlepszym razie Lila ze strachu doznałaby szoku. O innych ewentualnościach wolałem nie myśleć. Zbyt dobrze wiedziałem, jak często przestępstwa, planowane jako kradzieże, na skutek pojawienia się świadków przeradzają się w grabieże, rozboje, a nawet zabójstwa.

Irocza ciągle szlochała na piersi Mazajewa, oplakiwała pewnie nie tylko komputer, lecz również niedokończoną powieść. Tatiana mówiła, że w wydawnictwie płacą jej dwieście dolarów za arkusz autorski. Powieść o objętości piętnastu arkuszy, czyli trzystu sześćdziesięciu stron, przyniosłaby im trzy tysiące dolarów. To daje trzy metry kwadratowe mieszkania Iroczy. Może komu innemu te trzy metry wydadzą się śmieszne, ale nie Irocze, która dobrowolnie poświęciła się dla ukochanego brata i jego żony i która teraz cierpliwie

zbiera te śmieszne metry, czekając, aż osiągną rozmiary samodzielnego mieszkania. W końcu trzy metry to łazienka. Albo trzy szafy ścienne, co też nie jest bez znaczenia.

W końcu Irocza się wyplakała i przypomniała sobie o kolacji. Przestałem się już krępować i nie wzbraniałem się przed wspólnymi posiłkami, zwłaszcza że z nie mniejszym entuzjazmem Ira zapraszała do stołu Jurija. Będę po prostu kupował jakieś produkty i oddawał do wspólnego kotła, żeby nie siedzieć na łasce dziewczyn. Wiera Iljiczna, cierpiąca na kompleks winy z powodu nieupilnowania dobytku lokatorki, zaproponowała jakieś marynaty własnej roboty, ale Irocza uniosła się honorem i odmówiła, powołując się na konieczność przestrzegania diety, w której nie ma miejsca na rzeczy solone i ostre. Wówczas nieszczęsna Wiera przyniosła ze swoich zapasów butelkę koniaku i postawiła na stole stanowczym ruchem.

– To na uspokojenie, żebyście nie płakały.

Koniak został łaskawie przyjęty. Ira pośpieszyła z Tatianą do kuchni, żeby się zająć kolacją, a Mazajew wziął kasetę Wiernigory i poszedł ją u siebie obejrzeć. Nie pozostało mi nic innego, jak udać się na górę do swego pokoju. Lila oczywiście czytała, jak zwykle na leżąco. Przyjrzawszy się jej z bliska, zobaczyłem, że oczy ma zamknięte, chociaż ręczki mocno ściskają książkę. Czyżby zasnęła?

– Lila, śpisz? – spytałem ledwie słyszalnym szeptem. Jeśli śpi, nie obudzi się.

Natychmiast otworzyła oczy.

– Nie, tato. Po prostu myślę.

– O czym?

– Tak sobie, o różnych rzeczach. Jeść mi się chce. Nic dzisiaj nie kupiliśmy na kolację. Znowu pójdziemy do restauracji?

– Ciocia Ira szukaje coś pysznego. Wytrzymaj jeszcze troszeczkę.

Lila przewróciła się na brzuch i powróciła do czytania romansu, a ja wyciągnąłem się na łóżku i zacząłem rozmyślać o Tatianie, o jej niedokończonej książce i ukradzionym komputerze. Naszła mnie nieprzeparta ochota, żeby pójść do niej zaraz i powiedzieć: „Tania, wyjdź za mnie. W prezencie ślubnym dostaniesz ode mnie laptopa. Tylko się nie przejmuj”. Chciałem nie tylko tak powiedzieć, ale i obrócić słowa w czyn. To przecież dla niej prawdziwa katastrofa...

Chyba się zdrzemnąłem, bo kiedy z dołu rozległ się głos Iry: „Władik, Lila, schodźcie na kolację!”, drgnąłem i oprzytomniałem.

Ani śmierć rosyjskiego gwiazdora filmowego, ani kradzież komputera nie miały wpływu na piękno i bogactwo wynalazków kulinarnych Iry. Pośrodku stołu stała uroczyście

butelka koniaku w otoczeniu jakichś nieznanych, ale kolorowych potraw. Na tę okazję Wiera Iljniczna wyjęła nawet kieliszki – nie wypadło żłopać drogiego trunku ze szklanek.

Kiedy zjawiliśmy się z Lilą na dole, przy stole siedziała tylko Tatiana.

– A gdzie reszta? – spytałem, zajmując krzesło obok i ukradkiem dotykając jej okrągłego kolana.

– Ira poszła po Mazajewa, zaraz tu będą.

Zerknąłem z ukosa na okno sąsiedniego domu, dobrze widoczne z mojego miejsca. Światło się w nim nie paliło.

– Chyba możemy zaczynać bez nich – rzuciłem wesoło. – Teraz raczej nie przyjdą.

Tania uśmiechnęła się porozumiewawczo samymi kącikami ust, rzucając ostrzegawcze spojrzenie w kierunku Lili. Nie miałem jednak racji. Ira i Mazajew wślizgnęli się po kilku minutach, przypominając złodziei złapanych na gorącym uczynku. Widać zdążyli sobie sprawić odrobinę frajdy.

Kiedy wychyliliśmy dwa toasty za to, żeby nie spotkało nas w życiu już nic gorszego od dzisiejszych nieprzyjemności, sytuacja przy stole nieco się rozładowała i napięcie opadło. Irocza ze śmiechem trajkotała, że w końcu mieszkanie otrzyma w zaplanowanym wcześniej terminie, tylko będzie ono ciut mniejsze, niż się spodziewała, ale to nic takiego, jeśli z głową zaplanuje się, jak ustawić meble. Tatiana z kolei mówiła, że powieść o pożarze nie bardzo jej się podobała, po prostu nie ma w zwyczaju rzucać pracy w połowie, i właściwie męczyła się wyłącznie z poczucia obowiązku, no i dlatego że szkoda jej było włożonego wysiłku. Los podsunął jej jednak wspaniały powód, dla którego mogła zostawić obmierzłą robotę i zacząć nową książkę o zabójstwach na festiwalu filmowym, które wydają się jej o wiele bardziej pociągające pod względem budowy intrygi i rysunku postaci. Co pewien czas chwytałem na sobie spojrzenie Mazajewa, który siedział naprzeciwko nas obok Iroczy i sprawiał wrażenie, że chce mi coś powiedzieć, ale nie przy wszystkich. Pomyślałem, że pewnie chodzi o grafik, zgodnie z którym będziemy kolejno korzystać z pokoju dziewcząt. Na myśl o tym, co będzie się działo w tym pokoju, oblała mnie fala gorąca.

Kiedy wszystko zostało zjedzone, zaproponowaliśmy z Jurą, że posprzątamy ze stołu i przyniesiemy herbatę.

– Podział pracy powinien być przynajmniej na pozór sprawiedliwy – oznajmiłem. – Skoro dziewczyny gotowały, to my chociaż sprzątniemy naczynia. Może nawet je umyjemy, jeśli dostaniemy coś smacznego do herbaty.

Gdy znaleźliśmy się z Jurą sami w kuchni, postawiłem czajnik na kuchence, napełniłem miskę gorącą wodą, dolałem szczerze płynu do mycia naczyń i zabrałem się do roboty.

– Mów, nie szczyp się – poradziłem mu, czując na plecach jego niespokojne spojrzenie. – Będziemy na zmianę korzystać z pokoju?

– Co? – Mazajew nie zrozumiał pytania. – Jakiego pokoju?

– No jak to jakiego! – obruszyłem się. – Tego na górze. Chyba o tym chciałeś ze mną rozmawiać?

– Ja? Coś ty, jasne, że nie. Dzisiaj jest piątek, moi gospodarze pojechali do Adleru do krewnych, wrócą dopiero w niedzielę wieczorem. Tak więc problem pokoju mam z głowy. Chciałem z tobą porozmawiać o czymś innym. Obejrzałem film...

– I co?

Odwróciłem się do niego tak gwałtownie, że wylałem mydliny z miski.

– Jest tam coś dziwnego... Wiesz, Sława, chciałbym, żebyś obejrzał go jeszcze raz razem ze mną.

– Po co? Masz jakieś wątpliwości? Zauważyłeś coś?

– Zauważyłem. Coś tak potwornego i przerażającego, że nie mogę w to uwierzyć. Chcę, żebyś sam się przekonał, i nie myślał, że cierpię na jakąś paranoję.

– Ale przecież obejrzałem całą kasetę, Jura. Niczego potwornego ani przerażającego nie dostrzegłem. Co masz na myśli? Rozpoznałeś kogoś? Jest tam ktoś, kogo znasz?

– Nie. – Jura pokręcił głową. – Nikogo nie rozpoznałem. To coś innego... Sława, proszę cię, obejrzyj ze mną ten film, wszystko ci pokażę, a wtedy sam zadecydujesz, co z tym zrobić.

– Dobra. – Wzruszyłem ramionami. – Napijemy się herbaty i urządzimy sobie u ciebie seans.

Po herbacie odesłałem Lilę na górę, poleciwszy uprzednio, żeby przed snem się umyła, nie zapominając o zębach. Sam udałem się do socjologa, aby ponownie obejrzeć kasetę Wiernigory.

Mazajew wyłączył odtwarzacz, i wtedy poczułem, że zaschło mi w gardle, a lewa łydka zaczęła zdradziecko drżeć, co oznaczało najwyższy stopień zdenerwowania i zdumienia. Tak, Jura Mazajew miał rację. To, co mi pokazał, rzeczywiście było potworne, tak potworne, że aż trudne do uwierzenia. Mógłbym oglądać kasetę jeszcze z dziesięć razy, ale i

tak bez Mazajewa nie zobaczyłbym tego, co istotne, bo nie dysponuję odpowiednią wiedzą. Socjolog Jurij Siergiejewicz Mazajew taką wiedzę miał.

Minąwszy furtkę, zrobiłem kilka kroków w stronę domu i najpierw usłyszałem głosy, a potem dostrzegłem Tatianę i Siergieja Lisicyna. Siedzieli na dworze przy stole, ale światło z jakiegoś powodu było zgaszone, rozmawiali też całkiem cicho. Dopiero teraz dotarło do mnie, że jest już bardzo późno, przecież z hotelu po zabójstwie Juszkiewicza wróciliśmy koło ósmej, potem był jeszcze płacz z powodu kradzieży, przygotowanie kolacji, sam posiłek, a następnie oglądanie filmu... Na pewno nasi gospodarze już śpią, więc Tania i Lisicyn siedzą po ciemku cicho jak myszy pod miotłą.

– Cześć – powiedziałem głośnym szeptem, podchodząc do nich.

– Dobry wieczór, Władisławie Nikołajewiczu – odezwał się Sierioza. – Pewnie ma już pan dość moich kłopotów?

– Dobra, nie rób z siebie ofiary. Przyszedłeś po kasetę?

– Dlaczego po kasetę? – Lisicyn nie zrozumiał pytania.

– Przecież nie oddałem ci jej, kiedy byłem w hotelu. Nie zauważyłeś?

– Jakoś nie – przyznał. – Nie zwróciłem wówczas uwagi, skoncentrowałem się na Kuźminie, a potem nie miałem głowy. Sam pan rozumie...

– Niedobrze, kolego. Kasetą to dowód rzeczowy, przecież dostałeś ją od śledczego, ręką słowem honoru, konfiskowaliście ją oficjalnie, prawda? A ty tak po prostu zapomniałeś. A gdybym ją zgubił? Albo ktoś by mi ukradł, tak jak komputer Tani? Co byś wtedy zrobił? Śledczy by cię zgnoił, i mówiąc szczerze, miałby rację.

– Nie zgadł pan, Władisławie Nikołajewiczu. Mam niewiele doświadczenia w pracy dochodzeniowej, ale nie jestem tępakiem. Kasetą jest już dawno z powrotem u śledczego. Wczoraj zrobiłem sobie kopię i dałem ją panu. Tak więc może pan zrobić z nią, co się panu żywnie podoba.

– Patrzcie go! – zawołałem ze szczerym zachwytem. – Debeściak z ciebie, to niezłe posunięcie.

– Szanuję kodeks postępowania karnego. – Lisicyn uśmiechnął się. – Czuję respekt przed wielką Tatianą Obrazcową.

– Przestań, Sierioza. – Tatiana machnęła ręką, jakby się opędzała. – Byłoby lepiej, gdyby ten respekt miały miejscowe złodziejaszki. Powiedz mi otwarcie, mam dokonać zgłoszenia kradzieży czy to bez sensu? Znajdzie się ktoś, kto zajmie się moim skradzionym komputerem, czy wszyscy przrzuciliście się na gwiazdy filmowe?

– Co znowu, Tatiano Grigorjewno, oprócz mnie, Kuźmina i Paszy Jakowczika nikt więcej zabójstw nie rozpracowuje.

– Więc co mi radzisz? Zgłaszać kradzież czy nie?

Sierioża zawahał się. Wiedziałem, o czym teraz myśli. W innej sytuacji najlepszym rozwiązaniem dla Tatiany byłoby pójść do jego szefa, skądinąd dobrze znanego udzielnego księcia, i powiedzieć mu, że tak i tak, jestem pańską koleżanką z Petersburga, spotkała mnie przykrość, proszę mi pomóc i zrobić, co w pańskiej mocy. W podtekście to by znaczyło: nie będę składać doniesienia o przestępstwie, żeby w razie niepowodzenia nie psuć panu wskaźnika wykrywalności, ale niech pan będzie tak uprzejmy i przekona swoich chłopców, żeby poszukali mojej zguby, a nuż uda im się ją znaleźć. No a jeśli nie znajdą – nie przyjdę z pretensjami, bo doskonale rozumiem pańskie trudności. Jak świat światem, wszyscy milicjanci tak właśnie robią. Ale takie wyjście można by zastosować w innych okolicznościach, bo najwyraźniej niezależny pułkownik już zasięgnął o mnie informacji i wie, że wynajmuję pokój na Pierwszego Maja. I jeśli teraz pojawi się u niego poszkodowana, pracująca jako śledcza i mieszkająca pod tym samym adresem, w jego duszy mogą zrodzić się nieoczekiwane podejrzenia. I naturalnie wszystko skrupi się na biednym Sierioży Lisicynie, bo mnie jego szef nic nie może zrobić.

Myślałem tak w tamtej chwili. Dalsze wydarzenia pokazały, że się myliłem. I to bardzo.

Tamtego wieczoru niczego nie podejrzewałem. Porozmawialiśmy jeszcze we trójkę jakieś pół godziny, omówiliśmy zabójstwo Juskiewicza i doszliśmy do smutnego wniosku, że jesteśmy bezsilni, bez szans na szybkie wyjaśnienie trzech tragedii, które nastąpiły jedna za drugą. O odkryciu dokonanym przez Jurę Mazajewa postanowiłem na razie nie mówić, wydało mi się nazbyt dziwaczne.

Pożegnawszy się z Sieriożą, zostaliśmy przed domem we dwoje z Tatianą. I wtedy jakbym zapomniał języka w gębie. Wczorajsza pewność siebie gdzieś się ulotniła. Siedziałem jak kołek, przypominając sobie ze zdumieniem, jak w milczeniu wziąłem ją za rękę, zaprowadziłem do sadu i... Boże, to byłem ja? Ale o zdjęciach musiałem Jej powiedzieć. Takich rzeczy nie można ukrywać.

Tania przyjęła moją relację całkiem spokojnie. Widocznie po wstrząsie wywołanym kradzieżą komputera inne sprawy wydawały jej się nic nieznaczącymi głupstwami, o których nie warto wspominać.

– Miałeś nieprzyjemną rozmowę z żoną? – spytała tylko.

– Ależ skąd, coś ty. Jesteśmy po rozwodzie, więc o żadnych nieprzyjemnościach nie może być mowy. Po prostu komuś najwyraźniej bardzo zależy, żebym nie pracował dla Rudina, dlatego stara się skłócić mnie z żoną. Przecież nie wszyscy wiedzą, że jesteśmy rozwiedzeni.

– Naprawdę myślisz o pracy dla Rudina?

– Oczywiście, że nie. Nie cierpię go.

– Więc możemy się nie przejmować tymi zdjęciami? – spytała na wpół twierdząco.

– Jasne – odparłem stanowczo. – Nie przejmować się i zapomnieć. Ale zapomnieć tylko o zdjęciach.

– To znaczy?

– O zdjęciach – powtórzyłem – ale nie o tym, co przedstawiają. Nie chciałbym, żebyś wykreśliła to ze swojej pamięci.

– Nie wykreśliłam.

– W takim razie może już pójdziemy? Ira, jak zrozumiałem, nocuje u Mazajewa.

– A Lila? Nie zbudzi się?

– Miejmy nadzieję, że nie. Postaram się wrócić, zanim się zbudzi. Zwykle śpi słodko i mocno, wdała się w ojca. Czyli we mnie.

Na wszelki wypadek zajrzałem do naszego pokoju. Lila cicho posapywała przez sen. Od wczesnego dzieciństwa przyzwyczajona do samotnego spędzania czasu, nawet wieczorem nie potrzebowała obecności rodziców, żeby wyłączyć światło i zasnąć. Mam bardzo samodzielne dziecko. I uświadomione.

Przekradłem się na palcach do sąsiedniego pokoju, rozebrałem się i położyłem koło Tatiany, i nagle ogarnęło mnie uczucie tak silnego, niesłychanego szczęścia, że nie mogłem złapać tchu. Jak to dobrze, że gospodarze Jury wyjechali! Chyba mój Anioł Stróż pogmerał pulchną rączką w bębnie i zaczął wyciągać właściwe losy. Gdyby tak ta tendencja się utrzymała. I potrwała przynajmniej do jutra...

Rozdział 8

Ranek był pochmurny i chłodny, odetchnąłem więc z ulgą i pomyślałem, że możemy odpuścić sobie plażę. Z reguły lubiłem powylegiwać się na gorącym piasku, powygrzewać kości, popływać, podrzemać, ale teraz nie miałem ochoty na takie rzeczy. Pragnąłem tylko jednego: siedzieć przy Tani jak wierny pies, położyć jej głowę na kolanach i z oddaniem patrzeć w oczy ukochanej kobiecie. Diabli wiedzą, co się ze mną dzieje! Dziwnym trafem to samo przydarzyło się mojemu dziecku, co prawda już jakiś czas temu. Lila wcześniej ode mnie wyczuła wysyłane przez Tanię to „coś”, gwarantujące osobie, która znajdzie się w jego zasięgu, poczucie spokoju, ciepła, życzliwości i bezpieczeństwa.

Umyłem się, ogoliłem i popędziłem na bazar, zaopatrzywszy się w trzy siatki i kilometrową listę zakupów, którą sporządziła punktualna Ira. Przed domem spotkałem Jurę Mazajewa, który też miał siatki i listę, ale wysłano go nie na bazar, tylko do sklepów. Niewątpliwy talent organizatorski Iry wyraźnie się marnował. Chociaż niekoniecznie, jeśli wziąć pod uwagę, że pod jej umiejętnym kierownictwem Tania, prowadząc zwariowane życie sędzi śledczej, znajduje jakoś sposób, by napisać kilka powieści w ciągu roku.

Tak się więc złożyło, że do śniadania zasiedliśmy koło jedenastej, sądząc jednak z bogactwa i różnorodności dań, późne śniadanie mogło płynnie przejść w obiad, potem w kolację, a niewykluczone, że także w śniadanie nazajutrz.

– Czy nam się to podoba czy nie, komputer ktoś rąbnął – oświadczyła Ira, nie tracąc optymizmu. – A pogoda pod psem. Czyli że z pracy nici, z plaży też. Zostaje tylko obzarstwo. Zawsze to jakaś przyjemność.

Te słowa w ustach zgrabnej, pełnej wdzięku dziewczyny zabrzmiały niezwykle zabawnie. Nie da się ukryć, że Ira lubi nie tylko gotować, ale i smacznie zjeść. Gdzie się to wszystko mieści? Dziewczyna zachowuje idealną wagę, nie ma ani grama zbędnej tkanki tłuszczowej. Niektórzy to mają szczęście! Ja na przykład tyję raz-dwa. Wystarczy, że cały tydzień jadę na kanapkach z białego pieczywa, a zza paska od spodni zaczyna się wylewać wstrętne sadełko. Ratuje mnie tylko to, że po przejściu na mięso z jarzynami i czarnym chlebem od razu wracam do normy. Ale gdybym regularnie stołował się u Iry, musiałbym po miesiącu wymienić całą swoją garderobę – nie wbiłbym się w żadne spodnie.

Patrzyłem teraz łakomie na zawinięty w zieloniuchny liść sałaty kawałeczek szynki, na którym, jak na kanapce, leżał wymieszany z majonezem i czosnkiem starty ser, i szacowałem, ile kalorii zawiera białe pieczywo, a ile majonez. Doszedłem do wniosku, że majonez jest

jednak mniej kaloryczny od pysznej bagietki, więc mogę sobie pozwolić na jeszcze jedną sałatę-szynko-serową kanapkę. Czwartą. Bo trzy już wsunąłem.

Podjąwszy decyzję, oblizałem się uradowany i już wyciągałem chciwie rękę w stronę stojącego na środku stołu półmiska, gdy w tym momencie na nasze podwórze wszedł młody mężczyzna o nienagannym wyglądzie dżentelmena. Szary garnitur z grubego jedwabiu leżał na nim jak na modelu, bez żadnej zmarszczki, a zdumiewająco świeża koszula z krawatem wzbudzała chorobliwą zazdrość. Elegant sprawdził coś na kartce, popatrzył na skrzynkę pocztową z adresem, zerknął do swoich notatek, po czym zdecydowanym ruchem pchnął furtkę.

– Smacznego – zagaił uprzejmie. – Czy to ulica Pierwszego Maja osiem?

– Owszem – przytaknąłem z pełnymi ustami, bo zdążyłem jednak ściągnąć z talerza biało-różowo-zielone cudo.

– Czy spotkali może państwo wczoraj dziewczynę przeprowadzającą ankietę socjologiczną?

– Tak.

– Czy przypadkiem nie zachowaliście państwo kuponów, które wam dała?

– Jakich kuponów? – spytałem zachmurzony. Nie przypominałem sobie żadnych kuponów.

– Dla każdego respondenta nasza pracownica wypełnia formularz, na którym zaznacza nie tylko odpowiedzi ankietowanego, ale i jego wiek oraz rodzaj wykonywanych zajęć, a po uzupełnieniu całości odrywa i oddaje kupon z numerem ankiety i specjalnym kodem. Robimy to w celu sprawdzenia rzetelności ankietera. Więc nie dostaliście państwo kuponów?

– Ojej, dostaliśmy, no pewnie – odezwała się naraz Ira. – Całkiem o nich zapomniałam. Władik, kiedy poszliście z Tanią do głównego wejścia, ta dziewczyna wróciła i dała mi i Jurze kupony. Okazuje się, że ona też o nich zapomniała.

– Mógłbym rzucić na nie okiem? – uśmiechając się zagadkowo, spytał dżentelmen.

– Jeśli ich nie wyrzuciłam... Zaraz sprawdzę.

Irocza zerwała się z miejsca i pobiegła na górę. Po kilku minutach wróciła i wręczyła przystojniakowi cztery biało-niebieskie karteczki. Ten obejrzał je uważnie, porównał numery z jakimiś zapiskami w notesie, a potem uśmiechnął się triumfująco.

– Gratuluję państwu! Wasze ankiety wzięły udział w losowaniu, i dwie zwyciężyły. Na numery siedemset trzydzieści cztery AB i siedemset trzydzieści siedem AB padły wygrane w postaci skierowań rodzinnych na rejs po Morzu Czarnym. Ankieta siedemset trzydzieści

cztery: Władisław Nikołajewicz Stasow, ankietą siedemset trzydzieści siedem: Irina Pawłowna Miłowanowa. Gratuluję serdecznie!

Przy stole zapadła cisza. Wszystkich nas zamurowało. A jednak sprawiedliwość istnieje. Stary Łomonosow miał rację, formułując prawo zachowania masy: czego w jednym miejscu ubędzie, w innym z całą pewnością przybędzie. Tania straciła komputer za półtora tysiąca dolarów, ale za to Irocza wygrała skierowanie, w dodatku rodzinne, warte wcale nie mniej, może nawet więcej.

– A co to znaczy, że skierowanie jest rodzinne? – spytała zaniepokojona Ira, która pierwsza ochłonęła ze zdumienia.

– To znaczy, że przysługuje państwu luksusowa kajuta, składająca się z dwóch pokoiów z czterema miejscami do spania. I bezpłatne wyżywienie dla czterech osób. Zakładamy, że standardowa rodzina składa się z rodziców i dwójki dzieci.

– A jeśli nie mam męża i dwójki dzieci? – dopytywała się wciąż Irocza, której nie spodobała się poprzednia odpowiedź. – Moje skierowanie będzie nieważne?

– Ależ skąd. – Przystojniak roześmiał się. – Wygrana polega na tym, że otrzymuje pani prawo do bezpłatnej wycieczki dla czterech osób. A kim są te osoby, sama pani zdecyduje. Kajuta została opłacona, może pani ulokować w niej nawet dziesięć osób, jeśli zgodzą się spać na podłodze. Korzystać z bezpłatnych posiłków będą tylko cztery osoby, reszta sama ponosi koszty. Rozumie pani?

– Musimy się zastanowić – powiedziała stanowczo Tatiana, która do tej pory nie zabierała głosu.

– Oczywiście. – Dżentelmen uśmiechnął się ugodowo. – Naradźcie się, chociaż moim zdaniem nie macie się nad czym zastanawiać. Statek „Ilja Głazunow” odpływa za dwa dni. Zostawiam państwu skierowania, możecie dzisiaj wejść na pokład i obejrzeć swoje kajuty. Myślę, że gdy tylko je zobaczycie, pozbędziecie się wątpliwości. Kajuty są bardzo wygodne, statek jest pięciogwiazdkowy. Śniadanie i obiad serwowane są w postaci szwedzkiego stołu, a obiad po uprzednim zamówieniu. Jestem przekonany, że nie będziecie żałować. Na statku są dwa baseny, trzy restauracje, bary, kawiarnie, sala kinowa, sauna, gabinet masażu i wiele innych atrakcji. Gwarantujemy wysoki standard usług. Jeśli powiecie mi teraz, kiedy zamierzacie obejrzeć kajuty, będę czekał przy trapie i sam was oprowadzę.

Spojrzałem na Lilę i od razu podjąłem decyzję. W jej oczach wyczytałem tak gorące pragnienie, żeby pojechać w ten rejs, że moje ojcowskie serce zadrżało. Niech diabli porwą Sieriożę Lisicyna i jego zabójstwa.

– Proszę się nie martwić, sami wszystko obejrzymy – odparłem. – Czy jest pan jednak pewien, że na te dwa skierowania możemy pojechać w piątkę, nawet jeśli nie stanowimy dwóch rodzin?

– Na sto procent. Proszę się nie obawiać. To nie te czasy, kiedy w hotelu umieszczano w jednym pokoju tylko małżeństwa albo osoby tej samej płci. Teraz do takich rzeczy podchodzi się z dużą tolerancją.

Dłuższą chwilę spoglądaliśmy w ślad za oddalającym się elegantem. Potem Jura Mazajew wziął ze stołu dwa wyglądające jak książeczki skierowania na rejs statkiem „Ilja Głazunow”. Znajdowały się tam wszystkie pieczętki i podpisy, brakowało tylko naszych nazwisk i danych osobowych. Na jednym skierowaniu było napisane: Irina Pawłowna Miłowanowa. A dalej: z osobami towarzyszącymi – i trzy wolne linijki. Na drugim skierowaniu figurowało moje nazwisko, a pod nim też trzy wolne linijki. Boże, jakie to było kuszące!

– Ciekawe, ile ankiet rozlosowano, skoro na nasze cztery padły dwie wygrane – rzekła w zamyśleniu Tania, a ja domyśliłem się, że nie daje jej spokoju myśl dotycząca rachunku prawdopodobieństwa. Istotnie, jak często się zdarza, żeby grupa licząca cztery osoby wygrywała dwa razy?

Ale Jura Mazajew szybko rozwiązał wszystkie wątpliwości.

– Czyżbyście nie wiedzieli, jak to się robi? – zauważył. – Przecież to nie loteria, w której wyciąga się losy. Decyzję podejmuje komisja po przeanalizowaniu wszystkich ankiet z punktu widzenia atrakcyjności respondentów. A pod tym względem nasza grupa okazała się bardzo pożyteczna. Ankieterka szybko się zorientowała, że jesteśmy razem, ale reprezentujemy różne miasta. Sława przyjechał z Moskwy, dziewczęta z Petersburga, a ja z Nowosybirska. Dając nam zatem w prezencie tylko dwa skierowania, firma zapewniła sobie reklamę w trzech miastach. Gdyby potrzebowali prawdziwych par małżeńskich, musieliby przeznaczyć w tym celu trzy skierowania. Wybierając nas, zaoszczędzili. Idźmy dalej. Jest nas pięcioro, a na dwa skierowania rodzinne można zabrać osiem osób. Tutaj w grę też wchodzi oszczędność. Nie wyglądamy na dzianych, więc bardzo możliwe, że połączymy się na bezpłatną wycieczkę i nie oświadczymy dumnie, że nie, dziękujemy, ale wolimy polecieć na Kanary. W dodatku nie jesteśmy biedakami ani lumpami, a to oznacza, że w trzech miastach utrzymujemy kontakty z ludźmi, którzy po wysłuchaniu naszych ochów i achów mogą dać się namówić na rejs statkiem „Ilja Głazunow”. Nawet jeśli nie zainteresuje ich rejs, to przynajmniej usługi firmy turystycznej, która to zorganizowała. Z tego wynika, moi przyjaciele, że nie ma się czemu dziwić. Wszystko jest całkowicie zgodne z prawem.

– Jak to, więc badanie socjologiczne miałyby wyłącznie jeden cel: znaleźć odpowiednie osoby do reklamowania firmy? – spytała zdziwiona Tania.

Po jej oczach poznałem, że nie przekonuje ją takie wyjaśnienie.

– Skąd znowu – cierpliwie tłumaczył Jura. – Badania sondażowe przeprowadza się zwykle na zamówienie różnych firm turystycznych w celu analizy koniunktury. Dzięki temu ustalane są preferencje poszczególnych kategorii konsumentów o określonych dochodach i pochodzeniu społecznym. Nie ukrywam, że ja też dorabiam czasem takimi badaniami, nieźle za nie płacą. Ale ponieważ nasi obywatele nie są przyzwyczajeni do tego, że ktoś może zatrzymać ich na ulicy, aby zadać kilka pytań, firma turystyczna zawsze ma w zanadrzu bonus: jeśli odpowiedzą państwo na nasze pytania, wasza ankieta weźmie udział w losowaniu darmowych skierowań. Dołączone do każdego badania skierowania pełnią funkcję reklamy. A jeśli chodzi o samo losowanie, to zupełnie inna para kaloszy. Tu rzeczywiście popełniane jest pewne, mówiąc delikatnie, oszustwo. Moja sąsiadka, na przykład, wygrała w ten właśnie sposób bezpłatną wycieczkę na Kanary. Pluła sobie po niewczasie w brodę, głupia gaska, chociaż uprzedzałem ją, że nikt nie oferuje za darmo pełnowartościowego produktu.

– A co się stało? – zainteresowała się Irocza.

– Powiedziano jej, że musi opłacić podróż w obie strony, zostanie za to bezpłatnie zakwaterowana w osobnej willi. No i frajerka poleciała. Willa okazała się glinianą chatą bez żadnych wygod. Wyjaśniło się też, że opłacony jest tylko pobyt, bez wyżywienia. W sumie wycieczka wyszła jej bokiem... Więc jeśli postanowiliście wybrać się w rejs, musicie koniecznie obejrzeć kajuty. Może przypadkiem wyjść na jaw, że pod pojęciem „luksusowa” kryje się brudna nora koło maszynowni.

– Co znaczy „postanowiliście”? – Ira rzuciła się na Jurę. – Nie zamierzasz popłynąć z nami?

– Nie interesują mnie wycieczki na koszt damy – rzucił z uśmiechem Mazajew. – Gdybym to ja wygrał skierowanie, wtedy co innego.

– Jak ci nie wstyd! To nie na mój koszt, ale na koszt dbającego o własne interesy biura turystycznego, dopiero co sam nam tłumaczyłeś.

– Irisza, nie będziemy się teraz spierać. – Socjolog całkiem spokojnie, ale stanowczo uciął dyskusję.

Na twarzy Iroczi malowała się taka rozpacz, że aż przykro było patrzeć. Postanowiłem zrobić, co tylko w mojej mocy, żeby przekonać Mazajewa, aby pojechał z nami.

– Dobra, nie ma co teraz debatować, może rzeczywiście to jakaś nora. Najpierw wszystko obejrzymy, a potem zadecydujemy – zaproponowałem.

Sprzeciwu nie zgłoszono.

Statek „Ilja Głazunow” był ogromny i śnieżnobiały. Gdy tylko go zobaczyłem, zapragnąłem nim wyruszyć – nieważne dokąd, choćby na koniec świata. Nigdy nie podróżowałem takim statkiem, ale marzyłem o tym już dawno. Jakoś nie było okazji.

Podaliśmy nasze skierowania stojącemu przy trapie mężczyźnie w białej bluzie marynarskiej i oznajmiłem, że chcemy obejrzeć kajuty. Na pokład weszliśmy w towarzystwie jakiegoś grubego, spoconego faceta, który przedstawił się jako członek komitetu organizacyjnego.

Nasze kajuty w niczym nie przypominały nor. Przeciwnie, były to najprawdziwsze kajuty klasy lux, wyposażone w telewizor, wieżę, klimatyzację, minibar, telefon i inne atrybuty luksusowego, pięciogwiazdkowego życia. Największe wrażenie zrobiły na mnie kwiaty. W każdej kajucie stały ogromne wazony ze świeżymi kwiatami. W łazienkach znajdowały się kolorowe, włochate ręczniki kąpielowe i małe ręczniki do rąk.

Spojrzałem na Lilę i zobaczyłem, że ma łzy w oczach.

– O co chodzi, córeńko? – spytałem zaniepokojony. – Boli cię coś?

– Nie. – Lila niemal szeptała. – Tak się boję, że wujek Jura nie będzie chciał jechać, bo wtedy wszyscy nie pojedziemy.

Biedne dziecko. W swoim krótkim życiu niewiele miało atrakcji. Co moja córka do tej pory widziała? Cztery ściany pokoju i książki. Teraz tak bardzo pragnie popłynąć w rejs po Morzu Czarnym w luksusowej kajucie! Czy mam prawo pozbawić ją tego? Nie, nie, i jeszcze raz nie.

– Jura – zawołałem do Mazajewa, który pochłonięty był oglądaniem wieży stereo. – Szczęście mojego dziecka jest w twoich rękach. Musimy jechać wszyscy razem.

– To prawda, Jurik, jedźmy – natychmiast podchwyciła Irocza. – Zobacz, jak tu wspaniale. Potem będziemy mieli przynajmniej co wspominać.

Podszedłem do Tatiany i pociągnąłem ją za rękę.

– Wyjdźmy na pokład – powiedziałem jej na ucho. – Niech porozmawiają w cztery oczy. Sądzę, że Iriszka może go przekonać, ale bez świadków. Chodźmy na papierosa.

Razem z Lilą wycofaliśmy się po cichu na pokład, gdzie stały pasiaste leżaki. Rozsiadłszy się wygodnie, zapaliłem papierosa i pogрузyłem się w kontemplacji szarego,

ołowianego nieba, szczelnie zasłoniętego ciężkimi, nisko zawieszonymi chmurami. Lila z przejęciem rozmawiała o czymś z Tatiana, a mi nagle przyszło do głowy, że przez wrodzoną lekkomyślność wcale nie pomyślałem, jak się rozlokujemy w dwóch kajutach. Ira, ma się rozumieć, z Mazajewem. A co ze mną, Lilą i Tanią? Usłyszeć pytanie córki: „Ojej, całowałeś się z ciocią Tanią?”, i nie odpowiedzieć na nie to jedno, a mieszkać i spać w tym samym pokoju – to zupełnie co innego. Mógłbym oczywiście dzielić kajutę z Mazajewem, drugą oddalibyśmy paniom, a potem uprawialibyśmy miłość ukradkiem, wygospodarowując trochę czasu w ciągu dnia. Mogę też mieszkać z Tanią, ale ona musiałaby spać w jednym pokoju z Lilą, ja natomiast w drugim. Ten wariant niewiele się różni od poprzedniego...

Z głębokiej zadumy nad podziałem łóżek w kajutach między członków naszej grupy wyrwał mnie głos należący do łysawego młodego mężczyzny w szortach i swetrze.

– To państwo macie miejsca w kajutach dyrektorskich?

Ocknąłem się.

– Co znaczy „dyrektorskich”? Czyżby na statku był dyrektor? Myślałem, że kapitan.

– Racja. – Łysielec w swetrze uśmiechnął się. – Statkiem zarządza kapitan, a kierownikiem rejsu jest dyrektor. Wszystkie kajuty klasy lux znajdują się w dyspozycji dyrektora, osobiście dokonuje przydziału. Macie państwo skierowania?

– Owszem.

– Chciałem spytać, jak się państwu podobają kajuty. Może macie jakieś życzenia? Wypływamy za dwie doby, więc jest jeszcze czas, żeby urządzić wszystko według waszych potrzeb.

– Skąd ta troska? – spytałem z ironią.

Kątem oka zauważyłem, że Tatiana przestała rozmawiać z Lilą i przysłuchuje się uważnie mojej pogawędce z łysielcem w szortach.

– Przepraszam, jeśli wściubiam nos w nie swoje sprawy, ale gdy kajuty z puli dyrektorskiej zostają zarezerwowane, wszyscy wiedzą, że to dla bardzo ważnych gości. Wobec tego my też staramy się nie dać plamy.

– Nie musicie się martwić – zauważyła beznamiętnie Tatiana. – Wszystko nam odpowiada. Właściwie jeszcze nie podjęliśmy ostatecznej decyzji, czy pojedziemy.

Na twarzy łysielca odmalowało się takie zdumienie, że o mało nie parsknąłem śmiechem. No tak, skąd facet ma wiedzieć, że skierowania dostaliśmy za darmo. Dla niego jesteśmy pasażerami z biletami i w głowie mu się nie mieści, że mogliśmy najpierw za nie zapłacić, a teraz się wahać. Są oczywiście na świecie zwariowani milionerzy, ale żeby do tego stopnia!

– Odpływamy w poniedziałek o trzynastej – oznajmił urażonym tonem. – Czekamy na państwa na pokładzie naszego statku.

Nie wiedzieć czemu zrobiło mi się go szkoda.

– Dziękujemy – powiedziałem dziarsko, dyskretnie mrugając do Lili.

Dziewczynka uśmiechnęła się tak radośnie, że cały się rozpląnąłem. Nie, za wszelką cenę musimy jechać. Do diabła z Mazajewem i jego zasadami. Nawet jeśli Ira rozmyśli się przez niego, a w jej ślady pójdzie Tatiana, pojedziemy we dwójkę z Lilą. Odpłynę w stronę dal, jak najdalej od kłopotów. I od Rity Mieziencowej.

Wszystko układało się tak, że lepiej nie mogło. Irocza przekonała jednak Jurę Mazajewa, żeby pojechał w rejs. Widocznie mojemu skrzydlatemu przyjacielowi zrobiło się wstyd jego wczorajszego zachowania, więc dzisiaj zadbał o swoją opinię i dołożył wszelkich starań. Przy suto zastawionym do obiadu stole z entuzjazmem omawialiśmy nadchodzącą podróż. Zapobiegliwą Iroczkę martwił najbardziej problem opłaconego pobytu na ulicy Pierwszego Maja.

– Przecież zapłaciliśmy za dwadzieścia pięć dni, a wyjeżdżamy po dwunastu. A nuż Wiera Iljiczna nie odda nam pieniędzy?

– Gwiżdżę na nie. – Tatiana niefrasobliwie podeszła do sprawy. – Przecież następne dwa tygodnie spędzimy, nie wydając ani grosza, więc nie będziemy stratni.

– No jak to! – oburzała się jej przyjaciółka. – Gdyby ci pozwolić, wszystkie pieniądze roztrwonilabyś w ciągu trzech dni. Musimy składać na nowy komputer.

Muszę przyznać, że problem opłacenia pokoju mnie też niepokoił. Książek nie piszę, honorariów w kwocie dwustu dolarów za arkusz nie dostaję, żyję z pensji milicjanta. Martwiła mnie też reakcja Rity na wiadomość, że wybieram się z Lilą w rejs statkiem. Z jakiegoś powodu byłem pewien, że Ritka się wścieknie.

Jura Mazajew zachowywał powściągliwe milczenie, czasem się tylko uśmiechał, ale widać było, że pomysł wycieczki niezbyt mu się podoba. Po prostu nie chciał się rozstawać z Iroczką. Ciekawe, czy jest żonaty. Chyba nie, zważywszy, że Irocza tak się go uczepiła. Gdyby miał rodzinę, darowałyby sobie te zabiegi. Skończy mu się urlop i wyjedzie do swego Nowosybirsk. I po miłości. A Ira najwyraźniej na coś liczy...

Tak jak się spodziewałem, Margarita zjawiała się w najbardziej nieodpowiednim momencie. Wieczorem zdążyłem się już całkiem uspokoić, dochodząc do wniosku, że mam w

nosie, jak Rita zareaguje na wiadomość o rejsie, zwłaszcza że nasza delikatna rozmowa z właścicielką przyniosła pozytywny wynik: Wiera Iljiczna od razu powiedziała, że zwróci nam pieniądze, to żaden problem. Jej dom figuruje w wykazie kwater prywatnych prowadzonym przez miejscowe biuro turystyczne, więc jak tylko zwolni się u niej pokój, od razu tam zadzwoni i napływająca codziennie turystyczna stonka zostanie tutaj kierowana. Tak więc pokoje nie będą świecić pustkami. Sprawy przybrały taki korzystny obrót, a tu nagle zjawia się madame Mieziencewa. Chociaż właściwie nie mogę żądać rzeczy niemożliwych od mojego Anioła Stróża, i tak zrobił dzisiaj, co tylko było w jego mocy.

– A gdzie Lila? – spytała od razu Rita, nawet się nie przywitawszy.

Siedziałem znowu z Mazajewem na dworze, a nasze panie krzątały się w kuchni, szykując kolację. Na dobrą sprawę nie miałem pojęcia, co tam wyczyniają, bo po śniadaniu i obiedzie zostało jeszcze tyle jedzenia, że moim zdaniem można było dać sobie spokój z gotowaniem przez co najmniej trzy dni. Irocza jednak miała swoją filozofię prowadzenia domu.

– Poznajcie się, Jura, to Rita, matka Lili – powiedziałem oschle, łamiąc wszystkie zasady *savoir-vivre*'u i przedstawiając kobietę mężczyźnie, a nie odwrotnie, jak tego wymagały dobre maniery.

– Bardzo mi miło. – Mazajew podniósł się z miejsca i uprzejmie skinął głową.

Pewnie był lepiej wychowany niż ja. Mnie w każdym razie nawet do głowy nie przyszło, żeby wstać na widok byłej żony.

– No to gdzie jest Lila? – naciskała Rita, rzucając Mazajewowi uwodzicielskie spojrzenie.

– Na górze, czyta.

– Znowu trzymasz dziecko w domu! Wiesz, po co ją tutaj przywiozłeś? Żeby zażywała morskiego powietrza, a nie siedziała zamknięta w czterech ścianach.

– Lila jest na werandzie, uspokój się.

Rita zabrała się do wypakowywania swojej dużej białej torby. Na stole pojawiły się brzoskwinie, morele i śliwki.

– Gdybym nie pamiętała i nie przynosiła owoców, sam nigdy byś nie wpadł na pomysł, żeby pójść na bazar i kupić dziecku witaminy. Co z ciebie za ojciec, Stasow!

Nie przyznałem się Ricie, że dzisiaj rano byłem na bazarze i przytaszczyłem stamtąd siaty wypchane po brzegi owocami i warzywami, pełnymi witamin. Mazajew posłał mi szybkie, porozumiewawcze spojrzenie, dzięki czemu odetchnąłem z ulgą: Jura mnie nie wyda. Równy z niego gość.

Z kuchni wyłoniły się Tania i Ira, niosąc na talerzach pokrojone warzywa i zieleninę. Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że zaraz zacznie się awantura, więc podziękowałem w myślach losowi za to, że nie ma z nami Lili.

– Rita, pozwól, że ci przedstawię – wykrztusiłem, nabierając do płuc jak najwięcej powietrza. Gdybym mógł, zacisnąłbym w tym momencie oczy. – Irina, żona Jurija. Tatiana, jej siostra. A właśnie, chciałem ci powiedzieć, że w poniedziałek wyjeżdżamy wszyscy razem w rejs po Morzu Czarnym.

Całe szczęście, że Rita zaniemówiła na taką bezczelność. Pauza, która powstała, pozwoliła trochę ochłonąć osobom, o których przed chwilą nafantazjowałem, przypisując im nieistniejące więzy pokrewieństwa. Pierwsza oprzytomniała Irocza. Uśmiechając się przyjaźnie, spytała:

– Zje pani z nami kolację?

– Nie, dziękuję – odparła chłodno Rita. – Niedawno jadłam obiad, a zresztą mam mało czasu. A co do rejsu, to nie bardzo rozumiem. Dokąd się wybieracie?

– Przecież powiedziałem: w rejs po Morzu Czarnym. Statkiem „Ilja Głazunow”.

– Skąd ten pomysł, jeśli wolno spytać?

– Znikąd. Zachciało nam się, więc jedziemy. Musisz wiedzieć, że Lili bardzo zależy na tym rejsie. Znudziło jej się tutaj.

– A bilety?

– Kupiliśmy.

Ritka dosłownie pożerała Tatianę oczami, sądząc pewnie, że to ona jest przyczyną tego zamieszania. Oceniała rywalkę. Wygląda na to, że uważała za oczywiste, iż ubolewając nad rozpadem naszego związku, będę darzył swoją eks małżonkę potajemną miłością do grobowej deski. A tu nagle pojawia się jakaś...

– No nie wiem, Stasow, z ciebie to w ogóle... – mamrotała. – Strach z tobą dziecko wysłać.

– A to niby dlaczego? – spytałem niewinnie. – Wyżywienie będzie trzy razy dziennie, więc głodem jej nie zamorzę.

Tania i Ira nadal nakrywały do stołu. Rita wybrała moment, kiedy znowu zniknęły w kuchni, i wysyczała ze złością:

– Nie waż się ciągnąć ze sobą jednocześnie dziecka i kochanki. To niemoralne. Zabraniam ci.

Coś podobnego, nie powstrzymała jej nawet obecność Mazajewa. Prawdziwa z niej zołza!

– Niczego nie możesz mi zabronić, moja droga – odparłem spokojnie, zyskując pewność, że tę batalię już wygrałem. Skoro Rita nie ośmieliła się poruszyć tej kwestii przy Tatianie, to znaczy, że jest zepsuta do szpiku kości. – Jesteśmy rozwiedzeni, wybaczone, że ci przypominam. A pozostawienie Lili tutaj, pod twoją i twojego kochanka opieką, jest tak samo niemoralne. Znasz przysłowie: zamienił stryjek siekierkę na kijek? To nie ma najmniejszego sensu. Prawda? Zwłaszcza że, powtarzam raz jeszcze, Lila chce jechać. Nie proszę o twoją opinię, po prostu cię o tym informuję.

Rita szybko zrozumiała, że kłótnia nic jej nie da. Nie miała wyboru – nie mogła bez mnie zostawić tutaj Lili, zbyt mocno wciągnęło ją zwariowane życie festiwalowe. Poza tym chyba była znużona udawaniem idealnej mamusi.

– Macie tu telefon? – spytała niespokojnie, błyskawicznie przeskakując na inny temat.

Zaprowadziłem ją do właścicielki i poprosiłem o udostępnienie telefonu. Rita została w pokoju, żeby zadzwonić, a ja wróciłem do Mazajewa.

– Nie boisz się? – rzucił z uśmiechem.

– Czego?

– Skandalu.

– A kto powiedział, że się nie boję? Boję się, i to jak. Kłamię, żeby uniknąć konfrontacji.

– Skąd Rita dowiedziała się o Tatianie?

– Nie mam pojęcia. Jakaś życzliwa dusza sfotografowała nas i podrzuciła zdjęcia do pokoju Rity. Jeszcze wczoraj Ritka machała nimi i żądała wyjaśnień.

Po powrocie Margarita była wyraźnie rozdrażniona.

– Wszystko na tym festiwalu idzie jak po grudzie – powiedziała z gniewem, siadając przy stole i biorąc z talerza apetyczny purchelkowany ogórek, chociaż nie dalej jak dziesięć minut temu z lekceważeniem odrzuciła zaproszenie na kolację. – Ani dnia spokoju. Za godzinę zaczyna się konferencja prasowa w związku z filmem Babajana, a on gdzieś znikł. Pewnie znowu się upił, kretyn.

Wiktor Babajan zaliczał się do kategorii genialnych alkoholików. Robił wspaniałe filmy, ale nieregularnie, zwykle w najbardziej nieodpowiedniej chwili wpadał w nie mniej wspaniałe ciągi pijackie, zostawiając na lodzie grupę zdjęciową i opóźniając całą produkcję. Urządzał libacje z ulicznymi szumowinami, wlewając w siebie alkohol w towarzystwie bezdomnych, niechlujnych narkomanów i bezzębnych dworcowych eksprostytutek. Co takiego widział w tym szambie, nikt nie potrafił wyjaśnić, ale wszyscy się przyzwyczaili.

Swego czasu miał romans z Olą Dorienko i był jedynym mężczyzną, którego sama rzuciła, nie wytrzymawszy jego pijackiego geniuszu. A może genialnego pijaństwa?

– Poszukajcie go na przystani – poradziłem. – Byliśmy tam dzisiaj i widzieliśmy sporo barwnych postaci, którymi Witia mógł się zainteresować.

– To wiem i bez ciebie – słabo odcięła się Rita, pogryzając ogórek. – Co za sens go szukać, skoro się upił? Nie pokażemy go przecież w takim stanie dziennikarzom.

– Nie panikuj z góry, może wcale nie jest pijany. Włóczy się gdzieś i pojawi się tuż przed rozpoczęciem. A w ogóle, dlaczego akurat ty tak to przeżywasz? Przecież jesteś krytykiem, a nie kandydatką do nagrody za rolę w filmie Babajana. Może martwisz się, że twój Rudin ma przez niego kłopoty?

– Naturalnie. – Rita popatrzyła na mnie wyzywająco. – Ty nigdy nie rozumiałeś, że można się martwić o kogoś, gdy spotykają go nieprzyjemności. Całe życie byłeś egoistą. Nawet egocentrykiem. A przy okazji, czy to, że się zmywasz w rejs, oznacza, że ostatecznie odrzucasz propozycję pracy w ochronie u Rudina?

– Owszem – potwierdziłem. – Odchodzę na emeryturę i w nosie mam wasze sławne ofiary.

– Ciekawe, co będziesz robił? Przecież oprócz łapania przestępców nic innego nie potrafisz. Zatrudnisz się jako stróż?

– Dlaczego jako stróż? Zostanę pomocą domową.

– Kim? – Ritę zamurowało.

Jej ręka, sięgająca po drugi ogórek, zawisła w powietrzu.

– Gosposią. U Tatiany Grigorjewny. Będę prowadził jej dom, żeby miała czas robić pieniądze.

Rita pobladła. W końcu nie była idiotką, choć miała kupę innych wad.

– Masz zamiar się ożenić, Stasow? – powiedziała wolno, spoglądając to na mnie, to na Tanie.

– Czemu nie? A ty, coś mi się zdaje, za chwilę spóźnisz się na konferencję.

Do Rity dotarło, że została grzecznie wyproszona. Z olśniewającym uśmiechem wbiegła lekko na piętro, zaszczębiotała parę razy, obcałowując Lilę, i opuściła nasze gościnne progi na ulicy Pierwszego Maja osiem.

Nad ranem, gdy kuląc się z zimna, wyszedłem z pokoju Tani na werandę i na palcach ruszyłem naokoło domu, żeby dostać się do swojej klitki, zobaczyłem na dole przygarbioną

sylwetkę. Sierioża Lisicyn tkwił przy stole, opuściwszy z rezygnacją ramiona, cała jego postać tchnęła smutkiem.

Zszedłem i usiadłem obok.

– Co się stało?

– Babajan się znalazł – odparł cicho. – Na opuszczonej budowie.

– Co tam robił? – spytałem zdziwiony.

– Leżał.

Struchlałem. Czyżby?...

– Żywy?

– Oczywiście, że nie. Ktoś go utopił, potem wyciągnął z wody i przeniósł na budowę.

A mnie wyrzucono z pracy.

– Jak to?

– Jeszcze wczoraj. Bo sobie nie radzę, mam niskie wskaźniki, żadnych sukcesów. Jestem teraz zwykłym posterunkowym. Na oczekaniu sklecono rozkaz przeniesienia.

W jednej chwili spadła mi z oczu zasłona. Ritka miała rację, kiedy mówiła wczoraj, że jestem egoistą i nic wokół siebie nie widzę. To najprawdziwsza prawda.

Najpierw podrzucano jej zdjęcia, żywiąc nadzieję, że jak to bywa między małżonkami, sprawa skończy się awanturą, po której będę musiał wyjechać z miasta, a w najlepszym razie przyjdzie mi omijać hotel szerokim łukiem. Z awantury nic nie wyszło. Wtedy podsunęto nam skierowania, które niby to wygraliśmy i których tylko kompletny idiota by nie przyjął.

Ktoś chce się mnie pozbyć z tego nadmorskiego kurortu. Wyjaśnienie głośnych przestępstw powierzono niedoświadczonemu chłopakowi. Gdzie indziej już dawno utworzono by brygadę specjalną, składającą się z najlepszych fachowców komendy głównej, a nawet ministerstwa. A tu – głucha cisza. Niedoświadczony chłopak miał jednak głowę na karku i odsuwając na bok ambicję, poprosił o pomoc wywiadowcę z Moskwy, chociaż jak najsurowiej mu tego zabroniono. Chłopaka odsunąć od sprawy, wywiadowcy pozbyć się z miasta. I załatwione.

Kradzież komputera miała w tym planie ważne znaczenie psychologiczne. Tania pisze powieść, w zasadzie nie odpoczywa, tylko pracuje, więc miasto jest dla niej nie tyle kurortem, ile miejscem akcji, gdzie rozgrywają się opisywane wydarzenia. Czy złapie się na darmowe skierowanie? Właściwie może odmówić, praca jest dla niej o wiele ważniejsza, przynosi pieniądze. Jeśli Tania nie zgodzi się na wyjazd, ja też mogę się zerwać z haczyka, łączy nas przecież romans. Zniknięcie laptopa przygotowało grunt do tego, żebyśmy wszyscy wynieśli się stąd w cholere, połaszczywszy się na darmo.

Patrzyłem na nieszczęsnego chłopaka, siedzącego przede mną z przybitą miną, spoglądającego oczami wyrzuconego na mróz psiaka, i wiedziałem, że w żaden rejs nie pojedę. Jura Mazajew mnie poprze, sam nie ma specjalnej ochoty na wycieczkę. Tania też mnie zrozumie, na pewno zrozumie i zaaprobuje moją decyzję. Pozostają Lila i Irocčka. Co z nimi? Przecież tak marzą o wyjeździe!

– Nie dawaj za wygraną, Sierioża – oznajmiłem z przesadnym zapalem, chociaż w głębi duszy drżałem z niepokoju. – To nawet lepiej, że jesteś teraz posterunkowym, będziesz miał wolną rękę i żadnej kontroli ze strony wydziału kryminalnego. Śledczy też nie zażąda od ciebie sprawozdania. Zrobisz to, co uznasz za stosowne. Najpierw trzeba sprawdzić firmę turystyczną, która przeprowadzała sondażowe badania socjologiczne. To ona wepchnęła nam darmowe skierowania, żeby zmusić mnie do wyjazdu. Spróbujmy wyjaśnić, kto tak szasta forszą. Złodzieje, którzy ukradli Tani komputer, muszą mieć jakiś związek z tym Rothschildem...

Słońce już chyba dawno wstało, ale nie mogło się przedrzeć przez gęste, ołowiane chmury. Omawialiśmy półgłosem sytuację i tak byliśmy pochłonięci rozmową, że kiedy przed domem pojawiła się Wiera Iljiniczna, spytałem głupio:

– Tak wcześnie pani na nogach? Może nasze gadanie panią obudziło?

– Jak to wcześnie, Władisławie Nikołajewiczu – odrzekła zdziwiona właścicielka. – Już wpół do ósmej. I tak przez tę pogodę spałam dłużej niż zwykle. W samą porę wybraliście się w ten rejs, zaciągnęło się na amen, z opalania nici, więc lepiej sobie popływajcie, rozerwiecie się trochę.

– Nigdzie nie jedziemy – oznajmiłem. – A raczej ja nie jadę. Jeśli chodzi o Tanieczkę i Irę – na razie nie wiem.

– Rozmyślił się pan? Czemu?

Wzruszyłem obojętnie ramionami.

– Jakoś tak, wie pani... W sumie odechciało mi się. Do licha ze statkiem. Nigdy nie pływałem, a nuż dostanę choroby morskiej? Albo jeszcze gorzej, córka zachoruje. Nie będę ryzykował. Więc proszę nie zgłaszać mego pokoju do wynajęcia, pomieszkam jeszcze u pani.

– No i dobrze. – Wiera Iljiniczna przytaknęła ruchem głowy.

Odniosłem wrażenie, że była nawet zadowolona, że zostajemy. Nigdy nie wiadomo, zamiast nas mogłaby jej się trafić rodzina z małym dzieckiem, które by głośno płakało albo hałasowało, biegało po całym domu, nie dając nikomu spokoju. A Lila to przynajmniej cicha i posłuszna dziewczynka, której nie było ani widać, ani słychać.

Pożegnałem się z Lisicyńm i udałem się do siebie na górę, mając nadzieję, że uda mi się jeszcze wskoczyć do łóżka. Lila jeszcze leżała, ale oczy miała otwarte, a na buźce malował się niepokój.

– Tato, gdzie byłeś? Przestraszyłam się, gdy się zbudziłam i zobaczyłam, że nie ma cię w pokoju.

– Rozmawiałem z wujkiem Sierioża. Długo nie śpisz?

– Długo. Od szóstej.

– Tak, wujek Sierioża przyszedł właśnie o szóstej. Pewnie cię obudziłem, wychodząc z pokoju – skłamałem, nie patrząc jej w oczy, nękany wyrzutami sumienia. Nie dosyć że ją oszukałem, to muszę jeszcze powiedzieć, że rejs statkiem zostaje odwołany. Jakoś trzeba jej to wytłumaczyć. Ale jak?

– Kotku, musimy poważnie porozmawiać – zacząłem ostrożnie, nie mając pojęcia, co dalej powiedzieć.

– O cioci Tani?

– Nie. A właściwie dlaczego o cioci Tani?

Przysiadłem na brzegu łóżka i wziąłem jej ciepłe, małe rączki w swoje dłonie.

– Bo chcesz się z nią ożenić, ja wiem.

– Skąd ten pomysł? – Spojrzałem na Lilę ze zdumieniem. – Chciałem porozmawiać z tobą o wycieczce statkiem. Widzisz, słoneczko, będziemy musieli z niej zrezygnować.

W okamgnieniu do oczu Lili napłynęły łzy.

– Dlaczego?

– Musimy zostać i pomóc wujkowi Sierioży. Ma poważne kłopoty, nie możemy go teraz zostawić. Rozumiesz?

Lila w milczeniu kiwnęła głową, łykając gorzkie dziecięce łzy. Nie mogłem powiedzieć jej, że nie cierpię, gdy ktoś próbuje mną manipulować. Zniosę wiele – chamstwo, niesprawiedliwość, obrazę. Nigdy nie byłem specjalnie wrażliwy na cudze nieszczęście i nie przejmowałem się cudzymi kłopotami. Ale nie godziłem się na to, żeby mną manipulowano. Nieznani sprawcy, którzy stali za zabójstwami gwiazd filmowych, próbowali wysiudać mnie z miasta, pluli mi w twarz, a ja nie zamierzałem udawać, że deszcz pada. Mam trzydzieści osiem lat, za sobą dwudziesty pierwszy rok służby. Cztery lata spędziłem w szkole milicyjnej, a siedemnaście, pracując w wydziale kryminalnym. Nie wypadłem sroce spod ogona. Ale dla ośmioletniego dziecka takie argumenty były zbyt skomplikowane.

Tatiana przyznała mi rację od razu i bez zastrzeżeń, ale tak jak ja obawiała się reakcji Iry na moją, co tu kryć, oryginalną decyzję.

– W najgorszym razie niech Ira jedzie z Mazajewem. Wróci za dwa tygodnie, a ja poczekam tu na nią – powiedziała Tania.

– Widzisz, nie jestem pewien, czy Jura pojedzie, jeśli powiemy mu, jak sprawa wygląda – zaproponowałem. – Nasz socjolog jakoś nie przypomina miłośnika tanich rozrywek. Może lepiej będzie, gdy ty pojedziesz z Iry?

– No jasne – prychnęła Tatiana – już biegnę pakować walizki. Myślisz, że Ira ucieszy się z mojego towarzystwa? Ona potrzebuje Mazajewa, a nie mnie. A zresztą chcę zostać z tobą. Nie możesz zostawić Lisicyna, bo jest w tarapatkach, a ja z tego samego powodu nie chcę opuszczać ciebie. Oczywiście jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Tego by jeszcze brakowało, żebym miał jakieś ale. Musiałem się powstrzymać, żeby nie obsypać jej pocałunkami tu, na dworze! Zakochałem się po uszy i jak wszyscy zakochani byłem ślepy i głuchy. W tym momencie nie przyszło mi nawet do głowy, że popełniam straszny, niewybaczalny błąd.

Rozdział 9

Irocza dąsała się całą niedzielę, pomimo łagodnych perswazji Tatiany i kpiących komentarzy Mazajewa. Na takie sprawy Jura miał swój pogląd, uważając, że za każdą darmową niespodzianką kryje się podstęp, więc lepiej trzymać się od podobnych dobrodziejstw z daleka, bo można wplątać się czasem w aferę, z której trudno się potem wykręcić. Wspierałem go swoim autorytetem, przywołując różne historie z praktyki milicyjnej, kiedy funkcjonariusze dawali się kupić, a potem ani się obejrzeni, jak lądowali w gównie.

Cios okazał się dla Iroczy dotkliwy i tylko głupiec mógłby się spodziewać, że dziewczyna zniesie go ze stoickim spokojem. Dopiero w niedzielę wieczorem zaczął jej wracać humor. Ale w poniedziałek rano znowu była jak chmura gradowa, raz po raz spoglądała na zegarek i wzdychała. W końcu, po raz kolejny rzuciwszy okiem na tarczę, westchnęła gorzko:

– Wszystko przepadło.

I rozplakała się. Była równo trzynasta, więc domyśliłem się, że przez cały ten czas łudziła się nadzieją, wprawdzie niewielką, że jeszcze zmienimy zdanie. Teraz było już za późno. Ogromny, śnieżnobiały „Ilja Głazunow” wyruszył w rejs po Morzu Czarnym, unosząc ze sobą dwie puste, wspaniałe kajuty klasy lux. Czuję się okropnie winny wobec Iry i wobec mojej córki.

Ale te łzy były ostatnie. Irocza zdała sobie sprawę, że nic już się nie da zrobić i trzeba się z tym pogodzić. Wytarła oczy, wydmuchała nos i ze zdwojoną energią przystąpiła do pichcenia obiadu.

Przy stole wspólnymi siłami staraliśmy się rozweselić Lilę i Iroczkę, snując na głos jakieś baśniowe plany rozrywek, które urządzimy sobie zamiast rejsu. Obiecałem Lili przewieźć ją „naleśnikiem” i „gąsienicą” – kilka razy mnie o to prosiła, ale ciągle odmawiałem ze względów bezpieczeństwa: byłem przekonany, że moja córka przewróci się i utonie, chociaż na naszych oczach setki dzieci i dorosłych wsiadały do tych ogromnych, dmuchanych pojazdów, przywiązanych linami do kutra, a potem z piskiem i krzykiem mknęły po falach.

– Pozwolę ci polatać na spadochronie – obiecała Tatiana Irocze.

Tutaj sytuacja wyglądała nieco inaczej. Spadochron też był przywiązany liną do kutra i amator latania wprost z brzegu wzbijał się w powietrze na zawrotną wysokość, po czym przez

dziesięć minut unosił się nad morzem. Następnie kuter podpływał do brzegu, zwalniał w ściśle ustalonym miejscu, i latający plażowicz wpadał prosto w objęcia instruktora, który chwycił go i pomógł stanąć ostrożnie na piasku. Irocza miała szaloną ochotę spróbować, ale Tatiana kategorycznie zabroniła jej tej rozrywki.

– Ty będziesz latać, a ja umrę ze strachu, że coś ci się stanie – mówiła. – Chcesz, żebym dostała zawału?

A zresztą dziesięć minut przyjemności w powietrzu kosztowało sto tysięcy rubli, czyli dwadzieścia dolarów, i oszczędną Iroczkę trochę to gryzło.

– Drodzy przyjaciele, coś mi się zdaje, że się zasiedzieliśmy przy stole. Przerwijmy to niebywałe obżarstwo i przejdźmy się nad morze – zaproponował Mazajew.

Szybko sprzątnąwszy i umywszy naczynia, ubraliśmy się cieplej i ruszyliśmy na plażę. Dmuchał wstretny wiatr, w powietrzu czuło się wilgoć, a niebo było zachmurzone, humor też nam nie dopisywał, choć każdemu z różnych przyczyn. Wszyscy przy tym udawaliśmy, że dobrze się bawimy i jest nam wesoło. Po drodze kupiłem w jakimś kiosku dwie butelki szampana i oznajmiłem, że musimy koniecznie opróżnić je na plaży przy szumie fal. Zapobiegliwa Irocza od razu zaczęła szukać po sklepach tanich plastikowych kubeczków. W końcu kubeczki się znalazły, zafundowaliśmy sobie też kilka tabliczek czekolady.

Plaża była całkiem pusta i ciemna. Piasek, w pogodne dni gorący i złocisty, wydawał się zimny i szary, długie rzędy pustych, drewnianych ławek pod brezentowym zadaszeniem przypominały nie wiedzieć czemu koszary. Wolno brnęliśmy przez grząski piasek w stronę ławek, żeby wygodnie się rozlokować i otworzyć szampana.

– Jest pewnie ciepły – zauważyła sceptycznie Irocza.

– Zaraz włożę go do wody, za piętnaście minut będzie w sam raz – odrzekłem wesoło i rażnym krokiem podążyłem na brzeg.

Zdjąłem buty, przykucnąłem i zabrałem się do zakopywania butelek w zimnym piasku w pasie przypływu, gdy usłyszałem za plecami krzyk:

– Lila! Nie dotykaj!

Gwałtownie się odwróciłem i zobaczyłem, jak moja córka szybko zmierza w kierunku upatrzonej ławki, a Jura Mazajew dwoma skokami dopada jej i chwyciła za rękę. Zapominając o butelkach szampana, rzuciłem się do nich.

– Co się stało? – spytałem, z trudem łapiąc oddech.

– Tam ktoś zapomniał książki – odparła żałośnie Lila. – Chciałam tylko zobaczyć. Daję słowo, wiem, że nie wolno brać cudzych rzeczy, ale ja przecież nie na zawsze, tylko bym obejrzała...

– Lila, idź do cioci Tani – powiedział łagodnie Mazajew, popychając Lilę ku naszym paniom. – Poproś o czekoladę dla mnie i dla taty.

Kiedy Lila oddaliła się na bezpieczną odległość, Jura powiedział cicho:

– Przepraszam, Sława, nie myśl, że ze mnie zwykły panikarz. Ale w Afganistanie naoglądałem się takich rzeczy. Po tym, czego się tutaj dowiedzieliśmy i co zobaczyliśmy, dmucham na zimne. Idź do dziewczyn, przypilnuj, żeby się nie zbliżały. A ja zobaczę, co to takiego. Mam nadzieję, że się mylę.

Pokonałem jakieś dwadzieścia metrów i dołączyłem do naszych trzech gracji, dwóch dużych i jednej małej, zajmujących dwie ławki. Jura powoli ruszył w stronę przeciwnego końca długiego rzędu ławek. Widziałem, jak skradając się niczym myśliwy w dżungli, podszedł do ławki, na której jasną plamą odcinała się pozostawiona przez kogoś gruba książka.

– Władik, chciałeś czekolady? Proszę, weź.

Przeniosłem wzrok na Iroczkę i już otworzyłem usta, żeby grzecznie odmówić, gdy nagle zabrzmiało wołanie Mazajewa:

– Padnij! Padnij!

Działając odruchowo, złapałem Lilę, przewróciłem na zimny, wilgotny piasek i przygniotłem, osłaniając swoim ciałem. Sprowadzony do parteru, widziałem nogi biegnącego co tchu Mazajewa, który dosłownie przeleciał połowę dzielącej nas odległości i też runął na ziemię, zakrywając głowę rękami. Po chwili rozległ się wybuch.

Na myśl o tym, co mogło się stać z moim dzieckiem, ogarnęło mnie takie przerażenie, że długo jeszcze leżałem z głową wetkniętą w piasek, przyciskając do siebie Lilę.

– Sława! – usłyszałem nad samym uchem głos Mazajewa. – Sława, wszystko w porządku? Możesz już wstać.

Jura wyciągnął spode mnie na pół żywą ze strachu Lilę i pomógł mi się podnieść.

– Boże! Co to było? – wymamrotała Tania, ledwie poruszając drżącymi ustami.

– Jakiś chuligański wybryk – odparł ze złością Jurij, otrzepując z piasku dzinsy i sweter. – Mieliliśmy szczęście. No, dziewczęta, uspokójcie się, głowy do góry. Odprężcie się i wyjmijcie nasze nowe kubeczki, a my ze Sławą przyniesiemy szampana.

Pociągnął mnie za rękę, więc posłusznie powlokłem się za nim na brzeg. Było mi zimno w nogi, dopiero teraz uprzytomniłem sobie, że zdjąłem adidasy, aby zakopać butelki, stojąc po kostki w wodzie. Ale chłód mnie otrzeźwił, i znowu wszedłem do wody, żeby pozbyć się nerwowych dreszczy.

– No? – zapytałem surowo, patrząc Mazajewowi w oczy.

– Dziwna sprawa. – Jura pokręcił w zamyśleniu głową. – Zwykle takie zabawki zawierają tyle materiału wybuchowego, że eksplozja rozrywa człowieka na strzępy. Dlatego krzyknąłem „padnij!”. Byłem pewien, że zaraz wszystkie ławki wylecą w powietrze i kawałki posypią się nam na głowy. Wybuch okazał się jednak znacznie słabszy, niż zakładałem. O wiele słabszy. Aż trudno uwierzyć. Wygląda na to, że nie chciano nikogo zabić, tylko okaleczyć.

– To znaczy nastraszyć?

– Nie, ująłbym to inaczej.

– Jak? – spytałem, domyślając się już odpowiedzi.

– Przypuśćmy, że... Sława, nie przejmuj się zawczasu, to tylko moje domysły. No więc, jeśli założyć, że książka została przygotowana specjalnie dla Lili, to sprawcy nie pragnęli, żeby zginęła. Bo gdyby do tego doszło, nie ruszyłbyś się z miasta, dopóty byś nie wyjaśnił, co się tu dzieje. Tego przecież nie chcą. Muszą pozbyć się ciebie za wszelką cenę, więc zużywają tyle materiału wybuchowego, żeby dziecko tylko okaleczyć. Bardzo mocno, ale nie śmiertelnie. Siła wybuchu oderwałaby jej dłonie. Wtedy chwyciłbyś Lilę na rękę, wsiadł do pierwszego lecącego do Moskwy samolotu i umieścił ją w najlepszej klinice. Za nic byś tutaj nie został. Mam rację?

Kiwnąłem głową. W gardle tak mi zaschło, że nie mogłem wydusić z siebie słowa. Idiota! Kretyn! Zarozumiały, egoistyczny duppek. Patrzcie go, nie podoba mu się, gdy ktoś nim manipuluje! Mój honor, duma i ambicja razem wzięte nie są warte jednego włoska na kędzierzawej główce Lili.

– Sława, weź się w garść i przestań świrować – powiedział surowo Mazajew, wyjmując z piasku butelki szampana. – To, że będziesz się zadręczał, nikomu nie pomoże. Musimy być bardzo ostrożni i uważni.

Nachyliłem się, nabrałem w dłonie zimnej, słonej wody i prysnąłem sobie kilka razy w twarz.

– Trzeba natychmiast wywieźć stąd Lilę – wymamrotałem ochryple. – Dobrze by było wyprawić też Tanie i Iroczkę. Boże, jaki ze mnie głupiec! Płynęlibyśmy teraz statkiem i o nic byśmy się nie martwili.

– Nie czas na łyzy – machnął ręką Jura. – Statku i tak teraz nie dogonimy. Trzeba wymyślić, jak się z tego wywinąć. Chodźmy, wypijemy szampana, uspokojmy się.

Szybko poszedł z powrotem w stronę ławek, niosąc w każdej ręce dużą, ciemnozieloną butelkę z czarno złotą etykietą, a ja pociągnąłem się za nim, zagarniając stopami piasek, z adidasami w dłoni. Czarno widziałem przyszłość.

Z zabawy nic nie wyszło. Drogiego francuskiego szampana wypiliśmy w grobowym milczeniu. Cały czas łamałem sobie głowę, z kim wysłać Lilę do Moskwy. Mogę poprosić Ritę, żeby wyjechała wcześniej, ale wtedy musiałbym wszystko jej opowiedzieć. Cholera wie, jak zareaguje. Kiedy wczoraj wieczorem przysłała się pożegnać i dowiedziała się, że nigdzie nie jedziemy, patrzyła na mnie ze współczuciem, jak na ciężko chorego. Moje nagłe decyzje i nie mniej nagłe zmiany tych decyzji wybijały ją z rytmu. Domyśliłem się, że porobiła już plany na najbliższe dwa tygodnie, uwzględniła przy tym, że mnie i Lili nie będzie, odpadała więc konieczność taszczenia toreb z witaminami dwa razy dziennie i udawania troskliwej matki. Może nawet zamierzała pojechać gdzieś ze swoim ukochanym Rudinem, przecież za dwa, trzy dni festiwal powinien się skończyć. A ja tu nagle oznajmiam jej, że musi zabrać Lilę do Moskwy...

– Chodźmy stąd – nieoczekiwanie oświadczyła Ira. – Jakoś tu... strasznie. Nieprzyjemnie.

Skuliła się w sobie i duszkiem dopiła szampana. Podnieśliśmy się bez słowa, wyrzuciliśmy do kosza butelki i papierki po czekoladzie, po czym powlekliśmy się w stronę wyjścia na nabrzeże.

– Dokąd pójdziemy? – spytała Tatiana.

– Droga na lewo prowadzi do hotelu filmowców. Skręćmy w prawo, tam jeszcze nie byliśmy – zaproponowałem.

Szedłem, mocno trzymając Lilę za rękę. Po ostatnich wydarzeniach mój zwykły ojcowski strach o dziecko wzmógł się dziesięciokrotnie i ogarnęła mnie niemal panika. Wydawało mi się, że jeśli pozwolę córce oddalić się choćby o metr, natychmiast przydarzy jej się coś złego. To, że Lilę należało stąd wywieźć, nie podlegało dyskusji. Problem polegał na tym, czy ja sam powinienem zostać, czy również wyjechać i machnąć ręką na nieuchwytnych „filantropów”, zabijających ludzi kina i wykurzających mnie z miasta. Decyzję należało podjąć niezwłocznie.

Asfalt się skończył, dalej wzdłuż morza ciągnęła się droga wysypana drobnym żwirem, porośnięta z obu stron małymi palmami. Z przodu ukazał się niedokończony budynek o pięknej i niezwyklej architekturze. Z prawej strony alei przymocowana na słupie duża tablica informowała, że budowę hotelu „Pałace” realizuje turecka firma budowlana „Kasidu”. W pobliżu nie napotkaliśmy żywego ducha. Domyśliłem się, że to była właśnie ta opuszczona budowa, o której opowiadał mi wczoraj rano Sierioża Lisicyń i na której znaleziono martwego reżysera Wiktora Babajana. Prace budowlane postępowały sprawnie, szybkie tempo robót gwarantowało ukończenie hotelu w listopadzie, najpóźniej w grudniu.

Wszystko zepsuła polityka. Po wydarzeniach w Budionnowsku ktoś puścił kaczkę dziennikarską, że dowódca oddziału bojowników, którzy opanowali Budionnowsk, Szamil Basajew, uciekł do Turcji i otrzymał tam azyl. Następnego dnia jacyś chuligani podrzucili na budowę ulotki z fotografią premiera Turcji z wyklutymi oczami i tekstem obrażającym uczucia religijne muzułmanów. Tureccy robotnicy od razu się spakowali i dumnie wrócili do ojczyzny. Chyba nie można ich winić za to, że nie chcieli przebywać w takiej wrogiej atmosferze.

Zawróciliśmy, bo za nieukończonym hotelem zaczynało się mało atrakcyjne na spaceru pustkowie. Kiedy znowu znaleźliśmy się w centrum, wiedziałem już, co zrobić.

Ludzi w rozmównicy było dużo i musiałem dosyć długo czekać, by dostać się do telefonu. W końcu wszedłem do dusznej, ciasnej kabiny i przystąpiłem do wybierania kolejnych moskiewskich numerów. Musiałem zużyć sporą liczbę żetonów, ale wreszcie znalazłem te osoby, które były mi potrzebne, i wszystko uzgodniłem. Wykorzystując połączenie lokalne, dodzwoniłem się do hotelu i porozmawiałem z Ritą. Jak można się było spodziewać, wiadomość, że Lila wraca do Moskwy, nie spędziwszy nad morzem nawet dwóch tygodni, wprawiła Ritę w przerażenie, ale udało mi się ją uspokoić wywodami o pogodzie, która popsła się na długo, i bajkami o niezwykle komfortowej daczce moich przyjaciół, u których będziemy mieszkać i którzy mają dwójkę dzieci mniej więcej w wieku Lili, więc dziewczynka nie będzie się nudziła. Rita szybko się poddała, wzięwszy pod uwagę prognozy synoptyków, radośnie informujących, że w Moskwie i okolicach utrzymuje się upalna, słoneczna pogoda, która potrwa co najmniej do końca lipca, a może do połowy sierpnia.

Po powrocie do domu błyskawicznie spakowałem rzeczy, pożegnałem się ze wszystkimi, i pojechaliśmy z Lilą na lotnisko. Tam wylegitymowałem się w komisariacie milicji, przybierając wyniosłą i surową, a zarazem smutną minę. Chłopcy zlitowali się i wcisnęli nas na najbliższy lot do Moskwy.

Przez całą drogę milczałem, minione i nadchodzące wydarzenia bez przerwy kłębiły mi się w głowie. Żeby tylko obyło się bez przeszkód. W mieście zostały Tania i Irocza, które potrzebowały takiej samej ochrony jak Lila. Co prawda, został z nimi Jura Mazajew, ale mimo to...

Na lotnisku w Moskwie przywitał nas Igorek Diwin, jeden z moich najbardziej obrotnych i pojętnych podwładnych.

– Masz bilet? – zapytałem bez wstępów.

– Tak jest, Władisławie Nikołajewiczu, leci pan jutro, a właściwie już dzisiaj rano, o szóstej pięćdziesiąt.

– Znalazłeś Marinę?

– Tak. Czeka na pana.

– Uprzedziłeś Borzienkova?

– Tak. Dał mi nawet samochód, żebym pana przywiózł. Jeśli pan chce, możemy natychmiast ruszać do Barwicy. Borzienkow wyjaśnił mi, którądy jechać.

– Dobrze się spisałeś – pochwaliłem go.

Opuściliśmy salę przylotów i wsiedliśmy do wygodnego, przestronnego mercedesa Alika Borzienkova, mojego dawnego kumpla, z którym kiedyś chodziłem do szkoły. Była już druga w nocy, a ja musiałem zdążyć odwiedzić Lilę do Barwicy, na daczę do Alika, i wstąpić do Mariny. Plan był napięty, zważywszy, że na lotnisku powinienem się znaleźć najpóźniej o szóstej.

Lila spała zwinięta w kłębek na tylnym siedzeniu, z głową na moich kolanach. Obliczyłem, że jeśli spędzę u Mariny choćby godzinę, to muszę być u niej przynajmniej piętnaście po piątej, żeby na szóstą zdążyć na lotnisko. Dwie godziny na przejazd do Barwicy i z powrotem dobrym mercedesem pustą drogą w nocy – to całkiem realne zadanie, jeśli nie zdarzy się nic nieprzewidzianego. Zwłaszcza, że Igorek zawsze dobrze prowadził. Byłoby nieźle zahaczyć jeszcze o dom.

Pomyślałem, że też trochę się zdrzemnę, odchyliłem głowę na wysoki, obity welurem podłówek, ale nie potrafiłem zasnąć. Teraz, kiedy Lili nic nie groziło, zaczął mnie dręczyć silny niepokój o dwie pozostawione nad brzegiem Morza Czarnego kobiety. Jak sobie radzą? Czy nie spotkała ich jakaś krzywda? Może się boją? Prawdę mówiąc, to akurat retoryczne pytanie. Oczywiście, że się boją. Moje biedne dziewczyny! W co ja was wpakowałem! I wszystko tylko dlatego, że zachciało mi się wystąpić w obronie Igora Litwaka. Gdybym wiedział, czym to się skończy...

Alik Borzienkow nie spał, czekał na nas. Usłyszawszy odgłos silnika, od razu wybiegł z domu i rzucił się do samochodu.

– Wład! Jesteś cały?

Obudziłem delikatnie Lilę i wysiadłem z auta. Alik zawsze okropnie się o mnie bał. Był znanym kompozytorem, autorem przebojowych piosenek, zarabiał krocie, ale praca detektywa wydawała mu się czymś nadprzyrodzonym, wypełnionym ciągłym niebezpieczeństwem. Utarło się, że w normalnych okolicznościach on sam telefonuje do mnie

średnio raz w miesiącu, naturalnie pod warunkiem że uda mu się mnie znaleźć. Ale jeśli ja zadzwonię do niego, to znaczy, że sytuacja jest podbramkowa. Słyszając mój głos w słuchawce, Alik wpadał w panikę i od razu zaczynał mnie wypytywać, czy jestem zdrow i cały.

Uściskaliśmy się z Alikiem. Miał lodowate ręce, więc domyśliłem się, że przez cały czas denerwował się i nie mógł sobie znaleźć miejsca, oczami wyobraźni widząc mnie śmiertelnie rannego, w zakrwawionych bandażach, ze spieczonymi ustami. To dziwne, ale na całym świecie nie było chyba człowieka, który tak by się o mnie niepokoił. Mama się nie liczy. Całe życie była żoną wywiadowcy i najadła się strachu co niemiara, czekając wieczorami na powrót ojca z pracy. O mnie, rzecz jasna, też się bała, ale już nie tak bardzo, bo nasza robota nie miała dla niej tajemnic. A zresztą dobrze znała swego syna, to znaczy mnie. Nigdy nie wyróżniałem się szaleńczą odwagą i umiejętnością pędzenia na złamanie karku bez znajomości drogi. I prawie nigdy nie ładowałem się w awantury. Po prostu nie pociągały mnie takie rzeczy, i już. Jestem oschłym, emocjonalnie oziębłym egoistą, umiarkowanie leniwym i ostrożnym. W każdym razie tak widziała mnie mama, i chyba zbytnio się nie myliła.

– Wiem, że się spieszysz – powiedział Alik, kiedy weszliśmy do domu. – Twój Igor uprzedził mnie, że masz bardzo mało czasu. Zapakowałem wam coś do jedzenia, zjecie w samochodzie, żeby nie tracić czasu.

Z wdzięcznością przyjąłem od niego ogromną paczkę. Jednym z mitów, który na stałe utrwalił się w artystycznej świadomości mojego szkolnego przyjaciela, był mit o wiecznie głodnych detektywach. Zresztą, to wcale nie było takie dalekie od prawdy.

Przytuliłem zaspaną Lilę, klepnałem po ramieniu troskliwego Alika Borzienkowa, i pojechaliśmy z Igorem z powrotem do Moskwy. Kiedy o wpół do czwartej nad ranem znalazłem się przed domem na Nabrzeżu Owczinnikowskim, podniosłem głowę i zobaczyłem światło w jednym z okien. Biedna Marinka też nie spała, czekając na lekkomyślnego i nieprzewidywalnego Stasowa. Zawsze mówiła, że w ciągu pierwszych dwóch godzin po przebudzeniu ma niepewne ręce, więc najważniejsze wizyty wyznaczała na popołudnia. A kiedy zdarzało się, że jej usługi były potrzebne w nocy, nie kładła się do łóżka, póki nie skończyła pracy. Nasza Marina była czarodziejką i jej uzdolnienia wykorzystywał bezwstydnie kto tylko chciał. Nikomu nigdy nie odmawiała i nie przyjmowała pieniędzy, ale uważaliśmy za swój obowiązek robić jej prezenty z okazji urodzin i wszelkich możliwych świąt, bo doskonale rozumieliśmy, że bardzo często sukces w naszej pracy zależy wyłącznie od niej.

Marina czekała na nas w pełnej gotowości bojowej, ubrana w niebieski nylonowy szlafroczek, rześka i skoncentrowana. Za każdym razem, patrząc na jej ładną, piegowatą twarzyczkę i jaskrawe, zawsze gotowe do uśmiechu usta, myślałem zdziwiony, dlaczego żadnemu z naszych chłopaków nie przyszło do głowy się z nią ożenić. Byłaby idealną żoną dla milicjanta: cierpliwa, poważna, rzeczowa. Marinka nigdy nie grymasiła i na nic się nie uskarżała. Nawet tamtego dnia, kiedy przysłała na Pietrowkę i powiedziała, że ktoś ją ciągle nachodzi, straszy i zmusza do opuszczenia mieszkania, śmiała się i bardzo obrazowo odgrywała swoje rozmowy z uzbrojonym szantażystą. Obroniliśmy jej mieszkanie i od tego czasu uważała za swój obowiązek pracować dla nas za darmo, choć czasem pochłaniało to sporo czasu.

Marina posadziła mnie w mocno oświetlonym pokoju w fotelu obrotowym przed dużym lustrem, a Igora wypędziła do pomieszczenia obok.

– Idź, kochaniutki, posiedź tam, włącz wideo, obejrzyj sobie film. Zostaw mi dowód i zmykaj, nie masz tu nic do roboty.

Nasza Marina nikomu nie pozwalała podglądać się przy pracy. Nawet tego, kto siedział w fotelu, odwracała plecami do lustra.

– Boisz się, że ktoś podejrzy twoje sekrety? – pytałem ją wiele razy.

– Nie o to chodzi. Jeśli cały czas będziesz się przyglądał, nie zdołasz ocenić rezultatu. Po prostu go nie zauważysz.

I miała rację. Kiedy po jakiejś godzinie zobaczyłem swoją twarz w lustrze, na nowo przeżyłem znaną już, ale przez to nie mniej radosną i zachwycającą chwilę bycia kimś innym. Patrzył na mnie zupełnie obcy facet. Miał ciemnokasztanowe włosy i zupełnie inny kształt głowy niż Stasow, co zawdzięczał umiejętnemu strzyżeniu. Mało tego, Marina znalazła jakiś sposób, aby obciąć mnie tak, że włosy wydawały się proste i gładkie, a nie kręcone, jak dotychczas. Nad moją górną wargą pyszniły się rudawe wąsy, o ton jaśniejsze niż włosy, i dzięki nim twarz zmieniła się nie do poznania. Na temat wąsów Marinka zrobiła mi kiedyś cały wykład.

– Musisz wiedzieć, Władik, że kształt wąsów odpowiada charakterowi, typowi osobowości. Ludzie nie zawsze to pojmują, więc nabierają się na wąsy. Przypomnij sobie stare filmy, cienka kreska nad wargą to albo szpieg, albo donżuan. Wąsy z długimi, opadającymi końcami: przewodniczący kołchozu albo Kozak zaporoski. Równe i gęste: sekretarz partii, przyzwoity gość. A jeśli wąsy są równe i gęste, ale długawe: miłośnik życia, mocniejszych trunków i kobiet, niezbyt mądry, ale zarozumiały. Wąsy a la Hitler: postać komiczna. Wywinęte do góry: oficer armii carskiej albo dziarski Kozak. Te obrazy utkwiły

nam w głowach od dzieciństwa, żyją w podświadomości i bezwiednie narzucają sposób postrzegania ludzi, którzy wyglądem zewnętrznym przypominają ten czy inny typ.

Ręce Mariny uczyniły ze mnie „nowego Rosjanina”, bezczelnego, pewnego siebie, bogatego. W realnym życiu nie mogłem się pochwalić żadną z tych cech, ale potrafiłem wcielić się w rolę. Tę facjatę Mariszka skopiowała, patrząc na fotografię w dowodzie, który wykombinował dla mnie Igorek.

Pozostało jedynie sprawdzić na nim efekt.

– Możesz już wejść, kochaniutki! – krzyknęła wesoło moja wizażystka.

Jego twarz powiedziała mi wszystko. Bądź co bądź nie na próżno nazywamy naszą Marusię czarodziejką. Na koniec przyniosła ze swoich zapasów perukę, do złudzenia naśladowującą moje prawdziwe uczesanie, oderwała nowe wąsy, i znowu stałem się zwykłym i miłym mojemu sercu Stasowem. Przez pewien czas miałem być jeszcze sobą, no a potem, jeśli zajdzie taka potrzeba, nagle się dorobię i zbeczelnieję.

Stojąc już w przedpokoju, nachyliłem się i cmoknąłem Marinę w policzek.

– Dzięki, Maniasza, daj ci Boże zdrowie i dobrego narzeczonego.

W odpowiedzi Marina wybuchła dźwięcznym śmiechem. Czy ktoś widział kobietę, która śmieje się beztrąsko o piątej nad ranem po tym, jak nie spała całą noc, nie dla własnej przyjemności, tylko pracując za darmo dla obcego faceta? Ja w każdym razie takich niewiast nie spotkałem. Oprócz Mariny, oczywiście.

Z Nabrzeża Owczinnikowskiego pojechaliśmy do Czeriomuszek, gdzie mieszkałem, a stamtąd na lotnisko. Chłopcy z milicji wprowadzili mnie na pokład z pominięciem kontroli i o siódmej rano znowu byłem w powietrzu.

Całą drogę z Moskwy na Wybrzeże Czarnomorskie przespałem. Śnił mi się wybuch, w którym ginęli moi najbliżsi, za wszelką cenę próbowałem się obudzić, żeby nie przeżywać tego koszmaru, ale zmogło mnie takie nieludzkie zmęczenie, że spałem twardo dalej i dręczyły mnie sny, jeden straszniejszy od drugiego. Obudziła mnie stewardesa, kiedy prawie wszyscy już wysiedli.

Na ulicy od razu zobaczyłem Sieriożę Lisicyna, który kręcił głową, wypatrując mnie wśród podróżnych.

– Co słyhać, posterunkowy? – spytałem wesoło, podchodząc bliżej.

– Na razie spokój. – Na mój widok Sierioża uśmiechnął się, najwyraźniej mój powrót go ucieszył.

– U dziewcząt wszystko w porządku?

– Tak, widziałem się z nimi rano, przed wyjazdem na lotnisko. Znalazłem panu nową kwaterę na tej samej ulicy, żeby miał pan do nich blisko. Może być?

– Świetnie, że o tym pomyślałeś – nie omieszkałem go pochwalić. – Teraz wrócę na swoje stare śmieci, a wieczorem, jak się ściemni, wstąpię do nowych gospodarzy, żeby się przedstawić.

Wsiadliśmy do samochodu i pojechaliśmy na ulicę Pierwszego Maja odegrać szczęśliwy powrót namiętnego kochanka.

– Udało się czegoś dowiedzieć na temat naszych skierowań? – spytałem.

– Niewiele. Widzi pan, firma turystyczna, której nazwa figurowała w waszych ankietach, nie jest wcale zarejestrowana. Rejs na „Głazunowie” zorganizowała firma „Łada”. Trzy dni przed wyjściem statku w morze, w piątek, ktoś zapłacił kupę forsy i wykupił dwie kajuty z puli dyrektorskiej. Najprawdopodobniej działano w porozumieniu z dyrektorem rejsu, w przeciwnym razie za cholere nie oddałby swoich luksusów. Ale do niego bez kija ani przystap, ma elegancki dom z uzbrojoną obstawą, która jakiemuś parszywemu posterunkowemu nie pozwoliła nawet podejść do drzwi.

– To znaczy, że nie szanują naszej kochanej milicji – zauważyłem ze złośliwym uśmiechem.

– A kto ją dzisiaj szanuje, Władisławie Nikołajewiczu – westchnął zrezygnowany Lisicyń. – Chyba tylko ci, którzy są za leniwi na to, żeby obrzucić nas błotem.

– Zgadza się. A wiesz, przyjacielu, w naszym wydziale komuś dupa się pali, żeby wyciszyć sprawę czterech zabójstw. Mój chłopak zainteresował się komunikatami wydawanymi przez ministerstwo i wiesz, co w nich znalazł? W hotelu zabita została obywatelka Dorienco, zameldowana w Moskwie. Podczas napadu rabunkowego zabita została obywatelka Dowżuk, zameldowana w obwodzie moskiewskim. W trakcie imprezy masowej zginął w tłumie obywatel Juszkiewicz, zameldowany w Sankt Petersburgu. Podczas kąpieli morskiej utonął w stanie nietrzeźwym obywatel Babajan. Nieźle, co? Takie komunikaty nikomu nie rzucą się w oczy. Zwłaszcza, że w naszym ministerstwie nikt nie ma głowy do takich rzeczy. Po wydarzeniach w Budionnowsku zdjęli naszego ministra, za nim polecą część zastępców, zaczną się przetasowania kadrowe, więc wszystkich nurtuje głównie to, a nie jacyś tam obywatele i obywatelki, którzy zeszli nieszczęśliwie z tego świata w czasie pobytu w kurorcie. A ja, ciężki frajer, dziwiłem się, dlaczego do tak ciężkich przestępstw nie utworzono dotąd brygady specjalnej.

Moja gospodyni Wiera Iljiczna przywitała mnie jak kogoś bliskiego. Kiedy wczoraj wyjeżdżaliśmy, powiedziałem jej, że Lila dostała uczulenia na słońce i muszę ją pilnie odwiedzić do Moskwy, obiecałem jednak, że wrócę jak najszybciej. Robiłem przy tym zboląłą minę i rzucałem wymowne spojrzenia w stronę Tatiany. Wiera Iljiczna kiwała głową i nawet próbowała mrugnąć znacząco, dając mi do zrozumienia, że w pełni aprobeje nasze rodzące się uczucie.

– Dziewczęta poszły akurat na plażę z Jurijem Siergiejewiczem – powiedziała zmartwiona, dając mi klucz do pokoju. – Nie spodziewaliśmy się pana tak wcześniej. Pogoda pod psem, słońca nie ma, ale postanowiły się przejść. Powiedziały, że morskie powietrze im służy.

– Nic nie szkodzi – odparłem wesoło – znajdę je. Wiem, gdzie zwykle się instalują.

Rzuciłem torbę, przebrałem się i z wesołą, zuchowatą miną ruszyłem nad morze. Pomimo pochmurnej, wietrznej pogody plaża wcale nie była pusta, jak się spodziewałem. Widocznie wczasowicze postanowili nie czekać, aż słońce wyjdzie zza chmur, skoro i tak wydali pieniądze, żeby tu przyjechać. W końcu morze to morze, a przeziębieniu można przeciwdziałać, stosując dawno sprawdzone leki medycyny ludowej w postaci mocnych napojów alkoholowych.

Całe towarzystwo znalazłem tam, gdzie przypuszczałem. Irocza przykryta kurtką Mazajewa drzemała, leżąc na ławce, a Tatiana i Jura grali w karty. Z daleka zobaczyłem znajomy sweter Tani w delikatnym wrzosowym odcieniu, upięte wysoko nad karkiem jasne włosy, odsłaniające pełną, prawie nieopaloną szyję, i nagle zrozumiałem, jak bardzo jestem w niej zakochany. Margarita srodze by się zdziwiła, gdyby się dowiedziała, że jestem zdolny do tak silnego uczucia. Zresztą mnie też nie opuszczało zdumienie.

– Nie waż się ogrywać mojej damy – powiedziałem, podchodząc do nich. – Moja zemsta będzie straszna.

Tania wypuściła z rąk karty, i zerwawszy się z ławki, mocno mnie objęła.

– Dima – wymamrotała, przytulając twarz do mojej szyi – Dimoczka. Wróciłeś.

Reakcja Mazajewa była spokojniejsza. Mogłoby się wydawać, że moje pojawienie się wcale go nie zaskoczyło. Domyśliłem się, że przez cały czas niepostrzeżenie rozglądał się dokoła, żeby uniknąć nagłego niebezpieczeństwa. Już dawno mnie zauważył, ale nie znając moich planów i zamierzeń, postanowił nie robić niepotrzebnego zamieszania. Ciekawe, co go skłoniło do zajęcia się socjologią? Świetnie nadawałby się do pracy w milicji. A właściwie z czego wywnioskowałem, że jest socjologiem? Z jego słów? Myśl, że Jura Mazajew nie jest tym, za kogo się podaje, nie przychodziła mi wcześniej do głowy. A może powinna była?

Utraciłeś nie tylko fantazję, Stasow, lecz także zawodową ostrożność. Chyba rzeczywiście czas już na emeryturę.

– Jak Lila? – spytał Jura, ściskając moją rękę. – Bezpieczna?

– Tak, wszystko gra. A jak wy sobie radziliście beze mnie?

– Jak widzisz. – Mazajew uśmiechnął się. – Irina padła ze zmęczenia. Wczorajsze wydarzenie z książką tak ją wyprowadziło z równowagi, że nie spała całą noc. Za to teraz się odprężyła. Irisza! Obudź się! – zawołał głośno, poklepując Irinę po biodrze. – Obudź się, piękna. Stasow przyjechał.

Irocзка z trudem rozkleiła powieki i wbiła we mnie nieprzytomny wzrok.

– Władik – powiedziała ochryłym, zaspanym głosem. – To ty nie poleciałeś?

– Już wróciłem. Wstawaj, moja droga, bo życie prześpisz. Zapraszam was na obiad do restauracji.

– Z jakiej okazji? – spytał zachmurzony Mazajew.

– Tak po prostu. Dla uczczenia mojego szczęśliwego powrotu.

Irocзка, siedząc na ławce, kręciła głową, walcząc z sennością i próbując oprzytomnieć. Poglądziłem stojącą obok Tatianę po miękkim, ciepłym ramieniu i przygarąłem do siebie. A gdybym tak się jej oświadczył, zgodziłaby się czy by odmówiła? Pewnie to drugie.

Po półgodzinie wchodziliśmy do restauracji z tarasem wysuniętym w głąb ołowianoszarego morza. Wolnych miejsc było jak na lekarstwo, nic dziwnego przy takiej pogodzie. Po złożeniu zamówienia wyszedłem niby to do toalety, a w rzeczywistości odszukać kuchnię. Tuż obok powinno znajdować się miejsce, którego potrzebowałem.

Kuchnię znalazłem bez problemu. Oglądając się za siebie jak złodziej, wsunąłem przywiezioną z Moskwy kartkę do szafki z hydrantem przeciwpożarowym, wyjąłem z ust kawałek gumy do żucia i przykleiłem ją na metalowej zasuwce. Guma była sygnałem, że w skrytce jest kartka. Ten kontakt otrzymałem w Moskwie, bo tutaj nie miałem nikogo oprócz Sierioży Lisicyna, ale na niego nie mogłem liczyć, tym bardziej że odsunięto go od pracy operacyjnej. W moim portfelu leżała jeszcze jedna kartka, którą też musiałem zostawić w umówionym miejscu.

Kiedy wróciłem na salę, przystawki już stały na stole. Obsługa była sprawna, co mnie ucieszyło. To była ta sama restauracja, w której kilka dni temu jedliśmy z Lilą kolację, byłem ciekaw, czy gruby, wąsaty kelner, który nas wtedy obsługiwał, przypomni mnie sobie. Nawet stolik wybrałem specjalnie w tej części sali, która należała do niego.

Kelner pamiętał mnie. To też mnie ucieszyło.

– A gdzie pańska córeczka? – spytał, stawiając przed nami ogromne talerze ze stekami i frytkami.

– Musiałem ją odesłać do domu. Proszę sobie wyobrazić, że dostała pokrzywki od słońca – poskarżyłem się. – Ma podwyższoną temperaturę i ciągle się drapie, biedactwo.

– Szkoda. – Kelner był pełen współczucia. – Taka udana dziewczynka.

Na razie wszystko szło według planu. Nie tylko nie ukrywałem swego powrotu, ale starałem się, żeby moja obecność w miasteczku została zauważona. Nie miałem oczywiście najmniejszych podstaw, aby podejrzewać grubego kelnera o związek z nieuchwytną organizacją, która próbowała za wszelką cenę uwolnić się ode mnie. Ale z dziesięciu przypadkowych pchnięć jedno lub dwa trafią do celu. Nawet w takim ogromnym mieście jak Moskwa podobna taktyka zdawała egzamin, a co dopiero tutaj...

Po wyjściu z restauracji postanowiliśmy powłóczyć się trochę po mieście. Szczerze mówiąc, nie był to dla mnie zwyczajny spacer. Ciągnąłem swoich przyjaciół w określonym kierunku, na ulicę Sapunowa, gdzie znajdował się największy w mieście zakład fotograficzny. Potrzebowałem też budki telefonicznej usytuowanej obok.

Zakład wyglądał solidnie i mieścił się w oddzielnym parterowym budynku. Umieszczone w oknie wystawowym wywieszki informowały, że w zakres usług wchodzi: zdjęcia studyjne, wywoływanie czarno-białych i kolorowych filmów, obróbka slajdów i fotografii, zdjęcia do dowodów osobistych i portrety artystyczne. Przyjmowane są zamówienia na wyjazdowe sesje zdjęciowe z uroczystości rodzinnych. Prowadzona jest nawet naprawa aparatów fotograficznych.

W środku za ladą siedział młody chłopak w typie kaukaskim, z trzydniowym zarostem, od jakiegoś czasu modnym, za sprawą pewnego znanego zachodniego aktora.

– Dzień dobry – powitał nas przyjaźnie. – Jakie zdjęcie robimy? Pamiątkowe na tle fal morskich?

– Nie chodzi o zdjęcia – przerwałem mu. – Mamy kilka pytań do pana.

Chłopak od razu spochmurniał. Widać było, że moje słowa nieprzyjemnie skojarzyły mu się z milicją. Nie ma się co dziwić, nieraz pewnie miał z nią do czynienia.

– To nie informacja – burknął, próbując nadać głosowi stanowcze brzmienie.

– Uhm – przytaknąłem. – Powiedz no mi, przyjacielu, kto w mieście zajmuje się robieniem zdjęć w nocy?

– Nie rozumiem.

Chłopak uniósł pytająco głowę, ale na jego twarzy odmalowała się wyraźna ulga. Pytanie wydało mu się dziwne, lecz bezpieczne. Z jednej strony to dobrze, z drugiej – źle. Zresztą zobaczymy.

– Czego tu można nie rozumieć? Chcę zrobić parę nocnych zdjęć. Nie mam odpowiedniego sprzętu. Więc chcę się dowiedzieć, kto go ma i kto może mi w tej sprawie pomóc. Teraz jasne?

– Teraz tak – znowu burknął nieogolony, tym razem znacznie życzliwiej. – My takiego sprzętu nie mamy.

– A kto ma?

– Bo ja wiem? – Wzruszył potężnymi ramionami, obciążniętymi trykotową bluzą. – Trzeba spytać tych, co dorabiają w hotelach. Bogaci goście mają swoje kaprysy, lubią utrwać na kliszy swoje nocne szaleństwa.

– No to popytaj, przyjacielu. Zajrzę do ciebie jutro. Rozumiemy się?

Chłopak widać całkiem oswoił się z sytuacją, która niczym mu nie groziła, więc postanowił być nieustępliwy.

– Panie, ja mam swoich szefów. Obcych nie potrzebuję – oznajmił pewniejszym tonem.

No proszę, jaki się zrobił niezależny! Odwróciłem się do Tani, Iroczi i Mazajewa, którzy czekali na mnie cierpliwie, oglądając porozwieszane na ścianach zdjęcia olśniewających piękności i dzielnych śmiałków. Mazajew uchwycił moje spojrzenie, natychmiast wziął nasze panie pod rękę i wyprowadził na ulicę. Coś nazbyt domyślny jest ten Mazajew. Może naprawdę taki z niego socjolog jak ze mnie baletnica?

Pozostawszy z zarośniętym Kaukazczykiem sam na sam, z łatwością przesadziłem dzielącą nas ladę i wyćwiczonym ruchem założyłem mu nelsona.

– Teraz ja będę twoim szefem, kumasz? Chwilowo, nie bój się. Przez parę dni. Nie radzę się ze mną kłócić, biegam szybciej, skaczę wyżej i strzelam lepiej. Dotarło? Jutro przyjdę po odpowiedź na moje pytanie. Jeśli będziesz niegrzeczny, dostaniesz w pupę. Jest miękka, więc ręka mnie nie zaboli. A żeby cię nie kusiło, uprzedzam zawczasu: o twoich wyczynach w pudle na razie wiem tylko ja, ale grono uświadomionych osób może się poszerzyć.

Zwolniłem chwyt, złapałem chłopaka za włosy i odwróciłem jego twarz ku sobie. Śmiertelna bladość rozlała się od czubka głowy do samej szyi. To znaczy, że Sierioża Lisicyn się nie pomylił, namierzając tego specja od fotografii. Jeszcze wczoraj podał mi jego nazwisko, i w czasie gdy leciałem z Lilą do Moskwy, Igorek Diwin zdobył informacje o tym

nieogolonym przystojniaku, między innymi o jego zachowaniu w czasie odsiadki za rozbój. Nasz bohater postępował, prawdę mówiąc, niezbyt ładnie, przynajmniej z punktu widzenia niepisanego kodeksu więziennego. Administracja była z niego ogromnie zadowolona, bo nie tylko kablował na potęgę, ale pomagał też urządzać prowokacje przeciwko niecieszącym się sympatią klawiszy współwięźniom. W środowisku byłych, a także czynnych kryminalistów za takie zachowanie po główce nikt nie głaszcze. Chłopak pochodził z Rostowa, wyrok odsiadywał w obwodzie samarskim, po wyjściu na wolność pewien czas spędził w okolicach Kurska, potem urządził się tutaj, w miasteczku nad Morzem Czarnym. Słuchy o jego niegodziwych postępkach na razie tu nie dotarły, ale to było przecież kwestią czasu, o czym poinformowałem przed chwilą zbyt niezależnego fotografa, nieuznającego obcych szefów. Szantaż oczywiście nie jest posunięciem zbyt szlachetnym, ale miałem to w nosie, bo szukałem tych, którzy podnieśli rękę na moje, dziecko. Żeby ich znaleźć, gotów byłem posunąć się nawet do nieetycznych czynów. Pewnie w poprzednim wcieleniu byłem kwoką, głupią i ograniczoną, ale gotową w obronie swoich kurcząt rzucić się nawet na jastrzębia.

W progu odwróciłem się i jeszcze raz przypomniałem:

– Wpadnę jutro o tej samej porze. Postaraj się nie zachorować i nie wyjechać pilnie na pogrzeb ukochanej ciotuni. Twój nowy szef tego nie lubi.

Wyszedłszy na ulicę, odszukałem wzrokiem budkę telefoniczną. Stała jakieś dwieście metrów od domu, w którym mieścił się zakład fotograficzny. Poprosiłem przyjaciół, żeby zaczekali chwilę, a sam wszedłem do budki, odegrałem niemą scenę „Nikt nie odbiera mojego telefonu”, wsuwając jednocześnie do skrytki drugą kartkę, i z czystym sumieniem zaprowadziłem towarzystwo do baru na koktajl. Pierwsze kroki zostały poczynione. Teraz będziemy czekać, kto i jak na nie zareaguje.

Rozdział 10

Nazajutrz o wpół do ósmej rano siedziałem przed domem na Pierwszego Maja i udawałem, że pilnie studiuję lokalną gazetę. Gospodarze Jury wrócili już z wizyty u krewnych, więc chłopak nocował w pokoju u Iry, a Tania spędziła noc u mnie. Wszyscy jeszcze spali, ja natomiast czekałem na sygnał kontrolny, z niecierpliwością zerkając na zegarek.

W końcu przez otwarte okno na parterze usłyszałem dzwonek telefonu. Grigorij Filippowicz podniósł słuchawkę.

– Halo – dobiegł mnie jego stłumiony głos. – Nie, to pomyłka. Nie, to nie poczta, mieszkanie prywatne.

Odetchnąłem z ulgą. To znaczy, że pierwsza kartka, którą zostawiłem koło kuchni w restauracji, dotarła do adresata. Miał on zatelefonować tutaj między siódmą trzydzieści a ósmą i „wybrać niewłaściwy numer”, aby potwierdzić, że przeczytał kartkę i jest gotów spotkać się ze mną.

Równo piętnaście po dwunastej znalazłem się na dworcu morskim, tęsknie spoglądając na nabrzeże, przy którym jeszcze niedawno cumował śnieżnobiały „Ilja Głazunow” z luksusowymi kajutami, przeznaczonymi dla nas. No i dlaczego nie pojechaliśmy? Bo jestem głupcem.

Wszedłem na pierwsze piętro budynku, gdzie znajdowały się kasy. Spośród pięciu okienek kasowych czynne były dwa, przy każdym stało z osiem osób. Ulokowałem się na końcu jednego ogonka, wyjąłem przewodnik do oznaczania roślin leczniczych w jaskrawej okładce i zacząłem udawać, że jestem pochłonięty czytaniem. Kątem oka obserwowałem schody i wkrótce zobaczyłem solidnego, brzuchatego jegomościa w okularach, który sapiąc i ciężko dysząc, wspinał się na piętro. Mężczyzna stanął za mną i spytał:

– Pan ostatni?

– Całe życie jestem ostatni – odparłem. – Taki chłopak do bicia. Ale w tej kolejce nie jestem, na szczęście, ostatni, po prostu stoję na jej końcu.

Grubas głośno wciągnął powietrze, starając się dojrzeć okładkę mojej książki. Pojąłem, że muszę mu pomóc, więc zamknąłem ją i położyłem na poręczu, wzdłuż której ustawiała się kolejka, a sam sięgnąłem do kieszeni po chusteczkę.

Po kilku minutach rozmawiałem z nim w cichym, ustronnym miejscu, z dala od ciekawskich oczu i uszu.

– Myślałem, że to Nikołaj Dmitrijewicz przyjechał – powiedział grubas, który okazał się szefem kuchni w tej samej restauracji, gdzie jedliśmy wczoraj obiad. – Poznałem jego charakter pisma na kartce.

– Kartkę napisał on – przyznałem. – Ale to ja potrzebuję pomocy. Mogę więc na pana liczyć?

– No... – Facet niezdecydowanie wzruszył pulchnymi ramionami. – Zobaczę, co da się zrobić.

– Iwanie Aleksandrowiczu, to mnie nie urządza. Gdybym miał dziesięciu pomocników, mógłbym się pogodzić z tym, że któryś z nich nie potrafi mi pomóc. Jeden nie potrafi, za to drugi umie. Ale jestem tutaj obcy, nie mam wyboru. Rozumie pan? Cała nadzieja w panu.

Trochę kręciłem, rzecz jasna, ale cel uświęca środki.

– A zresztą – ciągnąłem – nie musi pan podejmować konkretnych działań. Wystarczy tylko, jeśli będzie pan miał oczy i uszy szeroko otwarte i przyuważy tych, którzy się mną zainteresują. A potem przekaże mi tę informację. I na tym koniec. Jak to zrobić – nie będę pana uczył, wie pan lepiej ode mnie.

Iwan Aleksandrowicz westchnął ciężko i żałośnie. Dobrowolna pomoc milicji najwyraźniej mu nie leżała, ale nie mógł zlekceważyć prośby Koli Szczipanowa.

Pożegnawszy się z szefem kuchni, powłóczyłem się trochę po centrum. Dzisiaj znowu było zimno, ale zachmurzenie stopniowo ustępowało, szare niebo nieco się rozjaśniło i nawet chwilami nieśmiało wyglądało słońce. Jeszcze dzień, dwa, i pogoda poprawi się na dobre.

Włókłem się zieloną, cyprysową aleją i próbowałem znaleźć wspólny mianownik dla trzech gwiazd filmowych i jednego reżysera. Co ich łączy? Komu mogli się wszyscy narazić? Kasetą Wiernigory, która zaplątała się w ten kinematograficzny kłębek, burzyła logikę moich rozważań. Nie mogła mieć żadnego związku z tymi czterema zabójstwami. Bo gdyby chodziło o kasetę, zginęłyby tylko Ola Dorienko i Lusja Dowżuk. A Oleg Juszkiewicz i Witia Babajan pozostałoby przy życiu. To znaczy, że kasetą to fałszywy trop... Na myśl o Juszkiewiczu i Babajanie jakieś niewyraźne wspomnienie przemknęło mi przez głowę, ale nie zdążyłem go uchwycić.

Przed czwartą stanąłem koło zakładu fotograficznego i pierwszą rzeczą, jaką zrobiłem, było sprawdzenie budki telefonicznej. Wrzuciłem żeton, zdjąłem słuchawkę, wybrałem numer Ritki w hotelu, i zacząłem uważnie studiować nabazgrane na ścianie słowa i cyfry. W chwili gdy Ritka się odezwała, zobaczyłem to, czego szukałem – moskiewski numer telefonu Koli

Szczipanowa. Wczoraj tego numeru tutaj nie było. A zatem drugi adresat też otrzymał mój list.

– To ja, cześć – powiedziałem do słuchawki.

Margarita chyba spała i zbudziłem ją swoim telefonem, bo nie zauważyła, że połączenie nie było międzymiastowe.

– Władik? Co się stało?

– Nic, wszystko w porządku. Dzwonię, żebyś się nie denerwowała.

– Jak podróż?

– Wspaniale.

– A Lila?

– Dobrze. Rita, mogę cię o coś prosić?

– Tak?

– Potrzebuję filmografii Dorienko, Dowżuk, Juskiewicza i Wiktora Babajana. Na pewno je macie.

– Jasne. A po co ci one?

– Potrzebuję, i już. Nie zadawaj zbędnych pytań. Wpadnie do ciebie Sierioża Lisicyn, taki sympatyczny chłopak, z wyglądu jakieś dwadzieścia pięć lat. Daj mu je, dobrze?

– Ale nie rozumiem po co. – Ritka głupio się upierała.

– Sierioża pracuje w wydziale kryminalnym i zajmuje się tymi zabójstwami. Musi zweryfikować pewną hipotezę, w tym celu potrzebuje filmografii całej czwórki. Zrób, o cię proszę.

– Dobra – poddała się wreszcie. – Jesteś nie do wytrzymania, Stasow.

– Niby czemu?

– Bo sam mógłbyś wyjaśnić te zabójstwa, gdybyś się zgodził pracować u Borisa. A ty wolisz trwonić czas na głupstwa.

– Wystarczy, Rita, kończą mi się żetony. Na razie!

Odwiesiłem słuchawkę i skierowałem się do zakładu fotograficznego. Tym razem za kontuarem siedziało młode stworzenie, na oko siedemnastoletnie, z tłustymi włosami i niedbale pomalowanymi oczami. Dziewczę pogryzało orzeszki i przeglądało stertę kwitów.

– Dzień dobry, cudowna istoto – powiedziałem, zbliżając się do niej. – A gdzie pani towarzysz z niechlujnym zarostem?

– Który?

Dziewczyna leniwie podniosła oczy znad swoich kwitów i wbiła we mnie tak tępe spojrzenie, że zacząłem powątpiewać, czy rozumie, że ma przed sobą żywego człowieka, a nie kamienny głaz.

– Ten, co siedział tu wczoraj.

– A, Żorik... Nie ma go.

– Aha. A kiedy będzie?

Powoli, jak we śnie, podniosła do oczu rękę z zegarkiem i zamyśliła się.

– Za czterdzieści osiem minut.

Ja też spojrzałem na zegarek. Było dwanaście po czwartej. Zabawna dziewczyna, mogłaby powiedzieć po prostu, że Żorik zjawi się o piątej, a ona nie, popisuje się. „Za czterdzieści osiem minut!”, coś takiego!

– Na pewno przyjdzie? Warto czekać czy może zjawi się dopiero jutro?

– Kto, Żorik? Może, czemu nie, to w jego stylu.

Znowu zanurzyła się w papiery, a ja wyszedłem na ulicę i przysiadłem na ławce niedaleko zakładu. W końcu znalezienie Żorika to żaden problem, ale trzeba dotrzymać danego słowa. Wczoraj byłem tu prawie o wpół do szóstej i obiecałem wpaść dzisiaj o tej samej porze. Tak więc do wpół do szóstej nieogolony kapuś ma prawo się obijać, dopiero potem zrobię z nim porządek, jeśli zajdzie potrzeba.

Przesiedziałem na ławce bitą godzinę. Kwadrans po piątej na końcu ulicy pojawił się samochód, ciemnoniebieskie żiguli, które wypadło zza zakrętu jak burza i z piskiem opon zahamowało przed zakładem. Z auta wyskoczył Żorik i pośpiesznie zatrzaskał drzwiczki. Chyba bał się spóźnić na spotkanie ze swoim nowym szefem. Wyglądało na to, że tchórz go wczoraj obleciał.

Dziesięć minut później opuściłem gościnną ławkę, zabierając ze sobą informację o mężczyźnie, który ma sprzęt do nocnych zdjęć, a także o tym, kto w mieście zrobił się taki ciekawski, czego przestraszony Żorik nawet nie ukrywał. No cóż, jego gadatliwość była mi na rękę. Im bardziej zwrócę na siebie uwagę, tym lepiej.

Szczęśliwy posiadacz sprzętu fotograficznego do robienia nocnych zdjęć mieszkał na drugim końcu miasta, więc z przyjemnością zrobiłem sobie spacer szybkim krokiem. Na ogół chodzę prędko, ale gdy była ze mną Lila, musiałem zwalniać tempo. Mój okrągłutki molik książkowy nie nadażał za długimi nogami tatusia.

Pierwsze rozczarowanie nie dało na siebie długo czekać. Nikita Guszczin, facet, którego nazwisko podał mi nieogolony Żorik, był poza domem. Okazało się, że wyjechał prawie dwa tygodnie temu do swojej narzeczonej do Magnitogorska. Matka Guszczina, chuda

jak patyk, spracowana i kłótniwa kobiecina, rozmawiała ze mną niechętnie, nie przerywając pracy – napełniała słoiki pomidorami i ogórkami. Nie mogąc dojść z nią do ładu, zamierzałem już się pożegnać, kiedy zauważyłem wśród suszącego się prania dwie białe koszulki, które, sądząc z rozmiaru, nie mogły należeć do dwudziestoosmioletniego mężczyzny. Czyli że Nikita ma brata lub siostrę. To nawet lepiej.

Zdobycie informacji, że Nikita Guszczin ma piętnastoletniego brata Tolika, który gdzieś się teraz szlaja po nabrzeżu, było sprawą pięciu minut. W towarzystwie sióstr bliźniaczek, mieszkających w sąsiednim domu, przespacerowałem się do centrum, gdzie dziewczęta pokazały mi młodszego Guszczina, który z papierosem w kąciku ust i puszką piwa w ręku z zapalem pozował na dorosłego faceta, otoczony takimi samymi małolatami jak on. Podziękowałem moim przewodniczkom i odesłałem je z powrotem, po czym zbliżyłem się do rozochoconego towarzystwa i stanąłem obok, popijając piwo i uważnie przysłuchując się rozmowom.

– Coś mi się zdaje, że Tolik sępi, bo nie chce się szarpnąć na jeszcze jedną kolejkę – wyłośliwił się potężny drab o całkiem jeszcze dziecięcej twarzy, ale imponującej muskulaturze.

– Nie sępię – powoli wycedził Guszczin, spluwając sobie pod nogi – ale nie lubię naciągaczy. Mam gdzieś twoje podpuszczanie.

– Nasz milioner trzęsie się nad każdą kopiejką – zarechotał mięśniak.

Pozostali zachichotali nieśmiało. Widać było, że szanują i boją się osiłka, ale nie chcą się też kłócić z Tolikiem.

– Dałbyś spokój, Locha – pojednawczo odezwał się jeden z chłopców. – Tola i tak stawia już któryś dzień z rzędu. Nie masz za grosz wstydu.

– No właśnie – skwapliwie przytaknął Guszczin.

Chłopak dopił swoje piwo, niedbale rzucił puszkę koło kosza i z wolna się podniósł.

– Pójdę po jeszcze parę browarków – powiedział tonem, w którym pobrzmiwało wyraźne lekceważenie dla klepiących biedę kumpli.

Tolik Guszczin okazał się wątłym, niewysokim chłopaczkiem o krostowatej twarzy, do której na dobre przylgnął wyraz zaszczucia. Nietrudno się było domyślić, że w grupie, której przewodził atletyczny Locha, jest pionkiem i męczy go własne przeciętniactwo i brak autorytetu. Ale teraz sytuacja uległa zmianie. Tolik fundował koleśiom piwo, w dodatku, jak wynikało z rozmowy, nie po raz pierwszy. Chłopak zdobywał szacunek. Ciekawe, skąd ma pieniądze? Z tego, co zauważyłem, w domu się nie przelewa. Może kradnie? Interesujące. Gdyby istotnie tak było, to jego wykolejeni kumple patrzyliby w niego jak w tęczę, bo

małolaty łatwo się łapią na złodziejską romantykę. Skąd w takim razie ten ślad zahukania i zaszczucia? Pierwsza kradzież, pierwsze pieniądze?

Podszedłem do kiosku z piwem i stanąłem tuż za chłopakiem. Płacąc, wyciągnął z kieszeni kopertę, a z niej pięćdziesięciotysięczny banknot. Koperta była zupełnie cienka, jeśli zostały w niej jeszcze pieniądze, to najwyżej jakieś trzy, cztery banknoty. Ale fakt, że pieniądze znajdowały się w kopercie, wymownie świadczył o tym, że na początku było ich sporo.

– Anatolij – zawołałem go, kiedy zamierzał już odejść, trzymając w każdej ręce po puszcze piwa. – Chodź na chwilę, mam do ciebie romans.

Odwrócił się przestraszony.

– Czego pan chce?

Jego głos był nienaturalnie arogancki, mimo to chłopak nie potrafił ukryć głęboko tkwiącego w duszy przeświadczenia, że wszyscy nim pomiatają.

– Chodź ze mną, to ci powiem. Nie bój się, nie gryzę. Chwył był banalny, wytarty od ciągłego używania, ale nadal skuteczny: Dla piętnastoletniego smarkacza nie ma nic gorszego, niż posadzić go o tchórzostwo. Tolik posłusznie powłókł się za mną na stronę, z dala od kumpli. Zatrzymaliśmy się przy kamiennym murze, oddzielającym plażę od nabrzeża, oparliśmy się o niego łokciami, stając twarzami do morza.

– Komu dawałeś sprzęt? – rzuciłem prosto z mostu.

Tolik zbladł, co sprawiło, że przyszcze na jego facjacie stały się wyrazistsze i jeszcze bardziej ohydne.

– Jaki sprzęt? – zapytał śmiało.

– Do robienia zdjęć w nocy. Więc komu?

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Tak? A pieniądze skąd masz? Ukradłeś?

– Nie ukradłem. Coś się pan przyczepił?

– Już wyjaśniam. Twój brat Nikita ma sprzęt do robienia nocnych zdjęć. Nikita wyjechał do swojej narzeczonej, a ciebie ktoś poprosił, żebyś pożyczył sprzęt na kilka godzin. Zgadza się? I odpalił ci za to kupę kasy. Za te pieniądze balujesz kolejny dzień. Może nie?

– A nawet jeśli? Co w tym złego? Mam prawo. Niczego nie ukradłem.

– No pewnie. A wiesz, co Nikita z tobą robi, gdy wróci?

– Co?

– Obedrze cię ze skóry. Rusz głową, jeśli w ogóle ją masz. Dlaczego ci faceci nie przyszli do twego brata? Dlaczego zaczekali, aż wyjedzie do Magnitogorska? Bo nie dałby im

swojego sprzętu, nawet gdyby proponowali w zamian gruby szmal. Bo doskonale wie, że to trefna sprawa, goście uknuli jakieś świństwo, więc od razu wyrzuciliby ich na zbity pysk. W tej sytuacji zrobili podejsście do ciebie, a że ty jesteś głupi jak ciele, to poleciałeś na ich kasę.

– Odpuść pan sobie to straszenie – nieufnie rzekł młodszy Guszczin. – To nie są żadni szpiegzy, tylko normalni faceci.

– Jasne, ty przecież znasz się na szpiegach. Oni są tacy sami jak my, z wyglądu zupełnie normalni. Dwie ręce, dwie nogi, jedna głowa. Zresztą masz rację, naprawdę nie są szpiegami. Sprawa przedstawia się o wiele gorzej. Wiesz, co ci normalni faceci zrobili? Sfotografowali mojego gospodarza podczas tajnej schadzki. Więc teraz on chce się dowiedzieć, kto to zrobił. A twój brat Nikita będzie miał z tego powodu duże nieprzyjemności.

– A to z jakiej paki? – Tolik odwrócił się do mnie. – Przecież nie on robił zdjęcia. Nie ma go teraz w ogóle w mieście.

– Wyjaśnij to mojemu gospodarzowi, nie mnie. Do kogo należy sprzęt? Do Nikity. To wystarczy. Jeśli teraz nie powiesz, komu go dałeś, trzeba będzie przyjąć, że to robota twojego brata. Mój gospodarz sam się z nim rozprawi. Widzisz, jakie to wszystko proste.

– Skąd mam wiedzieć, kim oni są! – wrzasnął z rozpaczą Tolik. – Nie legitymowałem ich. Przyszli, zaproponowali forszę... No to dałem. Wielkie halo!

– Zjawili się prosto z ulicy? – spytałem z powątpiewaniem. – Musieli skądś się dowiedzieć, że Nikita ma sprzęt. Może to jego znajomi?

– Może. – Tola wzruszył ramionami. – Pierwszy raz ich na oczy widziałem.

– Przyszli do was do domu?

– Nie, zaczepili mnie na ulicy, kiedy imprezowałem z kumplami.

– A kumple ich widzieli?

– Nie – przecząco pokręcił głową. – Przydybali mnie samego, gdy leciałem po papierosy.

– Jak wyglądali? Ilu ich było?

– Dwóch. Jeden trochę starszy, drugi gdzieś tak w wieku Nikity. A pieniądze będę musiał teraz oddać? Bo prawie wszystkie już się rozeszły.

– Dużo dostałeś? – spytałem z ciekawością.

– Dwieście dolarów w rublach.

– I wszystko już wydałeś? Ale masz tempo, Anatolij. Nawet ja żyję skromniej.

Chłopak z bladego zrobił się purpurowy. Widocznie był przyzwyczajony, że w domu matka wiecznie narzeka na brak pieniędzy, i zdawał sobie sprawę, że pozbywa się bogactwa,

które nagle zważyło mu się na głowę, w sposób niewybaczalnie głupi, ale nic nie mógł na to poradzić. Opinia kumpli była dla niego ważniejsza. W psychologii nazywa się to identyfikacją grupową. A poza tym jak miałby wyjaśnić matce, skąd wziął taką forszę? Gdyby miał więcej rozumu i odwagi, zostawiłby sobie ten bez mała milion na swoje potrzeby i przestałby ciągnąć codziennie pieniądze od matki. Ale Tolik Guszczin nie był ani mądry, ani odważny.

– I od tej pory więcej tych facetów nie widziałeś?

– Czemu nie, widziałem.

– Gdzie?

– Tutaj, na nabrzeżu. Kręcą się tu całe tłumy. Jak na Broadwayu.

– Kiedy ich widziałeś?

– Chyba przedwczoraj. Albo wczoraj. Nie pamiętam dokładnie.

– A oni cię poznali?

– Nie-e. Byli zajęci rozmową, widziałem ich z tyłu.

– I co, poznałeś ich? Nigdy w to nie uwierzę – powiedziałem z przekonaniem, drżąc z emocji.

Jeśli Tolik nie kłamał i naprawdę rozpoznał jednego z tyłu, facet musi mieć jakiś znak szczególny. Boże, żeby tylko nie palnąć teraz jakiegoś głupstwa!

– Może pan nie wierzyć. Od razu go poznałem. Chodzi sztywno jakby kij połknął, przechylony na jedną stronę.

– Inwalida?

– No... Coś w tym guście. Nie inwalida, ale jakby okaleczony.

– O którym teraz mówisz? O młodym czy o starszym?

– O starszym.

– Dzisiaj ich tu nie widziałeś?

– Nie, dzisiaj nie.

– No dobra, Anatolij. Uwierzę ci na słowo. A ty, jak chcesz mieć spokój, przyjmij moją radę: w razie gdybyś spotkał tych typów jeszcze raz, udawaj, że ich nie poznajesz. Oczy od razu w drugą stronę i odwróć się plecami. Rozumiesz? Będziesz miał szczęście, jeżeli szybko ich znajdzie. A jeśli nie, trzeba będzie wziąć twojego Nikitę w obroty, żeby się przyznał, komu opowiadał o swoim sprzeczku.

Cios był celny. Chłopak bał się brata, to było widać jak na dłoni. I zależało mu, żeby znaleźć tych facetów tak szybko jak tylko się da, zanim Nikita wróci z Magnitogorska. Postanowiłem nie przyciskać go jednak. Niech myśli, że sam jest taki bystry.

– Jak ich spotkam, powiedzieć panu?

– A gdzie będziesz mnie szukał? – spytałem z uśmiechem.

– No... – Tola stropił się. – Może wpadnę do pana w razie czego? Gdzie pan mieszka?

– Pierwszego Maja osiem. Wiesz, gdzie to jest?

Kiwnął głową. Jego twarz przybrała normalny kolor, w oczach pojawiła się żyłka myśliwska. To właśnie jest to coś, dzięki czemu nie będzie się czuł wśród kumpli jak ostatni frajer. Zaraz pewnie pobiegnie do nich, i pękając z dumy, zachłystując się, będzie opowiadał, jak ważne i odpowiedzialne otrzymał zadanie. Facet mieszkający na Pierwszego Maja osiem tropi dwóch przestępców. A on mu pomaga.

– I jeszcze jedno, Anatolij. Masz zaufanie do swoich kumpli?

– Jasne, bo co?

– Może któryś z nich dał tym dwóm twoje namiary? Zaraz wyklepiesz wszystko koleśiom, a wtyka poleci z jęzorem i wkopie cię, żeś ich wydał. Nie boisz się tego?

– Myśli pan, że spowiadam się kumplom ze wszystkiego? – Tolik skrzywił się pogardliwie. – Nie wiedzą, skąd mam pieniądze.

– No właśnie, skąd? Co im powiedziałeś?

Tolik zmieszał się.

– No... To nieważne. Ale nie mówiłem, że za sprzęt. Tamci goście uprzedzali mnie, żebym się nie wygadał. Chodziło o to, żeby Nikitce potem nikt nie doniósł. Brat stanowczo zabronił mi ruszać swoich rzeczy.

– Kretyn z ciebie, Tola – powiedziałem ze złością. – Myślisz, że ci faceci dbają o to, czy brat porachuje się z tobą, czy nie? Mają to gdzieś. Chcą być kryci. Dlatego miałeś trzymać język za zębami, rozumiesz? A kumplom powiedz, że rozmawiałem z tobą o dziewczynie, która spotykała się z Nikitą. Jestem kimś w rodzaju jej narzeczonego i chcę wiedzieć, czy coś poważnego łączy ją z Nikitą. A ty mi wytłumaczyłeś, że nie mam powodu do obaw, bo Nikita ma narzeczoną, do której akurat pojechał. Kapujesz?

Gdy patrzyłem w ślad za oddalającym się Tolikiem Guszczinem, przyszło mi do głowy, że tacy słabi, zastrachani smarkacze stają się łatwą zdobyczą dla tych, którzy chcą ich wykorzystać. Miałem na myśli nie tylko siebie.

Było już całkiem ciemno, kiedy spotkałem się z mężczyzną, który przeczytał moją kartkę pozostawioną w budce telefonicznej. Facet okazał się zupełnym przeciwieństwem szefa kuchni: szczupły, wątlej budowy, ruchliwy, zwinny. W ciemności nie mogłem

dokładnie określić jego wieku, ale sądząc po głosie, miał już swoje lata. Do Koli Szczipanowa odnosił się niemal z czcią, toteż od razu wyraził gotowość natychmiastowej współpracy.

– Spędziłem w tym mieście całe życie, oczywiście z wyjątkiem tych lat, kiedy kiblowałem – powiedział. – Wszyscy mnie tu znają. Może to niezbyt dobrze, ale z drugiej strony ja też znam wszystkich.

Ciekawe, pomyślałem, ile razy odsiadywał wyrok za sprawą Koli Szczipanowa? Miałem w Moskwie kogoś podobnego: udało mi się wsadzić go za kratki pięć razy z rzędu. Kiedy za szóstym razem złapał go inny wywiadowca, gość prawie się śmiertelnie obraził. „Ma pan, Władisławie Nikołajewiczu, lekką rękę, bo kiedy pan mnie zapuszkuje, wychodzę z pudła bez szwanku. A teraz inny gliniarz mnie dopadł, więc na pewno coś mi się przytrafi. Wolę już wyznać panu swoje winy, opowiedzieć o paru rzeczach, o których nikt nie wie, żeby wyszło, że to znowu pan mnie przytknął. A ja to panu odpracuję z nawiązką”, oznajmił podczas śledztwa. Trudno by zliczyć wszystkie przestępstwa, które wykryłem dzięki temu recydywiście. On też, rzecz jasna, miał swoje zasady – nigdy nie sypał złodziei i oszustów, ale nie uznawał przemocy i zabijania, toteż informacji na temat ciężkich przestępstw dostarczał rzetelnie. Mój obecny znajomy był chyba kimś takim. Ale nie wypadało pytać o to cudzego agenta.

Do siebie na Pierwszego Maja wracałem głodny jak wilk, bo cały dzień kręciłem się po mieście i przez ten czas nie miałem nic w ustach. Nie dało się oszukać żołądka jedną puszką piwa, którą wypilem na nabrzeżu, czekając na dogodną chwilę, żeby porozmawiać z Tolikiem Guszczinem. Było już późno, ale wierzyłem, że troskliwa Irocza zostawiła mi coś do jedzenia. Poza tym radowała mnie myśl, że w domu czeka na mnie Tatiana. Czasem psychika ludzka sprawia jednak niespodzianki. Teraz, kiedy o mały włos nie straciłem dziecka i wypowiedziałem wojnę niewidzialnym przestępcom, moje uczucie do Tani z każdą godziną stawało się coraz silniejsze, chociaż logika podpowiadała, że nie powinienem mieć do tego głowy. Sam nie pojmuję, co takiego widzę w Tatianie. Choć mówiąc otwarcie, doskonale wiem, co mi się w niej podoba, ale do tej pory nie zdawałem sobie sprawy, że te cechy tyle dla mnie znaczą. Okazało się, że były nie tylko ważne, ale po prostu niezbędne do życia! Zaprawdę, dziwne są twoje wyroki, Panie!

W odległości jakichś dwustu metrów od domu wyczułem, że w jedną z zastawionych przeze mnie pułapek ktoś się złapał. Co najmniej od dziesięciu minut słyszałem za plecami czyjeś kroki. Bez względu na to, czy przyspieszałem, czy zwalniałem tempo, odgłos kroków

pozostawał ciągle taki sam, ani nie cichł, ani nie robił się głośniejszy, a to oznaczało, że idąca za mną osoba zachowywała tę samą odległość. No cóż, moje zabiegi nie poszły na marne.

Przed domem moim oczom ukazał się obrazek z cyklu „W oczekiwaniu na powrót żołnierza z frontu”. Przy nakrytym stole siedzieli w napiętym milczeniu Tatiana, Irocza i Jura Mazajew. Przed nimi stały czyste talerze i nienapoczęte półmiski z różnymi daniami. Nie zważając na ogona, który się do mnie przyczepił, odprężyłem się na chwilę, czując, jak na twarz wypływa mi idiotyczny uśmiech. Moi przyjaciele czekali na mnie! Niepokoili się o mnie!

– Władik!

– Dima!

– Sława! – powiedzieli chórem, a Irocza nie wiedząc czemu rozpląkała się.

– Tak się denerwowaliśmy – pochlipywała. – Powiedziałeś, że nie wrócisz późno... Od ósmej siedzimy jak na szpilkach, a teraz już prawie jedenasta.

– Bzdura – oznajmiłem donośnie. – Co znaczy jedenasta podczas urlopu? To młoda godzina. Zjedzmy coś i chodźmy na spacer.

– Jeszcze nie masz dość spacerów? – spytała kąpiąco Tania. – Co robiłeś przez cały dzień?

Nogi miałem jak z ołowiu, siedziałem na ławce przy stole i myśl, żeby wstać i gdzieś się wlec, wydawała mi się nieznośna. Ale musiałem zdemaskować szpicla, więc plotłem dalej głupstwa, jak to dobrze przejść się przed snem i pooddychać morskim powietrzem.

– W końcu nie ciągnę was na siłę – powiedziałem, przybierając urażoną minę. – Jak tam sobie chcecie, ale my z Tanią pójdziemy nad morze. Prawda, Taniusza?

Przy tych słowach z całej siły nadepnąłem na nogę siedzącemu obok Mazajewowi. Zaskoczony Jura skrzywił się i chrząknął.

– Proszę bardzo, idźcie we dwójkę, pogruchajcie sobie – odparł złośliwie. – My z Iroczką jesteśmy za starzy na to, żeby spacerować, trzymając się za rączki. Tutaj też znajdziemy sobie ciekawe zajęcie.

Już miałem wybuchnąć śmiechem, jak wymagał tego scenariusz, ale napotkałem zimne spojrzenie Tatiany i śmiech zamarł mi na ustach. Nie rozumiała, co się dzieje, i moje zachowanie uznała za głupie i niesmaczne. Wyciągnąwszy rękę przez stół, ująłem jej palce i podniosłem do ust, patrząc w oczy z oddaniem. Twarz Tani złagodniała, usta drgnęły, układając się w ledwie zauważalny uśmiech. Doskonale wiedziałem, że w głębokiej, aksamitnej ciemności południowej nocy, zaledwie kilka metrów od nas, ktoś stoi i z uwagą

przysłuchuje się każdemu słowu, więc nie powiedziałem nic więcej, tylko pocałowałem delikatne, chłodne palce kobiety, z którą zamierzałem się ożenić.

Kilka minut przed dwunastą Tatiana zeszła na dół w szerokiej, luźnej spódnicy i cienkim bladoliliowym swetrze, po czym razem udaliśmy się na spacer, pomachawszy Irocze i Jurze Mazajewowi.

– Obrażona? – spytałem nieśmiało Tanię, mocniej przyciskając do siebie jej ciepły, okrągły łokieć.

– Nie. Ale nie lubię, jak ktoś robi ze mnie idiotkę, szczególnie jeśli karty pozwalają mi wistować.

– Grasz w preferansa? – spytałem zdziwiony. – Skąd taka terminologia?

– Dima, jestem przecież śledczą – wyjaśniła z uśmiechem Tatiana – a nie handlarką na bazarze. Nie pędzę samogonu, ale wiem, jak to się robi. Tak samo, jak znam mechanizm defraudacji w przemyśle chemicznym, chociaż nie jestem chemikiem czy złodziejem.

– Zaraz sprawdzimy – powiedziałem wesoło. – Byłem dzisiaj u kryminalisty Żorika i kazałem mu się dowiedzieć, kto ma sprzęt do nocnych zdjęć. Sześć pik.

– Chciałeś znaleźć osobę, która strzeliła nam fotkę w czasie nieprzyzwoitej randki. Sześć trefl.

– Byłem u kryminalisty Żorika. Dalej sześć trefl.

– Chciałeś zawiadomić o swoich zamiarach miejscowe środowisko przestępcze. Sześć karo.

– Znalazłem faceta, który ma taki sprzęt, i dowiedziałem się, że jego młodszy braciszek, ladaco, komuś ją pożyczał i otrzymał za to niezłą sumkę. Sześć kier.

– Poinformowałeś o swoich zamiarach środowisko chuligańskie małolatów. Sześć bez atu.

– W drodze do domu zorientowałem się, że mam ogona. Siedem pik.

– I zaproponowałeś, żebyśmy poszli na spacer, aby go wywabić. Siedem trefl.

– Nie zaproponowałem zwykłego spaceru. Dalej siedem trefl.

– Zaproponowałeś, żebym to ja z tobą poszła. Chcesz, żeby Jura Mazajew cię osłaniał. Siedem karo. Poddaj się, Stasow. Masz słabe czerwone kolory, a ósemka trefl jest poza twoim zasięgiem.

Roześmiałem się i mocno przytuliłem Tatianę.

– Tania, a jeśli złożę ci propozycję, zgodzisz się?

– Jaką propozycję?

– Mażeńską.

Zaskoczona, potknęła się.

– Zwariowałeś, Dima. Znamy się raptem tydzień. Skąd ten niedorzeczny pomysł?

– To znaczy, że odmawiasz?

– A przeprowadzisz się do Petersburga?

– No jasne.

– A co z Lilą? Przecież jeśli wyjedziesz z Moskwy, będziesz widywał się z nią bardzo rzadko.

– W takim razie ciebie zabiorę do Moskwy.

– Tak? Spakujesz do walizki i nadasz na poczcie?

– Znowu ci nie pasuje? Więc zabiorę Lilę do Petersburga. Tak będzie dobrze?

– A jak to przyjmie twoja Margarita?

– Na pewno źle – odrzekłem z westchnieniem. – Ale w końcu nie ma problemów nie do rozwiązania, są tylko rozwiązania nieprzyjemne. Coś wymyślę.

– No to myśl. Jak wymyślisz, wrócimy do rozmowy.

Przerzucając się nic nieznaczącymi zwrotami, zawędrowaliśmy nad morze. Nie było tu plaży miejskiej, tylko pas nadbrzeżny przy torach. Krążyłem już tu dzisiaj, rozglądając się w poszukiwaniu miejsca, do którego najlepiej zaciągnąć ogon, żeby zaatakować go od tyłu. Wybrałem takie miejsce i teraz szedłem tam z Tanią.

Dotarłszy do wybranego punktu, zatrzymałem się, objąłem Tanię i szepnąłem jej do ucha:

– A teraz prowadźmy jakąś błahą rozmowę. Sprawiajmy wrażenie, że omawiamy coś poważnego, ale po cichu. Jeśli jest tutaj ktoś trzeci, całą uwagę skieruje na to, aby nas usłyszeć.

– O czym mamy rozmawiać?

– Wszystko jedno. Możesz nawet recytować wiersze. Albo prozę.

– Dobrze. Duszek domowy cierpiący na ból zęba. Czyż to nie potwarz rzucona na istotę, posiadającą tyle wiedźm i czarodziejów na usługach, że może bezkarnie zjadać cukier całymi beczkami?

– Co to? – spytałem zdziwiony.

– Aleksander Grin, *Gadatliwy duszek domowy*. Jechać dalej czy wolisz coś innego?

– Nie, skąd, może być. Mów, proszę – poprosiłem zaintrygowany. – Urządzić zasadzkę, stać o pierwszej w nocy nad opustoszałym brzegiem morza, wiedzieć, że za plecami czai się niewidzialny wróg, i słuchać przy tym bajki o duszku domowym – tego nie da się z niczym porównać.

– Ale tak właśnie było, to szczerą prawdą – ciągnęła Tatiana łagodnym, delikatnym głosem. – Mały, smutny duszek domowy siedział przy zimnej płycie, która już dawno zdążyła zapomnieć, że kiedyś huczał pod nią ogień. Miarowo kiwając potarganą głową, trzymał się za obwiązany policzek, jęczał żałośnie jak dziecko, a z jego mętnych czerwonych oczu było cierpienie. Padał deszcz. Wszedłem do tego zaniedbanego domu, żeby przeczekać niepogodę, i zobaczyłem go, bo na śmierć zapomniał, że powinien był zniknąć...

W krzakach za moimi plecami rozległ się trzask, usłyszeliśmy czyjeś ciężkie oddechy i odgłosy walki. Po kilku sekundach stanął przed nami Jura Mazajew, a obok niego ten sam atletyczny osiłek Locha, herszt bandy gówniarzy, których widziałem dzisiaj na nabrzeżu. Czegoś takiego się nie spodziewałem. Jura mocno trzymał Lochę za włosy.

– Podglądasz, co? – zapytałem groźnie.

Umięśniony bubek sapał, ale zachowywał dumne milczenie.

– A może podsłuchujesz? – dodał Mazajew.

Locha wciąż milczał naburmuszony, patrząc gdzieś w bok.

– Po kiego licha łazisz za mną? Kto cię wysłał?

– Nikt – burknął. – Spaceruję sobie. Nie wolno?

Ręce mnie swędziały, żeby przetrzepać mu skórę i zmusić do gadania. Ale wiedziałem, że nie mogę tego zrobić. Może ten Locha nie ma piętnastu lat, jak Tolik Guszczin, ale dorosły też jeszcze nie jest. Jeśli teraz się nie opanuję, jutro na ulicę Pierwszego Maja zajedzie radiowóz milicyjny i zostanę oskarżony o spowodowanie obrażeń ciała u niepełnoletniego Aleksieja Tiutkina albo Pupkina, czy jak tam on się nazywa. To dopiero będzie sensacja: funkcjonariusz milicji pobił maślaka! Oj, nieładnie. Natychmiast zostanie wszczęta sprawa karna, a mnie wsadzą. Oczywiście będę się tłumaczył, że nie wiedziałem, że Locha jest niepełnoletni, na czole nie miał wypisane, a muskuły, proszę spojrzeć, jakie potężne, istny młody Schwarzenegger, wzrost też niepośledni, no a twarzy w ciemnościach nie widać. Ale cwany Locha od razu oznajmi śledczemu w odpowiedzi, że niedobry milicjant rozrabiaka widział go w świetle dziennym na nabrzeżu i co najmniej dziesięciu świadków może to potwierdzić, więc oskarżony nie mógł nie rozpoznać wieku poszkodowanego. Ciekawe, czy ktoś chłopaka poinstruował na taką okoliczność.

– Jak będziesz milczał, obiję ci mordę – zapowiedziałem krótko. – A biję mocno.

– Trzeba być niespełna rozumu, żeby bić nieletniego – wymamrotał Locha znacznie pewniejszym tonem.

Miałem rację, ktoś go przeszkolił. Teraz w razie czego oświadczy, że uprzedził mnie o swoim wieku. Ależ z niego bydlak! I kto go tak wyedukował?

– Pewnie, ale żeby być chłopcem na posyłki u twojego inwalidy, potrzeba gigantycznego intelektu – palnąłem na chybił trafił. – Kto zrobił nam zdjęcia? Ty?

– Nic nie wiem. Puśćcie mnie – jęknął Locha.

Mogliśmy poświęcić trochę czasu, żeby go złamać, ale zdawałem sobie sprawę, że w obecnych warunkach takie rozwiązanie jest niezbyt rozsądne. Wymagałoby albo dużej wiedzy o delikwencie i jego środowisku, albo zgody na użycie nieprzyjemnych metod. Gdybym tak był w Moskwie... Ale znajdowałem się tutaj, w mieście na południu, gdzie nie miałem ani znajomości, ani kontaktów, ani swoich informatorów. Byli tu za to ludzie, którym z jakiegoś powodu bardzo się nie podobałem. Dlaczego? Przecież w gruncie rzeczy w ogóle się nie mieszałem do śledztwa w sprawie zabójstw na festiwalu filmowym, a jeśli próbowałem nawet coś zrobić, pomagając Sierioży Lisicynowi, to nic ważnego nie odkryłem i nic mądrego nie odpowiedziałem. W czym im tak przeszkadzam? Nie tylko przeszkadzam, ale stoję ością w gardle, Inaczej nie zorganizowaliby zamachu na ośmioletnie dziecko.

– Puść go, Jura – powiedziałem drżącym ze wzburzenia głosem. – Niech idzie w cholere. Wyciągnę go spod ziemi w razie czego.

Straciłem zainteresowanie atletycznym bandziorem, bo w końcu pojąłem, co mnie tak niepokoiło, gdy myślałem o Lili. Czemu wcześniej na to nie wpadłem?

Rozdział 11

Całą noc nie zmrzyłem oka, poganiając w myślach czas, żeby prędko nadszedł ranek. O siódmej wstałem po cichu, starając się nie zbudzić słodko śpiącej Tatiany, ubrałem się i pogałem na pocztę, dziękując losowi za to, że Alik Borzienkow ma na dacy telefon. Kupując żetony i wybierając długi numer, na nowo przypominałem sobie ten dzień, kiedy po raz pierwszy zaprosiliśmy Jurę Mazajewa do stołu. Jura gawędził z uwodzicielską Irocza, a ja z Tatianą. Lila czytała „Wiadomości Festiwalowe”.

„Tato, kto to jest Oleg Juskiewicz?”

„To taki aktor, córeczko”.

„A Wiktor Babajan?”

„Reżyser. Kręci filmy”.

„Wiadomości” zawierały dziesiątki, a nawet setki imion i nazwisk, ale Lila nie wiedzieć czemu zapytała tylko o te dwa. Czyżby znała pozostałe? Dlaczego tylko te dwa nazwiska przyciągnęły uwagę ośmioletniego dziecka? Nazwiska dwóch mężczyzn, którzy zginęli w ciągu kilku następných dni. Czyżby moja córka była jasnowidzem?

Długo nikt nie odbierał telefonu, początkowo nawet się przestraszyłem, że Alik z samego rana zawiózł wszystkich nad jezioro, ale później w słuchawce rozległ się zaspany głos jego żony Lali. Naprawdę miała na imię Ludmiła, lecz Alik od razu nazwał ją Lalką, potem ich synek zaczął go naśladować, ale ponieważ dziecko dopiero uczyło się mówić, z Lalki zrobiła się Lala. Ta wersja imienia przyjęła się zarówno w rodzinie, jak i wśród wspólnych przyjaciół. Lala strasznie się ucieszyła z mojego telefonu, była bardzo podatna na sugestie i całkowicie podzielała obawy muzycznego małżonka o moje bezpieczeństwo.

– Władik, u ciebie wszystko w porządku? – zawołała wzburzona.

– Naturalnie. Jak tam moja królowna?

– Śpi. Mam ją obudzić?

– Zrób to – poprosiłem, drżąc z niecierpliwości.

W czasie gdy Lala budziła Lilę, chciwy automat pożerał kolejne żetony. W końcu usłyszałem jej głosik:

– Tata?

– Cześć, kotku. Jak się masz?

– Dobrze.

– Nie nudzisz się?

– Nie, tutaj jest dużo książek.

– Wspaniale, grzeczna dziewczynka. Kotku, musimy poważnie porozmawiać.

– O cioci Tani?

– Skąd znowu, o czym innym. Pamiętasz, jak kilka dni temu jedliśmy obiad, a ty czytałaś przy stole „Wiadomości Festiwalowe” i pytałaś mnie, kim są Oleg Juskiewicz i Wiktor Babajan. Pamiętasz?

– Pamiętam.

– A dlaczego pytałaś właśnie o nich? Przecież w czasopiśmie było dużo różnych nazwisk. Dlaczego akurat na nich zwróciłaś uwagę? Postaraj się przypomnieć sobie, kotku, to bardzo ważne.

– Widziałam te nazwiska na kartce.

– Na jakiej kartce?

– U dziadka.

– Jakiego dziadka?! – wrzasnąłem do słuchawki. – Lila, proszę, przestań się wygłupiać. To bardzo, bardzo ważne.

– Nie wygłupiam się – powiedziała z urazą moja córunka i głos jej zadrżał. – Kiedy szliśmy do wujka Sierioży w gości, zaczął wiać silny wiatr i jednemu panu wypadła gazeta i jakieś karteczki. Sam przecież kazałeś mi, żebym mu pomogła.

– Zglądałaś do tych karteczek?

– Tak. A co, nie wolno było? – spytała wystraszona Lila.

Jedną z niewielu rzeczy, które tatusiowi milicjantowi udało się wbić do głowy swojej latorośli, był kategoryczny zakaz zabierania cudzych rzeczy. Lila panicznie bała się go naruszyć. Moje dziecko było jednak niepoprawne: wystarczyło, że zobaczyło literki, i natychmiast zaczynało składać je w słowa.

– Co było na tych karteczkach?

– Nazwiska.

– Jakie nazwiska? Ile?

– Dużo, tato, nie pamiętam.

– A były wśród nich nazwiska Juskiewicza i Babajana?

– Tak. Dlatego potem pytałam.

– Kotku, postaraj się, proszę, skup się i przypomnij sobie, jakie jeszcze widziałas nazwiska.

– Zapomniałam – powiedziała słabym głosem. – Skąd miałam wiedzieć, że mam je zapamiętać.

– Ibrajbiekowa. Było takie nazwisko?

– Nie pamiętam. Chyba nie.

– Dorienko?

– Ciocia Ola? Była.

– Goletiani?

– Nie pamiętam. Zdaje się, że nie.

– Iwannikowa?

– Tak, była. Pamiętam, że była.

– Kazalska?

– Chyba nie. Tatusiu, ja naprawdę nie pamiętam.

– Dowżuk?

– A mama mówiła, że ktoś ją zabił...

– Była czy nie?!

– Była... Nie gniewaj się, tato. To nie moja wina...

– Nie gniewam się, kotku, ani myślę się gniewać na ciebie, po prostu denerwuję się, bo to ważna rozmowa. A nazwisko Celajewa widziałaś?

– Raczej nie.

– Powtórzmy od początku. Jesteś absolutnie pewna, że widziałaś na tej kartce nazwiska Dorienko, Dowżuk i Iwannikowej?

– Tak. Jestem pewna.

– A ile jeszcze nazwisk było na liście?

– Te trzy, potem tamte dwa, o które pytałam, i jeszcze jakieś jedno lub dwa, ale nie zdążyłam ich przeczytać.

– Dobrze, kotku, odpoczywaj, bądź grzeczna, słuchaj się Alika i Lali. Całuję cię. Pozdrowienia od mamy.

– Dziękuję – powiedziała uprzejmie. – A od cioci Tani?

– I od cioci Tani, i od cioci Iroczi, i od wujka Jury Mazajewa. Wszyscy cię ściskają i całują.

– To dobrze – z powagą w głosie odparło moje dziecko. – Ja też ich całuję.

Odwiśłem słuchawkę i wyszedłem z kabiny. Dopiero na ulicy poczułem, że jestem cały mokry, koszula lepiała mi się do pleców. W głowie jak w kalejdoskopie przewijały się urywki myśli i informacji, które wcześniej, zanim porozmawiałem z Lilą, były rozproszone i w ogóle do siebie nie przystawały, a teraz raptem zaczęły układać się w spójny obraz.

Dziadek z kartką.

Kartka z nazwiskami.

Nazwiska sześciu albo siedmiu osób, z których czworo nie żyje.

Jedna z ofiar dostała kasetę z filmem o miejscowych kombatantach i pracy wojskowo-sportowego klubu młodzieżowego „Patriota”.

Kombatanci... Dziadek z kartką..

Klub młodzieżowy. Niepełnoletni smarkacze. Atletyczny wyrostek Locha. Starszy mężczyzna o wojskowej postawie (chodzi jakby kij połknął). Klubem młodzieżowym kierują kombatanci, emerytowani wojskowi.

Chyba wdepnąłem w niezłe gównno.

Do domu numer osiem na ulicy Pierwszego Maja już nie wróciłem. Prosto z poczty udałem się na poszukiwanie Siergieja Lisicyna, wziąłem od niego przekazane przez Ritę foldery z filmografiami wszystkich czterech zamordowanych gwiazd kina, kazałem zdobyć pozostałe foldery z informacjami o uczestnikach festiwalu „Złoty Orzeł”, po czym zgłosiłem się u właścicieli domu numer dwadzieścia jeden na tej samej ulicy. Miałem teraz ciemne, krótko ostrzyżone włosy, wąsy i nosiłem wielce prozaiczne nazwisko Dmitrij Nikołajewicz Gałuzo. Moje rzeczy miał przynieść Lisicyn, poprosiłem go też, żeby uprzedził Tatianę.

Szczęście w nowym miejscu mi nie dopisało. Okazało się, że moi sąsiedzi to małżeństwo z dwójką dzieciaków w wieku pięciu i siedmiu lat, które swoim piskiem robiły tyle hałasu, że od razu rozboleła mnie głowa. Mimo to rozłożyłem przed sobą foldery, zaopatrzyłem się w ołówek i zacząłem dzielnie studiować tytuły filmów związanych z czworgiem zabitych. Chciałem sprawdzić, czy zabójstwa nie były wynikiem jakiegoś konfliktu, który powstał w czasie zdjęć, ale w tym celu należało się dowiedzieć, czy wszyscy czworo nie spotkali się na planie tego samego filmu. Niebawem ćmiło mi się w oczach od tytułów i dat, ale na nic nie natrafiłem. Ola Dorienko i Lusja Dowżuk grały w filmach Babajana, ale Babajan nigdy nie pracował z Juskiewiczem. Oleg Juskiewicz i Lusja Dowżuk dwukrotnie występowali w tym samym filmie, ale bez Oli Dorienko. Przeglądałem w kółko listy filmografii, ale nigdzie nie znalazłem wszystkich czworga razem. Więc dlaczego ich nazwiska znalazły się na liście zagadkowego „dziadka” obok nazwisk Jekatieriny Iwannikowej i jeszcze jakichś dwóch innych nazwisk? Co je łączyło? Odpowiedź nasuwała się sama: śmierć. Czworo już nie żyje, pozostałych czeka ten sam los. Ale dlaczego? Za co?

Jakkolwiek było, bez względu na przyczynę umieszczenia tych osób na dziwnej liście, jedno nie ulegało wątpliwości: trzeba koniecznie ustalić, jakie jeszcze nazwiska figurowały w spisie, żeby zapobiec nowym tragediom. Kto jeszcze oprócz ładniutkiej i głupiej blondynki Kati Iwannikowej, która wspina się po szczeblach kariery, wskakując do łóżka kolejnym facetom?

Wrzask i bieganina moich nieletnich sąsiadów w ogóle nie pozwalały mi się skupić. Mój pokój w domu numer dwadzieścia jeden znajdował się na dole, w podzielonej na dwa pomieszczenia szopie, i ruchliwi, krzykliwi malcy ganiali tuż pod moim oknem. Żeby przynajmniej pogoda jak najszybciej się poprawiła, wtedy będą chodzili na plażę. A na razie mogłem spróbować wykorzystać sytuację.

Usiadłem przed domem, wyciągając bose nogi na trawie, i zawarłem znajomość z chłopcami. Obaj byli zdumiewająco podobni do swego ojca, postawnego wesołka o blond włosach, z czerstwymi rumieńcami na pełnych policzkach. Starszy, siedmioletni chłopczyk miał na imię Sania, a młodszy, pięciolatek, nazywał się Sienia, postanowiłem jednak ułatwić sobie sprawę, nadając im przydomki Starszy i Młodszy.

– Kto pójdzie ze mną po arbuzy? – spytałem, łapiąc ich, gdy po raz kolejny ścigali się od legowiska wroga do pojazdu kosmicznego. Rolę pojazdu odgrywał drewniany wychodek, wstydliwie schowany w głębi dużego sadu. Legowiskiem wroga był oczywiście pokój sąsiadujący z moim, gdzie siedziała poirytowana mama Sani i Sieni, bezskutecznie próbując ich zmusić do zjedzenia twarogu.

– Ja! – chórem odparli chłopcy.

– A kto go potem zje razem ze mną?

– Ja! – padła zgodna odpowiedź.

– Ale pod jednym warunkiem: najpierw twaróg, potem arbuz – powiedziałem surowo.

Malcy zastanawiali się przez chwilę, a potem kiwnęli głowami bez słowa.

– No to jazda do mamy spytać, czy się zgadza.

Dziesięć minut później kroczyłem niespiesznie ulicą Pierwszego Maja, trzymając za ręce dwóch jasnowłosych, rumianych łobuziaków z podrapanymi łokciami i posmarowanymi na fioletowo kolanami. W ciągu dnia na naszej ulicy panował ożywiony ruch, prawie przed każdym domem mieszkańcy sprzedawali owoce i warzywa z własnych ogródków, wszędzie biegały dzieci wczasowiczów, pozbawione chwilowo morza i plaży. Mógłbym dać sobie głowę uciąć, że wśród licznych przechodniów kręca się też tam i z powrotem faceci, którzy się mną interesują. Po wczorajszym incydencie z udziałem niepełnoletniego miłośnika

podsluchiwania cudzych rozmów powinni podwoić obstawę mojej skromnej osoby. A ja gdzieś przepadłem... Powinni, a nawet muszą czatować na mnie koło domu numer osiem.

Podszedłem do znajomej furtki, zajrzałem do ogrodu i od razu zobaczyłem Tatianę. Miejmy nadzieję, że Sierioża Lisicyn zdążył ją poinstruować.

– Dzień dobry, Tanieczka! – krzyknąłem donośnie wstrętym, nie swoim głosem.

Tania natychmiast się odwróciła, ale nie podeszła. To znaczy, że Sierioża zdążył z nią porozmawiać.

– Dzień dobry, Dima – odpowiedziała tak samo głośno.

Pochwaliłem się w myślach za to, że trafnie wybrałem swoje nowe imię, przecież jako Władisław też byłem dla Tani Dimą, więc teraz nie musi się pilnować.

– Idę po arbuzy. Proszę zawołać Władysława, zabiorę go ze sobą. Niedawno odkryłem miejsce, gdzie mają bardzo dobre arbuzy, w dodatku o wiele tańsze. Sprzedają z samochodu.

– Władysława nie ma. Nawet nie wiem, gdzie poszedł i kiedy wróci.

– A gdzie to się podział? – Pamiętałem, żeby okazać szczere zdziwienie. – Przecież przedwczoraj umawialiśmy się, że pojedziemy dziś na wieś po świeżą rybę, mam tam znajomego rybaka.

– Och, nie wiem, Dima – westchnęła ze smutkiem Tatiana, nie postępując ani o krok w moją stronę. I słusznie, gdyż nasza rozmowa była przeznaczona dla obcych uszu, podniesione głosy musiały mieć uzasadnienie. – Już rano pytali o niego jacyś ludzie, a ja nie wiedziałam, co im powiedzieć. Wczoraj jeszcze był, a dzisiaj gdzieś znikł. Sama się gubię w domysłach.

– Niepotrzebnie się pani martwi, znajdzie się – krzyknąłem rażno. – My, faceci, jesteśmy jak koty: lubimy się trochę powłóczyć, a potem wracamy do domu.

Schwyciwszy za ręce Sanię i Sienię, pewnym krokiem głowy rodziny ruszyłem dalej. Jacyś ciekawscy osobnicy, którzy wypytywali o mnie już z samego rana, chyba nie zaczną podejrzewać poważnego ojca dwójki dzieci o brzydkie zamiary.

Wyprawa po arbuzy należała do całkiem udanych. Postanowiłem wykazać się sąsiedzka życzliwością i kupiłem dla swoich przyjaciół z domu numer osiem ogromnego arbuza, którego zaniósłem im w drodze powrotnej. Facet, handlujący arbusami z samochodu, w świetle dziennym miał koło pięćdziesiątki, może nawet więcej, a więc wczoraj późnym wieczorem jego głos mnie nie okłamał. Opukując zielone, pasiaste owoce w poszukiwaniu najbardziej dojrzałego okazu, starannie przekrajając nożem wybrane przez mnie kule i wydając resztę, mężczyzna mamrotał coś pod nosem, niby piosenkę nucił, niby wiersz

recytował, ale udało mi się zrozumieć, że interesowało się mną co najmniej dwóch gości. Jeden to niejaki Zawarujew, kierowca zatrudniony w merostwie. Drugi – Aleksander Pietrewicz Sokolnik, emerytowany podpułkownik, aktywnie działający w klubie „Patriota”. Ciekawe, czym się tak naraziłem miejscowym emerytom?

Związek emerytowanego wojskowego o nazwisku Sokolnik z kierowcą merostwa miasta Zawarujewem stanowczo mi się nie spodobał. Dziwna para. Co ich może łączyć?

Pod wieczór Sierioża Lisicyn miał przynieść filmografie uczestników festiwalu, spotkanie z szefem kuchni zostało wyznaczone na dziesiątą trzydzieści, więc czasu na leniwe rozmyślenia miałem pod dostatkiem. Zrobiłem zatem być może jedyną słuszną rzecz w ciągu ostatnich dni. Gdybym uczynił to wcześniej, wszystko mogłoby rozegrać się inaczej. Ale niestety, przedtem taka myśl nie wpadła mi do głowy.

Poprosiłem gospodarzy o lokalne gazety z ostatniego miesiąca. Chciałem zobaczyć, co piszą w nich o klubie „Patriota”. Lecz zamiast wzmianek o młodzieżowym klubie wojskowo-sportowym natknąłem się na cykl obszernych artykułów o miejscowej administracji. Miasto zmierza do ruiny, kasa jest pusta, wpływów nie ma, bo prywaciarze likwidują interesy, a kurort utrzymuje się z odprowadzanych przez nich podatków. Należy koniecznie zmienić władzę, postawić na ludzi bardziej zapobiegliwych i gospodarnych, którzy nie zawahają się podjąć bezkompromisowej walki z przestępczością i obronią zastraszonych przedsiębiorców przed szantażystami i bandziorami, dzięki czemu miasto znów będzie prosperować.

Gdyby namalować na białej kartce papieru czarne pasy, można by powiedzieć, że są to czarne pasy na białym tle albo że białe pasy na czarnym tle. Wszystko jest sprawą indywidualnego odbioru, jeśli nie wiadomo, jakiego koloru była kartka na początku. Przywykliśmy po prostu, że zwykle kartka jest biała, a kreśli się na niej na czarno.

Chuligańskie wybryki w drogich sklepach odzieżowych doprowadziły do tego, że większość towaru została skutecznie zniszczona. Trzeba było wzmocnić ochronę, ale taki cios finansowy mogli znieść tylko niektórzy, wiele sklepów zamknięto, inne, które jeszcze się trzymają, są już na granicy upadłości. Ta historia była tylko tłem, wytłumaczeniem faktu, dlaczego ekspedientka i ochroniarz chodzili za mną i Tatianą krok w krok.

Awaria kolejki linowej łączącej nabrzeże z plażą dla nudystów. To tylko tło historii nieudanej próby Iroczki i Jurija Mazajewa, żeby wykapać się w nocy nago.

Wybuch w kasynie. To też tło z ostro zarysowaną niewesołą sytuacją Sierioży Lisicyna, który przez osiem miesięcy nie wyjaśnił żadnego poważnego przestępstwa. I dwie bestialsko zamordowane prostytutki. Czyż to nie scena z tego samego przedstawienia?

Przerwana budowa. Miejsce, gdzie znaleziono zwłoki reżysera filmowego Wiktora Babajana. Po prostu miejsce akcji, nic więcej.

A pożar w Teatrze Letnim w czasie konkursu piękności? Temat dla nowej powieści Tani, i tyle.

Ale jeśli spojrzeć na to wszystko nie jak na tło, ale jak na pierwszy plan? Wtedy wyraźnie wyłania się obraz celowych, systematycznych działań, ukierunkowanych na wyrugowanie przedsiębiorczości z miasteczka. Kupcy zwijają żagle, podatki do budżetu nie wpływają, miasto podupada, a ludzie oczywiście się denerwują, szczególnie jeśli zdenerwowanie to umiejętnie podsycą się w mediach. Mieszkańcy są niezadowoleni. Trochę się poirytują, pozłoszczą, a potem jak za starych, dobrych czasów chwycą siekiery i widły i ruszą na bogaczy, innymi słowy – zażądają ponownych wyborów do rady miejskiej. I wybiorą kogo trzeba.

Szefowie miejscowej milicji dobrowolnie zgodzili się wziąć na siebie winę i udawać, że nie radzą sobie z przestępczością w mieście, bo wszyscy mieli za to obiecane ciepłe posadki z nadania nowej władzy, dużo większe zarobki niż obecne skromne pensyjki. Z tego powodu do tak poważnych i trudnych spraw przydzielono żółtodzioba Sieriożę Lisicyna, a gdy tylko pokazał pazury, natychmiast przesunięto go na stanowisko posterunkowego.

Teraz dotarł do mnie sens tego, co dzięki Jurze Mazajewowi zobaczyłem na kasecie Nikołaja Fiodorowicza Wiernigory. Przyprószony siwizną kombatant pokazuje na planie jakiś punkt, oznaczając go krzyżykiem. To plan mostu, a punkt to miejsce, w którym trzeba założyć materiał wybuchowy, żeby most niezawodnie runął. Dwaj chłopcy pod kierunkiem emerytowanego wojskowego składają jakiś mechanizm. Czyżby zajmowali się modelarstwem? Tak właśnie pomyślałem, kiedy oglądałem film po raz pierwszy. Mazajew powiedział mi jednak, że to mechanizm wybuchowy, w dodatku zupełnie profesjonalny. Jeszcze jeden schemat, który nawet ja rozpoznałem jako plan kondygnacji budynku, przypuszczając naiwnie, że w klubie szkolą się młodzi elektrycy albo budowlańcy. Nic podobnego. Krzyżykiem na planie zaznaczono miejsce, w którym należy umieścić zapalnik, żeby cały budynek jak najszybciej stanął w ogniu.

Chłopcy zajmują się wojskowymi, praktycznymi dyscyplinami sportu. Godne pochwały? Jeszcze jak. Nie tylko uczą się szybko biegać i wysoko skakać, zręcznie się czołgać i pływać z akwalungiem, uczą się też obchodzenia z bronią i materiałami wybuchowymi. Zdobywają uprawnienia do prowadzenia samochodów różnych typów. Nie boją się wysokości, skacząc ze spadochronem i balansując na ruchomych drabinkach. Umiejętne ręce sprawiają, że wyrosną z nich młodzi ludzie, którzy w przyszłości będą z dumą

nosili naszywki oficerskie, wojskowe albo milicyjne. Kim się staną w nieuczciwych rękach? Zresztą najwyraźniej niektórzy z nich już przeszli taką przemianę.

A zatem kierowca Zawarujew i emeryt Sokolnik. Jak się do nich dostać? Zażądać tak po prostu wyjaśnień? To głupie. Sokolnik może się na przykład okazać dziadkiem atletycznego Lochy i swoje zainteresowanie moją osobą wytłumaczy tym, że wnuk skarżył się na mnie: powiedział, że go złapałem, wykręciłem ręce i rzucałem wyssane z palca oskarżenia. A jeśli nawet nie jest krewnym, to może powiedzieć, że klub zajmuje się walką z brakiem nadzoru nad dziećmi, toteż udzielający się tam kombataneci uważają za swój obowiązek chronić młodocianych wyrostków przed złymi wujkami, którzy się ich czepiają. Nie, na razie nie mam o co obwinić Aleksandra Pietrowicza Sokolnikowa. Mało prawdopodobne, że okaże się tym samym starszym mężczyzną, który pożyczał od Tolika Guszczina sprzęt fotograficzny.

Teraz kierowca. Trzeba na niego napuścić Sieriożę Lisicyna. Jeśli dobrze rozszyfrowałem układ sił w miejskim preferansie politycznym, jest już wyznaczony lider, który otrzyma władzę z rąk oburzonego społeczeństwa. Namierzyć go mogę sam, trzeba tylko uważniej przestudiować lokalne gazety. Ale Zawarujew na pewno nie jest osobistym kierowcą tego faceta, to by było zbyt proste. I nazbyt niebezpieczne. Jeśli coś ich łączy, to związek jest bardziej skomplikowany i zakamuflowany.

I jeszcze jedno. Może najważniejsze. Osoby z tajemniczej czarnej listy. Dopóki siedzę tutaj i udaję wielkiego analityka, one stoją na skraju przepaści, więc za wszelką cenę muszę zdobyć ich nazwiska, żeby nie dopuścić do nowych zabójstw. Ale najpierw trzeba wyjaśnić, dlaczego znalazły się na tej strasznej liście. Katia Iwannikowa. Kto jeszcze?

W mojej układance brakowało jakiegoś ważnego ogniwa.

Nie zauważyłem nawet, jak zapadłem w drzemkę, która była zapewne wynikiem minionej bezsennej nocy. Obudziło mnie delikatne stukanie do okna.

– Dmitriju Nikołajewiczu – rozległ się głos mojego rumianego sąsiada. – Jest tam pan?

Zerwałem się nerwowo z wąskiego, sprężynowego materaca i otrząsnąłem z resztek snu. Nie darmo mówi się, że nie wolno spać o zachodzie słońca: głowa robi się ciężka i źle pracuje.

– Jestem, proszę wejść – krzyknąłem, starając się, aby mój głos brzmiał rześko.

Okazała postać ojca Sani i Sieni zajęła całą wolną przestrzeń mojej ubogiej klitki.

– Proszono, żeby to panu przekazać – powiedział, podając mi paczkę solidnych rozmiarów.

– Kto? – spytałem podejrzliwie.

– Jakaś dziewczyna, Łarisa. Szedłem z moimi brzdącami do kina, a ona zaczepiła nas na ulicy i poprosiła, żeby to panu przekazać.

– Dziękuję.

Myślałem, że sąsiad odda paczkę i wróci do siebie, ale z jakiegoś powodu wciąż tkwił na moich paru nędznych metrach kwadratowych, przestępując z nogi na nogę jak zmieszany sztubak. Paliła mnie ciekawość, ale przecież nie mogłem przy nim otwierać paczki. Już się domyśliłem, że były w niej foldery, a dziewczyna o imieniu Łarisa to nie kto inny jak siostra Sierioży Lisicyna, który nie zaryzykował, żeby mnie odwiedzić, i słusznie. Jeśli ktoś wypatruje Stasowa koło domu numer osiem, wizyta byłego wywiadowcy Lisicyna nie pozostanie niezauważona. Lisicyn mógł przychodzić tylko do Stasowa, nie ma tu więcej czego szukać, to nie jego rejon.

– Dmitriju Nikołajewiczu... – zaczął sąsiad, ale przerwałem mu.

– Po co te ceremonie! Po prostu Dima.

– Wiktor – przedstawił się w odpowiedzi, mocno ściskając mi rękę. – A więc, Dima, chcemy z żoną zaprosić pana wieczorem do restauracji. Mamy dzisiaj, widzi pan, rocznicę ślubu, dziesięć lat... Chcemy to uczcić...

Ciekaw jestem, czemu zawdzięczam ten zaszczyt. Dopiero dzisiaj się poznaliśmy, skąd nagle taka poufałość. Za dużo mają pieniędzy czy co?

– Dima, nie odmawiaj, proszę. Wiem, że nasze zaproszenie wygląda trochę dziwnie, przecież prawie się nie znamy, ale chłopcy... Najzwyczajniej w świecie oczarował ich pan. Oświadczyli nam, że pójdą tylko z wujkiem Dimą. Wie pan, są trochę rozpuszczeni, jak wszystkie późno urodzone dzieci, nie możemy czasem dać sobie z nimi rady. A pana słuchają. Bez pana kolacja się nie uda, zaczną psocić, rozbiją coś... Chyba pan rozumie.

Rozumiałem. Takie sceny widziałem w życiu nieraz. No proszę, okazuje się, że Starszego i Młodsze zainteresowały moje opowiadania o złodziejach i bandytach, którymi raczyłem ich podczas naszej wycieczki po arbuzy. Szli spokojnie obok mnie i nigdzie nie próbowali uciec!

Nie chciało mi się iść do restauracji, zwłaszcza że na dziesiątą trzydzieści wyznaczyłem spotkanie z szefem kuchni. Ale nie warto było psuć dobrosąsiedzkich relacji. Dobra, spróbuję wyciągnąć z tej sytuacji maksymalne korzyści.

– Do jakiej restauracji idziemy? – spytałem wesoło, dając do zrozumienia, że zaproszenie zostało przyjęte.

– Jeszcze się nie zdecydowaliśmy. Jaka nam się trafi – uśmiechnął się od ucha do ucha gruby Wiktor. – A może pan coś nam doradzi?

– Znam tutaj tylko jedną restaurację, „Gwiazdę Morską”, bardzo mi się tam podoba, dobra kuchnia i obsługa. O innych lokalach nic nie mogę powiedzieć.

– Postanowione. Idziemy do „Gwiazdy Morskiej” – uroczyście zakomunikował sąsiad.
– Za pół godziny odpowiada panu?

Spojrzałem z ukosa na solidnie wyglądającą paczkę. Nawet, za trzy godziny nie będzie mi odpowiadać, bo na przestudiowanie filmografii wszystkich uczestników festiwalu potrzeba o wiele więcej czasu. Ale było za późno, żeby się wycofać.

– A może za godzinę? – spytałem delikatnie.

– W porządku, za godzinę.

Po wyjściu Wiktora zamknąłem drzwi, zasłoniłem okno, włączyłem światło i pogрузyłem się w analizę kolejnej porcji napisanych drobną czcionką tytułów i dat. Miałem wrażenie, że brakujący element cały czas przemyka mi przed oczami, ale nie dostrzegam go przez własną głupotę. Zacząłem tracić nerwy, głowa rozboleła mnie jeszcze bardziej, od mnóstwa papierosów wypalonych w ciągu dnia drapało mnie w gardle, lecz odpowiedzi na swoje pytanie nie znalazłem. Choć byłem pewien, że rozwiązanie jest tuż-tuż, pod moim nosem, i szydzi ze mnie, że mam klapki na oczach.

Równy po godzinie, ogolony i pachnący wodą toaletową, kroczyłem obok Wiktora, jego małżonki i dwóch chłopców w stronę restauracji „Gwiazda Morska”. Starszy i Młodszy mocno trzymali mnie za ręce i domagali się opowieści o Miszce Japońcu i Słońce Złotej Rączce.

W restauracji od razu zaprowadziłem ich do części sali znajdującej się jak najdalej od rejonu kelnera, który kiedyś mnie rozpoznał. Co prawda moja powierzchowność uległa zmianie, ale nie na tyle, żeby oszukać takiego oblatanego chłopaka z dobrą pamięcią wzrokową. Lepiej nie ryzykować.

Długo studiowaliśmy menu, potem kiwnąłem ręką na kelnera.

– Niech pan będzie tak uprzejmy i poprosi tu szefa – zażyczyłem sobie.

– A o co chodzi? – Chłopak natychmiast się zaniepokoił.

– Moi przyjaciele obchodzą jubileusz, chcę złożyć specjalne zamówienie.

Po chwili w sali zjawił się otyły, zasapany szef kuchni.

– Słucham pana – zwrócił się do mnie, obrzucając obojętnym spojrzeniem.

Nie zorientował się, kim jestem. Będę musiał udzielić mu paru wskazówek.

W miarę jak objaśniałem sposób przygotowania ryby według przepisu znanego mistrza kuchni Nikołaja Szczipanowa, twarz mu się rozjaśniała. Z mojego bezładnego, naszpikowanego terminami kulinarnymi gadania pojął, że spotkanie wyznaczone na wpół do jedenastej zostaje odwołane i przeniesione bezpośrednio tutaj, do restauracji. Szef okazał się łebskim facetem, od razu wyjął z przepastnej kieszeni swego białego fartucha notes i długopis i zaczął zapisywać przepis, który mu dyktowałem.

– Proszę sprawdzić, czy dobrze zapamiętałem – powiedział, podając mi notes.

Na kartce widniał zapisany gęstym maczkiem tekst:

B. niebezp. maf. z sąsiedn. m. Pseud. Woźnica. Haz. + nark.

Pl. zab.

– Wszystko się zgadza – pobłażliwie kiwnąłem głową, zwracając mu notes. – Tylko proszę nie zapomnieć wbić do mleka dwóch jajek, żeby kolor był złocisty, a nie mącznobiały.

Szef kuchni wrócił do swego królestwa, a ja znowu zacząłem zabawiać Starszego i Młodszego na wpół fantastycznymi, sensacyjnymi opowieściami. Zresztą robiłem to machinalnie, sam nie słyszałem, co mówię, bo gorączkowo zastanawiałem się nad tym, co zakomunikował mi kucharz. Szukał mnie jakiś niebezpieczny mafioso z sąsiedniego miasta o pseudonimie Woźnica, w dodatku miał wobec mnie brzydkie zamiary. „Pl. zab.” Ładna historia! A temu gdzie w drogę wlałem? I co facet kontrolujący hazard i narkotyki może mieć wspólnego z szanowanym emerytem Sokolnikiem?

Mama Sani i Sieni, kobieta koło czterdziestki o imieniu Zoja, miała najwyraźniej trudny charakter, ale z okazji święta i w obecności postronnej osoby, czyli mnie, starannie to ukrywała, uśmiechała się miło i nawet niespecjalnie dokuczała malcom reprimendami i uwagami. Zresztą nie było właściwie takiej potrzeby, zadałem sobie bowiem niemało trudu, żeby przywrócić do życia dawno zapomnianą umiejętność opowiadania bajek, i dzieciaki słuchały moich słów z rozdziawionymi buziami. Plotłem jakieś operacyjno-śledcze bzdury, zastanawiając się, jak znaleźć Sieriożę Lisicyna, tak żeby nie zwrócić niczyjej uwagi. Wiele bym dał, by się dowiedzieć, gdzie on teraz jest!

Uroczysta kolacja toczyła się dalej, po półgodzinie sam szef kuchni przyniósł na ogromnym półmisku rybę „po szczipanowsku”, zaczekał, aż spróbujemy, i zebrawszy porcję pochwał, opuścił salę. Ryba istotnie się udała, ale przygotował ją, naturalnie, według swojej

własnej receptury. Ciekawe, co by powiedział mój dawny przyjaciel Kola Szczipanow, gdyby usłyszał, że bez wahania, wcale się nie szczypiąc, zrobiłem z wywiadowcy kucharza?

Pod koniec biesiady postanowiłem, że szukać Lisicyna powinien ktoś z domu numer osiem, Jura Mazajew albo dziewczęta. To będzie wyglądało naturalnie, bo Stasow gdzieś przepadł, więc pozostali się niepokoją, a Sierioża jest jedynym milicjantem, którego w tym mieście znają. Teraz muszę wymyślić, jak nawiązać z nimi kontakt, nie wzbudzając podejrzeń. Właściwie to żaden problem, ktoś z nich musi tylko przebywać na dworze w chwili, gdy będziemy mijali ich dom, a co trzeba powiedzieć, wymyślę na poczekaniu.

Ale wszystko odbyło się zupełnie nie tak, jak sobie zaplanowałem. Ledwie skręciliśmy w naszą ukochaną ulicę Pierwszego Maja, od razu zobaczyłem karetkę pogotowia stojącą koło mojego byłego domu. W osłupieniu patrzyłem, jak dwaj sanitariusze wsunęli do samochodu nosze, jasnołilowy sweter Tani mignął w ciemnym wnętrzu auta. W ślad za noszami do samochodu wsiedli Irocza i Mazajew. Trzasnęły drzwiczki. Karetka przemknęła koło nas i zniknęła za zakretem.

Zapanowałem nad sobą ogromnym wysiłkiem woli, udając chłodne zainteresowanie. Koło domu numer osiem zrobiło się zbiegowisko, musiałem jak najszybciej tam się znaleźć, żeby z urywkowo zasłyszanych zdań wywnioskować, co się stało z Tatianą. Nie wolno mi było ciągnąć nikogo za język, mogły się tam przecież kręcić osoby zamieszane w sprawę, a moje dopytywanie o mało znaną wczasowiczkę zwróciłoby ich uwagę.

Zrównawszy się z mocno już przeredzoną grupką zafrasowanych ludzi, wyteżyłem słuch i zwolniłem nieco kroku.

– Zawsze powtarzam, że kupować można tylko u właścicieli z ich własnego ogrodu – z zapalem dowodziła kobieta, którą widziałem już rano, gdy szedłem z chłopcami po arbuzy. Wtedy handlowała gruszkami ze swojego sadu. – Inaczej można jakąś chorobę złapać. O, mówią, że w Dagestanie znowu wybuchła cholera, a wszyscy na okrągło przywożą stamtąd owoce.

– Szkoda gadać – podchwycił starszy mężczyzna, w który rozpoznałem właściciela domu numer dziesięć, gdzie mieszkał Jura Mazajew. – Trafi się coś takiego w czasie urlopu, i koniec. Dobrze, że jej przyjaciółkę i Jurija Siergiejewicza też zabrali, niech zrobią im badania, może i oni jakieś cholerstwo złapali.

– Był z nimi jeszcze czwarty, taki wysoki, mówili na niego Władik – rozległ się w ciemności czyjś głos. – Wszędzie razem chodzili. Czemu go nie zabrali?

Zostawiłem już tłumek za plecami, i ledwie oparłem się przemożnej pokusie, żeby się odwrócić i zobaczyć, któż to jest taki spostrzegawczy. Albo ciekawski ponad miarę? W

każdym razie byłem pewien, że nie kieruje nim współczucie. To obserwator czekający na Stasowa i mający nadzieję, że wyciągnie z sąsiadów jakąś informację na jego temat.

– On z nimi nie jadł – dobiegł mnie głos Wiery Iljiczny. – W ogóle cały dzień go nie było, wyjechał gdzieś.

Czułem się tak, jakby moja świadomość skurczyła się, przybierając postać malutkiego kłębuszka, dotkliwie pulsującego, jak odsłonięty nerw w zniszczonym zębie. Przez jakiś czas nic do mnie nie docierało, jakbym wpadł w czarną otchłań pod działaniem narkozy, i oprzytomniałem dopiero na progu pokoju, kiedy Wiktor, żegnając się, zgniótł moją dłoń w przyjacielskim uścisku.

– Sania, Sienią, powiedzcie wujkowi Dimie dobranoc i do łóżek – surowo nakazała Zoja, otwierając drzwi.

– Dobranoc! – wrzasnęli chórem Starszy i Młodszy.

Potrafiłem zdobyć się nawet na uśmiech. Sąsiedzi poszli do siebie, a ja usiadłem przed domem, wyciągnąłem nogi i zapaliłem papierosa. „Stłamszona” świadomość stopniowo odzyskiwała swój kształt, z wolna wypełniając myślami mój pusty, głupi łeb. A zatem ktoś próbował otruć Tanie, żeby mnie wywabić. Przystępcy pragnęli mnie znaleźć i musiało ich niezłe przypilić, że zdecydowali się na taki krok. Jednego mogłem być pewien – trucizna, której użyli, była silna, ale nie śmiertelna. Usiłując pozbyć się mnie z miasta, robili wszystko, z wyjątkiem rzeczy najprostszej i najbardziej radykalnej. Próbowali sprowokować skandal, przekupić mnie darmowym rejssem, okaleczyć moją córkę, ale ani razu nie urządzili zamachu na mnie. Dlaczego? Miałem tylko jedną odpowiedź: stanowczo nie chcieli być zamieszani w zabójstwo przyjezdnego milicjanta. Chwył z „obywatelką zameldowaną w Moskwie” albo z „obywatelą, który utonął w morzu, będąc w stanie nietrzeźwym” mógł przejść z filmowcami, ale nie ze mną. A oni za nic nie chcą dopuścić, żeby w mieście pojawili się obcy stróże porządku. Właśnie z tego powodu nie mogą też zabić Tani, przecież jest śledczą, w razie gdyby coś jej się stało, natychmiast z Petersburga przylecieliby jej koledzy. Zwłaszcza, że wslawiła się, stawiając w stan oskarżenia samego Ałojana. A kiedy śledczym, umiejącym znaleźć haka na najgroźniejszego mafiosa, przytrafia się coś złego, w pierwszej kolejności sprawdza się, czy ktoś nie wyrównał z nimi rachunków. Banalne zatrucie pokarmowe nie stanowi zagrożenia dla życia Tani, ale jest jednocześnie na tyle poważne, żebym pobiegł do szpitala na złamanie karku dowiedzieć się o stan jej zdrowia.

Szczerze mówiąc, chciałem to zrobić bez względu na wszystko. Mimo że doskonale rozumiałem, iż wyciągają mnie z nory i czekają, aż się zjawię. Sam wiele razy zastawiałem taką pułapkę na przestępców i za każdym razem dziwiłem się, że działa, choć była tak znana

jak dowcipy o blondynkach. Wszyscy o niej wiedzą, ale w nią wpadają. Zadziwiający fenomen! Teraz odczułem ten fenomen na własnej skórze i już niczemu się nie dziwiłem. Zrozumiałem, dlaczego prymitywna zasadzka nigdy nie zawodzi. Bo niepokój o bliską osobę targa człowiekiem z taką siłą, że zapomina on o własnym bezpieczeństwie i o całej reszcie. Strach wbija się w ciało jak rozpalony żelazny pręt, którym czyjaś bezlitosna ręka szarpie i obraca, co powoduje, że dosłownie traci się rozum; wiadomo przy tym, że jest tylko jeden sposób na przerwanie męczarni: pójść i przekonać się na własne oczy, że wszystko w porządku.

Mogę machnąć ręką na niebezpieczeństwo i pognać do szpitala. Ale jeśli coś mi się stanie, trzy osoby okażą się całkiem bezbronne. Trzy osoby – jedną z nich jest młoda kobieta Katia Iwannikowa, dwie pozostałe muszę namierzyć, jeśli chcę je uratować. Liczy się każda minuta, w każdej chwili może się zdarzyć nieszczęście. Za wszelką cenę trzeba odnaleźć te nic niepodważające osoby i przedsięwziąć środki potrzebne do ich obrony, bo Tani i tak teraz nie pomogę. Przy niej są lekarze, którzy zrobią, co do nich należy, a ze mnie nie będzie żadnego pożytku.

Oprócz niepokoju o Tanię dręczyło mnie poczucie własnej bezsilności. Miasto jest małe, i jeśli lokalni liderzy polityczni weszli w zмовę z obrońcami prawa, nic tu nie zwojuję. Jestem gliniarzem spoza układu, z lipnymi dokumentami i bronią bez zezwolenia. To znaczy samo zezwolenie oczywiście mam, ale wystawione na Stasowa, co potwierdza stosowna adnotacja w jego legitymacji służbowej. A Dmitrij Nikołajewicz Gałuzo nosi broń bez zezwolenia. I jeśli ktoś weźmie mnie w obroty i odkryje całą tę mistyfikację, będę miał nieprzyjemności od groma. Co innego, gdy prowadzę oficjalne dochodzenie, wtedy wszystkie moje zagrywki noszą nazwę kombinacji operacyjnych i przeprowadzane są tylko za wiedzą i zgodą kierownictwa; przynajmniej lipnym dowodem tożsamości możemy się posługiwać wyłącznie za pozwoleniem góry. Ale kiedy jestem na urlopie i uprzedziłem szefów o zamiarze przejścia na emeryturę, powinienem zachowywać się przyzwoicie i zgodnie z prawem. Nawiasem mówiąc, nie tylko ja dostanę po głowie za dowód Gałuzy, odpowie za to również Igorek Diwin, który go zdobył.

Chciałbym zobaczyć tego dupka, który pierwszy wymyślił historię o mądrym i uczciwym wywiadowcy, przyjeżdżającym do nieznanego miasta i w try miga demaskującym zuchwałą szajkę przestępczą. Ktoś wymyślił tę bajkę o Robin Hoodzie, a inni ją podchwycili i powtarzają w kolejnych książkach czy filmach. Wszystko to bzdury. Można być nie wiem jak mądrym i uczciwym, zostać nawet mistrzem olimpijskim w mądrości i uczciwości, a jednocześnie w karate i jujitsu, ale w obcym mieście nigdy nic się nie działo w pojedynkę.

Bo decydujące znaczenie ma wiedza, informacja, a nie pistolet czy napakowane mięśnie. W obcym mieście, gdzie wszyscy patrzą wilkiem na przybyszy z zewnątrz, gdzie nikt nie przyjdzie z pomocą ani nie poda niezbędnej informacji na tacy, samotny wywiadowca stoi na przegranej pozycji. A jak tylko zacznie podskakiwać, zaraz się znajdzie powód, żeby wytoczyć mu sprawę karną i posłać go za kratki. Wystarczy, że przyłoży komuś w gębę albo posiada broń bez odpowiedniego zezwolenia, i już po nim! Jeśli próbuje zrobić coś na obcym, wrogim terenie, musi sam zasięgać języka, zawierając znajomości i zdobywając informatorów. W tym celu jednak trzeba albo być niepozornym, przeciętnym i nie rzucać się nikomu w oczy, albo mieć dobrego, pewnego protektora. Żaden z tych warunków nie został spełniony, jako że na samym początku, nie kryjąc się, pogałem prosto na komisariat i przedstawiłem się komendantowi. Teraz już wiedziałem, że był to zastępca nadzorujący działalność operacyjno-dochodzeniową, krótko mówiąc, naczelnik dochodzeniówki. Sądząc z napływających do Moskwy komunikatów o jakichś obywatelach nie wiedząc czemu umierających albo tonących w tym słynnym miasteczku, również szef pełniący nadzór nad wydziałem operacyjnym nie został pominięty w podziale przyszłych zysków, które ma przynieść zmiana władzy. Tak więc alarmowanie milicji o niebezpieczeństwie grożącym jakimś bliżej nieokreślonym uczestnikom festiwalu było równoznaczne z próbą zatrzymania czołgu gołymi rękami.

Siedząc w tępych odrętwieniu w progu swej przypominającej barak klitki, doszedłem do smutnego wniosku, że nie mam żadnych widoków na zdemaskowanie dziwnego konglomeratu władz miejskich, mafii hazardowonarkotykowej, kombatantów i młodych chłopców. To, że chłopcy grali w tę grę z dużym zaangażowaniem, nie ulegało wątpliwości. I nie chodziło tylko o atletycznego Lochę albo tych nastolatków, których twarze utrwaliła widząca wszystko kamera Wiernigory. Przypomniałem sobie wyraźnie trzech wyrostków, którzy szli za nami ciemną ulicą w nocy, gdy wracaliśmy z Tatianą do domu po tym, jak została zabita Lusia Dowżuk. Zatrzymaliśmy się wtedy i zaczęliśmy całować, więc małolatom nie pozostało nic innego, jak wyminąć zakochaną parę. Niczego wówczas nie zacząłem podejrzewać, a przecież przez całą drogę rozmawialiśmy z Tanią o zabójstwach i o kasecie Wiernigory. Czy oni szli z tyłu i słuchali? Wygląda na to, że tak.

Muszę znaleźć ten szczegół, który łączy Olgę Dorienco, Ludmiłę Dowżuk, Olega Juskiewicza, Wiktora Babajana i wciąż jeszcze żywą Jekatierinę Iwannikową. Muszę go znaleźć, żeby namierzyć pozostałe osoby ze straszliwej czarnej listy i postarać się im pomóc. Trzeba to zrobić szybko. Zapomnieć o leżącej w szpitalu Tani, która teraz na pewno poddawana jest nieprzyjemnym zabiegom, i skierować całą uwagę na tajemniczą listę. To

jedyna sensowna i pożyteczna rzecz, którą mogę jeszcze zrobić w tym skorumpowanym do cna słonecznym uzdrowisku na południu kraju.

Przewyciężywszy ogarniającą mnie apatię, wstałem i wróciłem do pokoju. Rozłożyłem na stole foldery z filmografiami i zacząłem od nowa wczytywać się w teksty. Nie potrafiłem do końca się skupić, bo w czasie gdy tkwiłem jak kretyn na dworze, światło w pokoju przyciągnęło chmary komarów, które teraz swoim wstrętnym, świdrującym bzyčeniem informowały, co o mnie myślą. Ich ocena nie była pochlebna, i tylko to wówczas bardzo dobrze zrozumiałem.

Dokuczliwy dźwięk tuż nad uchem ciągle mnie rozpraszał i po głowie snuły mi się chaotyczne myśli. Kierowca z merostwa Zawarujew i emeryt Sokolnik... Mafioso z sąsiedniego miasta i szofer z merostwa... Emerycy i wyrostki... Starcy i dzieci... Starcy i dzieci...

Nagle zerwałem się jak oparzony. Mam! Szczegół, którego tak długo i bezskutecznie poszukiwałem, jawił się jak na dłoni. Chuligańskie i przestępcze wybryki „w tle” są wymierzone przeciw temu, co w oczach ludzi starszych stanowi brudny nałóg i zgorzenie. Plaża dla nudystów. prostytutki. Restauracja nocna z kasynem. Niesamowicie drogie ciuchy. Konkurs piękności, gdzie bezwstydnie obnaża się i nie mniej bezwstydnie ogląda i ocenia nogi, piersi, pośladki. Pięciogwiazdkowy hotel, gdzie płaci się parszywymi dolarami i mieszka nie z żoną albo z osobą tej samej płci, lecz z kochanką, a nocami figluje się w basenie i ogląda striptiz. Co jeszcze mogło wywołać gniew i zacieklą, niepohamowaną nienawiść ludzi patrzących na świat w ten specyficzny sposób? Czym mogli się im narazić artyści i reżyserzy? Tylko jednym: drwiną z armii radzieckiej i całej radzieckiej rzeczywistości. W swoich produkcjach filmowcy oczernili dzielnych żołnierzy, spaskudzili ideę patriotyzmu radzieckiego, sponiewierali wszystko, co jasne i piękne, w co przez całe życie wierzyli ci ludzie, czemu z oddaniem służyli i czego bronili.

Znowu wbiłem wzrok w leżące przede mną filmografie. Teraz wszystko się zgadzało.

Olga Dorienco – główna rola w filmie *Markietanka*. Zagrała w nim młodą kobietę, która w czasie wojny podąża za pułkiem i sypia ze wszystkimi za darmo, zwykle za dziękuję i kromkę chleba. Właśnie tak widzi swój udział w podnoszeniu morale naszych żołnierzy. prostytutka wojskowa.

Lusia Dowżuk – główna rola w filmie Wiktora Babajana *Kamuflaż*. Już sam tytuł wiele mówi: pod ładnymi hasłami kryją się brud, zdrada, drobne korzyści i mydlenie oczu. Widziałem ten film – był mistrzowski i ostry w swej wymowie.

Oleg Juskiewicz – główna rola w filmie *Żonobójca*. Jego bohater, pracownik KGB w czasach zastoju⁵, postanawia sprzedać się CIA, ale na drodze do tego celu stoją żona i dwie kochanki, które musi usunąć. Tak właśnie robi, wykorzystując do tego fachową wiedzę i nawyki zdobyte podczas pracy w KGB.

Jekatierina Iwannikowa – drugoplanowa rola w filmie Igora Litwaka *Samospalenie*, przedstawiającym bez osłonek, jak do zasadniczej służby wojskowej dostają się chłopcy z oligofrenią, upośledzeni umysłowo w stopniu lekkim, a nawet średnim, i co się z nimi dzieje. Katia zagrała rolę lekarki w oddziale sanitarnym pułku, kobietę niewyżytą seksualnie do tego stopnia, że kiedy ją „przypili”, staje się niepoczytalna jak narkoman na głodzie, gotowa zrobić wszystko, aby tylko ktoś ją niezwłocznie obsłużył. Jej aktywnym „leczeniem” zajmują się dowódcy kompanii i plutonów, a ona w zamian stawia lipne diagnozy nieszczęsnym żołnierzom, którzy są bici, poniżani, gwałceni popełniają i samobójstwa.

A zatem oprócz Kati Iwannikowej na czarnej liście na pewno figurował Igor Litwak. Dziesięć minut później znalazłem trzecią potencjalną ofiarę. Rusłan Kijko, znany publiczności jako Rusłan, homoseksualista o kobiecym wyglądzie, długich włosach i delikatnej, starannie wygolonej twarzy. W filmie *On i jego mąż* Kijko zagrał oficera, całkiem młodego, ciągle awansującego poza kolejnością, bo jego przełożony okazał się amatorem męskiej urody, a piękny jak malowanie podwładny nigdy mu nie odmawiał. Rusłan w tej roli był nad wyraz przekonujący i naturalny (to zresztą zrozumiałe), facet o orientacji heteroseksualnej nigdy nie zagrałby tak homoseksualisty, jak to się udało Kijce. Inny aktor przejaskrawiłby tę postać, próbując jakoś szczególnie wyeksponować kobiecość. A Rusłan nic nie udawał i niczego nie wymyślał, miał kobiecości tyle, ile trzeba. Grał główną rolę, jego opiekun pederasta został przedstawiony tylko w kilku drobnych epizodach, a cały film opowiadał o tym, jak w ciągu wielu lat zmieniała się psychika młodego wojskowego, który robił karierę w tak „niemęski” sposób. Reżyserem obrazu *On i jego mąż* był wspomniany Babajan, genialny alkoholik, niedościgły mistrz niuansów psychologicznych. Niestety o jego życie nie musiałem się już niepokoić.

⁵ Terminem „czasy/epoka zastoju” określa się w historii rosyjskiej dwudziestolecie, którego początek przypada na połowę lat 60. (dojście Breżniewa do władzy), a koniec wyznaczają reformy pierestrojki (potowa lat 80.). Za twórcę terminu uważa się Michaiła Gorbaczowa (przyp. tłum.).

Rozdział 12

Nie miałem pojęcia, gdzie znaleźć Siergieja Lisicyna o pierwszej w nocy, wizyta u niego w domu była ryzykowna: jeśli uznano go za wystarczająco niebezpiecznego, żeby wykluczyć z dochodzenia, to równie dobrze ktoś mógł obserwować, z kim się kontaktuje. Przez pierwsze dni po powrocie z Moskwy pozostawałem jeszcze Stasowem i nasze spotkania były ostentacyjnie jawne, bo tak przewidywał plan. Za to teraz wszystko się skomplikowało. Z jakiej racji jakiś Dmitrij Gałuzo miałby szukać po nocy posterunkowego Lisicyna?

Jedyną szansę stanowił telefon do Sierioży do domu. Opuściłem moją norę, wyszedłem na ulicę i skręciłem w lewo, chociaż idąc na prawo, szybciej dotarłbym do automatu. Z przyczyn oczywistych nie chciałem jednak przechodzić koło domu numer osiem.

Mój aniołek ze znużoną i niezadowoloną miną wyciągnął kolejny pechowy los, rzucił mi go w twarz i poszedł spać. Siergieja nie było w domu. Telefonu nikt nie odbierał, więc nie mogłem nawet poprosić, żeby mu przekazano, że pilnie go potrzebuję.

Pozostawało jedno: udać się jak najszybciej do hotelu, gdzie mieszkali filmowcy, i odszukać Borisa Rudina. Zatrudniał pracowników ochrony, no to niech zrobią w końcu coś pożytecznego.

Nocna balanga w hotelu trwała na całego. Minałem boczne wejście prowadzące z ogrodu do holu, przeszedłem koło ochroniarza, który posłał mi obojętne spojrzenie, i pomyślałem, że nie ma sensu liczyć na służbę ochrony Rudina. Nawet mysz się ich nie boi. Śpią na stojąco. Jedną z charakterystycznych cech naszych czasów stało się przeświadczenie, że jeśli już coś się robi, to za bardzo duże pieniądze, które z kolei są tylko po to, żeby je dostawać tak po prostu, za senną beczyność.

Rudina znalazłem w restauracji. Przy jego boku zasiadała oczywiście madame Mieziencewa w niesamowitej kreacji, całkiem odsłaniającej jej oszłamiające ciało. Zaczęło się pasmo niepowodzeń, więc musiałem pogodzić się z tym, że przeprawy z Ritą nie da się uniknąć. Naturalnie od razu mnie poznała, nic dziwnego, po tylu latach bliskiej zażyłości.

– Co się stało? – natychmiast zawołała przerażona. – Po co ta maskarada, Stasow? Dlaczego wróciłeś? Gdzie jest Lila?

Pytań padło trochę za dużo, i choć byłem uodporniony na humory Rity, zdenerwowałem się i pozwoliłem sobie na grubiaństwo. A jeśli nie na grubiaństwo, to przynajmniej na bycie źle wychowanym.

– Odwiozłem Lilę na daczę do Borzienkowa, nic jej nie jest – odparłem szybko i natychmiast przeniosłem wzrok na Rudina. – Borisie Josifowiczu, muszę z panem porozmawiać. W cztery oczy, to pilne.

Tak, Boria Rudin nie podobał mi się, ale jedno trzeba mu przyznać: nie był typem kury, która zanim coś zrobi, długo i bez sensu gdacze, bijąc się skrzydłami po bokach. Myślał rzeczowo i działał szybko.

– Siedź tutaj – rzucił w stronę Rity, wstając i dając mi znak, żebym szedł za nim.

Wygląda na to, że Ritulka jest bardziej przywiązana do prezesa koncernu filmowego RUNIKO niż on do niej. Zlekceważona, spurpurowiała na twarzy, ale zachowała obojętną minę, i nawet nie odwróciła głowy, żeby popatrzeć za nami.

Boris Josifowicz kroczył szybko i nie mogłem się nadziwić, skąd w takich krótkich nóżkach tyle energii. Był niziutki, mniejszy od Rity, nie mówiąc już o mnie i moich bez mała dwóch metrach, ale w odróżnieniu od wielu osób nikczemnej postury, nie wydawał się zakompleksiony czy złośliwy. Wcześniej nie miałem okazji, żeby go bliżej poznać, kiedyś ktoś nas sobie przedstawił na jakimś pokazie w Centrum Filmowym, kiedy chodziłem jeszcze na takie imprezy jako mąż Rity. Od razu mi się nie spodobał i to mocne odczucie nie opuszczało mojej wrażliwej duszy przez długie lata, spędzone zarówno w życiu małżeńskim, jak i po rozwodzie. Na dobrą sprawę nie potrafiłem stwierdzić jednoznacznie, co tak naprawdę zraziło mnie w Rudinie. Po prostu nie przypadł mi do gustu, i już.

Weszliśmy do ogromnego apartamentu prezydenckiego, składającego się z trzech pokoiów – salonu, gabinetu i sypialni. W salonie panował, delikatnie mówiąc, rozgardiasz: na stolikach stały butelki i brudne kieliszki, miseczki z resztkami orzechów i pestkami dawno zjedzonych owoców, z popielniczek wysypywały się niedopałki, mimo otwartych na balkon drzwi powietrze było przesycone zapachem dymu z papierosów i alkoholu. Najwidoczniej zabawa trwała do późna i skończyła się całkiem niedawno.

Nie zatrzymując się, Rudin przeciął salon i otworzył drzwi do następnego pokoju. Było tutaj ładnie, chłodno i czysto, przy oknie stało duże biurko, a przy ścianie miękkie, głębokie fotele. Boris poruszał się tak energicznie, że odniosłem wrażenie, iż w gabinecie są jeszcze jedne drzwi, które prowadzą dalej. Ale się pomyliłem, Boris podbiegł do jednego z foteli, gwałtownie zahamował i opadł nań, zakładając nogę na nogę, wskutek czego nogawka

spodni uniosła się, odsłaniając perłowszarą skarpetkę i smagłą, owłosioną kostkę. Coś podobnego, Ritka tyle razy powtarzała, że nie cierpi włochatych facetów!

– Słucham pana uważnie – powiedział, wyciągając papierosy i pstrykając zapalniczką.

– Muszę przyznać, że bardzo pan się zmienił, Władisławie. Zapamiętałem pana inaczej.

– No cóż, lata lecą – odrzekłem wymijająco. – Borisie Josifowiczu, mamy poważny problem. Trzeba pilnie odszukać Iwannikową, Rusłana i Igora Litwaka. Wszystko panu wytłumaczę, ale to zajmie trochę czasu, a liczy się nawet nie tyle każda minuta, ile sekunda. Znajdźmy ich najpierw, a kiedy będę pewien, że są cali i zdrowi, odpowiem na każde pańskie pytanie.

– A może zrobimy tak: wieczorem krzesła, a pieniądze rano?⁶ – zaproponował Rudin, popisując się swoją znajomością klasyki kinematografii radzieckiej.

– Pieniądze z góry.

– Rozumiem.

Poderwał się lekko z fotela, podbiegł do biurka i nacisnął przycisk interkomu.

– Gdzie są Litwak, Rusłan i Katierina? Znajdźcie ich szybko i przyprowadźcie natychmiast do mnie. Szybko, dziewczęta, ruszajcie się... Nie interesuje mnie to... Więc przyjdzie bez spodni. Dobra, do roboty. Nie, dopiero o dziesiątej, teraz powinni być jeszcze na miejscu.

– Co o dziesiątej? – zapytałem niespokojnie. – Gdzieś się wybierają?

– Tak, dostali jakąś niewielką chałturę na prowincji. Co pan tak na mnie patrzy, Władisławie? Czyżby pan nie wiedział, że aktorzy i reżyserzy ciągle łapią jakieś chałtury, szczególnie w czasie festiwali? Mają wtedy wolne od zdjęć, nigdzie się nie spieszą, a pieniądze za występy są całkiem przyzwoite. Wszyscy jeżdżą z koncertami. Zakończenie festiwalu i rozdanie nagród rozpocznie się jutro o ósmej wieczorem, więc aż do jutrzejszego popołudnia mogą się poświęcić napychaniu własnych kieszeni.

– Jada wszyscy troje?

– Owszem.

– I wszyscy w to samo miejsce?

– Zgadł pan. Co w tym takiego dziwnego?

– Kto jeszcze z nimi jedzie?

⁶ Cytowane powiedzenie pochodzi z przeniesionej na ekran w 1971 r. powieści I. Ufa i E. Piętrowa *Dwanaście krzesel* (1928). Pracujący w teatrze monter kradnie rekwizyty teatralne, by potem je sprzedać. Z nabywcą krzesel ustala kolejność transakcji: jeśli rano dostanie pieniądze, wieczorem przekaze krzesła. Powiedzenie żartobliwie używane jest przez osoby dobijające targu, ustalające kolejność działań (przyp. tłum.).

– Nikt, tylko Kijko, Litwak i Iwannikowa. Może wreszcie powie pan, o co chodzi. Krzesła dostarczyłem, proszę o pieniądze.

– Chwileczkę, Borisie Josifowiczu, jak to się stało, że wszyscy troje mają koncert w tym samym miejscu? Są bliskimi przyjaciółmi czy znaleźli sobie wspólną chałturę? Nie chcą się rozstawać?

– Ależ skąd, z jakiejś wsi zabitej dechami dostaliśmy telefon z prośbą, żeby przywieźć ich ukochanych aktorów Katię i Rusłana, a z nimi reżysera Litwaka. Że to niby ich idole, więc błagają, żeby zorganizować mieszkańcom spragnionym kultury spotkanie z ulubieńcami. To oczywiście zapadła dziura, cywilizacja tam nie dotarła, ale aktorzy są tak ambitni, że śmiech bierze. Wystarczy powiedzieć takiemu artyście, że jest idolem, a nie będzie jadł, spał i poleciał tam, gdzie diabeł mówi dobranoc, żeby tylko usłyszeć oklaski i poczuć zapach uwielbienia i akceptacji. Proszę nie zapominać, Władisławie, że artyści i reżyserzy filmowi są tego pozbawieni. W teatrze zarówno aktorzy, jak i reżyser co wieczór wychodzą na scenę i widzą przed sobą wdzięczną publiczność, co wieczór otrzymują swoją porcję zachwyty i podziękowań. A w filmie? Nie mają bezpośredniego kontaktu z publicznością, a przecież także potrzebują miłości widzów. Z tego powodu jeżdżą gdzie się da, nawet na drugi koniec kraju, nie zważając na niewygody podróży.

– Kiedy ich zaproszono?

– Dwa dni temu, jeśli się nie mylę. Teraz mamy już piątek. We wtorek rano ktoś zadzwonił i umówiliśmy się, że nasze gwiazdy pojedą w piątek, dadzą jeden występ, przenocują, w sobotę rano wystąpią w jeszcze jednej wsi, i na obiad będą z powrotem. Akurat zdążą odpocząć, doprowadzić się do porządku, żeby pojawić się o ósmej wieczorem w sobotę na zakończeniu festiwalu i wręczeniu nagród.

Tak. Czyli we wtorek rano. W poniedziałek wieczorem poleciałem z Lilą do Moskwy, więc uznano, że przestałem się plątać pod nogami i można działać dalej. Do końca festiwalu pozostało niewiele czasu, postanowiono zatem załatwić całą trójkę za jednym zamachem. Ciekawe, co wymyślili tym razem. Najprawdopodobniej wypadek samochodowy. Górzysta okolica, serpentyny... Samochód spadnie do przepaści i po kłopotach. Mój Boże, na czele tej grupy stoi chyba jakiś szaleniec. Ale czemu go kryją? Eliminację przedsiębiorców można zrozumieć, jest na rękę tym, którzy prowadzą rozgrywki polityczne. Ale usuwanie gwiazd filmowych? Co to może dać tym, którzy rwą się do władzy? Dlaczego pozwalają komuś bezkarnie zabijać, a nawet mu pomagają? Może za wszelką cenę chcą przerwać festiwal, żeby jakiemuś Rudinowi nie przyszło więcej do głowy urządzać w tym mieście imprez w światowym stylu? Przecież Rita tłumaczyła mi, że sponsorzy inwestują w festiwal ogromne

pieniądze, bo przynosi on kolosalne zyski. Właśnie z tego powodu sponsorzy nie pozwolili go zamknąć, pomimo kolejnych zabójstw. Okazali się ludźmi tak samo niemoralnymi jak przestępcy.

– Oczekuję teraz pańskich wyjaśnień, Władisławie. Co się właściwie stało?

– Widzi pan, Borisie Josifowiczu, podejrzewam, że tych troje ktoś chce zabić. Nie potrafię tego udowodnić, ale proszę, żeby uwierzył mi pan na słowo.

– Ma pan jakieś informacje? Rita powiedziała, że odrzucił pan moją propozycję, aby zająć się tymi zabójstwami...

– Tak, odrzuciłem, ale chodziło o to, że nie chciałem dla pana pracować. A zabójstwami jednak się zainteresowałem. Zna pan współczesne kino lepiej ode mnie, więc od razu pan się zorientuje: tamci czworo, którzy już zginęli, i ci troje mają związek z filmami, w których znieważa się wojsko i demaskuje panujące w nim porządki. Potrzebowałem dużo czasu, żeby na to wpaść, ale pan chyba nie musi przekopywać filmografii, żeby to sobie uświadomić.

– Chce pan powiedzieć, że za tymi zabójstwami stoi wojsko? – rzucił sceptycznie Rudin. – Trudno w to uwierzyć. Ma pan bujną wyobraźnię. Nie przekonał mnie pan.

– Borisie Josifowiczu, zostawmy w spokoju moją wyobraźnię. Mało panu czterech trupów? Chce pan piątego, szóstego i siódmego dla potwierdzenia moich słów? Wojsko nie ma z tą sprawą nic wspólnego. Zamieszani są w nią emerytowani kombatanci. Może jest ich kilku, a może tylko jeden, ale to straszny człowiek o chorej psychice, który nie może pogodzić się z nieodwracalnymi zmianami w światopoglądzie i moralności. Wykorzystuje młodzieżowy klub wojskowo-sportowy, żeby kształtować w młodych chłopcach uczucie nienawiści do grzechu i zepsucia i wychować ich na bojowników, zdolnych do każdego przestępstwa w imię świętej walki z brudem i rozwiązłością...

Moją płomienną mowę przerwał pijany głos, dobiegający z salonu:

– Boria, jestem! Szukałeś mnie? Boria! Gdzie się schowałeś?

Drzwi gabinetu stały otworem i w progu ukazała się zalana w pestkę Katia Iwannikowa. Nawet w takim stanie olśniewała urodą, czarny kostium ze spódniczką mini efektownie podkreślał jej jasnoblond włosy. Nogi w czarnych rajstopach nie były oczywiście tej klasy co nogi Margarity, ale im też nic nie mogłem zarzucić; ogromne zielone oczy spoglądały po prostu cudownie.

– O, dzień dobry – powiedziała na mój widok. – Borieczka, jest twoja Katia.

– Brawo. – Rudin skrzywił się. – Znowu się ubzdryngoliłaś. Zaczekaj w salonie, zaraz pogadamy. Tylko nie pij, zrób sobie przerwę.

Katia posłusznie się wycofała i przymknęła za sobą drzwi. Usłyszałem, jak ugięły się sprężyny fotela, potem rozległo się niedwuznaczne bulgotanie i pobrzękiwanie: Iwannikowa nalewała sobie drinka, w salonie, jak już powiedziałem, butelek nie brakowało. Z twarzy Rudina można było wyczytać, że też docierają do niego te dźwięki i budzą jego niezadowolenie.

– Więc co pan proponuje? – spytał, odwracając się znowu do mnie. – Nie puszczać ich na tę chałturę? Zamknąć w pokoju i postawić ochronę? Proszę wziąć pod uwagę, że aktorzy pana nie rozumieją. Pańskie argumenty nie dotrą do nich, tym bardziej że mnie też wydają się nieprawdopodobne.

Już miałem udzielić obszernych wyjaśnień, przywołując na pomoc całą swoją elokwencję, ale w salonie rozległy się męskie głosy. Jeden z nich należał do Igora Litwaka, pozostałych nie znałem.

– Nareszcie się zjawili – rzekł z westchnieniem Rudin. – No to chodźmy, zobaczymy, czy potrafi ich pan przekonać, żeby zrezygnowali z zarobku. Bardzo w to wątpię.

Podniósł się z fotela i postąpił krok ku drzwiom, ale zdążyłem schwycić go za rękę.

– Borisie Josifowiczu – powiedziałem cicho, ale z nieskrywaną złością – jeśli komuś z nich coś się stanie, nie zorganizuje pan więcej żadnego festiwalu. Obiecuję to panu. Pójdzie za panem opinia, że nie potrafi pan zapewnić bezpieczeństwa zaproszonym uczestnikom. Aktorzy, jak wiadomo, są przesądni, więc z taką reputacją daleko pan nie zajędzie. Wszyscy się dowiedzą, że pana ostrzeżono, ale nie podjął pan należytych starań. Proszę o tym pomyśleć.

– Szantażuje mnie pan? – spytał z uśmiechem Rudin. – Margarita mnie uprzedzała, że ma pan trudny charakter, ale nie przypuszczałem, że miała na myśli pańską skłonność do zastraszania. A jeśli się okaże, że pan mnie ostrzegł, ja zapewnię bezpieczeństwo tym trojgu, a zginie ktoś czwarty? Jak wtedy będziemy wszyscy wyglądali? Aha, mogę panu obiecać, że pańska reputacja nie wyjdzie z tego bez szwanku. Próbował pan wyjaśnić przestępstwo, niewłaściwie pojął pan jego przyczyny, wskazał pan nie tych ludzi, co trzeba, i w rezultacie śmierć poniosła kolejna osoba. Zamierza pan przecież, o ile dobrze rozumiem, odejść z milicji i zatrudnić się w prywatnym sektorze ochrony, tymczasem ja już dołożę starań, żeby o pańskiej wpadce wszyscy się dowiedzieli.

Tak, to nie przypadek, że Boris Rudin nie spodobał mi się od pierwszego wejrzenia.

– To znaczy, że pan mi nie wierzy?

– Niezupełnie, Władisławie. Nie wierzę w tę historię, którą mi pan opowiedział, nie wierzę, że będą jeszcze ofiary i że na pewno chodzi o Rusłana, Katierinę i Litwaka. Nie wierzę.

– Czy nie wydaje się panu dziwne, że wymieniałem te trzy osoby, a pan w odpowiedzi oznajmił, że właśnie one zostały zaproszone na spotkanie w jakiejś głuszy? Przecież to nie ja wymyśliłem, sam mi pan o tym powiedział. Czy według pana bywają takie zbiegii okoliczności?

– Czemu nie – uciał Rudin, otwierając szeroko drzwi do salonu.

Katia Iwannikowa siedziała na środku w otoczeniu trzech mężczyzn. Litwaka i Rusłana poznałem, trzeci mężczyzna, przystojny, szpakowaty brunet o kpiących oczach, nie był mi znany. Wszyscy czworo mieli w rękach kieliszki.

– Skąd ten raban? – spytał wyniośle Rusłan, z niezadowoleniem potrząsając długimi włosami. – Ostatni instruktaż przed występem? Nie pić, nie palić, nie pieprzyć się?

Rudin zignorował atak, nie spojrzawszy nawet w stronę słynnego homoseksualisty.

– Oleg Iwanowicz, cieszę się, że pana widzę – zwrócił się do bruneta. – Co za niespodzianka!

– Omawialiśmy akurat z Igorem Arkadjewiczem finansowanie jego nowego filmu, a tu nagle przybiega jakaś czarująca dziewczyna i przekazuje Igorowi, że ma się u pana pilnie stawić. Więc postanowiłem mu towarzyszyć. Mamy przecież jutro zakończenie festiwalu, trzeba przedyskutować parę kwestii.

– Oczywiście, oczywiście – kiwał głową Rudin. – Poznajcie się panowie. Sponsor naszego festiwalu. A to Władisław Stasow...

Rudin się zająknął, nie wiedząc, co powiedzieć dalej. Mojego otczestwa nie raczył oczywiście wymienić. Zresztą pewnie go nie znał.

Z ciekawością przyglądałem się Jurcewowi, był przecież jednym z tych, którzy nie pozwolili przerwać festiwalu pomimo tragicznych wydarzeń. Człowiek, który pieniądze ceni wyżej niż życie ludzkie. Pieniądze skądinąd są jego, ale śmierć spotyka innych. W dodatku ofiarom życia się nie przywróci, nie da się niczego cofnąć, a pieniądze dopiero zaczęły spływać...

Jurcew mocno uściśnął mi rękę i uśmiechnął się przyjaźnie.

– Miło mi pana poznać.

– Mnie również – mruknąłem.

– Moi kochani – odezwał się Rudin – zostańcie tu jeszcze chwilę. A Olega Iwanowicza i Władisława proszę do gabinetu.

Znowu znaleźliśmy się w gabinecie, ale tym razem Rudin usiadł w fotelu obrotowym przy biurku, a my z Jurcewem ulokowaliśmy się w fotelach pod ścianą jak goście honorowi.

– Pojawił się pewien problem – zagaił Rudin. – Oleg Iwanowicz obiecał nam samochód na dziesiątą, żeby odwieźć Katię, Igora i Rusłana na koncert.

– Owszem – przytaknął Jurcew. – Auto jest gotowe, wydałem dyspozycje. Potrzebuje pan czegoś jeszcze?

– Chodzi o to, że... Widzi pan, samochód najprawdopodobniej nie przyda się.

– Coś się stało?

Jurcew przeniósł pytający wzrok z Rudina na mnie.

– Nasze gwiazdy odmawiają wyjazdu do zapadłej dziury?

– Nie, to co innego. Pan Stasow usiłuje mnie przekonać, że nie powinni nigdzie jechać, bo jacyś zbrodniarze zaplanowali kolejne zabójstwo.

Rudin chrząknął zmieszany i rozłożył ręce, jakby mówił, że sam w to nie wierzy, a ten świr przyleciał tu w środku nocy i uparł się, żeby nie wypuszczał artystów z pokojów. Co poradzić z takim fantastą!

Jurcew był jednak nastawiony mniej sceptycznie.

– Można prosić o szczegóły? – spytał, patrząc na mnie uważnie.

Starałem się mówić tak zwięźle, jak tylko się dało, unikałem ciągłego napomykania o polityce i mafii, powiedziałem tylko o pewnym szaleńcu, który broni honoru wojska i socjalizmu radzieckiego. Jurcew nie przerywał mi i sądząc z jego twarzy, nie uważał moich słów za niedorzeczne.

– No cóż, sytuacja jest dość poważna – powiedział wreszcie, kiedy skończyłem. – Wyjazd trzeba odwołać, tutaj całkowicie się zgadzam. Co pan Stasow proponuje dla zapewnienia bezpieczeństwa?

Wzruszyłem bezradnie ramionami.

– Prawdę mówiąc, właśnie z tym przyszedłem do Borisa Josifowicza. Ma funkcjonariuszy ochrony...

– Dobrze wiem, ile warta jest ta jego ochrona – powiedział z uśmiechem Jurcew. – Nie mówię tego z wyrzutem, Borisie Josifowiczu, ale pańscy ludzie do niczego się nie nadają. Naprawdę nie wiem, kogo pan zatrudnił, ale nie dałbym za pańskich ochroniarzy złamanego grosza. Kto chce, może wejść do hotelu nawet nocą. Zresztą to nie moja sprawa. Czy sami aktorzy wiedzą o niebezpieczeństwie, które im grozi?

– Nie, jeszcze im nie mówiłem. Właśnie po to ich tu wezwałem... – odrzekł Rudin. – Ale jeśli mam być szczery, jakoś nie chce mi się w to wszystko wierzyć...

– No cóż, Borisie, ja też nie wierzę, ale zawsze lepiej dmuchać na zimne. Może pana nie interesuje własny wizerunek, ale ja o swój dbam. Diabeł nie śpi. Nie zawadzi zachować czujność.

Jurcew zamilkł i upił nieduży łyk z kieliszka, który przyniósł ze sobą z salonu i przez cały ten czas obracał w palcach.

– Pytanie, co im powiedzieć. – Oleg Iwanowicz znaczącym ruchem głowy wskazał drzwi prowadzące do salonu. – Wszyscy są wstawieni i nie tak szybko wytrzeźwieją, wątpię, czy dotrze do nich to, nad czym się zastanawiamy. Poza tym aktorzy są impulsywni i nieobliczalni. Zaczniemy tłumaczyć, że wisi nad nimi niebezpieczeństwo, a oni nie uwierzą i będą wszędzie się pałętać bez ochrony. Albo odwrotnie, uwierzą i tak się przestraszą, że od razu zaczną się pakować, żeby uciec stąd pierwszym samolotem.

– I bardzo dobrze – powiedziałem podekscytowany. – Im dalej stąd, tym lepiej. Niech się przestraszą i wyjadą.

– Nie rozumie pan. – Rudin wszedł mi w słowo. – Jurorzy zakończyli obrady, wszystkie nagrody zostały już przyznane, część członków jury wyjechała. Litwak jest przewodniczącym, musi wręczyć nagrody. Rusłan zdobył drugie miejsce za rolę męską. Katierina co prawda nic nie dostanie, ale bierze udział w uroczystości, scenariusz został już zatwierdzony, odbyły się próby. Wyobraża pan sobie, co będzie, jak oni wyjadą? Kto odbierze nagrodę Rusłana? Kto w ogóle będzie wręczał nagrody? Nie da się teraz zebrać jury w pełnym składzie, więc jego decyzje są nieodwołalne. Laureat powinien wyjść na scenę i osobiście odebrać nagrodę. To zasadnicza sprawa. Przecież nie będziemy wszystkim tłumaczyć, że Litwak i Rusłan Kijko przestraszyli się zagrożenia i uciekli. No i kto zastąpi Katierinę? Nie, nie i jeszcze raz nie. Nawet mowy nie ma, żeby nie uczestniczyli w gali zamknięcia festiwalu.

– Boris ma rację – łagodnie zauważył Jurcew. – Mam inną propozycję. Można powiedzieć, że program się nieco zmienił i trzeba wyjechać na spotkanie nie o dziesiątej, ale wcześniej rano, na przykład o siódmej albo nawet o szóstej. Zapakować ich do samochodu, zawieźć do mojego domku myśliwskiego i tam ukryć, a jutro tuż przed uroczystością przywieźć z powrotem. Teraz wszyscy troje są na bani i słabo kontaktują, więc nie ma sensu prowadzić z nimi poważnych rozmów, ale potem, kiedy dojdą już do siebie, można im wszystko wyjaśnić. Nawet jeśli przestraszą się nie na żarty, nie będą mieli wyjścia, domek myśliwski stoi w leśnej głuszy, nigdzie się nie ruszą bez samochodu. A stamtąd prosto na galę.

– To jest rozwiązanie – ożywił się Rudin. – Wspaniały pomysł. Tak zrobimy.

Ulga, która odmalowała się na jego smagłej twarzy, świadczyła o tym, że chętnie zrzucił z siebie ciężar podjęcia decyzji. Jeśli coś się stanie, winien będzie nie on ze swoją cholerną ochroną, ale Jurcew. Jeśli nic się nie wydarzy, inicjatorem wyjazdu do domku myśliwskiego znowu będzie Jurcew, nieszczęsny asekurant. Dla Bori Rudina sprawy przybrały nadzwyczaj pomyślny obrót, a ja znów pomyślałem, że facet okropnie mi się nie podoba. Dobra, najważniejsze to wywieźć stąd naszą trójkę, emocje można zostawić na starość.

Staliśmy z Rudinem przed wejściem do hotelu i patrzyliśmy, jak odjeżdża ford scorpio z Igorem Litwakiem, Jekatieriną Iwannikową i Rusłanem Kijką. Minione dwie godziny były całkiem zwariowane, kapryśne gwiazdy nie mogły ani rusz zrozumieć, dlaczego muszą jechać o tak obłędnie wczesnej porze. Potem udały się do swoich pokoi, żeby się spakować, ale ponieważ nie mieszkały same, nie obeszło się bez sporego zamieszania: mimo trwającej w każdym pokoju libacji trzeba było znaleźć klucze. Z jakiegoś powodu w środowisku filmowców nie przyjął się dobry zwyczaj oddawania kluczy do recepcji. Klucze od pokoi przechodziły z rąk do rąk z niekończącymi się pouczeniami: tego nie ruszać, tamtego nie przewieszać, z tego nie korzystać, tego nie włączać, a jeśli zadzwoni Iwan Iwanycz, powiedzieć mu to i to i pod żadnym pozorem nie mówić mu tego i tego. W trakcie przygotowań do podróży i poszukiwań współmieszkańców nasi podopieczni raz po raz strzelali sobie kielicha, wszędzie wdawali się w pogaduszki i w ogóle nigdzie się nie spieszyli, a ja się szarpałem, liczyłem sekundy i marzyłem tylko o jednym: jak najprędzej wyprawić ich z hotelu i chociaż dwie godziny się przespać. W końcu o wpół do szóstej rano odjechali i wtedy mi trochę ulżyło.

Obudziło mnie słońce świecące prosto w oczy. Wreszcie skończyła się pochmurna pogoda, teraz męczące upały dadzą się znowu we znaki. Czując tępy ból w zdrętwiałej szyi, otworzyłem oczy i zdałem sobie sprawę, że zasnąłem w fotelu u Rudina, w jego zastawionym butelkami, zadymionym salonie. Zegarek pokazywał za kwadrans siódmą, spałem najwyżej godzinę.

Z gabinetu dobiegł mnie przytłumiony kobiecy głos. Natężyłem słuch i rozpoznałem swoją byłą małżonkę. Z urywków wypowiedzi, które do mnie docierały, domyśliłem się, że omawiają z Rudinem kwestię, gdzie Rita ma dzisiaj spać, tutaj czy w swoim pokoju. Ciekawe, w kim obudziło się poczucie przyzwoitości, w Rudinie czy w Margaricie?

Wstałem, starając się narobić jak najwięcej hałasu, i w jednej chwili w progu salonu pojawił się Boris z zakłopotanym wyrazem twarzy. Czyżby sądził, że nie wiem o jego relacjach z moją eks? Może Ritka jemu też namieszała w głowie opowieściami o chorobliwej zazdrości byłego męża i wiecznej miłości, którą do niej płonie?

– Bardzo przepraszam, że tak tu padłem, pewnie przeszkadzam – powiedziałem całkiem przyjaźnie. – Zgodnie z festiwalowym rozkładem zajęć najwyższy czas, żeby kłaść się spać, więc chyba się już pożegnajmy.

Rudin anemicznie uściskał mi rękę, a zawstydzona Margarita nawet nie wyściubiła nosa z gabinetu.

Zszedłem do holu na parterze i od razu natknąłem się na Giennadija Goldmana, pracownika komitetu organizacyjnego festiwalu, faceta, który czekał na spóźniającą się na konferencję prasową Olgę Dorienko. Wygląd miał rześki i świeży, najwyraźniej nie zamierzał iść spać. Goldman siedział w fotelu pod palmą i męczył się nad jakimiś listami, które rozłożył przed sobą na niskim, kwadratowym stoliku. Nie poznał mnie, ale mimo to był życzliwy i rozmowny.

– Dzień dobry – powiedziałem, przysiadając się do niego. – Wszyscy poszli do łóżek, a pan pracuje? A kiedy znajdzie pan czas na odpoczynek?

Oderwał się od papierów i słodko się przeciągnął, puszczając przy tym do mnie oko.

– Uśmieje się pan, ale odpoczywam w nocy. A tak poważnie, to przecież jutro kończy się festiwal i już dzisiaj zaczynają zjeżdżać dziennikarze, muszę ich powitać i załatwić akredytacje, no i zadbać też, żeby nie dostali jej ci, których nie lubimy.

– Ale jest ich przecież pełno – rzuciłem zdziwiony. – Czy w Rosji znajdzie się choć jeden dziennikarz, który tu nie przyjechał?

– O!

Goldman zrobił wyraźny ruch palcami obu rąk, świadczący o niezmierzonej liczbie pismaków, którzy dotychczas nie zjechali jeszcze na błogosławioną ziemię południa.

– Ci, co przewalają się tu od samego początku, stanowią jakieś czterdzieści procent tych, którzy zamierzają napisać o festiwalu. No i jeszcze z dziesięć procent przyjechało po śmierci Oli i Lusi. Pozostali pojawią się na zakończeniu. I jeśli nie chcemy awantury, i zależy nam na tym, żeby wszystkie gazety zwróciły uwagę na wysoki poziom organizacji festiwalu i zamieściły hymny pochwalne, między innymi na cześć Rudina i sponsorów, to wszyscy przedstawiciele prasy, radia i telewizji powinni opuścić lotnisko samochodami i wszyscy powinni czuć się tu jak w domu. Czyli powinni mieć wygodne pokoje, smaczne jedzenie w restauracji i widzieć uśmiech na twarzach obsługi. A nieszczęsny Żyd Goldman musi to

wszystko zapewnić. Przypuśćmy, że zorganizuję sto miejsc w pokojach i sto porcji gorących posiłków, przypuśćmy, że sponsorzy dadzą z dziesięć samochodów, ale skąd ja im wezmę tyle uśmiechów? Zostałem sam na placu boju, a pozostali będą sobie ciąć chrapickiego przynajmniej do drugiej.

Mimika Goldmana była tak ekspresywna, że wybuchnąłem śmiechem pomimo zmęczenia.

– Całe szczęście, że sponsorów macie bogatych. Dzisiaj poznałem jednego, nazywa się Jurcew.

– Oleg Iwanowicz? O, to bardzo wyrazista postać. Biografię też ma bogatą. Można by o nim film nakręcić. Proszę sobie wyobrazić, że jeździł jako kierowca w wyścigach samochodowych, na zawodach uległ poważnemu wypadkowi, cały się połamał. Musiał oczywiście porzucić sport, przez kilka lat tułał się po szpitalach, a potem dostał się do Centrum Dikula⁷, odżył... Słucha mnie pan?

Rzeczywiście go nie słuchałem. Rajdowiec. Kierowca. Woźnica... Boże, ale ze mnie kretyn!

Zerwałem się z fotela i rzuciłem do telefonu w recepcji. Mój Anioł Stróż chyba się dobrze wyspał i wziął do roboty w dobrym nastroju, w każdym razie o siódmej rano zastałem Sieriożę Lisicyna w domu. Ponieważ moje incognito przestało już być tajemnicą, poprosiłem go, aby niezwłocznie pojechał do szpitala, dowiedział się, co z Tanią, i jak najszybciej wracał. Pozostałe dyspozycje nie nadawały się do przekazania przez telefon, nie byłem bowiem sam w holu hotelowym.

Odłożywszy słuchawkę, popędziłem jak wariat na piętro i zacząłem walić w drzwi apartamentu prezydenckiego. Minęło zbyt mało czasu, żeby Rudin i Rita zdążyli zasnąć, muszą mnie usłyszeć. Po chwili drzwi się szeroko otworzyły i Rudin w krótkim płaszczu kąpielowym, wysoko odsłaniającym jego lekko krzywe, owłosione nogi, spojrzał na mnie ponuro, stając w progu.

– Co znowu? Myślałem, że już pana stąd wywiało.

Bez żadnych ceregieli wepchnąłem go do środka i zatrzasnąłem za sobą drzwi.

– Gdzie jest Jurcew?

– Wyjechał. Na co on panu?

– Dokąd wyjechał?

⁷ Centrum Rehabilitacyjne dla Osób po Urazie Rdzenia Kręgowego i z Mózgowym Porażeniem Dziecięcym w Moskwie, założone w 1988 r. przez Walentina Dikula, znanego lekarza, który będąc artystą cyrkowym, w 1967

– A skąd mam wiedzieć? Pewnie do domu. Ale co się stało?

– Gdzie mieszka? Ma pan jego telefon?

– Proszę posłuchać...

– Borisie Josifowiczu, tracimy czas. Niech pan natychmiast dzwoni do Jurcewa.

Rudin wzruszył ramionami i podszedł do stojącego w salonie telefonu.

– Nikt nie odpowiada.

– Proszę zadzwonić do biura, z pewnością ma pan wszystkie numery, więc niech pan dzwoni wszędzie. Trzeba go pilnie znaleźć.

Spojrzałem w przelocie na wiszące na ścianie duże lustro i przestałem się dziwić, że Boris nie zadawał więcej pytań, lecz posłusznie wykręcał kolejne numery. Z lustra patrzył na mnie ziemistoszary, zarośnięty świr o błyszczących oczach i z takim wyrazem twarzy, jakby trzymał w rękach siekiere i zamierzał rąbać wszystko jak leci.

– Nikt się nie zgłasza – powiedział Rudin, odsuwając telefon. – Może wyjaśni mi pan...

– Dokąd ich wysłał? Gdzie jest ten jego cholerny domek myśliwski?! – ryknąłem.

– Nie wiem... Naprawdę nie wiem.

Opadłem na fotel i chwyciłem się za głowę.

– Miał pan rację, Borisie Josifowiczu, jestem królem idiotów. Najwyższa pora, żebym przeszedł na emeryturę. Razem wyprawiliśmy trzy osoby na pewną śmierć.

– Co pan plecie? – oburzył się Rudin. – Jest pan przemęczony. Oleg Iwanowicz zrobi wszystko, żeby zagwarantować im bezpieczeństwo, może pan być pewien.

– Jestem pewien, że zrobi wszystko, żeby ich sprzątnąć.

– Pan zwariował! Jakże ma pan podstawy...

Drzwi sypialni uchyliły się i z pokoju wypłynęła Margarita w peniuarze.

– Co się dzieje? – spytała surowo. – Władik, o co chodzi?

– O nic – odpaliłem.

Do pełni szczęścia jeszcze jej tutaj brakowało.

– Co pan wie o Jurcewie? Co to w ogóle za człowiek, skąd się wziął? Jak trafił na listę pańskich sponsorów?

Okazało się, że Rudin wie o nim niewiele. Jurcew to świetnie prosperujący, niesłychanie bogaty biznesmen i mecenas. Stoi na czele firmy „Łada”, tej, która zorganizowała rejs po Morzu Czarnym. Kiedyś był sportowcem, kierowcą rajdowym. Jako

r. doznał urazu kręgosłupa i opracował własną metodę rehabilitacji. Obecnie kliniki Dikula działają w Rosji, Izraelu, Niemczech i Polsce (przyp. tłum.).

sponsora polecilo go Rudinowi merostwo miasta, pół roku temu, kiedy odbywały się pierwsze spotkania w sprawie organizacji festiwalu. I to właściwie wszystko.

– Czyli tak, Borisie Josifowiczu – powiedziałem stanowczo – trzeba wysłać kogoś do domu i do biura, niech siedzi i czeka, póki się Jurcew nie zjawi.

– No a potem?

– Trzeba się dowiedzieć, dokąd zawiózł Katię, Rusłana i Igora. Wymyślcie jakąś wiarygodną historię, że na przykład przyszedł telegram od żony Litwaka, bo jedno z dzieci jest ciężko chore, więc Igor musi natychmiast lecieć do Moskwy. Chwyta pan?

– Ale nie rozumiem...

– Pan nigdy niczego nie rozumie – wrzasnąłem ze złością. – Bierze pan pieniądze od człowieka, o którym nic pan nie wie, i powierza mu życie trzech uczestników festiwalu, za których nawiasem mówiąc, sam pan odpowiada. Chce pan, żeby wszystko było ładnie, pięknie. By przypadkiem nie obrazić dzianych sponsorów, nie utrudnia pan życia miejscowej milicji i nie żąda, aby z Moskwy przyjechała grupa specjalna i znalazła zabójcę czterech osób. Nic pan nie rozumie, bo nie chce pan rozumieć. Sponsorzy obiecali panu pieniądze, jeśli doprowadzi pan festiwal do szczęśliwego końca i nie pozwoli go zamknąć? Podziela się z panem swoimi zyskami? Pańscy ochroniarze to przedszkolaki, bo szkoda panu pieniędzy, żeby zatrudnić prawdziwych fachowców, więc zebrał pan tu swoich przyjaciół i ich krewnych, których marnie pan opłaca, a oni z kolei nic nie robią, urządzili sobie wczasy nad morzem. Kieruje panem chciwość, jest pan starym głupcem z klapkami na oczach, któremu nie chce się palcem kiwnąć. Pański Jurcew to zatwardziały przestępca, trzyma w garści biznes narkotykowy na całym wybrzeżu, ale władze lokalne go nie ruszają, bo dzięki niemu kwitnie hazard, całkiem legalny, w setkach kasyn przewalają się tłumy bogatych nierobów, a Jurcew wpłaca do kasy miejskiej takie podatki, że urzędnicy żyją jak u Pana Boga za piecem. A to, że Jurcew ma mnóstwo lewej, nieopodatkowanej forsy, nikogo nie interesuje. Kupił tutaj wszystko, jest carem i bogiem, a pan, Rudin, liże mu tyłek i jest tym zachwycony.

Wyrzuciłem z siebie cały swój gniew i odetchnąłem. Chyba okazałem się nieparlamentarnym chamem, w dodatku przy Ricie... Niedobrze. Rudin stał nieruchomo, z twarzą wykrzywioną wściekłością.

– Krótko mówiąc, niech pan wyśle ludzi i dowie się, gdzie jest ten domek myśliwski. Może pan stanąć na uszach, ale za wszelką cenę niech pan zdobędzie tę informację. Czasami w takich wypadkach najlepiej jest obić komuś głowę, ale wątpię, czy pańscy ludzie to potrafią. Jeśli będę potrzebny, jestem na dole, w holu.

Opuściłem pokój, starając się zachować spokój i nie trzaskać drzwiami. Musiałem ochłonać.

Sierioża Lisicyń zjawił się po jakichś czterdziestu minutach. Towarzyszył mu Jura Mazajew. Na szczęście Tatiana miała się lepiej, była jeszcze bardzo słaba, ale nie groziło jej żadne niebezpieczeństwo. Mazajewowi i Irocze też zrobiono badania, ale w ich organizmach nie stwierdzono trucizny. Oboje całą noc przesiedzieli na korytarzu koło izby przyjęć, bo Jura postanowił, że nie wróćą do domu. Wyciągnął właściwe wnioski i wołał nie ryzykować. W szpitalu znalazł ich Lisicyń, który pobiegł tam na moją prośbę. Teraz Mazajew wrócił z Sieriożą, a Irocza została przy Tatianie, żeby się nią opiekować.

Poprosiłem Siergieja, żeby najpierw zasięgnął języka o kierowcy Zawarujewie i emerycie Sokolnikowie, potem poszukał odpowiedzi na proste pytanie, kim jest Oleg Iwanowicz Jurcew.

– Jurcew? – Lisicyń się uśmiechnął. – To mafioso. Wszyscy o tym wiedzą, ale nic nie mogą zrobić. Nie mają do czego się przyczepić. A może nie chcą. Księgowość ma w idealnym porządku, z pozoru jest czysty jak łąza. Zawarujewa też znam, to rodzony brat Jurcewa, mają wspólną matkę. Jurcew jest starszy, z pierwszego małżeństwa, a Zawarujew młodszy, z drugiego. Stąd różne nazwiska. Kostia Zawarujew służy braciszkowi na dwóch łapkach, ale na żadnym kancie nikt go nigdy nie złapał. To nie ma sensu, Władisławie Nikołajewiczu, nawet jeśli Jurcew wpadnie, i tak się wywinie. Kto by się odważył wystąpić przeciwko niemu? Chyba tylko taki palant jak ja, który jako posterunkowy upadł tak nisko, że nic go już nie czeka. Chyba że własny pogrzeb.

– Wiesz, gdzie mieszka Zawarujew?

– Jasne.

– Jedziemy – zarządziłem.

Zapakowaliśmy się w trójkę do samochodu Sierioży i pognaliśmy do mieszkania Konstantina Zawarujewa. Naiwnością byłoby oczekiwać, że los się do nas uśmiechnie. I słusznie, bo wyciął nam paskudny numer. Okazało się, że Zawarujewa nie ma w domu.

– Wyjechał – oświadczyła ze zdziwieniem żona, młoda kobieta w zaawansowanej ciąży, na oko w ósmym miesiącu.

– Dokąd?

– Nie mam pojęcia. Do pracy. Nie było jeszcze szóstej, gdy ktoś do niego zadzwonił. Od razu zaczął się zbierać.

– Dawno wyjechał?

– Z dziesięć minut temu.

– Swoim samochodem?

– Gdzie tam, służbowym. Nigdy nie odstawia auta na noc do garażu, zawsze przyprawdza je do domu na wypadek, gdyby szef go pilnie potrzebował i żeby nie tracić czasu... Bo zanim dostałby się do garażu, obudził stróża...

– Trzeba powiadomić milicję, niech przekażą jego zamiary do wszystkich punktów kontroli GAI⁸ – rzekł zgryziony Lisycyn po wyjściu z domu Zawarujewa.

– W żadnym razie. – Pokręciłem przecząco głową. – Sam przecież powiedziałeś, że wszystko jest ustawione, ludzie kupieni. Twój szef od razu się dowie, że szukasz samochodu Zawarujewa. Domyślasz się, czym to się skończy?

Siergiej uruchomił silnik i ruszył. Na jego twarzy malował się wyraz zakłopotania, ale zauważyłem, że przez te kilka dni naszej znajomości facet zmężniał i wydorósł. Zmarszczki koło nosa i ust wyraźniej się zarysowały, policzki się zapadły, uwydatniając kości. Lisycyn milczał chwilę, a potem wymamrotał:

– Czemu nie, jest równie dobry jak inne.

Co oznaczał ten zagadkowy zwrot, nie wyjaśnił.

Po kilku minutach zaparkowaliśmy koło budynku Opery.

– Wujku Pasza – Lisycyn zwrócił się do woźnego w podeszłym wieku – muszę zadzwonić, ale bez świadków. Służbowo.

W orkiestrze grały matka i siostra Sierioży, widać wujek Pasza dobrze go znał.

– Chodźmy – powiedział, biorąc ze stołu okazały pęk kluczy. – Mamy tu pewne wygodne miejsce.

Powiódł nas marmurowymi schodami do niedużego, ale bardzo ładnego holu, z którego wchodziło się do dyrektorskiej łoży. Stały tu miękkie fotele, telewizor i mnóstwo roślin w ogromnych ceramicznych donicach. Był też oczywiście telefon.

Siergiej zaczekał, aż za wujkiem Paszą zamkną się drzwi, wyjął notes i wykręcił numer.

– Żenia? Cześć, tu Lisycyn. U mnie kiepsko, Żeńka, mam kłopoty. Ktoś zwinął mi samochód... Pół biedy, gdyby był mój. Pożyczony. Wyprosiłem w merostwie mercedesa z niezłym silnikiem, żeby pozalatawać sprawy służbowe, wysiadłem na minutę po fajki, i wtedy go gwizdnęli... Ja właśnie z tym do ciebie. Nie chcę oficjalnie zgłaszać kradzieży, bo rozpęta

⁸ GA! (Gosudarstwiennaja awtomobilnaja inspiekcija) – policja drogowa (przyp. tłum.).

się prawdziwe piekło. Może dasz znać chłopcom na punktach kontroli? Nie, nie, zatrzymywać nie muszą, coś ty, przecież wtedy wszyscy się dowiedzą, że rąbnęli mi furę. Niech tylko powiedzą, w jakim kierunku pojechał, to sam go po cichu znajdę, bez niepotrzebnej afery. Naprawdę mi pomożesz? Będę twoim dozgonnym dłużnikiem, Żenia. Zapisz numer: A 255 FK, mercedes, grafitowy metalik. I zaraz do mnie oddzwoń, podam ci telefon...

Siergiej nachylił się, żeby odczytać z karteczki wsuniętej z przodu aparatu numer telefonu łoży.

– Załatwione – westchnął, odchylając się na miękkie oparcie obitego pluszem fotela. – Pozostaje tylko czekać na informację, obok którego posterunku GAI pokaże się Zawarujew. Później sobie poradzimy.

Popatrzyłem na Jurę Mazajewa, po wczorajszych wydarzeniach i bezsennej nocy twarz miał szarą jak popiół.

– Sierioża, my się trochę prześpimy, dobrze? – spytałem, marząc tylko o tym, żeby zamknąć oczy.

Zbyt dużo wszystkiego zważyło się w ostatnim czasie. Wybuch, z którego cudem uszła z życia moja ukochana malutka córeczka. Podróż do Moskwy i z powrotem. Spotkania z informatorami. Żorik i Tola Guszczinowie. Atletyczny Locha. Dziadek z listą. Tatiana. Dzisiejsza noc... Muszę choć trochę odpocząć, odzyskać siły, bo jeśli nam się uda i Zawarujew przejedzie koło jednego z tych punktów, do którego dodzwoni się przyjaciel Sierioży Lisicyna, to czeka nas jeszcze sporo nerwów, pościg, może nie obejdzie się też bez strzelaniny.

Senne zmęczenie wciągało mnie jak ruchome piaski...

Rozdział 13

Zasnąłem tak mocno, że nawet nie usłyszałem dzwonka telefonu. Obudziłem się, gdy Jura Mazajew zaczął mnie tarmosić.

– Sława! Zbudź się, Sława, musimy jechać.

Z trudem podniósłszy ciężkie powieki, zobaczyłem Sieriożę Lisicyna, który pochylał się nad rozłożoną na stole mapą.

– Kilka minut temu samochód Zawarujewa jechał tą drogą – powiedział w zamyśleniu, wskazując ołówkiem miejsce na mapie. – Prowadzi do parku narodowego, miejmy nadzieję, że nigdzie się nie rozwidla.

– Myślisz, że go dogonimy? – spytałem z powątpiewaniem.

– Raczej nie. – Sierioża pokręcił głową. – Dzieli nas zbyt duża różnica czasu, w dodatku Zawarujew też był kiedyś kierowcą rajdowym, brał udział w wyścigach razem z bratem. Szanse są nikłe, nie ma co nawet marzyć.

– A jak... – zaczął Jura Mazajew, ale przerwałem mu:

– W porządku. Jeśli Zawarujew wyruszył z domu prawie godzinę po ich odjeździe z hotelu, to znaczy, że nie chodzi o sfirowanie wypadku samochodowego, lecz o coś innego. To się stanie tam, w domku myśliwskim. Więc musimy jak najprędzej odszukać to miejsce, a czy dogonimy Zawarujewa, nie ma już znaczenia. Sierioża, czy w tutejszej milicji jest chociaż jeden przyzwoity człowiek, któremu można zaufać?

– Pasza Jakowczik – odparł natychmiast. – Niczym się nie interesuje, nic mu się nie chce robić, bo myślami jest już gdzie indziej. Poza tym to uczciwy chłopak i przyzwoity do szpiku kości, może mi pan wierzyć.

– A czy ten przyzwoity chłopak coś potrafi? Biegać, skakać, strzelać, bić się? Czy tylko umie być przyzwoity? – spytałem, nie ukrywając ironii.

– Niech pan da spokój, Władisławie Nikołajewiczu, suchej nitki nie zostawi pan na nas – zauważył Siergiej z uśmiechem.

Gdy dwadzieścia minut później pruliśmy na pełnym gazie w stronę parku, w samochodzie było nas już czworo. Paszę Jakowczika dosłownie wywlekliśmy zza biurka, a właściwie zrobił to Jura Mazajew, bo ani ja, ani Sierioża Lisicyn nie chcieliśmy się pokazywać w komisariacie. Teraz mogłem przyjrzeć się Jakowczikowi bliżej i podczas gdy

Sierioża wyjaśniał mu pokrótce istotę naszego zadania, oddałem się studiowaniu jego piegowatej twarzy, odnotowując w pamięci lekko zadarty nos, a także niesforne wicherki na głowie. Kiedy Lisicyń wspomniał o Jurcewie, Pasza wybuchnął:

– Zwariowaliście?! Rozum wam odjęło?! Przecież niedługo zaczynam pracę w ochronie banku, który kontroluje Jurcew. Chcecie mi podłożyć świnię? Jeśli on się dowie, że kombinowałem coś przeciwko niemu, wylecę z roboty na zbity pysk. Nie, panowie, działajcie beze mnie. Ja w to nie wchodzę.

Sierioża z niewzruszonym spokojem pokonywał ostre zakręty na drodze, wijące się wokół wysokiej, porośniętej drzewami góry; jakby nie słyszał pełnych oburzenia krzyków Paszy.

– Musimy zachować przytomność umysłu i szybko odstawić z powrotem aktorów i reżysera, tak żeby nikt się nie domyślił, że coś podejrzewamy – ciągnął, nie odrywając uważnego spojrzenia od serpentyny. – Jurij Siergiejewicz i Władisław Nikołajewicz wyjadą stąd, a my z Pawlikiem będziemy musieli dalej tu żyć, więc nie ma co robić sobie wrogów. Na razie – dodał. – A potem zobaczymy.

Jakowczik trochę się uspokoił. Humor wyraźnie mu się poprawił, gdy usłyszał, że Lisicyń rozsądnie kombinuje i nie puszcza wszystkiego na żywioł.

– Na czterech mamy trzy spluwy, ale użyjemy ich tylko w razie bezwzględnej konieczności – powiedziałem. – Wszystko musi się odbyć pod pozorem pilnego wyjazdu Litwaka do Moskwy z powodu ciężkiej choroby dziecka. Trzeba przy tym tak to urządzić, żeby Rusłan i Katierina postanowili wrócić razem z nim. Zawarujew nie powinien się domyślić, że ratujemy ich przed zabójcą, to znaczy najprawdopodobniej przed nim. Zresztą może zabójcą jest kto inny, a Zawarujew został wezwany tylko do pomocy i ochrony. Tego dowiemy się na miejscu. Najważniejsze, żebyśmy zdążyli, zanim się zdarzy nieszczęście.

Dzień zapowiadał się upalny. Kiedy szedłem w nocy do hotelu, narzuciłem na koszulę lekką kurtkę, bo było chłodno, a poza tym musiałem ukryć kaburę z pistoletem. Teraz nie mogłem z tego powodu zdjąć kurtki i myślałem smętnie, że będę musiał się pocić z takim kłopotliwym ekwipunkiem.

Droga się skończyła. Minęliśmy punkt kontroli GAI, obok którego przejeżdżał samochód Zawarujewa.

– Odtąd nie wolno nam się pomylić – stwierdził poważnie Lisicyń. – Obserwujcie wszystkie zakręty i odgałęzienia, za każdym razem będziemy musieli wysiadać i oglądać ślady opon.

Stary samochód trząsł się i zachodziła obawa, że lada chwila się rozpadnie, silnik miał za małą moc, ale całym wysiłkiem woli usiłowałem opanować niepotrzebne zdenerwowanie. Innego samochodu nie było, a jechać musieliśmy. Kilka razy zatrzymywaliśmy się, żeby sprawdzić, gdzie pojechał mercedes Zawarujewa. Przy naszej śmiesznej prędkości nie mogliśmy pozwolić sobie na to, żeby przeoczyć właściwą drogę, zawracać i tracić czas. Wyobraźnia usłużnie podsuwała mi rozdzierające obrazy męczeńskiej śmierci, która zaskoczyła trzy bezbronne osoby w domku myśliwskim zagubionym gdzieś w lesie. A my się straszliwie spóźnialiśmy...

– Jest – powiedział nagle Mazajew.

Rozejrzałem się, ale prócz gęsto rosnących drzew po obu stronach leśnej drogi niczego nie zauważyłem.

– Co? – spytałem zdziwiony.

Siergiej zwolnił i też zaczął się rozglądać.

– Nic tutaj nie ma, Juriju Siergiejewiczu, o czym pan mówi?

– Gdzieś w pobliżu są ludzie.

– Skąd ci to przyszło do głowy? – spytałem zdziwiony.

– Nie wiem. Tak czuję. Nauczyłem się tego w Afganistanie. Sam nie wiem, na czym to polega, dokoła kamienie i piasek, ani żywej duszy, a potem nie wiadomo skąd pojawia się przeświadczenie, że niedaleko jest ktoś żywy. Nie ptak, nie zwierzę, tylko człowiek.

Lisycyn wyłączył silnik i wysiadł. Zostaliśmy w samochodzie, z napięciem wpatrując się w otaczające nas listowie.

– Zgadza się – powiedział Sierioża, otwierając drzwiczki i siadając za kierownicą. – Przez gałęzie widać domek. Zostało jeszcze jakieś dwieście metrów.

Tę odległość pokonaliśmy w żółtym tempie. A może tak mi się wydawało, bo byłem wzburzony i drżałem z niecierpliwości? W końcu zobaczyliśmy polanę, a na niej domek jak z bajki. Przed nim stał czarny mercedes, spod którego wystawały męskie nogi w adidasach. Z pewnością nie były martwe.

W gruncie rzeczy obrazek robił wrażenie sielanki i w ogóle nie kojarzył się ze zbrodniczymi zamiarami. Słońce świeciło, ptaszki śpiewały i trzeba przyznać, że okropnie bzycały komary. Było ich tutaj tyle, że wydawało się, iż wystarczy stanąć choć na chwilę, a zjedzą człowieka żywcem. Po raz pierwszy w ciągu ostatnich kilku godzin naszła mnie tchórzliwa myśl, że może się pomyliłem. Postawiłem wszystkich na nogi, wywołałem panikę, nastraszyłem, oplułem porządnych, godnych szacunku ludzi... Przecież sam się przekonałeś, Stasow, że tracisz węch i instynkt.

Zawarujew wylazł spod auta i ze zdumieniem wytrzeszczył na nas oczy. Zupełnie nie przypominał swego starszego brata, był niewysoki i raczej wąły. Oczka miał chytre i bezlitosne, a jego blade, gładko ogolone policzki wpadały w niebieskawy odcień.

– A wy czego tu szukacie?

– Przyjechaliśmy po Litwaka – odrzekł pospiesznie Siergiej. – Zaraz po jego wyjeździe przyszedł telegram od żony, że syn miał wstrząs mózgu i jest w szpitalu. Rudin wysłał ludzi po bilety na samolot, a nas pchnął tutaj, po Igora.

– Ale oni już chyba śpią – spokojnie odparł Zawarujew, wycierając szmatką brudne ręce.

Na jego twarzy nie dopatrzyłem się najmniejszych oznak niepokoju. Jeszcze raz, czując nieprzyjemny chłód w środku, pomyślałem, że się pomyliłem. Co za kompromitacja!

Wszedłem do domu i od progu poczułem dusząco-cierpki zapach drogich perfum. Domek był piętrowy, ale o zwartej konstrukcji: na parterze znajdowały się kuchnia i duży pokój pełniący funkcję salonu, na piętrze trzy małe sypialnie. Błyskawicznie zlustrowałem wszystkie pomieszczenia i odetchnąłem. Na górze było pusto. W dużym pokoju na dole Katia i Rusłan obalali kolejną butelkę jakiegoś trunku, przy czym Katia siedziała już u Kijki na kolanach i niechybnie zabierała się do sprawdzania, czy homoseksualiści rzeczywiście nie ulegają czarowi kobiet. Oboje byli tak pijani, że odniosłem wrażenie, iż nawet nie spostrzegli naszego przybycia. W tym samym pokoju, na małej kanapce, leżał, złożony jak scyzoryk, Igor Litwak i głośno chrapał. W pomieszczeniu panował zaduch od nieświeżego powietrza i zapachu alkoholu, wymieszanego z wonią perfum. Czyżby pijana jak biała Katierina wylała na siebie cały flakonik?

– Czemu nie otworzycie okna? – spytałem, z trudem opanowując wstręt. – Można się tutaj udusić.

– A komary?

Katia wychyliła następny kieliszek i wreszcie raczyła się do mnie odwrócić.

– Próbowaliśmy otworzyć, ale wtedy wleciały całe chmary!

Zrobiła przerażoną minę, jej oczy się zaokrągliły.

– O, proszę, zobacz, już pogryzły Rusłanczika, teraz się drapie, biedactwo.

Z tymi słowy wzięła Rusłana za rękę i zaczęła delikatnie głaskać go po zgięciu w łokciu, niby pokazując mi okropne ślady ugryzień perfidnych owadów. Kijko wcale nie reagował na jej niedwuznaczne pieszczoty, odchyliwszy głowę na oparcie fotela i wydmuchując dym z papierosa w sufit. Tak, ciężki przypadek. Teraz nawet dźwigiem się ich nie ruszy, a przecież za wszelką cenę musimy wywieźć stąd całe towarzystwo Ale jak?

– Nie trzeba się było tak perfumować – oświadczyłem wściekły. – Słodki zapach zwabia komary, a tutaj nie ma czym oddychać.

– Ja niechący – wymruczała kokieteryjnie Iwannikowa. – Rozbiłam flakonik. Kostik był tak miły i wszystko wytarł, ale zapach jednak pozostał... Nam się podoba, prawda, Rusik?

Zrobiło mi się niedobrze na widok tej sceny. Znowu wyszedłem na dwór. Zawarujew leżał pod samochodem, a Lisicyn i Jura Mazajew cicho o czymś rozmawiali, stojąc z boku. Niech to licho porwie, co się tutaj dzieje?

Machnąłem do nich ręką, żeby podeszli.

– A co właściwie Zawarujew tu robi? – spytałem. – Po co się przywłókł?

– Mówi, że brat go poprosił, żeby przyjechał. Nie można przecież zostawiać ludzi w lesie bez żadnej łączności ze światem zewnętrznym. A nuż coś się stanie? Może będzie trzeba coś przywieźć, jakieś produkty, albo ktoś zachoruje...

– Całkiem możliwe – włączył się Mazajew. – Byłoby dziwne, gdyby Jurcew o tym nie pomyślał i zostawił ludzi samych w lesie, bez telefonu i bez samochodu. Sława, jesteś pewien?...

Nie dokończył, ale zrozumiałem, że jego też zaczęły gryźć wyrzuty sumienia.

– Zaprowadźcie go do domu na herbatę – zaproponował milczący do tej pory Jakowczik. – A ja zajrzę do auta. Może znajdę broń.

– Nawet jeśli znajdziesz, co z tym zrobimy?

– Kostia nie ma zezwolenia, wiem to na sto procent. Akurat niedawno był w komisariacie i pytał, jakie formalności musi spełnić. Jeśli odkryjemy broń, będzie o czym rozmawiać, inaczej nie zacznie sypać, czuje się mocny.

– Nie zawadzi spróbować – przytaknąłem. – Może coś z tego wyjdzie. Zawołaj go, a ja w tym czasie nastawię wodę.

Wróciłem do domu i poszedłem do kuchni. Tutaj zapach perfum był jeszcze silniejszy. Na stole stała dwupalnikowa maszynka elektryczna, a na niej czajnik. Był jeszcze gorący, widocznie nasze pijane bractwo zdążyło już napić się herbaty, może nawet kawy. W rogu stały dwie butle z propanem, ale kuchenki gazowej nie było, chociaż został po niej wyraźny ślad – między butlami a stołem znajdowała się pusta przestrzeń, akurat na kuchenkę.

Dolałem do czajnika wody z kranu, włączyłem maszynkę i zabrałem się do szukania filiżanek i czajniczka z esencją. Przez okno zobaczyłem, że wszyscy czterej mężczyźni ciągle stoją koło samochodu, Kostia Zawarujew tłumaczy coś z zapalem Paszy Jakowczikowi, a Sierioża i Jurij ze znudzonymi minami gapią się na maliny na krzaku.

– Hej! No co tam? Idziecie? – krzyknąłem, wychodząc na werandę.

– Na mnie nie czekajcie – głośno odparł Zawarujew. – Muszę doprowadzić samochód do porządku. Mam dzisiaj wolne, wziąłem auto do domu, żeby dokręcić i posmarować co trzeba, zrobić przegląd, ale pilny wyjazd popsuł mi szyki. Nawet narzędzia wziąłem ze sobą.

– Zostaw to, Kostia. – Jakowczik niedbale machnął ręką. – Będziesz miał kupę czasu, aż do jutrzejszego popołudnia. Zabierzemy ze sobą Igora, a ty zostaniesz z tą parką. Chodźmy, nie wyłamuj się.

Ale kierowca z uporem osła trwał przy swoim, i to mi się nie spodobało. Bał się zostawić samochód bez nadzoru? Domyślił się, że zamierzamy go przeszukać? Doskonale wiedział, że nie może zamknąć auta, idąc do domu, i zabrać ze sobą kluczyków. Przed kim ma je zamykać w leśnej głuszy? To od razu rzuci się w oczy. Chyba miałem jednak rację, narzędzie zbrodni znajduje się w samochodzie, i trzeba je znaleźć.

– Naprawdę nie chcę herbaty – nie ustępował Zawarujew – już piłem z tamtymi godzinę temu. Dostyc, chłopaki, dajcie mi popracować.

Kiwnąłem lekko głową, a wtedy Siergiej i Mazajew doskoczyli z tyłu do kierowcy i chwycili go pod ręce.

– Wiesz, co dla mężczyzny jest najważniejsze? – paplali żartobliwie, siłą ciągnąc Zawarujewa do domu. – Wódka i kobiety. A wykręcać się z towarzystwa nie wypada, trzeba szanować kumpli.

Na oko wszystko sprawiało wrażenie wesołej zabawy, twarze moich przyjaciół były beztroskie i figlarne. Ale Konstantin Zawarujew z każdym krokiem robił się coraz bledszy. Ciekawe, czego się tak wystraszył? Ma w samochodzie jakieś kompromitujące materiały? Nie szkodzi, zaraz się dowiemy.

Zgodną gromadą wpadliśmy do kuchni. Czajnik już syczał obiecująco, na stole stały przygotowane filiżanki, puszka z kawą rozpuszczalną i pudełko z cukrem.

– Twój brat biedę klepie, że używa maszynki elektrycznej jak jakiś wieśniak? – spytałem, nasypując do czajniczka herbaty.

– Ma kuchenkę gazową, ale teraz jest w naprawie, lada dzień przywiozą i zainstalują. A na razie musi wystarczyć elektryczna. Miejsce jest dobre, Oleg ciągle przywozi jakichś gości.

– Tylko komary tną jak wściekłe – zauważyłem.

– Fakt – przyznał Zawarujew.

Rozmawiał spokojnie, ale był bardzo blady. Czemu się tak denerwuje?

Nalałem już herbaty do filiżanek i nawet upiłem łyk, gdy zjawił się Pasza Jakowczik. Wyraz twarzy miał obojętny, ale dał mi znak, że w samochodzie nic nie znalazł. Ani broni, ani trucizny, ani materiału wybuchowego. Kompletna kłapa. Mogłem się aż tak pomylić?

Czy mi się zdawało, że po twarzy Zawarujewa przemknął uśmiech? Jednym haustem wypił gorącą herbatę i podniósł się z taboretu.

– Dzięki za herbatę, pójdę do swojej ślicznotki.

Tak. Wiedział, że nic nie znajdziemy w aucie. Więc gdzie? Schował coś niedaleko w lesie? Myśl, Stasow, myśl szybciej, wyteżaj szare komórki, jeśli jeszcze je masz.

– Siadaj, Kostia. Musimy porozmawiać.

Głos chyba miałem nienaturalny, bo Zawarujew nawet się nie zdziwił, tylko jakoś tak się skurczył i zmałał. Machnąłem mu pistoletem przed nosem.

– Mówię ci, siadaj.

– Czego pan chce?

Zaczął się oglądać, przenosząc wzrok ze mnie na Paszę, Siergieja i Mazajewa.

– Oszaleliście, czy co? Dajcie mi wyjść, muszę naprawić samochód!

W jego głosie dały się słyszeć pierwsze oznaki paniki. Oj, Stasow, uważaj, nie daj ciała. Sądzisz, że Zawarujew się przestraszył, że go podejrzewacie i chcecie zdemaskować? A jeśli naprawdę się przeraził, że ma przed sobą przestępców? Przyjechaliście, choć nikt go o waszej wizycie nie uprzedzał, siłą zaciągnęliście do domu, a teraz jeszcze grozicie bronią i żądacie, żeby prowadził z wami jakieś rozmowy. Każdy by się przestraszył. Jest was czterech i macie pistolet, a on jest sam i bez broni. Może potrzebny wam zakładnik, żeby żądać okupu od jego brata, bogatego biznesmena. Mało to szaleńców...

A niech tam, raz kozie śmierć! Minutę później Zawarujew siedział na podłodze, obie ręce miał przykute dwoma parami kajdanek do dwóch nóg ciężkiego dębowego stołu. Nachyliłem się, żeby związać mu nogi, i poczułem zawrót głowy. Starzejesz się, Stasow, pomyślałem w duchu, nic na to nie poradzisz, wiek i bezsenne noce dają o sobie znać. Dużo palisz, mało odpoczywasz, i oto rezultat. Jak powiedział mi stary chirurg, kiedy przyszedłem do niego z kolejnym, „zwykłym” urazem i zacząłem narzekać, że dawniej ból mijał po dwóch tygodniach, a teraz ciągnie się już trzy miesiące: „Co się pan dziwi, Kochaniutki? Materiał zdążył się lekko zużyć”.

– No to porozmawiajmy, Kostia. Po co tu przyjechałeś?

– Przecież mówiłem wam: brat mnie prosił. Jesteście stuknięci? Co zamierzacie zrobić? Puśćcie mnie!

– Dobra, masz trzy minuty na odpowiedź. Potem znowu zadam ci to samo pytanie.

Wyszedłem z kuchni i zajrzałem do pokoju. Litwak wciąż chrapał, odwrócony do ściany, a Katia i Ruslan kończyli dużą, ładną butelkę likieru, półgłosem nucąc jakiś stary romans. Byli coraz bardziej pijani, dziwne, że jeszcze kontaktowali. Na mój rozum powinni już dawno spaść pod stół.

Usiadłem przed domem z papierosem i w zamyśleniu przyglądałem się stojącemu na drugim końcu polany samochodowi Zawarujewa. Czegoś nie wziąłem pod uwagę, nie przemyślałem, coś przeoczyłem... Drogi powrotnej nie ma, trzeba przycisnąć Zawarujewa starym, wypróbowanym sposobem i wierzyć, że coś powie. Jeśli puści farbę, można będzie opanować sytuację, zamknąć mu usta i sprawić, że Jurcew nie ruszy pozostających w mieście Lisicyna i Jakowczika. A jeśli Zawarujew nie piśnie słowa? Jeśli nie będziemy mieli o co go oskarżyć? Wtedy Jurcew policzy się z nimi, jak tylko wyjadę z Mazajewem. Wciągnąłem Siergieja i Paszę w tę brudną historię, i teraz za nich odpowiadam. Wygląda jednak na to, że ich wystawiłem...

Poczułem w ustach wstrętny metaliczny posmak od papierosa, jak na początku grypy, gdy rośnie temperatura. Jeszcze tylko choroby mi teraz brakowało!

Zgasilem niedopałek o kamienną balustradę, rzuciłem go w krzaki i wróciłem do kuchni. Po świeżym leśnym powietrzu zaduch i słodki zapach perfum wywołał atak nudności. Na stole pomiędzy filiżankami leżały drobiazgi, przezornie wyjęte z kieszeni Zawarujewa. Nic takiego, czym można by zabić człowieka albo chociaż go zranić. Ani noża, ani paczuszki z trucizną.

– Jak tam, odrobiłeś zadanie domowe? Jeszcze raz pytam: po co tu przyjechałeś? Po co Jurcew cię wezwał?

Jak było do przewidzenia, nic nowego nie usłyszeliśmy. Rozmowa utknęła w martwym punkcie. O cokolwiek zapytałbym Zawarujewa, udzieli takiej odpowiedzi, której nie uda mi się podważyć, a przycisnąć go można dopiero wtedy, gdy zostanie złapany na kłamstwie. Sęk w tym, że nie wolno mu przyłać. Nawet jeśli by pękł i coś powiedział, ślady uderzeń nie ukryją się przed jego starszym bratem. Skoro go biliśmy, to musiał się wygadać. Czyli że teraz coś wiemy. A więc jesteśmy niebezpieczni. Miałem przed sobą bardzo proste zadanie: zmusić Zawarujewa do mówienia tak, żeby nikt się o tym nie dowiedział. Sam raczej nie będzie chlapał na prawo i lewo. Jak go zahaczyć?

Nagle Pasza Jakowczik odsunął z łoskotem stojący przed nim taboret i wypadł z domu. Dobiegły nas z zewnątrz charakterystyczne dźwięki – Jakowczik miał torsje. Chwyciłem czajniczek, zdjąłem pokrywkę i powąchałem. Nic nie wyczułem. Z filiżanek też nie dochodził żaden obcy zapach. Herbata miała normalny smak... Czyżby Zawarujew wrzucił jednak jakieś

świństwo do herbaty? Ale jeśli wrzucił, to tylko do filiżanek, nie do czajniczka, przecież widzieliśmy, jak sam pił herbatę.

Wybiegłem na dwór. Pasza siedział na trawie blady jak płótno i łapał powietrze otwartymi ustami.

– Co z tobą, Pasza? Boli cię gdzieś? Kłuje? Piecze? Może pękł ci wrzód? A może to nieżył żołądek? – pytałem nerwowo, wpatrując się w jego pokrytą potem twarz.

Pokręcił przecząco głową.

– Nie, pierwszy raz mam coś takiego – odpowiedział cicho. – W głowie mi się kręci...

– Połóż się – poradziłem i pędem ruszyłem z powrotem.

Zdaje się, że wszystko jasne. Ten zapach perfum... Głupiec ze mnie, mogłem wcześniej się domyślić. Dobrze, że w porę się zorientowałem.

W kuchni przestąpiłem przez leżącego na podłodze Zawarujewa i przyłożyłem ucho do butli gazowej, na której dużymi czerwonymi literami namalowano „Propan”. Nie myliłem się, z ledwie słyszalnym sykiem z butli ulatniał się gaz.

Teraz obraz ułożył się w całość. Jak Zawarujew rozlał perfumy Kati, nie wiem, było mnóstwo sposobów, którego z nich użył, nie miało teraz znaczenia. Wytarł kałużę szmatką i rzucił ją w kuchni. Silny i trwały zapach przewycięży wszystkie inne wonie, w tym również gazu. Okien nie wolno było otwierać z powodu komarów. Litwak już miał odlot, pozostali wkrótce też odpłyną. A właściwie jedno z dwojga. Albo nawdychają się propanu tak, że już się nie zbudzą, albo się zbudzą i ktoś pstryknie zapalniczką, żeby zapalić papierosa. I po balu. Bardzo proste... Z tego powodu Zawarujew nie chciał wejść do domu, bał się zatrucia.

Stężenie gazu w kuchni było większe niż w pokoju, więc Katia i Ruslan jeszcze nic nie czuli. Jeśli nawet trochę ich mdliło, nic w tym dziwnego, tyle przecież wypili. Pasza zareagował pierwszy, widocznie miał słabszy organizm albo taka była indywidualna reakcja.

Razem z Siergiejem i Jurą Mazajewem rzuciłem się do wyciągania całej elity filmowej na powietrze. Najtrudniej było z Litwakiem, w żaden sposób nie można go było dobudzić. W końcu razem z Mazajewem chwyciliśmy Igora za ręce i nogi i wynieśliśmy z domu, po czym ułożyliśmy na trawie jak najdalej od budynku. Młodzi wyszli sami, wyśpiewując na całe gardło okrutny romans o dwóch różach, z których jedna, biała, była jak uśmiech zagadkowa, a druga, ma się rozumieć, pąsowa, była jak sen zjawiskowa.

...Obie wabiły i przyzywały,

Obie potem zmarniały...

Melodyjne głosy umilkły, gdy śpiewacy łyknęli tlenu, momentalnie osłabli i tylko ledwie zdążyli osunąć się na troskliwie rozścielony na ziemi koc.

Ułożyliśmy Paszę Jakowczika na tylnym siedzeniu w samochodzie Lisicyna, Siergiej usiadł za kierownicą, a Jura Mazajew obok niego.

– Dobrze to przemyślałeś, Sława? – Mazajew zadał to pytanie już chyba po raz trzeci.
– Może jednak zostanę.

– Nie – odparłem stanowczo. – Muszę być sam, inaczej nic z tego nie wyjdzie.

Auto zniknęło za drzewami, a ja wróciłem do domu, szczelnie zamykając za sobą drzwi wejściowe. Zawarujew patrzył na mnie z takim przerażeniem, jakbym uciekł z domu wariatów.

– Czyli tak, Kostia – powiedziałem wolno, siadając przy nim na taborecie. – Wszyscy odjechali. Zostaliśmy tylko ty i ja. Gaz się ulatnia. Ogarniasz, co mówię do ciebie?

Kiwnął głową, zaszczuty jak zwierzę.

– Jeśli szybko powiesz mi teraz wszystko, uwolnię cię i z lekkim sercem wyjdiesz na świeże powietrze. Jeśli będziesz zwlekał i się ociagał, stracę przytomność, i wtedy nikt cię już nigdy stąd nie wypuści. Będziesz wdychał słodkawy zapach propanu, póki nie zdechniesz tu razem ze mną. Dotarło?

– Jesteś nienormalny? – spytał, oblizując zaschnięte wargi. – Czego ode mnie chcesz? Czemuś się do mnie przyczepił?

– Tracisz czas, Kostia. Już czuję lekkie mdłości, niedotlenienie, chyba rozumiesz. Trudno powiedzieć, ile czasu wytrzymam, więc lepiej się pospiesz, bo nie zdążysz i sam będziesz się tu wczasował. Nawet nie próbuj udawać, że wykitujesz pierwszy. Póki mi sił starczy, będę cię cuciał, aż wszystko mi opowiesz. Co ty na to?

– Wynieś butlę, idioto, albo chociaż otwórz okna, bo obaj zginieemy – powiedział Zawarujew, starając się, aby jego głos brzmiał stanowczo.

– Nie-e. – Pokręciłem głową. – Na tym polega dowcip. Albo razem stąd wyjdziemy, albo wykorkujemy. Innego wyjścia nie ma.

W końcu Zawarujew się złamał i zaczął mówić. Słuchałem go, walcząc z mdłościami i osłabieniem, w głowie mi się kręciło nawet na siedząco, oblewał mnie pot i koszula przykleiła mi się do pleców. Serce waliło tak, że o mało z piersi nie wyskoczyło. Ale tkwiłem bez ruchu, zamieniwszy się w słuch.

– Milicja wie o nich od dawna, co najmniej rok, odkąd zaczęli prowadzić agitację. Chciano się z nimi rozprawić, ale mądrzy ludzie poradzili, że lepiej zostawić emerytów w

spokoju, bo można ich wykorzystać do własnych celów. Najaktywniejszych jest trzech, dowodzi nimi były żołnierz wojsk rakietowych nazwiskiem Usanow.

– A Sokolnik? – spytałem.

– Sokolnik to płotka, robi za pomocnika. Pierwsze skrzypce gra Usanow. Dosłownie zije nienawiścią. Szkoli małolatów. W sumie klub jest niczego sobie, ci trzej prowadzą najważniejsze kółka, uczą, jak obchodzić się z bronią, materiałami wybuchowymi, no i tym podobnych rzeczy... Krótko mówiąc, zaproszono emerytowanych wojskowych na spotkanie i wzmówiono im, że partia komunistyczna istnieje i działa w podziemiu, wkrótce stanie się legalna i zaprowadzi z powrotem ustrój radziecki. A na razie wydała tajną dyrektywę, żeby walczyć z brakiem moralności i zepsuciem, z całą komercją. Staruszkowie uwierzyli. Uwierzą we wszystko, dzieciennieli do reszty. Z początku wysyłano chłopaków tylko do drobnych spraw, ale potem młodzież poczuła smak krwi i nie dało się ich dłużej powstrzymać. Kto będzie podejrzewał dzieci? Starzy działali z głową, nie każdy mógł chodzić na ich zajęcia, najpierw delikwenta sprawdzali, obserwowali, odrzucali gamoniowatych i najbardziej agresywnych. Oleg ich dokarmiał, podrzucał pieniądze i sprzęt, niby dla klubu. Całkiem ich oswoił. Przed samym festiwalem Usanow oświadczył, że chce wziąć odwet za wyszydzenie wojska. Oleg najpierw go zniechęcał, ale później się dogadali. Brat potrzebował hotelu, który budowali Turcy. Sam chciał go dokończyć, żeby później ciągnąć z niego zyski, okazało się jednak, że mer już podpisał z Turkami umowę. Usanow obiecał przerwać budowę i przeprowadzić do końca lata jeszcze parę akcji dla Olega, a ten z kolei zapewnił, że pomoże w sprawie z filmowcami. Taki zawarli układ...

– Dla kogo Jurcew to wszystko robi? Kto będzie nowym merem?

Zawarujew nie odpowiedział. Oddychał ciężko, z trudem poruszał językiem, usta i paznokcie na rękach zsiniały.

– Dobra, to nieważne... Po co ukradli komputer? Chcieli, żebyśmy wyjechali?

– To też... Chcieli zobaczyć, co ona tam napisała. Dowiedzieli się, że czytała materiały o pożarze. Nic w nich nie ma, sto razy były sprawdzane, ale ktoś rzucił, że ta Obrazcowa to oblatana baba. A nuż dopatrzy się tego, co inni przeoczyli...

– Kto próbował ją otruć?

– Gospodarz.

– Czyj? Twój? To znaczy Oleg?

– Nie, twój. Grigorij Filippowicz Wiszniakow. Jest drugi po Usanowie w tej szajce sklerotycznych ramoli...

Dalej nie słuchałem. Zaczęło mącić mi się w głowie, przestałem kontaktować i spadłem z taboretu na podłogę. Otrzeźwiło mnie uderzenie i ledwie udało mi się podnieść głowę. Przed oczami tańczyły kolorowe plamy, wzrok się rozjeżdżał i nie mogłem zatrzymać go na Zawarujewie. Facet najwyraźniej czuł się lepiej ode mnie, bo był młodszy i silniejszy, ale miałem nad nim pewną przewagę. Byłem wyższy i cięższy. Toteż liczyłem, że choć jest mi niedobrze, wytrzymam dłużej. Ale nie wziąłem pod uwagę zmęczenia...

– Czego jeszcze chcesz? – Zawarujew już rzeził. – Powiedziałem ci wszystko. Wypuść mnie...

– Jeszcze nie. Za wcześnie. Kto zabił Wiernigorę?

– Nikt, on sam... Chcieli, to prawda. Ale nie zdążyli. Przyszli do niego, ale on leżał już na kanapie martwy.

– Za co chcieli go sprzątnąć? Czym im się naraził?

– Domyślał się. Dał aktorce kasety, pewnie chciał, żeby zawiozła do Moskwy. Ale ona i tak była na liście, więc śledzono ją, żeby wybrać odpowiedni moment... Wyszło na jaw, że odwiedzała Wiernigorę. Przestraszyli się...

– Co można zrobić, żeby do końca festiwalu nikt więcej nie zginął? Komu twój brat ufa?

– Mnie... Nikomu więcej.

– Będziesz mógł się wykręcić, jeśli cię wypuszczę?

– Nie wiem... Niedobrze mi...

– Musisz jeszcze wytrzymać. A więc tak. Igora Litwaka i aktorów zabraliśmy, bo Igorowi zachorował syn. Zapamiętasz?

– Tak...

– Nic nie mogłeś zrobić, było nas czterech. Nikt się niczego nie domyśla. Nikt cię o nic nie pytał i ty mi też nic nie mówiłeś. Przyjechaliście, piętnaście minut później wyjechaliście, i na tym koniec. Rozumiesz?

– Tak... Proszę... Dłużej już nie mogę, niedobrze mi...

– Lisicyna i Jakowczika macie nie ruszać. I dać nam spokojnie wyjechać. Aktorów zostawić w spokoju. Jasne?

Chwyciły go torsje. Z trudem podniosłem się na kolana, podpełzłem do niego i uniosłem mu głowę, żeby się nie zachłysnął wymiocinami. Żółto-brązowa, cuchnąca ciecz wylewała mi się na ręce, ale nie odczuwałem wstrętu, myślałem tylko o tym, czy starczy mi sił, żeby go stąd wyciągnąć. A może zostawić go w cholere, niech zdycha?

Palce nie chciały mnie słuchać i nie mogłem trafić kluczem w mały zamek od kajdanek. Kiedy rozciąłem sznury na nogach Zawarujewa, stracił przytomność. W końcu pokonałem kilka metrów, dzielących nas od drzwi wejściowych, i resztką sił pchnąłem je. Tracąc już świadomość, zobaczyłem, jak poruszyły się krzaki – Jura Mazajew biegł w moją stronę. Ostatnią rzeczą, o której zdążyłem pomyśleć, było: „Przecież kazałem im odjechać jakieś dwieście metrów, żeby Zawarujew wyraźnie usłyszał oddalający się samochód...”.

Dwa dni później zabrałem Tanie ze szpitala i zawiozłem do siebie do Moskwy. Irocza z Mazajewem wyjechali do Petersburga, żeby spędzić końcówkę urlopu w luksusowym trzypokojowym mieszkaniu w centrum miasta.

Do ostatniej chwili pobytu w czarnomorskim kurorcie prześladowała mnie myśl o własnym tchórzostwie, choć jako człowiek rozsądny wiedziałem, że nic i tak nie da się zrobić. Miasto jest bezwzględnie kontrolowane przez Jurcewa i część kupionej przez niego administracji, a siły tej części, którą Jurcew i reszta chcieli obalić, są niewystarczające, aby wprowadzić choć namiastkę sprawiedliwości. Nie dzieliłem się z Tatianą swoimi niewesołymi przemyśleniami, ale ona rozumiała wszystko bez słów. Kiedy spakowałem jej rzeczy, kupiłem bilety i zabrałem ją ze szpitala, w drodze na lotnisko powiedziała:

– Dima, przynajmniej na koniec... Czyżbyśmy mieli puścić im wszystko płazem?

W milczeniu ścisnąłem jej rękę i pocałowałem w policzek. Siedzący z przodu Sierioża Lisicyn udał, że nie usłyszał jej słów, ale cały zeszywniał. Nie powinniśmy robić mu przykrości. Tania ma jednak rację: czyżbyśmy mieli odpuścić im wszystko?

Decyzja przyszła nagle, kiedy na pokładzie samolotu znaleźli się dziennikarze wracający z festiwalu. Dwie godziny lotu wystarczyły, żebym podzielił się z nimi wrażeniami z pobytu w gościnnym, ciepłym miasteczku. Moja opowieść spotkała się ze sceptycznym przyjęciem. To znaczy początkowo, kiedy mówiłem o czterech zabójstwach i związanych z nimi wydarzeniach, słuchali mnie z otwartymi ustami, ale kiedy wspominałem o kombatantach i klubie „Patriota”, zainteresowanie spadło. Wszystko to przypominało raczej wytwór chorej wyobraźni. Nie naciskałem. Ostatecznie zrobiłem, co mogłem.

W Moskwie zawiozłem Tatianę do mojej kawalerki i obiecałem w ciągu najbliższego tygodnia karmić ją tylko kaszą manną i herbatą z sucharkami, jak tego wymaga dieta po zatruciu. Tania smętnie na wszystko przystała i w ogóle wydawała się zmęczona i apatyczna. Miałem wrażenie, że nawet nie rozumie, iż przyjechała do Moskwy, a nie do siebie, do Petersburga.

– Jesteś niezadowolona? – spytałem pewnego dnia. – Żałujesz, że zgodziłaś się pobyć u mnie?

– Skąd – wzruszyła ramionami – niczego nie żałuję. Oprócz jednego: że żyję w ohydny, nieludzkim świecie. Dopiero teraz zaczynam rozumieć, dlaczego odchodzisz na emeryturę. Wcześniej przyjmowałam to jakoś... lekko... jako coś oczywistego. Niektórych kryminalistów udaje się przycisnąć do muru, innych nie. A jeśli przypadkowo uda się wyhaczyć tego, który był nietykalny, trzeba się po prostu cieszyć i sprawić sobie mały prezent dla uczczenia małego, niespodziewanego zwycięstwa. I w żadnym razie nie myśleć, że teraz tak będzie zawsze. Chyba się z tym pogodziłam, a może właśnie dlatego zaczęłam pisać książki, żeby o tym nie myśleć i nie brać sobie tego do serca. Myślałby kto, duma zawodowa! Komu, do jasnej cholery, jest potrzebna! Przypiąłeś naszywki, wzięłeś pensję i morda w kubeł, rób swoje, nie wychylaj się. To prawo obowiązuje na całym świecie, nie tylko u nas tak się dzieje. No, może u nas odbywa się to jakoś szczególnie bezczelnie, ale istota rzeczy się nie zmienia. A teraz czuję ból i wstręt. Nie wiem, jak wrócę do pracy.

– Ile zostało ci jeszcze do emerytury?

– Prawie dziesięć lat. Przecież studiowałam, nie skończyłam szkoły milicyjnej jak ty, a lata nauki do stażu się nie liczą.

– Odejdź z pracy – zaproponowałem. – Zwolnij się bez emerytury, pisz książki. A ja będę cię utrzymywał.

Powtórzyłem to już chyba setny raz. Ale teraz Tatiana pierwszy raz odparła: – Zastanowię się.

Tydzień później przeczytałem w gazecie duży artykuł o małym uzdrowisku na południu kraju. Jakiś dziennikarz jednak mi uwierzył. Artykuł zaczynał się słowami: „W ostatnią drogę odprowadzono młodego posterunkowego Siergieja Lisicyna...”.

Tego dnia upiłem się, i nawet nie było mi wstyd przed Tatianą.